

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR III/ZIMA 2008



CENA 8.69 ZŁ*

ISSN 1897-2365

REAKCYJNA FALA

Na tle kryzysu kultury odcinają się perelki oddolnych inicjatyw, które stawiają czoła wyzwaniom współczesności czerpiąc z najlepszych wzorców rodzimej cywilizacji. Okazuje się, że oczekiwanie na współczesnego Herostratesa, nie musi być bierne, a inicjatywy te są coraz liczniejsze i zaraźliwym przykładem obejmują - niczym wspaniały średniowieczny ruch cluniacki wiary rzymskiej - coraz szersze kręgi środowisk inteligenckich, zaklętych dotychczas w chocholim tańcu wykonywanym do muzyki modnego skrzypka kłującego wzrok wysokim obcasem. W dużych miastach opuściły one salony, na które z hałasem wdarła się brukowa kultura masowa, i zeszły do katakumb życia społecznego. Na prowincji są zaś z reguły jedynym przejawem życia twórczego. Podczas gdy w świetle jupiterów rozgrywają się spektakle kiczu dla mas, w cieniu kładzione są fundamenty pod reakcyjną falę szeroko pojętej kultury, której jedynym recenzentem jest autentyczna wartość oparta o źródła smaku naszej cywilizacji. Bowiern najważniejsze dla kultury sprawy muszą rozgrywać się na poziomie wartości, co dobitnie podkreślają współtwórcy owej reakcji, jak choćby Wojciech Wencel, który w szkicach zebranych w zbiorze zatytułowanym *Zamieszkać w katedrze* pisze m.in.: „Warto osuszać bagno wielkich miast. Bagno alienacji i bezdomności. I choć w czasach medialnych tryumfów socjotechniki literatura nie wydaje się najlepszym stabilizatorem wspólnotowej więzi, należy dać jej szansę. Liturgii nie zastąpi żadna telewizja. Żaden nadajnik nie pracuje w rytmie naszych dusz”. Dusze te ukształtowane zostały bowiem w ogniu tysiącletniej historii i choćby nawet ubrać je w nowoczesne ciała, zbudowane przez pla-

stikową globalną współczesność, dadzą o sobie znać czkawką zagubienia w obcym świecie (*Nasz naród jak lawa...*).

Staramy się, by „Kozirynek” był jeszcze jedną kroplą, która zasila falę reakcji życia kulturalnego. Tak, stoimy na straży klasycznych wartości i właśnie dlatego nie boimy się wyzwań współczesności powtarzając za Andrzejem Trzebińskim, iż „nie dlatego zwyciężymy, że broni nas system wartości absolutnych, przeciwnie - to system wartości absolutnych musi zwyciężyć dlatego, że my go bronimy”. Bo walka o tożsamość i o jutro ciągle trwa. Być może dziś jest ona bardziej zacięta niż kiedykolwiek. Dlatego przychodzą nam na odsiecz wielcy poprzednicy, których i w bieżącym numerze znajdziesz, Drogi Czytelniku, na naszych łamach. Upojeni ich wiarą, zapalem i wielkością patrzymy w przyszłość, na etap, który przypadł nam w udziale, na wzbierającą falę reakcji. Tylko od nas zależy czy rzeczywiście zaistnieje. Dlatego wlejmy w literatkę setkę wiary, nadziei i miłości, i wyjdźmy z naszych okopów.

Tematem przewodnim numeru jest
ALKOHOL.

Dariusz Magier

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR III/ZIMA 2008



FELIETONY

Dariusz Magier, Natalia Julia Nowak, Max Skrzeczkowski, Adam Wielomski

NA CENZUROWANYM

Pisma "Nestor" i "RzeczPospolita Kulturalna"; "Wróżyczka i bard"; Nowe tomiki Agnieszki Hałas, Marcina Czyża, Z. Marka Piechockiego i Odysa Korczyńskiego; "Dziki Kąt" Piotra Śliwińskiego; Ewa Klajman-Gomolińska przez uchylone drzwi

ESJE

Mariusz Bober, Marek Chodowski, Artur Górski, Izabela Koczkodaj, Dariusz Magier, Artur Roglaski, Tomasz Sobieraj, Andrzej Trzebiński

CHIMERA (WIECZNIE ŻYWA)

Leonardo da Vinci



NOTA BIOGRAFICZNA

Eustachy Potocki



OPOWIADANIA

Joanna Burgieł, Maksymilian D. Czornyj, Krzysztof T. Dąbrowski, Robert Konca, Tomasz Krzykała, Anna Nogaj, Jerzy Reuter, Joanna Skólimowska, Maurycy Witkowiak, Grzegorz Żak

MINIATURY

Marek Brand, Adam Czajczyk, Hubert Czarnocki, Mariusz Kargul, Krystyna Karwat, Ewa Kruchowska, Beata T. Magier, Agnieszka Pałka

KOMIKS



POWIEŚĆ

Andrzej Wielecki



PREZENTACJE

Izabela Koczkodaj, Jacek Musiatowicz

Miejska Biblioteka Publiczna

w Białej Podlaskiej

DZIAŁ INFORMACJI BIBLIOGRAFII

I WIEDZY O REGIONIE

ul. Warszawska 12a

21-500 Biała Podlaska

tel. (083) 343-61-11



WERSZE

Karol Baudelaire, Mariusz Bober, Anna Buchalska, Joanna Bukowska, Adam Czajczyk, Hubert Czarnocki, Zbigniew Dmitroca, Dariusz Dorosz, Marcin Dydyna, Paweł Główniak, Jadwiga Grabar, Robert Łuczka, Weronika Jędrzejczak, Ewa Kaczmarczyk, Mariusz Kargul, Małgorzata Kołkiewicz, Robert Konca, Ewa Korczyńska, Odys Korczyński, Ryszard Kornacki, Krzysztof Kwoczko, Krystian Lisowski, Izabela Staniec-Laskowska, Anna Nogaj, Z. Marek Piechocki, Jolanta Rojecka, Nestor Sakaczbia, Jędrzej Siwek, Maria Kryńska-Szostak, Oskar Szwabowski, Wojciech Szmigon, Włodzimierz Wysocki

ZDJĘCIA

Mariusz Bober, Joanna Bukowska, Mirosław Koczkodaj, Katarzyna Kolasińska, Małgorzata Kołkiewicz, Robert Konca, Karol Krupa, Przemysław Kraska, Przemysław Krupski, Tomasz Młynarczyk, Z. Marek Piechocki, Tomasz Sobieraj, Łukasz Szymański, Bożena Zwierz, Paweł Żochowski

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

Redaguje zespół

Mariusz Bober (promocja)
Przemysław Krupski (skład)
Dariusz Magier (proza)
Adam Świć (poezja)

Kontakt

kozirynnek@rasil.home.pl
www.kozirynnek.pl

Wydawca

Radzyńskie
Stowarzyszenie Inicjatyw
Lokalnych
Konfraternia Kozirynnek
ul. Rynek 9
21-300 Radzyń Podlaski
www.rasil.home.pl

Zdjęcia

© Radzyński Klub
Fotograficzny „Klatka”
www.rkf-klatka.art.pl

ISSN 1897-2365

Druk

AWA-DRUK
Tel. (083) 352 25 91

Tekstów nie
zamówionych nie
zwracamy. Zastrzegamy
sobie prawo do skrótów
tekstów prozatorskich i
zmian tytułów.



Fot. na okładce
Tomasz Młynarczyk

Miniatura na tylnej okładce:
Sobór konstantynopoliński IV.
Fresk z Biblioteki Watykańskiej.



ZBIGNIEW HERBERT

DO WUJA HERTZA (MAŁA ODA)

Postarzał się nasz dobry Wujek,
choć dowcip jeszcze pierwsza klasa!
Mówi: „alkohol umysł truje”
i już do baru nie zaprasza;
ascezę głosi, chwali rybę,
twierdzi: „najlepsza kasza z grzybem”.

Ach, wspomnij Wujku załam głucho
gdy razem w Paryż my chodzili
na cous-cous, ale nie na sucho,
Boziole tęgośmy tam pili
szczęśliwi, syci, tłuści, kragli
(związany kelner nie mógł zdążyć).

Lecz mówią ludzie co Cię znają,
że lewicowcom Wuj nie skąpi,
jak się marxista jakiś zjawi
z marxistą wodę Wujek łąbie,
a Polak patryjota z Kraju
tu ani kropli nie dustaju.

Więc niech się zmieni dobry Wujek,
bo tak już dalej być nie może;
nie pije tylko głupi chujek:
Książd Sadzik pije w swym klasztorze,
Mickiewicz pił, Lebenstein, Miłosz,
bez tego, jakże by się żyło? *)

Przesłanie

O Wuju! Żyj nam długie lata,
lecz bardzo proszę nie bądź kutwą.
Kocham, szanuję Cię jak brata,
dlatego piszę dużą bukwą.
Bądź zatem hojny, strzeż się tycia,
całuję rączki

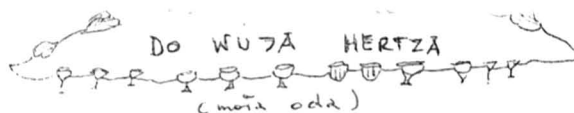
Twoja
Kicia

- *) A na pytanie Cioci Hertz
dlaczego w Polsce tyle piją
Schaff pewnie wyjaśnienie da
lub inny marxistowski ryjo.

Ja nie uczony proszę Cioci
i od kołyski wróg łakoci.



Tekst udostępniony dzięki uprzejmości Redakcji „Wschodniego Rocznika Humanistycznego”.
Zygmunt Hertz z Instytutu Literackiego w Paryżu przez gości Instytutu nazywany był „Wujem”.



Postarzał się nasz dobry Wujek,
choć dowcip jeszcze pierwsza klasa!
Mówi „alkohol umysł truje”
i już do baru nie zaprasza;
ascezę głosi, chwali rybę,
twierdzi: „najlepsza kasza z grzybem”.

Ach, wspomnij Wujku - załam głucho,
gdy razem w Paryż my chodzili
na cous-cous, ale nie na sucho,
Boziole tęgośmy tam pili
szczęśliwi, syci, tłuści kragli
(związany kelner nie mógł zdążyć).

Lecz mówią ludzie co Cię znają,
że lewicowcom Wuj nie skąpi,
jak się marxista jakiś zjawi
z marxistą wodę Wujek łąbie,
- a Polak - patryjota z Kraju
tu ani kropli nie dustaju.

A black and white artistic photograph of water. A vertical beam of light cuts through the center of the frame. Numerous bubbles of various sizes are scattered throughout the water, some appearing as bright circles and others as more complex, elongated shapes. The overall composition is abstract and dynamic.

FELIETONY



DARIUSZ MAGIER

OFFLINE

RUSZAJ ZBIGNIEWIE, CZYLI CLUBBING PO RADZYŃSKU

Zaczynamy po dziesiątej rano, kiedy rusza bar u Pani Teresy. Jeśli nie ma z nami osób palących, usadawiamy się w sali głównej, która bardziej odpowiada naszemu zmysłowi estetycznemu. Gdy w towarzystwie znajdzie się osobnik spalający tytoń, będziemy zmuszeni przejść do sali dla palaczy, co niestety narazi nas na obcowanie z młodzieżą. Znając kondycję współczesnych rodzin i szkół, wiadomo co to oznacza. Mówi się - trudno, egalitaryzm - naród polityczny mamy dziś (za) szeroki. Zrazu spokojnie, delikatnie, po browarze, może jakieś śniadanko w trakcie (jedzenie smaczne i godne polecenia). Gadka - szmatka o pracy, życiu, radzyńskich układach rodem z jednolitego frontu „robotników, chłopów i inteligencji pracującej” (trzymają się mocno), słów kilkoro o epizodach z życia codziennego komuny mentalnej i tej rzeczywistej osób, które nie zdążyły wyskoczyć z pociągu „Socjalizm” na przystanku „Niepodległość” w 1990 roku. Tak spędzamy czas do pory obiadowej, kiedy to możemy opuścić sąsiedztwo proletariackiej młodzieży w „Relaxie” i podążyć na zachód, zawadzając przy tym o radzyńskie ściany płaczu na granicy i poza terenem historycznego getta starozakonnych, czyli bankomaty przy ulicy Ostrowieckiej bądź Warszawskiej, tak czy inaczej będące po drodze na Manhattan stanowiący cel naszej wędrówki.

Przy piwie studiujemy menu, by i tak zamówić w końcu tatara i golonkę z setką czystej lub po dwa „wściekle psy” na głowę - jeden przed, drugi po obiedzie. Smak wódki (lub tabasco - w drugim przypadku) zmywamy piwem i snujemy plany na przyszłość. Wokół nas to pojawiają się, to znikają twarze kolejnych znajomych, „ci odlatują, ci zostają”, jak pisała Agnieszka Osiecka. Przypijamy do nich każdorazowo, bezdyskusyjnie i nie jeden raz.

W końcu, po godzinie 16 towarzystwo stabi-

lizuje się, tematy krążą wokół wspólnej przeszłości, przewag i porażek, rzeczy ważnych i mało istotnych, ale zawsze - po latach - wesołych i nostalgicznych. Znowu jesteśmy na studiach. Pałaszując podwieczorne przekąski wspominamy głodówkowe dania z *niczego* w akademiku (spaghetti z resztki makaronu i paprykarza - moje firmowe), czy podbieranie lurowatych zup w stołówce studenckiej. Znowu prowadzimy metę ruskiego spirytusu na szóstym piętrze „Grzesia” na lubelskim miasteczku akademickim - mało zyskowną, gdyż większość towaru i tak wlewaliśmy do własnych gardeł. Znowu przywołujemy pamiętne, obowiązkowe „obiady czwartkowe” w pokoju 625, imprezy mocnoalkoholowe przy Budce Suflera i orgazmowym głosie Dolores z zespołu Cranberries. Stacamy zwyczajowe boje ze zwolennikami Piłsudskiego i przekonując do narodowych racji wszechpolskich wykańczamy wątroby ruskim spirytusem Royal z kontrabandy, zakupionym w plastikowych butelkach od „braci ze wschodu” na bazarze na Podzamczu. Rozrobiony ze sztuczną zaprawą cytrynową wciąż nie tracił swego chemicznego posmaku, który - możemy przysiąc - na powrót pojawia się na mgnienie oka na naszych kubkach smakowych. Spłukujemy go łykiem piwa, podobnie jak wówczas zagryzaliśmy kanapkami z mortadela z pobliskiego „Samu” (po 4 tysiące za kilogram). Wspominamy szalone sylwestry w „Ikarze” sąsiadującym z terenem jednostki żandarmerii wojskowej i owego biednego wartownika stojącego na wprost naszego okna, który w końcu nie wytrzymał i o pierwszej w nocy zawitał do nas, by przed południem odjechać na sygnale wojskową suką w towarzystwie czterech smutnych żandarmów, co to niejedno już w życiu widzieli. Kałasznikow chłopaczyny z ostrą amunicją znalazł się u dziewczyn na dru-

gim piętrze (jakim cudem?!), dopiero kilkanaście godzin później. W końcu wiele, bardzo wiele innych, „życiowych” (jak mawia moja teściowa oglądając kolejny odcinek *Mody na sukces*) historii.

W okolicach zmierzchu natura włóczykija każe nam wymykać się w rześkie powietrze wieczora, licząc, że Hos otworzył już swój „Remont” (jak zwykle mruknął z rezygnacją w głosie: „Darunia, może być kiedyś przyszli trzeźwi i u mnie zostawili pieniądze, żeby się wstawić”), gdzie zasiądziemy i popsujemy pozostałej klienteli humor wrzucając do szafy grającej te same co zawsze utwory: *Girl, You'll Be a Woman Soon* z filmu *Pulp Fiction* (dla Rumburaka), coś Iron Maiden (dla Pawła), *Stańcie przed lustrami* Róż Europy (dla mnie), *Peggy Sue nie wyszła za mąż* Mysłowicz (dla nas wszystkich po trosze - refren zawodzimy jak stado wykastrowanych diabłów) i inne utwory, które omotują nas szalem nostalgii za czasami minionymi, chociaż my tego minięcia zauważyć nigdy nie chcieliśmy i tylko chwilami konstatujemy je ze zdziwieniem, gdy ładniutka barmanka Monika ponarzeka, że może byśmy jednak dali sobie spokój, bo ludzie chcą się bawić, czyli słuchać umpa-umpa, owego „bezdusznego walenia”, jak to trafnie określił Brad Wesley (w sumie kawał kutasa) w filmie *Road House*.

Kilka słów ze znajomymi, którzy zawieruszyli się tu po pracy, tematy już cięższe, plany konkretniejsze (pozornie), wszystko, o dziwo - prostsze w realizacji. Pijemy na pohybel czerwonym, przy toastach śpiewamy *Wstawaj strona narodnaja...* wzbudzając niezdrowe zainteresowanie pokoleń, dla których język rosyjski jest bardziej egzotyczny niżli murzyńskie suahili.

Przestajemy kontrolować czas, wszystko zlewa się w jeden zwariowany bal na pijanym Titanicu pośród morza radzyńskiego parku zasadzonego jeszcze przez ogrodników Eustachego Potockiego i gorliwie podlewanego przez bywalców „Remontu” spuszczać tu notorycznie nadmiar chmielowego napoju. Koedukacyjna łazienka sprzyja damsko-męskim



Tomaz Młynarczyk

kontaktom, choć daleko jej do toalety nieodżałowanego Olsena - knajpy, jakiej nigdy przedtem w Radzynie Podlaskim nie było i - obym się mylił - już nie będzie. Owszem, snujemy z Adamem i Przemasem pijackie rojenia o założeniu pubu z prawdziwego zdarzenia, ale czy nie byłby to interes w stylu owej mety z akademika, na której wyszedłem w końcu jak Zabłocki na mydle?

Evakuujemy się z tej „kloaki szatana”, jak miejsce to określa Ziemek - ten sam, który sunie do toalety jak gdyby brał udział w super gigancie, ostro slalomując między szemranym towarzystwem okupującym przedśionkowy korytarz „Remontu”, a przy każdym nieudanym wirażu krzyczy do nas z rozpaczą: „Kurwa, lewak mnie dotknął!” - w nieświadomości i z poczuciem żalu za kończącą się chwilą i czekającym nas już tylko rachunkiem, który

przyjdzie nam zapłacić rano, po kilku niespokojnych godzinach snu.

Gdy w mieście grasuje na występach gościnnych Rumburak, koło 8.30 mogę spodziewać się esemesa o treści, dajmy na to: „Godzi się odprowadzić gościa”. No i rozpoczyna się faza pożegnalna. Nie, żaden dworzec - lądujemy u Pikuta, czyli w jedynej knajpie w mieście otwartej od świtu do zmierzchu. Zajmujemy miejsce przy stoliku i smętnie spozieramy ku wysuszonym szczupaczym paszczom wiszącym na ścianie obok toalety, z której leniwie sączy się woń amoniaku. Potworne pragnienie emanujące z rybich paszcz zmusza nas do miarowego przechylania kufli z najlepszą „Perłą” w Radzyniu - ot taka prosta socjotechnika na użytek szynkarza. Obok nas życiowe problemy niedobitków wczorajszego dnia - oko spawacza i oddech smoka ostatnich dumnych obywateli geriatrycznej Unii Europejskiej na

wschodnim limesie. To tu dane nam było poznać tytułowego Zbigniewa. Siedział przy sąsiednim stoliku. Niepozorny, cichy, nie przeszkadzając nikomu wprawiał się w ów magiczny stan odmiennej świadomości znany każdemu człowiekowi o duszy artysty. Wreszcie wstał niepewnie. Siatka z jabłkami, po które zapewne żona wysłała go niebacznie na bazar, kołysała się targając wątłym ciałem mężczyzny to w jedną to w drugą stronę. W końcu, chcąc się zmobilizować, mruknął pod wąsem: „Ruszał, Zbigniewie!”. I ruszył. Po chwili zniknął nam z oczu, choć w pamięci pozostał już na zawsze.

I my za chwilę opuścimy gościnne Pikutowe progi, by udać się na śniadanie - zwykle koło 10, kiedy rusza bar u Pani Teresy. Jeśli nie ma z nami osób palących, usadawiamy się w sali głównej...




 KRZYSZTOF KWOCZKO

kobieta 1
kobieta 2
kolo z baru
ktoś kto puścił sygnał z anglii

bożonarodzeniowe liryki
noworoczne haiku
odpowiadam im głuchym raportem
dręczenia

kto by pomyślał że wtedy kiedy byliśmy
martwi
mieliśmy wpływ na przyszłe życie
i żywe światy równoległe
że mogliśmy płodzić dzieci
że było to potencjalnie możliwe
a owszem prawdziwie byliśmy martwi
zataczaliśmy się śmiertelnie
mało pamiętam z przedśmiertnego życia
i nieważne się zdaje to co było nim
przyszleś i powiedziałaś wstań
nim niepotrzebnie spytałeś czy wiem co
stało się wczoraj

leszkowi agom emce

jasny dźwięk dzwonów brzmi głosem
czystego józefa
dzień nad prowincją wstaje
stare miasto się słania na nogach
na spróchniałym pniaku po wyrwanej farze
siadamy palimy
nam sen krótki nie pachnie sianem
rzygamy na stare kamienie

mam zwierzęcą ulgę na rozróby w barze
zaświadczenie z poradni i pięć procent
rabatu
przy rozliczaniu z życiowych dokonań
mam ból głowy
zdrzemnę się trochę poczuję się jak nowo
narodzony
wyrażę swe potrzeby w monosylabach
stawiał będę pierwsze niepewne kroki



NATALIA JULIA NOWAK

Najcnotliwsza w klasie

MOJA MYŚŁOZBRODNIA

Po raz pierwszy piszę felieton o osobie, której nazwiska nie mogę zdradzić. Gdybym to zrobiła, natychmiast rozległyby się szydercze śmiechy, okrzyki nienawiści i jęki rozczarowania. Nie da się ukryć, że obrona tego człowieka jest w Polsce źle widziana. Jeżeli ktoś nie naśmiewa się z tego kogoś i nie przejawia skrajnej niechęci do jego poglądów, zostaje uznany za godnego pogardy prostaka. Myślę, że osoby, które interesują się wydarzeniami w kraju, szybko odgadną, o kogo chodzi. Jednak dla bezpieczeństwa wołałabym go nazywać Sami-Wiecie-Kim. Przez ponad dwa lata napotykałam się w Internecie na teksty krytykujące bohatera felietonu. Artykuły poświęcone Sami-Wiecie-Komu miały wyłącznie negatywny wydźwięk, pod spodem łądowały złośliwe komentarze czytelników, które - choć prześmiewcze i nierzadko wulgarne - były tolerowane przez administrację. Widziałam nawet sporo stron mających na celu obrażanie Tego-Którego-Nazwiska-Nie-Wypada-

Ujawniać oraz jego potężnego medium. Oczywiście, nie podobało mi się, że jeden człowiek jest publicznie znieważany przez wiele osób. Uznałam jednak, że skoro miliony ludzi przypisują mu różne grzechy, to muszą mieć rację. Parę razy zdarzyło mi się nawet z niego pośmiać. Przecież tak robią wszyscy...

22 czerwca 2007 roku postanowiłam dokładnie przyjrzeć się jego działalności. No i popełniłam coś, co George Orwell nazwałby myślozbrodnią: przekonałam się do Sami-Wiecie-Kogo! Odkryłam, że jest on normalnym, inteligentnym duchownym, który nie strzela obelgami jak z kcm-u, tylko głosi Dobrą Nowinę. Jego katechezy nie budzą żadnych zastrzeżeń i mogę to potwierdzić jako osoba, która od pierwszej klasy szkoły podstawowej do końca gimnazjum miała szóstkę z religii. Nawet jeżeli wypowiada się na tematy polityczne, uzasadnia swoje zdanie ciekawymi, przemyślanymi argumentami. Podobnie jak ja, jest konserwatystą nie znosi wyuzdania i



mordowania nienarodzonych dzieci. Ma poczucie humoru i ostry języcek, który pozwala mu się bronić przed milionem przeciwników (podczas spotkania z słuchaczami poinformowano Sami-Wiecie-Kogo, że ktoś skrytykował go w programie Canal+. Bohater felietonu odpowiedział, że o tym, jaka jest ta stacja, świadczy pierwszy człon jej nazwy: „Kanał”).

Nie rozumiem zarzutów, według których Ten-Ktorego-Nazwiska-Nie-Wypada-Ujawniać jest antysemitą. W pewnej audycji nadawanej na żywo, powiedział przecież, że lubi Izrael i jego mieszkańców! Stwierdził też, że jeżeli Żydzi naprawdę rządzą polityką i gospodarką, to pewnie są sprytniejsi od Polaków. W związku z tym możemy ich podziwiać...

Sami-Wiecie-Kto jest niesłusznie oskarżany również o inne rzeczy. Kiedyś rozprzestrzeniono po świecie plotkę, według której duchowny posiada maybacha i łódź podwodną. I nie byłoby w tej historii może nic dziwnego, gdyby nie fakt, że zakonnik nawet nie wiedział, co to jest maybach! Dopiero potem poinformowano go, że to bardzo dobry samochód, który może kosztować nawet milion dolarów. Pewna kobieta z Wielkiej Brytanii postanowiła zrobić Sami-Wiecie-Komu niecodzienny prezent i wysłała mu miniaturowy model maybacha. Dopiero wtedy plotka stała się zgodna z prawdą.

Cała historia z maybachem przypomniła mi pewne wydarzenie z mojego życia. Kiedy miałam 13 lat, jakieś dziewczyny wymyśliły sobie, że „zakochałam się w Hajduku”. Oczywiście, połowa szkoły zaczęła mi dokuczać z tego powodu. Niemal bez przerwy słyszałam złośliwe okrzyki w stylu: „Patrzcie! Hajdukowa! Hajdukowa!”. Ta idiotyczna sytuacja doprowadziła mnie na skraj rozpacz, bo tak się składa, że ja do tej pory nie wiem, kim jest Hajduk! Nie znam go, nigdy go nie widziałam!...

W pierwszej klasie gimnazjum przekonałam się, co to znaczy być prześladowaną przez wiele osób. Odkryłam, co człowiek czuje, kiedy atakuje go grupa bezwzględnych oszczerców. Raz oskarżono mnie nawet o



📷 Tomasz Młynarczyk

coś, czego nie zrobiłam...

Nic więc dziwnego, iż potrafię zrozumieć wyśmiewanego Sami-Wiecie-Kogo. Odczuwam do niego pewną sympatię, chociaż nie popieram go we wszystkim. Może zakonnik nie jest ideałem, ale na pewno nie ma tak złego serca, jakie przypisują mu media. Jeżeli przez przypadek zdarza mu się kogoś obrazić, to nie waha się powiedzieć: „przepraszam”.

Ech, jeszcze rok temu nie przyszłoby mi na myśl, że mogę mieć coś wspólnego z tym znienawidzonym duchownym. Zaprzęczyłabym każdemu, kto stwierdziłby, że mogę stanąć po jego stronie. Ale teraz jestem starsza i o wiele mądrzejsza.





ADAM WIELOMSKI

OKIEM NEOWIEŚNIAKA

PRECZ Z BLOKIEM, CZYLI O WYSOKĄ KULTURĘ PICIA!

Jest pewnym stereotypem, że Polak = pijak, a szczególnie zapijaczony miałby być człowiek wsiowy, czym w sposób zdecydowany różnić by się miał od miastowego, a szczególnie od tzw. wykształciucha. Z mitem tym - oczywiście stworzonym w mieście i przez „wielkoblokowych” ideologów - musimy się dziś stanowczo rozprawić.

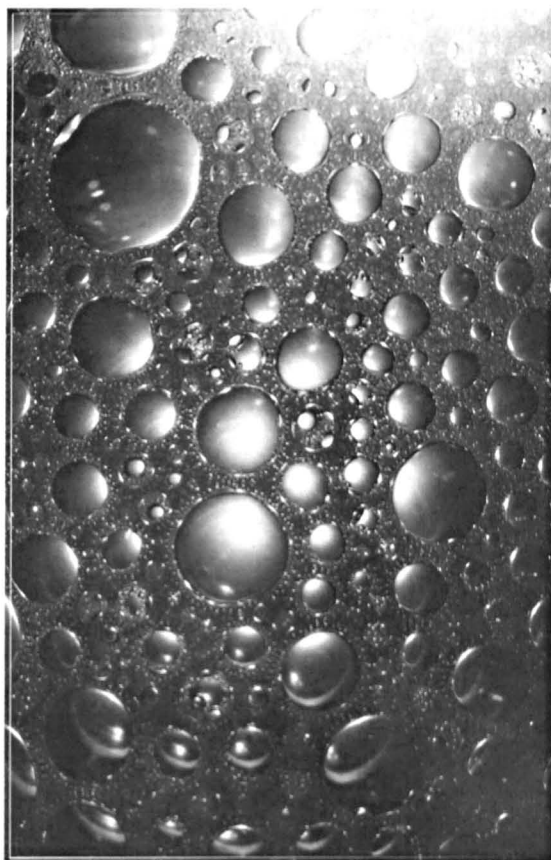
I

Po pierwsze, pijaństwo jest tak stare jak ludzkość. Wystarczy przypomnieć, że pierwszym cudem, który musiał sprawić Jezus, był ten z Kany Galilejskiej, polegający na przemianie wody w wino. Można by nawet mieć wątpliwości czy autorytet Zbawiciela nie został aby nadzarpięty poprzez zniżenie się do cudu produkcji wina. Ale, być może, cud ten nie był aż tak wielki. Wszak na pewnym poziomie upojenia ludzie piją wodę z kranu jako wódkę i nie mogą się nachwalić nad znakomitością trunku.

Po drugie, pijaństwo w jakiejś mierze jest częścią ludowej tradycji, szczególnie polskiej, starszylacheckiej. W znakomitej powieści tradycjonalistycznej Henryka Rzewuskiego *Listopad* jest taka piękna scena, gdy główny bohater - konfederat barski - jedzie przez pola i lasy i przyszło mu zanoć w polu. Następnego dnia budzi się rano zmarznięty, więc zaczyna sobie przyrządzać śniadanie na patelni (bodaj jajecznicę, jeśli mnie pamięć nie myli). Ale, że idzie to długo, a zimno jest niesamowicie, to „przyśpiesza” proces grzewczy własnego ciała. W tym celu wyciąga z kieszeni niezbędny dla ocieplenia ciała „rekwizyt” i (na czczo) opróżnia jego połowę. Henryk Rzewuski kwituje to stwierdzeniem, że oto jest prawdziwy, polski, tradycjonalistyczny szlachcic.

Ja też czuję się takim tradycjonalistą, chociaż nie wykonuję procesu grzewczego bez

towarzystwa przysłowiowego śledzika... Cud w Kanie i anegdota (moja ulubiona) z Rzewuskiego wskazują jednoznacznie, że spożycie alkoholu jest tak stare jak historia ludzkości i wynalezienie butelki, obok wynalazku koła, stanowi o przejściu człowieka z epoki prymitywnej do cywilizacji. Co więcej, wszyscy ci, którzy chcą przerożyć ludzi na abstynentów podejmują się projektu utopijnego. Picie alkoholu wynika bowiem z niezmiennej i uniwersalnej natury ludzkiej. Bojownicy abstynencji społecznej są w takim samym konflikcie z naturą ludzką jak Karol Marks i jego leninowscy uczniowie, którzy chcieli pozbawić człowieka własności prywatnej i „uspołecznili kobiety”. Wszelkie manifesty



Tomasz Młynarczyk

abstynenckie mają się tak do rzeczywistości jak *Manifest komunistyczny!*

Przyznam więc, że nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego partie katolickie w samorządach walczą zawzięcie o zmniejszenie liczby „punktów” sprzedaży alkoholu; dlaczego organizowane są katolickie akcje abstynenckie? Picie alkoholu jest słabością ludzką, a więc jest prostym skutkiem grzechu pierworodnego - czyli stanowi nieodłączny element natury ludzkiej. Ten, kto chce - w imię Boże - wypłenić pijaństwo, a pewnie i ogólnie „spożycie” jako takie, ten chce zmienić naturę ludzką; wyznaje więc lewicową i oświeceniową tezę o „plastyczności” natury człowieka. Tezę tę wyznawać można, ale trzeba pamiętać, że ociera się ona o teologiczny pelagianizm i angelizm, a więc stoi w sprzeczności z nauczaniem Kościoła. Jeśli mnie pamięć nie myli, to znani apokaliptyczni heretycy (Joachim z Fiore, Thomasso Campanella, Girolamo Savonarola) jako główny punkt swojego utopijnego projektu przemiany świata w wielki klasztor podawali likwidację alkoholu... Wara od naszej tradycji, o wstrętni HERETYCY!

II

Pijaństwo na wsi miało początkowo przyczyny chemiczne. Był taki czas, gdy ludzie

umieli już produkować piwo, ale nie umieli go konserwować. W wyniku tego produkowano nagle wielką masę szlachetnego złocistego napoju, który ulegał szybkiemu zepsuciu. Ze względów technologicznych i nakładu pracy nie opłacało się go produkować w drobnych ilościach. Dlatego też - aby uniknąć zmarnowania się tego niewątpliwego daru Bożego - zwoływano wszystkich sąsiadów ze wsi, a następnie z wiosek sąsiednich, aby posilili swoje wymęczone wodą żołądki. Sąsiedzi i mieszkańcy wiosek obok czuli się zobowiązani do zrewanżowania się za zaproszenie i urządzali podobne imprezy. To jest naturalne źródło nadużywania alkoholu. Dlatego też powstały karczmy prowadzone zresztą głównie przez (CENZURA - wiemy przez kogo, ale nie chcemy się narazić na zarzut antysemityzmu jak prymas Glemp swojego czasu), które zaczęły skupować nadmiar piwa od okolicznych chłopów i wprowadziły zwyczaj spożywania trunku w jednym i zawsze tym samym miejscu. Co ciekawe, to wiejskie pijaństwo stało się częścią tradycji do tego stopnia, że gdy wynaleziono metody konserwacji piwa, to np. królowie angielscy wydawali edykty zakazujące stosowania konserwantów, gdyż stanowiłoby to naruszenie wielowiekowej TRADYCJI.

Jeśli spojrzymy dziś na mapę pijaństwa w



Polsce, to na jej czoło wysuwają się nie tereny rolnicze, ale neorolnicze. My, ludzie wsiowi, pijemy, ale nie jesteśmy pijakami; jeśli nawet jakiś mieszcuch-wykształciuch spostonowałby nas imieniem „pijaka”, to na pewno nie jesteśmy alkoholikami. Pijemy, bo mamy ochotę, a nie dlatego, że cierpimy na „chorobę filipińską”. Zresztą casus Aleksandra Kwaśniewskiego pokazuje, że ten archetyp wykształciuchowski wzywający Ludwika Dorna i jego Sabę, nie jest sam wolny od nałogu.

Mapa pijaństwa w Polsce jest jednoznaczna: piją nie ludzie wsiowi, ale „neowsiowi” czyli ci z PGRów, czyli wieśniacy „wtórni”. Piją ci, których bolszewicka Rosja wygnała z ich domów na Wołyniu, spod Lwowa i Wilna, wykorzeniła z wielusetletniego miejsca bytowania, i których następnie komunistyczne państwo zesłało na tzw. ziemie odzyskane. Już pod koniec XIX wieku Maurice Barrès w swym znakomitym cyklu powieściowym *Wykorzenieni*

pokazywał, że wyrwani z wiejskiego klimatu ludzie popadają w najgorsze opaly i staczą się na samo dno hierarchii społecznej.

Przecież PGR nie jest wsią! Jeżdżąc często między Siedlcami a warszawką mijam taką „wieś” o nazwie Janów. No właśnie... wieś? Jest pole, rosną rośliny, drzewa, a pośrodku tego zielonego naturalnego krajo-brazu Mazowsza stoją dwa monstrualne bloki - dwie bluźniercze góry betonu pośrodku wiejskiego landszaftu. I tak wyglądają postkomunistyczne PGR-y: bloki na wsi; bloki na polach; bloki w lesie.

Georg W. F. Hegel sformułował teorię alienacji (wyobcowania, odczłowieczenia), rozwiniętą potem przez Marksa. Polegała ona na tym, że człowiek czuje się obco w świecie rzeczy, które przestały być dodatkiem do niego, jego częścią, stając się „nie-Ja”, czymś innym, obcym (stąd „wyobcowanie”). Rzeczy pierwotnie były przedłużeniem mnie, a teraz to ja stałem się dodatkiem do rzeczy (np. ręką obsługującą maszynę, na której pracuję po 10 godzin dziennie, gdyż głód zmusza mnie do pracy).

Mój dom jest częścią mnie, jest dodatkiem do mnie, przedłużeniem „ja” w świat nieożywionej materii. Mówiąc po heglowsku, użyczam tej rzeczy moją wolę i czynię ją częścią mojego świata. O bloku tego nie można powiedzieć. On *ex definitione* jest „nie-ja”. Jest własnością jakiejś bolszewickiej „spółdzielni” czy zarządu PGR. W związku z tym moje ja zostaje „rzuczone” (to już z Heideggera), pozostawione w „obcym” mi świecie i staje się dodatkiem do obcej mi rzeczy. Jestem niejako uwięziony w „nie-ja”, w dodatku w „nie-ja” z betonu.

Co mi zostało, gdy bezbożna cywilizacja wyobcowała mnie nawet z mojego własnego domu? Wódka, wódka i jeszcze raz wódka. Skasujcie bloki, a nie będzie alkoholików, będą tylko radośnie „spożywający” - tacy jak goście weselni w Kanie Galilejskiej i w podróży barskiego konfederaty z *Listopada* u Henryka Rzewuskiego.



Joanna Bukowska



WŁODZIMIERZ WYSOCKI

Wariacja na cygańskie tematy (Sen)

We śnie widzę ognia snop
aż chrypnę od wrzasku
jak Bóg da przeczekam to
lepiej jest o brzasku
No i rankiem znów nie tak
nie ma tej radości
znowu pijesz no bo kac
palisz no bo mdłości

Р. Да и-их раз, да ещё раз,
да ещё много, много,
много, много, много раз.
Да ещё раз...

W knajpie jest gościnny bar
piątek czy niedziela
dla kuglarzy to jest raj
dla mnie ciasna cela
W cerkwi smród, kadzideł dym
wznosi się do nieba
nie i cerkiew nie jest tym
nie jest tym co trzeba

I na górę uciec chcę
gdyby co nie wyszło
a na górze olchy pień
a pod górą wiśnia
Gdyby choć na zboczu bluszcz
wspiałbym się do nieba
byle co, no ale coś
nic nie jest jak trzeba

I po polach i w dół rzek
nigdzie nie ma Boga
między zbożem chabrow ścieg
i daleka droga
A po drodze las jak świat
z Babami Jagami
a na końcu czeka kat
z trzema toporami
Tam gdzieś konie skaczą w takt
dławi je wędzidło
po tej drodze wciąż nie tak
w końcu wszystko zbrzydło

Nic świętego - ani bar
ni cerkiew ni chata
Нет, ребята, всё не так,
всё не так, ребята

Przekład Aleksandra Świć, Adam Świć



MAX SKRZECZKOWSKI

Od ponad 10 lat stoję za barem. Nazwy miasta i lokalu nie wspomnę, abym nie został, posądzony, że tekst ten jest reklamą, bądź co gorsza - antyreklamą. W ciągu tych lat byłem świadkiem tysięcy sytuacji. Wiele z nich przeminęło bezpamiętnie (jak 368 odcinek kiepskiego sitcomu) inne pozostały.

Niepewność co będzie jutro

Pewnego razu przyszedł mężczyzna: około 45 lat z niewielkim, okrągłym brzuszkiem, zadbany. Usiadł w rogu. Przy kolejnym piwie zaproponował, abym się dosiadł. Zaskoczyło mnie, że był gotowy zapłacić za chwilę poświęconego czasu. Gdy usiadłem zaczął opowiadać o kierowniczych stanowiskach swoim i żony, o cichej rywalizacji, o braku czasu, olbrzymim napięciu, odpowiedzialności i gigantycznych pieniądzach; o rozstaniu, które nastąpiło kilka godzin wcześniej i o niepewności tego, co będzie jutro... zdjął obrączkę...

Tylko kasa

Innym razem wczesnym przedpołudniem przyszedł facet: niski, sportowa sylwetka, szybkie spojrzenie, skórzana kurtka, wiek trudny do określenia. Zamówił setkę. Gdy otwierał portfel zauważyłem wizytówkę ze znajomym logo. Usiadł przy barze, chcąc rozpocząć rozmowę, zapytał czy wiem, kim jest. Bez namysłu odpowiedziałem, że policjantem. Skinął głową i zaczął jakbyśmy kończyli wcześniejszą rozmowę. Mówił, że wiecznie powtarza się to samo, jak zabezpieczają ślady na miejscu zdarzenia, zawsze, gdy jest to samobójstwo, są naciski ze strony rodziny, aby zakwalifikować to jako morderstwo. Ubezpieczenia, odszkodowania, po prostu gruba kasa. Człowiek jeszcze ciepły a oni

BAROWE OPOWIEŚCI

tylko o kasie... O nic nie pytałem. Wypił, wyszedł, nigdy nie wrócił...

Uchodzące życie

Kiedyś w środku nocy pewien szczupły, starszy mężczyzna siedząc na krześle nie dawał znaku życia. Był siny, zmiotczały, zdawało się, że nie oddycha. Potrząsnąłem nim, aby go ocucić. Przeraziłem się jak bardzo jest bezwładny, jego głowa opadła, jakby nic jej nie trzymało. 999 nie odpowiadało. Pobieglem do nich co sił w nogach. Walilem w drzwi, dzwoniłem, nawoływałem. Wreszcie wyszedł zaspany lekarz, pytając ze zdziwieniem co się dzieje? Zanim się zebrał i podjechaliśmy, minęło dobre 10 minut... Na miejscu okazało się, że reanimacja, którą przeprowadził jeden z klientów, przywróciła uchodzące życie...

Nic poważnego

Mam kilku klientów, którzy choć się nie znają, zaliczani są przeze mnie do jednego klubu. Przyjeżdżają regularnie co kilka miesięcy, ale zawsze z innymi dziewczynami. Są mili, uśmiechnięci, trzymają je za ręce, stawiają kolorowe drinki, całują. Zawsze, gdy na nich patrzę, zastanawiam się, czy może ta próba się powiedzie. Niestety, nigdy się nie powodzi. Szansa na sukces jest odwrotnie proporcjonalna do ilości prób. Mam też pewną klientkę: wysoka blondynka o niebieskich oczach i orlim nosie. Ciągłe przyjeżdża z nowymi facetami... Pewnego razu, gdy na moment zostaliśmy sami, mrugnęła i szeptem dodała - to nic poważnego...

Odprowadziłem ją

Pewnego wieczoru przysłała stała klientka. Około 30-tki. Patrzyła jakoś dziwnie. Jej oczy także były inne niż zwykle. Wiedzia-

łem, że coś wisi w powietrzu. W końcu odczekała na odpowiedni moment i wtedy zaproponowała mi sex - bez zobowiązań. Gdy zacząłem się peszyć i jakoś tłumaczyć, że dziękuję, ona z rozanielonym uśmiechem nadal mnie przekonowała. Argumenty, że jestem młody i niedoświadczony jeszcze bardziej ją zachęcały do dalszego nalegania... Około północy odprowadziłem ją wzrokiem do drzwi...

Zginął od pierwszego strzału

Podczas barowej rozmowy poznałem żołnierza, strzelca wyborowego, twardziela z krwi i kości, niski, barczysty, umięśniony. Powaga i profesjonalizm wypisane na twarzy. Przeszedł niejedną ekstremalną selekcję, co utwierdziło go w przeświadczeniu, że jest urodzony, by służyć w armii. Dostał szansę wyjazdu na misję, tzn. do Iraku - na wojnę... Wyjechał... Kilka miesięcy później znów przyszedł, jednak to już był inny facet. Podczas jednego z patroli zostali zaatakowani, odpowiedzieli ogniem. Wszystko działo się strasznie szybko. Strzelali do nich z trzech stron, jak

w amerykańskim filmie. Jeden oberwał, natychmiast przenieśli go w bezpieczne, a właściwie mniej niebezpieczne, miejsce, gdyż na wojnie nie ma bezpiecznych miejsc. Nawet bazy są atakowane ogniem moździerzowym... Trzymał chłopaka za rękę. Mówił mu, że z tego wyjdzie, ten patrzył szklistymi oczami. Później okazało się, że gdy z nim rozmawiał, tamten już nie żył. Zginął od pierwszego strzału...

Każdy ma swoje priorytety

Kilka tygodni później poznałem innego dziarskiego żołnierza. Wysoki, muskularny, krótko ostrzyżony, z wyraźną szczęką i dużym białym uśmiechem. Gdyby wojsko potrzebowało modeli reklamujących swoją działalność, on byłby idealny. Na ten uśmiech musiał podrywać wiele dziewczyn. Okazało się, że ma jechać z polskim kontyngentem do Afganistanu. Zapytany o powód wyjazdu zaczął mówić o tym, że chce się sprawdzić w działaniu i liczy się z tym, że będzie musiał strzelać do ludzi, bo na tym przecież polega wojna... A tak w ogóle każdy ma swoje priorytety...



Widziałem go

Z rana do baru pewnym krokiem wchodzi dwóch mężczyzn. Wyjmują legitymacje i zupełnie zniechceni pokazują zdjęcie - twarz brodatego mężczyzny, miał zamknięte oczy, na jego nosie siedziały muchy. Pytali czy go widziałem. Przyjrzałem się uważnie, a że mam pamięć wzrokowca, byłem przeświadczony, że nie miałem z nim nigdy do czynienia. Ponoć został znaleziony w pobliskim lesie zaszytym letowany. Dwa dni później, kilkaset kilometrów dalej, na dworcu PKP widziałem jego twarz, uśmiechniętą, patrzącą na mnie z plakatu z napisem "poszukiwany". Zdjąłem plakat i poszedłem na najbliższy komisariat. Pokazałem go dyżurnemu, powiedziałem, że ten człowiek nie żyje. Ze zdziwieniem zapytał skąd wiem, dodałem,

że go widziałem...

Potem mówili

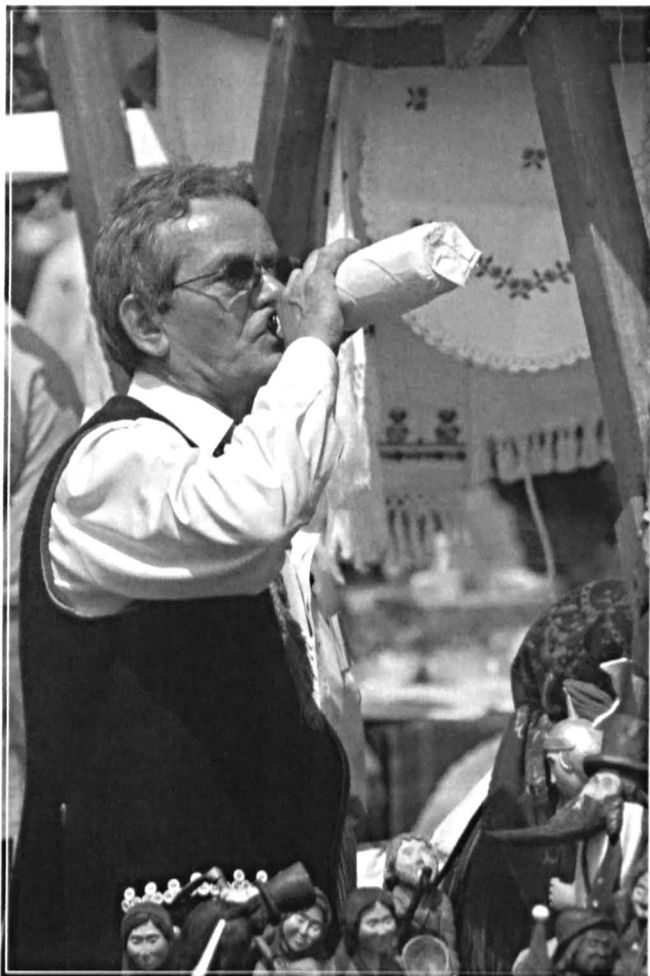
Pewnego razu zobaczyłem przez okno, że przed lokalem jest jakaś szarpanina. Znamy osiłek bił jakichś dwóch przyjezdnych. W pewnym momencie jednego z nich podniósł za ubranie do góry i rzucił. Chłopak leciał jak w *Matrixie* - jak gdyby w zwolnionym tempie. Gdy upadał, najpierw uderzył głową o próg, potem opadła reszta ciała. Pod stopami poczułem tąpnięcie i przeszywający dźwięk, którego nie potrafiłem do niczego porównać. Nie wstał, po progu pociekł czerwony strumyk... Dość szybko przyjechała erka, delikatnie przeniesli go na nosze. Odjechali na sygnale. Zmyłem krew. Pomodliłem się. Potem mówili, że miał pękniętą podstawę czaszki i że zmarł następnego dnia... Ktoś inny mówił, że ponoć uciekł ze szpitala...

Jestem w niebezpieczeństwie

Wczesnym rankiem do baru wbiegł młody chłopak. Szczupły, z rozczochranymi włosami, w oczach miał przerażenie. Mówił, że zaraz tu przyjdą i że bym go ukrył. Dodał, że chcą go zabić. Natychmiast kazałem mu się wynosić. Pomyślałem, że jeśli rzeczywiście chcą go zabić to i ja jestem w niebezpieczeństwie...

Co my teraz zrobimy

Pewnej soboty, latem, zdrowo po północy sprzątałem lokal przed zamknięciem. W drzwiach baru była zamknięta krata, ale drzwi były otwarte. Siedziały jeszcze dwie, trzy parki, do drzwi podeszło kilka osób. Doczepili się do kraty prosząc, abym ich wpuścił lub chociaż sprzedał coś na wynos. Odmówiłem, byli totalnie pijani. Stojąc na zewnątrz zaczęli nawoływać: prosimy - uratujcie nas! Wypuście nas stąd! Zamknęli nas! Co my teraz zrobimy?...
Pozdrawiam z baru.



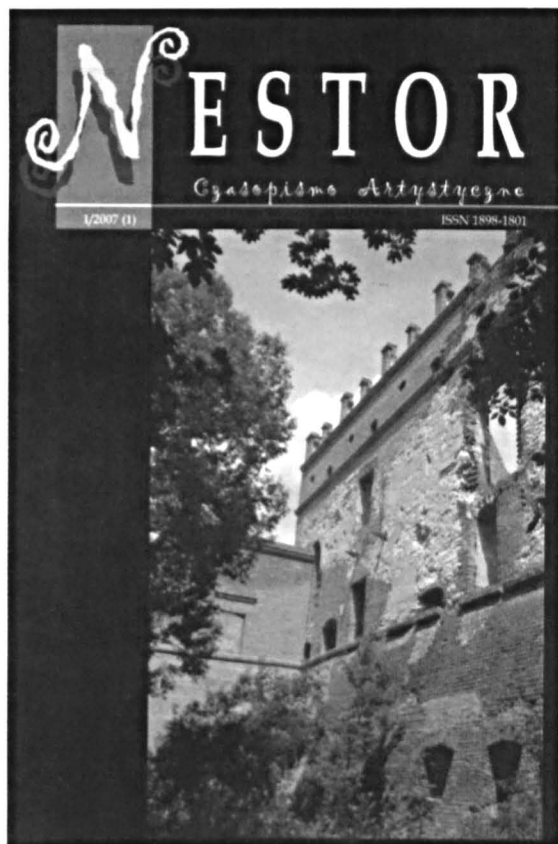
NA CENZUROWANYM



DARIUSZ MAGIER

KRASNYSTAW MÓWI

Krasnostwskie tradycje artystyczne są niepodważalne, wspomina o nich Andrzej Dawid Misiura w pierwszym numerze „Nestora”: Kłosowski, Bielski, Bojarczuk, Kamińska, Liskowacki - jest na czym budować. Kulturalne zaplecze Krasnogostawu znowu daje wyraz swojej sile. Jedynka „Nestora”, która ukazała się w 2007 roku, przynosi wspomnienie o dwojgu literatach wymienionych wyżej: Ryszardzie Liskowackim - poecie, pisarzu, dramaturgu oraz poetce Annie Kamińskiej, dużą dawkę poezji (Krystyna Konopa, Andrzej D. Misiura, Edward Rogalski, Monika Włodarczyk, Dariusz Włodarczyk, Justyna Szewczyk, Rajmund Schulz), a także eseje: o roli słońca w tradycji i literaturze (Alicja Wiech), o istocie poezji (Dariusz Włodarczyk) oraz wpływie mitu w otwieraniu się ludzi na sacrum na przykładzie Starego Testamentu i starożytnego Izraela. Całości dopełniają turystyczne reminiscencje z wędrówki z biegiem rzeki Wieprz od Obroczy do Szczepieszyna (Janusz Michalski), nutka jazzu (o Jazzklubie Tygmont w Warszawie), omówienie "32 Lata z Teatrem" w Zamościu, Nocy Muzeów w Warszawie, jubileuszu 250-lecia parafii w Fajslawicach, a także wystawy malarstwa małżeństwa Justyny Tkaczyk i Krzysztofa Wieliczko oraz Roberta Jaszaka w Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie.



NESTOR. Czasopismo Artystyczne.
Wydawca: Oficyna Wydawnicza „Elipsa” oraz Grupa Literacka A4
Redakcja: Mariusz Kargul, Tadeusz A. Kiciński, Andrzej D. Misiura (redaktor naczelny), Cezary Szymański, Dariusz Włodarczyk.



ADAM CZAJCZYK

żonkile wyginęły
 niedawno
 jeszcze nie pod zwałami śniegu
 choć zima biała
 szczypie
 mróz w policzki
 nos oczy kark egoizm

nie boli to co boli
 nie rzeczywistość
 tylko czego nie ma

żonkile wyginęły
 więc sam siebie
 nie rozumiem

ty
 bylektosiu
 nicniewartku
 ty
 znieumiały
 trwonicielu czasu
 ty
 właścicielu niskiej
 odpowiedzialności
 braku perspektyw

ty
 najszcześliwszy
 z ludzi

dom sobie zbudowałem
 urządziłem
 wstawiłem meble
 zprzeżrocyściłem okna
 i teraz widać całą
 ok-n-olicę

zdobynam wciąż obrazy
 rzeźby
 świeczniki metalowe różne
 szukania

nigdzie nie mogę
 znaleźć ciebie

teraz
 tylko we włosach
 więcej kurzu

i splątane
 no bo wieje

cała ty

MARIUSZ BOBER

RZECZPOSPOLITA KULTURALNA

Absolutnie nowy polski miesięcznik literacko-artystyczny. Na początku 2008 nakładem WYDAWNICTWA Br@ndBook London Publishing ukazała się „RzeczPospolita Kulturalna” - nowy polski miesięcznik literacko-artystyczny wydawany w Londynie. Jako że zostałem zaproszony do współpracy z pismem, już wkrótce będzie również dostępne w Radzynie Podlaskim.

„RzeczPospolita KULTURALNA” to pismo powstałe z myślą o Polakach mieszkających w kraju, jak również o Polakach przybywających poza jego granicami. Współtworzone jest przez zespół doświadczonych krytyków, pisarzy, poetów, artystów, dla których wysoka jakość tekstów i prezentowanych dzieł jest rzeczą najważniejszą. Pierwszy numer miesięcznika ukaże się w styczniu 2008 roku. „RzeczPospolita KULTURALNA” kolportowana jest na terenie Polski i poza granicami kraju, w polskich księgarniach, centrach kulturalnych i sklepach w Wielkiej Brytanii. Można go nabyć w Irlandii, wśród Polonii we Francji, w Niemczech, USA, Australii etc. Będzie ukazywać się co miesiąc i zawierać szczegółowy i różnorodny przegląd informacji kulturalnych dotyczących bieżących wydarzeń artystycznych w kraju i za granicą, profesjonalne eseje i felietony o tematyce literackiej, filozoficznej, teatralnej, jak również prezentacje sylwetek malarzy, fotografów, muzyków, a także szereg recenzji książek, przedstawień teatralnych, filmów i nowości muzycznych. Autorzy starają się dotrzeć do młodych, kreatywnych polskich artystów z kraju i zagranicy, współpracować z nimi.

Po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej w maju 2004 roku setki tysięcy młodych Polaków, głównie dobrze wykształconych, przybyło do Wielkiej Brytanii. Mimo że nie istnieją szczegółowe dane dotyczące ilości przebywających tam Polaków, szacuje się, że liczba ta przekroczyła 800 000. Ci młodzi ludzie szukają nie tylko prakty-



cznych informacji, ale coraz częściej wiadomości dotyczących wydarzeń kulturalnych w Wielkiej Brytanii. Sięgają też po pisma literacko-artystyczne, w większości przypadków wydawane po angielsku. „RzeczPospolita Kulturalna” wychodzi naprzeciw oczekiwaniom młodych, wykształconych Polaków. Jak wynika z badań rynku zapotrzebowanie na polskie książki jest ciągle duże. Jest również potrzeba kontaktu ze współczesną polską poezją, prozą, fotografią, malarstwem, teatrem i muzyką, tworzoną przez znanych, jak i dopiero debiutujących młodych polskich artystów z Polski i zza granicy. Na łamach „RzeczPospolitej Kulturalnej” będzie można o tym przeczytać.





ANNA NOGAJ

*Jesteś pewien, żeś mnie widział ?
Nie przyjdiesz i nie powiesz mi jutro,
żeś mnie nigdy nie widział ?*

Samuel Beckett „Czekając na Godota”

Monolog na dwa głosy

mówisz do mnie?
niemożliwe
a może...

to kawiarniane stoliki szepczą coś do siebie
o wczorajszych spojrzeniach zapachu magnolii
o tym że na dworze deszcz wieczny buntownik
małuje srebrzyście niespokojne okna

a może to demiurg puka palcem w ciszę
a z ziemi powstają słowa podeptane
na wielkich obcasach wspinają się w górę
na chwiejących nogach niczym wieża Babel

*mówisz do mnie?
niemożliwe
a może...*

słońce już rzuciło ostatnią garść złota

impresario! kurtyna!
pijmy za Godota

Współczesna scena

konwencja klaszcze,
widownia szaleje
wrzaski, oklaski, błazen się śmieje

na trzy wszyscy odwróć głowy
monsieur wcisną czapki, *madame* włożą woale
rzucą formułką, wepchną dwie dłonie do kieszeni

przystaję

jak zgrabnie odgrywają swoje role
nieważne czy patrzę w górę
czy jestem na dole
Filidor wciąż walczy z Antyfilidorem

ktos *podsztyty dzieckiem*
ucieka, ucieka

kurtyna opadła

zaczekam
na kolejną odsłonę

PAWEŁ ŻOCHOWSKI

WRÓŻYCZKA I BARD

Roku Pańskiego 2007 nakładem Radzyńskiego Towarzystwa Muzycznego im. Karola Lipińskiego w Radzynie Podlaskim ujrzała światło dzienne nowa płyta Jacka Musiatowicza pt. *Wróżyczka*. Wydawnictwo zawiera 11 utworów, które w pełni obrazują postać radzyńskiego barda, jego postrzeganie świata i wrażliwość.

Sam Jacek stoi między młotem a kowadłem.

Jego poezja to niby epitafium, a jednocześnie nasycona jest jakąś niepojętą nadzieją. Przy owej wizualizacji świata, czasem wręcz perfekcyjnej w swej wymowie, znajdujemy rzeczy świeże jak twórczość licealnego poety: „A tu patrz, niespodzianka od Janka / Taka przed-szkolna malowanka / A tu patrz, ponad szklanki żywiołem / Ktoś znowu toczy się kołem”. Nie brakuje również fragmentów humorystycznych: „A tu patrz, niespodzianka kolarska / Teściowa strzela z naparstka / A tu patrz, upojona żywiołem / Właściwa miłość pod stołem” (*Nie ma to jak wróżyczka*). Jednocześnie zauważyć można wielkie pragnienie miłości przeplatanej z motywem przebaczenia zmęczonego, starganego życiem człowieka. We *Wróżyczce z podaniem dłoni* słyszymy: „Dla ciebie mam / korale ciężkie z wszystkich łez / diamenty lodu, zawsze przy mnie też / Gdy budzę się, wiem że nie jestem na dnie / Więc podaj dłoń, zrób to za mnie / I nie bój się przy mnie być / Pulsuje skroń regularnie”.

Wróżyczka z opisem dla Ciebie: „Przywykłem już do kopania w kamieniach / A Anioł Stróż, czeka aż przyjmie mnie ziemia (...), Tak dla Ciebie naiwni mnie tną po kieszeniach / Kiedy właśnie układa się ziemia”; *Wróżyczka pełna spod róży*: „Wybrałem się z Tobą w podróż na krańce upadłej przestrzeni / Tam w środku ziemi / Nie ma obłoków i zieleni”; *Wróżyczka na sen*: „(...) jeszcze masz swój czas na sen / Jeszcze ziemia bezwładnie cię nosi (...)”. Motyw ten pojawia się niezwykle często i układa w swoiste igraszki ze śmiercią, mistyczne *danse macabre*. Szczególnie widać to w utworze *Nie ma to jak wróżyczka*: „Nie ma

to jak się upić / Jej uśmiechu grymasem / Swoje winy odkupić / Jak skończyć życie przed czasem?”

Dlaczego to wszystko cytuję? Pragnę jedynie przedstawić sposób, w jaki Jacek Musiatowicz w swym najnowszym wydawnictwie podążył drogą tzw. *straceńczości*, nie beznadziejnej, lecz oplecionej ufnością w lepsze jutro. W przypadku Musiatowicza ten sposób opisywania rzeczywistości nie jest nowością. Już na płycie koncertowej zarejestrowanej podczas Ogólnopolskich Spotkań z Piosenką Autorską „Oranżeria 1999” pt. *Parapet* (od razu zaznaczę, że płyta, pomimo nieprofesjonalnego wydania - wypalarka komputerowa - podoba mi się o wiele bardziej od *Wróżyczki*), w tytułowym utworze słyszymy: „Z parapetu jest do nieba tylko krok”. Oczywiście, jest to ujęte w sposób humorystyczny, ale załazek przejścia w późniejsze *smęciarskie* dokonania Jacka, był już wtedy zauważalny.

Jaka jest *Wróżyczka* pod względem muzyczno-technicznym? Ano, ciężko powiedzieć. Przyznam szczerze, że bardzo długo nie mogłem się do tej płyty przyzwyczaić. Słuchałem, słuchałem, słuchałem... Po pierwszej podróży w świat Musiatowicza nasunęła mi się tylko jedna myśl, co do której nawet dziś nie mam żadnych wątpliwości: na płycie, niestety, nie ma utworu, który mógłby ją bez żadnego zarzutu promować. Owszem, jest kilka numerów zgłaszających pretensje do tego miana (*Wróżyczka z Aniołem*, czy też *Nie ma to jak Wróżyczka*), lecz brakuje tu polotu, do jakiego przyzwyczaił nas Autor we wcześniejszym okresie swojej twórczości. Mam na myśli m.in. utwory z kasyety *Obraz niepokojący* oraz wspomnianego już *Parapetu*, jak np.: *Piosenkę dla Michalka*, *Krótkie zwierzenie o poezji w starym stylu*, *Droga*, *Plaszcz* czy *Przebudzenie* z muzyką Wojciecha Gila. Jest kilka powodów takiego stanu rzeczy. Pierwszym jest zapewne fakt, że większość nagrań była "robiona" pod dyktando klawiszy, skądinąd znanego, Bartłomieja Abramowicza.

Wygląda na to, że partie fortepianu nagrano jeszcze przed wejściem pozostałych muzyków do studia. Jednak dominacja klawiszy, pomimo wyraźnego zaangażowania Abramowicza, przytłacza całość. Drugi powód to wymiana całego składu muzyków akompaniujących autorowi. Na *Wróżyczce* nie usłyszymy już grającego na gitarze basowej Wojciecha Gila, Huberta Szwaia, którego gitara podkreślała każdą kompozycję Musiatowicza, oraz Mariana Kwasowca na perkusji, który zajął się innymi dziedzinami regionalnej kultury. Po trzecie, całą sekcję rytmiczną (od której powinno rozpoczynać się rejestrowanie utworów), zastąpiły tak zwane loopy z płyty pewnego muzycznego czasopisma. Niewątpliwie wpłynęło to niekorzystnie na całość. Po czwarte, brzmienie całości przytłacza "głuchota". Należy słuchać wyłącznie na słuchawkach z odciętym podbiciem basu. W niektórych momentach miałem problem ze zrozumieniem wokalu Jacka i spisaniem tekstów do owej recenzji (nie dołączono wkładki z wierszami, nie mówiąc o tomiku, co przy wydawnictwach z poezją śpiewaną jest praktycznie niezbędne). I wreszcie, po piąte, odczuwalna jest na każdym kroku kilkuletnia nieobecność Jacka Musiatowicza na rynku muzycznym (zakładając, że w ogóle na nim zaistniał). Artysta wydający regularnie albumy prezentuje słuchaczowi swój rozwój muzyczny i coraz bardziej profesjonalne podejście do nagrań. Autor *Wróżyczki* swoją nieobecnością pozbawił nas szansy podróżowania jego drogą dążenia do doskonałości.

Po tych uwagach, abym nie został zlincowany przez poetyckie bojówki zwolenników barda, nadszedł czas na wymienienie kilku pozytywów, które, oczywiście, płyta *Wróżyczka* zawiera. Longplay jest na pewno odzwierciedleniem aktywności radzyńskiej legendy, jaką Musiatowicz niewątpliwie stanowi. Jego twórczość to przykład Bożej iskry, która od czasu do czasu błysnie swoim światłem, podczas gdy inni artyści jego pokroju dawno już zdezerterowali. Po drugie, gdzieś za zagłuszającym i odbierającym swobodę rytmiczną fortepianem pięknie

gra gitara Marcina Zylika. Nadało to płycie jazzowego zacięcia i przy serwowanej melancholii całość nabrała wyraźnego kontrastu. Po trzecie, „winę” za ciekawy posmak bluesowy ponosi Tomasz Spodyniuk. Jego mistrzowskie partie na harmonijce, m.in. we *Wróżyczce z wróbelkiem*, *Wróżyczce o niebieskim czajniku* oraz *Wróżyczce z podaniem dłoni*, idealnie wtopiły się w całość. Przyznam szczerze, że utwory nie obarczone tym Spodkowym „jarzmem”, brzmią niezwykle sucho. Wydawać by się mogło, że większość kompozycji Musiatowicza potrzebuje podobnego „wspomagacza”. Na płycie z 1999 roku taką rolę spełniał Zbigniew Czuryło grający na akordeonie. Toteż obecne posunięcie Autora z partiami harmonijki jest niezwykle słuszne. Dlatego, brawo, Jacku, „Na raz, na dwa, na trzy, / Taki klask na pewno pomoże”. Każda próba wzbogacenia radzyńskiego dorobku kulturalnego, tworzy nową rzeczywistość, która de facto nigdy nie pozostaje bez echa. A osoba Musiatowicza, jako radzyńskiego barda, na stałe już zagościła w świadomości tubylczych słuchaczy.

A zatem na pytanie czy warto sięgnąć po *Wróżyczkę*, radzę - patrz wyżej...



Jacek Musiatowicz, *Wróżyczka*, Radzyńskie Towarzystwo Muzyczne im. Karola Lipińskiego, Radzyń Podlaski 2007.

DARIUSZ MAGIER

KOŃCZY SIĘ COŚ...

...pomyślałem nostalgicznie czytając najnowszy, drugi już tomik poetycki Agnieszki Hałas. Tytuł (*Ostatni z żyjących*) oraz intrygująca okładka (negatywowy obraz ruin), skusiły mnie do sięgnięcia po wydawnictwo i nie żałuję... ale po kolei.

Wydany przez Norbertinum (Lublin 2006)

tomik to ponad pół setki przejmujących, a jednocześnie mądrych (co nie zawsze idzie ze sobą w parze) wierszy osadzonych w klimacie dni ostatnich. Klasyczny świat umiera (okładkowe ruiny), klasyczny człowiek odchodzi, kończy się coś... Wiemy, że gdzieś tam, w tle rozgrywa się bezpardonowy szturm *nowego* humanoida, ale zamieszanie z tym związane nie przenika do świata, w którym żyje „ostatni z żyjących”. Owszem, zdaje sobie sprawę, że kończy się coś, że jego świat odchodzi, ale też mniej obchodzi go to niż kontemplacja kwiatów, pór roku, nastrojów. Oto przejmująca esencja poezji Agnieszki Hałas, która podążając tropami wielkich jako kolejny „barbarzyńca w ogrodzie” cywilizacyjnej spuścizny (studia doktoranckie w Heidelbergu) nabiera szlif mędrców kultury zachodniej. Owszem, cywilizacja ginie, jesteśmy ostatnimi jej przedstawicielami, czasem może nieświadomymi (czy nie czyni z nas to żalosnych trefnisiów?), ale cóż z tego. Oto kustosz dawnej wielkości, który:

„będzie wędrował przez puste komnaty
będzie zdmuchiwał kurz z pożółkłych ksiąg
dotykał zblakłych wstążek milczących zegarów
i odmówi na gruzach swoją ostatnią modlitwę
a gdy po ostatnim martwym dniu nastanie
ostatni zmierzch
ostatni z żyjących zdejmie maskę
by ukazać światu
gładką twarz blazna”.

(*Ostatni z żyjących*)

Bardzo podoba mi się ta alegoria współczesności. Czytałem tomik podczas mroźnej kulminacji adwentu i poezja Agnieszki wydała mi się XXI-wiecznym

głosem wołającego na puszczy kulturowej:
„więc póki możesz zmyj z siebie brud
czerń z siebie zmyj nawróć się na prawdziwą
wiarę
i stań się solą tej ziemi”.

(*Sól*)

Poetka nie kreuje, raczej opowiada historie, które dzieją się obok niej, a ona zapisuje je na gorąco w formie drobnych impresji, których głównym bohaterem jest człowiek zanurzony w czasie, w sztuce, w życiu.

Wiersze Agnieszki, tak chciałoby się powiedzieć ogólnocywilizacyjne, są przecież bardzo kobiece w ten cudowny, ciepły i tchnący wrażliwością sposób. Nie uciekają też od problematyki płci, jak choćby analiza kobiety współczesnej w wierszu *Studium puellae*, czy piękny ewo-maryjny motyw w wierszu *Kwiaty*: wizja ziemi-ogrodu od posadzenia róż aż po ból i pustkę ich ścięcia, w którym nawet wówczas pozostaje najpiękniejszy z kwiatów - Ona: „martwe ogrody pod przeklętym niebem w pyłe zostały ślady jej stóp w powietrzu trwa ciężka woń Edenu Ogrójca i Golgoty”.

W atmosferze uniwersum, w którym porusza się podmiot liryczny, wisi nostalgia za czasami świata niedokonanego, z pełnią ludzkiej inicjatywy, tęsknota za młodym światem - surowym i niosącym ciężki żywot, ale również dziewiczym i pełnym bohaterów:

„nie każ mi wypełniać konturów
niedokończonego obrazu
kolorami świata
już wolę kryć się wiecznie w kreskach szkicu
a nocą lśnić mistycznym blaskiem Silmarili”.

(*Niedokończony obraz*)

Wspomina piękno (*Początek lata*) i maluje impresje chwil dawnych, wskazuje na różnorodność jako pełnię człowieczeństwa (*Dwoistość*).

W tomie *Ostatni z żyjących* znalazło się też miejsce dla rozpaczliwej modlitwy do Anioła Stróża. Posłaniec Boży ma zadanie z pozoru anachroniczne: chronić ludzkość, tę „garść popiołu pod pustynnym słońcem” niewartą niczego, ale utwór stanowi w gruncie rzeczy przeraźliwy krzyk prośby o dalszą Bożą ingerencję, o pozostawienie niebiańskiej iskry w ludzkim życiu na wygnaniu, o trwanie (*Aniol Stróż*).

W czymże tkwi samozagłada, którą sami sobie zgotowaliśmy? To nie jakieś tam cierpienia fizyczne, globalne ocieplenie, bomba atomowa. Chodzi o samozagładę ideową. Oto człowiek sięgnął po iluzję:

„z naiwnym zapalem neofitów
klękaliśmy na piasku
by przyjąć komunie i doznać olśnienia”,

która przyniosła mu jednak tylko
rozczerwanie:
„znudzeni postanowiliśmy w końcu wrócić
i zastaliśmy zrujnowane miasto
pod naszą nieobecność zajęli je barbarzyńcy
teraz na gruzach pałaców walają się ich
kolorowe szmaty
zmięte opakowania zużyte strzykawki”
(*Księga nieudanego wyjścia*).

Również artyści zachłysłeni się nowomodnym
opakowaniem, w którym była pustka. W
tym czasie miejsce po nich zajęła kultura
barbarzyńców. Stąd wizje apokalipsy: tru-
jące deszcze, śmierć słońca i księżyca, ruina
domów, zamienianie się ziemi w jedno
wielkie nekropolis. Oto obraz końca ery:
„i ujrzymy w błyszczących jak lustra
nagrobkach
odbicie naszych spopielonych twarzy”.
(*Myszę o dniu*)

Najnowszy tomik Agnieszki Hałas to wędrówka przez to wszystko, co towarzyszy
człowiekowi, to ciągłe impresje (*Zamyślenie*,
Tajemnica), ludzkie pragnienia nie-
wiedzieć-czego (*Papierowy kwiat*), nicość
złudnych ucieczek, nicość fałszywych
proroków:

„upadasz na kolana
by ucałować stopy Lilith

.....
bezwładne palce
usta pełne popiołu”.
(*Magia*)

Pory roku, pory dnia, sytuacje, zaklęte w obra-

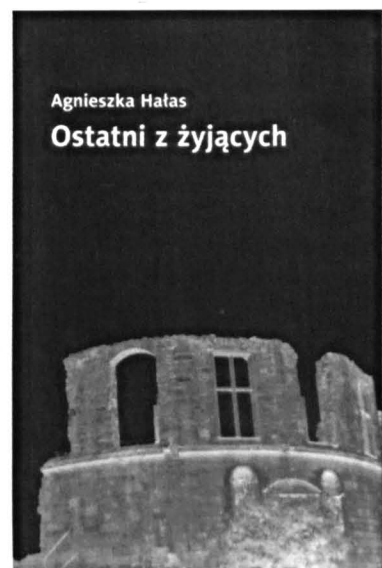
zy słowa, z których wyziera podziw dla
piękna Bożego stworzenia i zachwyt:

„wznoszę kielich
za kwitnące sady
rdzawe łąki we wrześniu
samotną kapliczkę przy drodze
za zimowe niebo
wawóz pełen zawilców
za księżyc i skały
trawę i śnieg
za Lothlorien i Tatry
za poezję
za muzykę
za magię
jabłka Avalonu i ciszę cmentarzy
za dłonie z popiołu i przyjaciół z powietrza
i za noc która nas pochłonie amen”.

(*Toast*)

Niby żyjemy jeszcze, ale coraz bliżej do chwili,
aż staniemy się błaznem z tytułowego
wiersza na końcu czasu, bo „zegarki
odmierzają bezustanny wpływ” (*Czas*).
Kończy się coś... ale my tu jesteśmy, do
końca człowiek pełen (wydawać by się
mogło) nikomu niepotrzebnych obrazów i
myśli, który jednak jest w stanie rzucić ku
niebu pewnie:
„wierzę że o świetle
znajdziesz mnie
na brzegu”.

(*Szklany brzeg*)



Agnieszka Hałas, *Ostatni z żyjących*,
Norbertinum, Lublin 2006, ss. 66.



ROBERT ŁUCZKA

Struna

Dziś będzie słoneczna pogoda
Rozwrzeszczały się gromady ptaków
Jakby się rozbił szklany klosz nieba
Na miliony ostrych kawałków.

Jestem, moralnie rozciągnięty
Od jamy ust do wylotu z siebie,
Skupiony zad nad pierdnięciem
Pomiędzy byłem a nie wiem.

Gdy nawilgłe północą serce
Nie zmieściło się w szyjce butelki,
Wypitej przyjemności posucha
W bagnie gnijącego brzucha.

A pragnienie śnić nie daje
Język w przełyku okoniem staje
Strasznie trzeźwiejąc ledwie dyszę,
Na strunie przytomności zwiślem.

Niech jeszcze kolejny ranek
Zaskowyczy jak zraniony pies,
Kiedy skóra podejdzie fioletem
Zapłoną liście jak zęby drzew.

Dzisiaj będzie przepiękna pogoda,
A mnie jest żal snów i uczuć szkoda;
Że słońce dla mnie także wstało,
Że się wstydliwie nie zawahało.

Bycza krew

(A Jacques Brel)

Czy pamiętasz Tom?, przy blasku świec
Siedzimy w namiocie w głuchą noc
A wino czerwone dojrzewa w kieliszkach
To nic, że były to kubki blaszane
A deszcz jesienny smutkiem okrył las,
Lecz namiot był pięknie okopany
I nie przemakał nam dach.

Nie pamiętam już naszych nocnych słów,
Lecz czułem, że to nie ostatni raz
Wino paruje nam z głów
Nie ostatni raz.

A tamten wieczór, pamiętasz?
Była nas wtedy wesoła gromada
I teatralne szpady topiliśmy we krwi,
W byczej krwi; a potem wialiśmy od glin
Choć śnieg i mróz, to my w koszulach;
Wyszliśmy przecież się przewietrzyć
Aż łaża się kręci od tych wspomnień.

Nie pamiętam już twych wesołych słów,
Lecz czułem, że to nie ostatni raz
Wino paruje nam z głów
Nie ostatni raz.

Tę noc jak wino czerwoną,
Gdy odchodziłeś od swojej żony
A zostawałem z nią ja
Tom!, pamiętasz rozstania sztylet?;
W pogardzie byliśmy silni i niezłomni
A ona płachta czerwona pomiędzy szpadą i
rogami;
A ona chciała nas pogodzić?!

Nie pamiętam już naszych gniewnych
słów,
Lecz czułem, że to już ostatni raz
Wino paruje nam z głów
Już ostatni raz.

Może w hotelach teraz dwóch,
Na przeciwległych półkulach snu,
Twój i mój niespokojny duch
Nad stołu krawędzią zgarbiony
Zastygł w kieliszku na dnie
W ostatniej kropli czerwonej,
Co w piasek areny wsiąknie.

Zapomniałem już słodycz tamtych ust,
Tylko byczej krwi czuję cierpki smak
I utopię w nim zawiniony mózg
Niech ostatni raz.

MARIUSZ BOBER

UŚMIECH I OGON MARCINA CZYŻA

Marcin Czyż, ur. 1977 r. w Tarnobrzegu.

Absolwent Filozofii UMCS. Debiutował w „Akcencie” (nr 4/2003), publikował także w almanachu „Zaulek poetów”. Współzałożyciel lubelskiej grupy literackiej „Nic wspólnego”. Dwukrotny zwycięzca Konkursu Jednego Wiersza podczas Koziołków Poetyckich. Wyróżniony w projekcie „Powieszone Wiersze” mającym swój finał podczas Festiwalu Port Wrocław 2006. Laureat drugiej nagrody XVI Konkursu Poetyckiego Młodych SPP w Lublinie. Doktorant EKPiUU w Lublinie, przygotowuje pracę na temat „Historia jako doświadczenie i historia jako nadzieja w pisarstwie Jurija Andruchowycza”. Tomik *Smoczy uśmiech i ogon* uhonorowany został przez Lubelski Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich I nagrodą w konkursie literackim „Na najlepszą książkę młodego autora” w roku 2007.

Kolejny raz skłaniam się do trudnej sztuki recenzji. To trudne. Tym bardziej, że Marcin Czyża jest laureatem nagrody Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Skoro jego pozycja została uznana za najlepszą książkę młodego autora w roku 2007, czy ja mam prawo oceniać coś, co już zostało uznane czymś najlepszym? Chwalić, chwalić, chwalić? Raczej nie należę do ludzi, którzy nie polemizują z szanownymi gremiami, wydającymi wyroki, co jest a co nie jest dobre. Otóż nie zamierzam uciekać od ocen krytycznych. Tomik nie przypadł mi do gustu. Trudno było mi w nim dotrzeć do przystani, gdzie mógłbym odpocząć.

Jednak spodobał mi się zaś tekst *Dobranoc w Lublinie „Pamięci Józefa Czechowicza”*, a szczególnie motyw stygnięcia czasu i herbaty. Innym, w którym odnajduję tęsknoty do nieobecnej kobiety, to *Jeanne*. Czytając pozostałe wiersze Marcina, oczywiście, można odnaleźć więcej poetyckich smaczków. Smaczki te są, choć poezja Marcina niekoniecznie jest kompatybilna z moim postrzeganiem i odczuwaniem poezji. Być może nagroda Stowarzyszenia ma swoje uzasadnienie.

Słowa recenzji nie powinny być głosem

wyroczeni, po którym czytelnik sięgnie lub nie po daną pozycję. Inteligentny czytelnik w każdej pozycji powinien odnaleźć choć jeden czy kilka elementów, które go zainspirują i rozwiną. Dla mnie oznacza to tyle, że można lepiej, mocniej, głębiej. A twórca? Cóż, twórca jest w nieustające wędrowce ku doskonałości. A do niej każdemu ciągle daleko.



Marcin Czyż, *Smoczy uśmiech i ogon*, Lublin 2007.



MARCIN DYDYNA

"SYTUACJE" Z. MARKA PIECHOCKIEGO

Tomik *Sytuacje* miałem okazję przeczytać jeszcze przed końcem 2007 roku.

Otworzyłem go z radością dziecka i już na wstępie zostałem przywitany utworem, którym autor zaprosił mnie do swojego świata: szczerego, żywego i przekonującego.

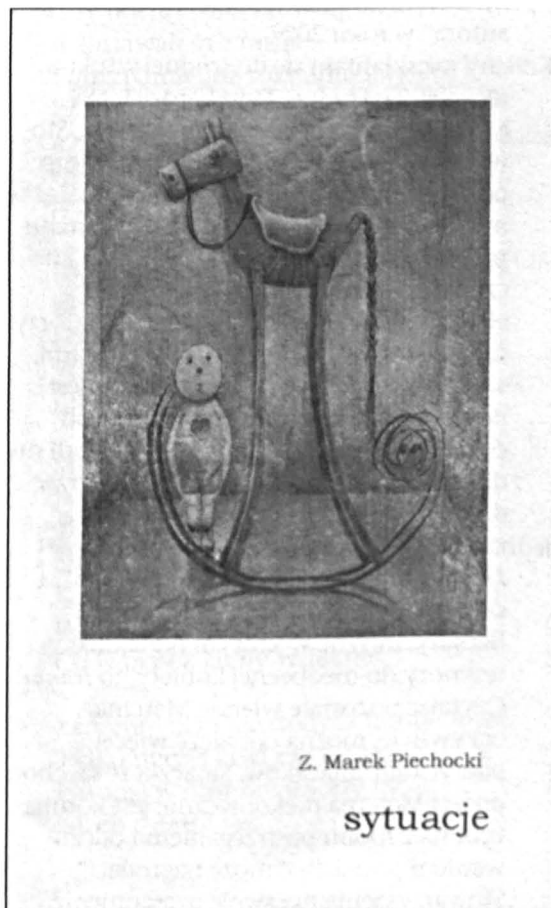
W kolejnych wierszach odnalazłem rozmowy z poezją, tęsknotę za samym sobą i miniatury opisujące ulotne chwile, zatrzymujące je i czyniące wiecznymi. Równie poruszające są wspomnienia, pożegnania z przyjaciółmi, a także krótkie utwory prozatorskie utrzymane w charakterystycznym stylu. Nie mogło też zabraknąć widoków Łośna i Gorzowa Wielkopolskiego - miejsc, w których autor żyje i tworzy. Utworom, jak zawsze w tle, towarzyszy Chopin, las i powiew wiatru, nadając obrazom świeżości.

Sytuacje to zbiór starannie dobranych wierszy.

Ważna jest tu wersyfikacja. Autor sygnalizuje każdą przerwę, zawahanie, oddech, dzięki czemu można „poczuć” wiersz i niejako próbować odgadnąć myśli i zamierzenia samego twórcy.

W tomiku, oprócz liryki, można podziwiać doskonale ilustracje Anny Cytowicz, przedstawiające indywidualne spojrzenie autorki i zmuszające do wglębenia się w najdrobniejsze szczegóły.

Tomik *Sytuacje* potwierdza tylko to, co wiem już od dawna. Marek Piechocki jest i pozostanie jednym z moich ulubionych poetów. Gorąco polecam ten zbiorek, bo wart jest tego, by do niego wracać, ciągle poznawać od nowa. Po prostu mieć.





ANNA BUCHALSKA

Najdalszy krok
Jest zawsze w głąb siebie

Latarnie
Idąc drogą wrzeszczą nadzieją
W mrok
Goniąc ludzi cieniem własnego
sumienia
Stoją na baczność wydają komendę
Dla serc Naprzód marsz
I z dumą czekają
Na blask źrenic powstałych z gruzu
Wtedy przygasną lecz tylko na
moment
Odetchną widokiem narodzonych
I głądzone naiwnością ciepłych dłoni
Karmić się będą obrazami
Artystów krzywej kreski
Aż znów ustawią do boju dusze
O wzniosły hymn o miłości

Motyl

Każdy chciałby być motylem
Każdy ale nie ja
Motyl potrafi jedynie
Wysoko wzbic się marzeniami
A ja potrafię
Marzeniami spełniać się

Obojętność

Patrzę wzrokiem okien
Domu
W którym mieszka głuchy dźwięk
Rozbitego sumienia
Patrzę
Lecz widzieć nie mogę
Krwawie łzami
Lecz one nie moje
Współczuciem stukają
Pusta melodia to moja odpowiedź
Kotara wisi
Obrazu dziś nie zasłonię
Cierpienie z nudów zasnęło

SYLWIA KANICKA

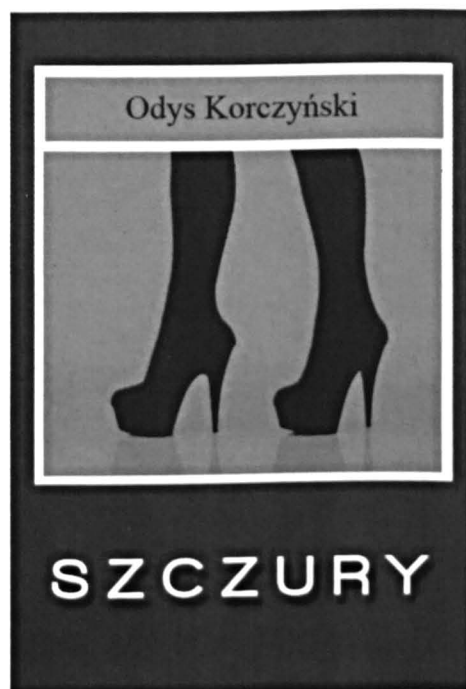
"SZCZURY" ODYSA KORCZYŃSKIEGO

*„Moje życie podobne lustru,
w którym żył przegląda się los:
każde prawo i każdy ustrój
w całopalny rzuca mnie stos.
Ty, poezjo, pierwsza wznieć iskrę
i na skrzydłach mnie nieś a nieś,
bo z popiołów wzleci Feniksem
buntownicza i gniewna pieśń”*

Władysław Broniewski „do poezji”

Zastanawiałam się długo, od jakich słów powinienam rozpocząć, gdyż to one znaczą najwięcej. Wybrałam ten fragment wiersza Broniewskiego, bo choć z innych czasów, choć o innej buntowniczej postawie, to jednak znakomicie obrazuje nastrój całego tomiku. Odys Korczyński w bardzo ciekawy sposób kreuje postawę swojego bohatera. Właściwie pierwsze, co przykuło moją uwagę, to tytuł tomu, a zarazem tytuł jednego z wierszy. Dlaczego "Szczury"? Wiadomo, że zwierzę to ma złą opinię wśród ludzi i uznane jest za towarzystwo diabelskich mocy. Jednak szczur to również bardzo inteligentne stworzenie. Kobieta - szczur: ile może pojawić się wątpliwości, ile skojarzeń. W chińskich wierzeniach w znaki zodiaku można przeczytać, że osoba spod tego właśnie jest obdarzona dużym urokiem osobistym, ale potrafi również zaatakować, jeśli taka sytuacja będzie nieunikniona. Czyżby więc autor postanowił założyć taką maskę kobiecie? Pod krótkim tytułem zawarło się wiele kontrowersyjnych informacji, a zarazem jest on przekazem myśli i może stać się cennym drogowskazem podczas czytania. Odys nie ma ustalonego schematu zapisywania, dlatego nie można przechodzić od utworu do utworu z tą samą nutą w myśli. Czytałam kolejne teksty kilka razy, aby móc wykorzystać zawarte w nich informacje do rozszyfrowania całości. Pojawiało się u mnie wiele sprzecznych emocji - tak jak w przypadku samego tytułu. Ta sprzeczność ma swoje plusy, bo z pozoru spokojny i opamnowany człowiek pokazuje obrazy, które aż krzyczą i się pienią - czy ze złości, czy z

powodu innych uczuć wyższych? Na to pytanie czytający powinien odpowiedzieć sobie sam. W każdym razie emocje towarzyszą każdemu zapisanemu słowu, które pojawia się odpowiednio ubrane, w odpowiednim miejscu. Dodatkowo autor pozwala, aby odbiorca miał wiele skojarzeń, zapisanych schematów, które będą ze sobą konkurowały, a zarazem staną się silnie powiązane. Można więc powiedzieć, że lektura nie jest łatwa, ale nie można zaprzeczyć temu, że jest ciekawa. Interesujące jest również to, że całość nie obejmuje tylko wierszy. Pojawienie się opisów, czy dłuższego opowiadania, pozwoliło na większe zobrazowanie świata uczuć, przemyśleń i postaw bohatera.



Odys Korczyński, Szczury, Świdnik 2007

MARIUSZ KARGUL

POSIEDZIEĆ CHOĆ TROCHĘ W DZIKIM KĄCIE. KSIĄŻKA O TYM CO BYŁO A MOŻE I NIE.

Piotr Śliwiński jest młodym, zdolnym pisarzem z Krakowa. Debiutował w 2007 roku powieścią *Dziki Kąt* opublikowaną przez Wydawnictwo Czarne z Wołowca. Lektura tej frapującej pozycji przypomina niczym nieskrępowane wyprawy w najodleglejsze zakamarki wspomnień zbyt rychle minionej młodości.

Autor przyszedł na świat w 1973 roku. Jest rodowitym krakowianinem, a z wykształcenia polonistą (studia na Uniwersytecie Jagiellońskim). Publikuje teksty o historii Kościoła i Krakowa w „Tygodniku Salwatorskim”. Obecnie pracuje w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie. Żonaty, córka Hania. Tak pokrótce przedstawia się notka biograficzna pisarza.

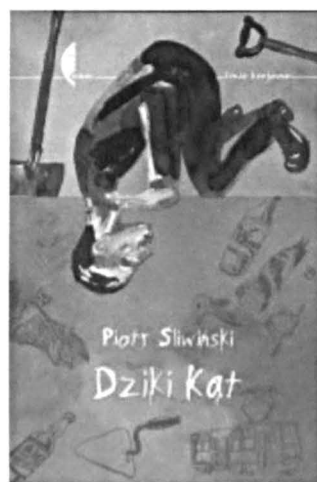
Dzięki powieści (pisanej w Krakowie w latach 1998-2000) wkraczamy jednak w świat, który należy już tylko i wyłącznie do domeny autora, a którym to zechciał się z nami podzielić. Według jego własnych słów, na kartach powieści przewijają się „Kraków dzieciństwa i młodości. Kraków, którego nie ma, który nie wróci. Dotyk niedotykalnego. Dziki Kąt to ziemski raj posadzony nad brzegami Wisły i Rudawy”. To takie trochę osvajanie Galicji „dla wszystkich”.

W celny sposób istotę *Dzkiego Kąta* ujęła również Agnieszka Wolny-Hamkało, pisząc w jednej z recenzji, że najbardziej charakterystyczną i mocną stroną tej powieści jest jej język - mieszanina gwary, archaizmów i osobistych kodów komunikacyjnych bohaterów. Autorce przypomina się kwestia wypowiedziana w jednym z westernów przez Clintę Eastwooda: „Użyj czasem tego słowa, żeby nie zaginęło”. A Piotr Śliwiński „używa takich słów z rozmachem i nie są to w kółko eksploatowane szałgiery, tylko cała plejada świetnych, z babciniego strychu wyjętych słów” - konkluduje A. Wolny-Hamkało.

Nie ma co ukrywać, język narracji jest jędrny i

soczysty, tak jak niemal fizycznie namacalna staje się miejscami droga życia, którą obierają sobie bohaterowie książki. Niech nikogo nie zmyli pełna stoickiego spokoju twarz autora wyzierająca z okładki, czy też okoliczność zainteresowania sprawami przeszłości i życia Kościoła. Kiedy trzeba i tam gdzie trzeba Śliwiński nie boi się użyć sformułowań zazwyczaj nie padających na lekcjach religii bądź w sporach teologów.

Ale taki właśnie jest „realny” horyzont zdarzeń akcji powieściowej. Kiedy jeden z bohaterów dostaje „kosą” w brzuch, bo zakręcił się za pewną „brzaną”, nikt nie wygłasza tyrad o jego zejściu czy nie szuka przyczyn tragedii „w smutnych życia kolejach”. O całym zejściu mowa jest w rozdziale pt. „Knifehattan”. To tylko mała próbka zdolności językowych pisarza. W powieści co krok natrafiamy na sformułowania nie zezwalające na byle jakie kartkowanie kolejnych jej stron. Jest też coś w sam raz dla literaturoznawców: „Z pocałowaniem klamki: Musil nadał właściwość, Proust odnalazł czas, Szekspir podaje litr pryty w czaszce Yoricka” a „Kafka w Zamku błyskawicznym spodni Levis 501”.



Piotr Śliwiński, *Dziki Kąt*, Wyd. Czarne, Wołowiec 2007, ss. 297.



ZBIGNIEW DMITROCA

Chromeo i Żulia

*Lumpeninteligencka balladka
z elementami żargonu
makaronicznego*

Nie wyśpiewywał mi serenad
Jak słynny praszczur, vel antenat,
Przychodził sztywny na wpół denat
W asyście rozmamłanych menad.

Się nie odwdzięczał za mecenat
Trwalszy niż mury Troj i Grenad,
Na trzeźwo senny był jak senat
I ziewał bez najmniejszych żenad.

Ja byłam jego Lar i Penat,
Milczałam, choć mi doniósł enat,
Że ma fałszywy indygenat
I degustuje biusty Renat.

Aż raz mu grzecznie rzekłam: Chroman,
Tyś eksportowy erotoman,
Dla ciebie istny raj to Oman,
Kraj pełen hurys i otoman.

Ja nie należę do tych maleństw
Skorych do wyuzdanych szaleństw,
Dlatego, Chromuś, nigdy więcej
Nie skalasz mojej czci dziewczęcej.

Ballada agenturalna

Po wypiciu trzystu gram
Facet był już niegramotny,
Wyszedł z niego zwykły cham
I gwałcieł wielokrotny.

Łotr posturę miał jak tur
I na gwałt okrutną chętkę,
Ale trafił głową w mur,
Bo natrafił na agentkę.

Facet wpadł w pijacki trans,
Był jak buhaj rozjuszony,
Ale nie miał żadnych szans,
Przez agentkę usadzony.

Bo agenci, proszę pań,
Są opoką społeczeństwa,
Dzięki nim największy drań
Płacić ma za bezceństwo.

Już nie będzie psuł nam krwi
Żaden męski ciemiężyciel,
Bo w obronie naszej czci
Zawsze stanie tajny mściciel.

By ochronić nas przed złem,
Musi deptać nam po piętach,
Toteż modląc się przed snem,
Zmów zdrowaśkę za agenta!...

BEATA T. MAGIER

UCHYLONE DRZWI

Już pierwszy rzut oka na opowiadania Ewy Klajman-Gomolińskiej ze zbioru *Pędzące noce w wagonach*, wyraźnie wskazywał, że nie będę miała do czynienia z typowymi formami tego gatunku, a raczej narracją pełną poetycznych refleksji. Autorka zaprasza czytelnika w podróż do wykreowanej przez siebie krainy, balansującej między jawą a snem, która „przestrzenia się” w przeszłości, teraźniejszości, a nawet i przyszłości. Uchyła drzwi ukrywające większe i mniejsze tajemnice ludzkiej egzystencji i duchowości. Piszę „uchyla”, bo swoje przemyślenia skrywa za woalem ozdobionym symbolami i mnóstwem pytań, głębokich i ważnych ontologicznie, nad którymi warto zatrzymać się w pędzącej niby pociąg codzienności i poszukać odpowiedzi.

„Żyjesz tylko wtedy, gdy patrząc na drzewo widzisz jego twarz naturalną ze zmarszczkami i kurzymi łapkami, postrzegasz jego duszę. Jeżeli w drzewie widzisz tylko i wyłącznie drzewo, to nie żyjesz, ale trwasz. Czasami trwanie trwa latami i kończy się zgonem twoim w trwaniu na życie” twierdzi. Kimże, według autorki, jesteśmy? „Ludzie żarówki w przestrzeni? Słabe światła samolubnych iskrzeń.

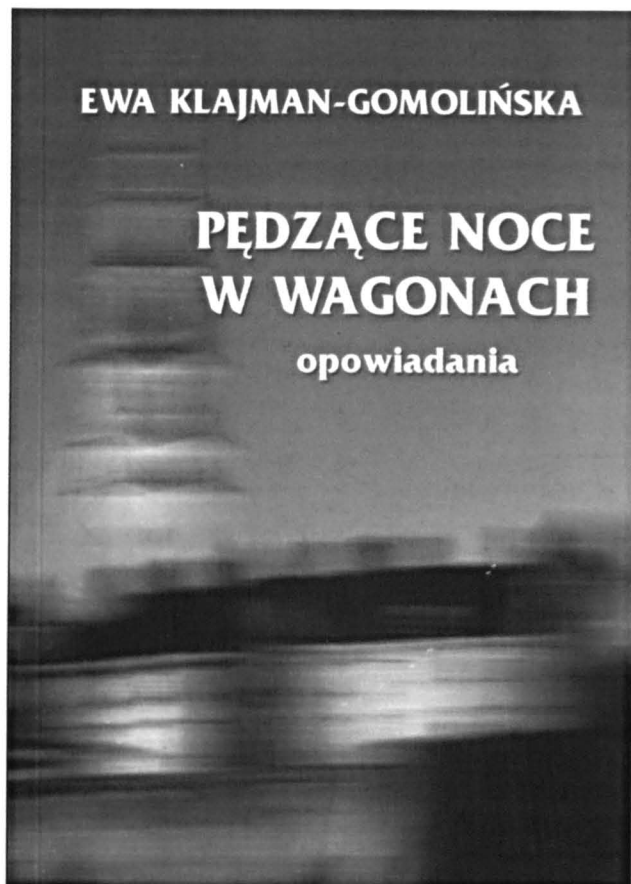
Egocentryczne oświetlenie rozmazanych rąk wyciągniętych po chleb, by nie odpaść z haka wbitego w sufit chmur, choć nie widać obłoków, bo ludzie muszą myśleć, że mają dach nad głową”. Tęsknimy za wolnością, ale jednocześnie jej się boimy. To ona jest prawdziwym życiem, którego tak naprawdę się lękamy: „A ja się boję wejść do morza, tak jak do życia” - pisze Klajman-Gomolińska o każdym z nas. Egzaltujemy się egzystencją w brukowym wydaniu „podgrzewaniem uśmiechów losów na co dzień i od święta”. Pozwalamy, aby otoczył nas sztuczny świat podsluchujących sąsiadek, nieszczerých ludzi, atakujących dźwięków, pozornych wartości, pochodzących z „lewego przemytu duszy”. Ten stworzony przez nas

świat, pełen absurdów i hałasliwości, powoduje, że czujemy się w nim jeszcze bardziej samotni: „Żeglarz nie musi być samotnikiem. Samotność często mieszka w schroniskach i przytułkach, w miejscach niesamotnych”. Potrzebujemy duchowych przeżyć, ale, co szczególnie boli autorkę, szukamy ich nie tam, gdzie one naprawdę są. Irytuje się: „Nie można porównać upadku duszy do upadku muru berlińskiego”. Dusza ludzka stała się zaniedbana, niczym gołębie serce „przybite do ściany brudnej i porośniętej porostem biedy i zaniedbania”. Walka ducha z materią ciągle trwa, ale mało kto to jeszcze zauważa, chociaż to właśnie materia przemija, a ślady ducha pozostają na wieki. Jesteśmy niby starzec zamknięty na strychu, który „broczy krwią, ale nie ma w

EWA KLAJMAN-GOMOLIŃSKA

PĘDZĄCE NOCE
W WAGONACH

opowiadania



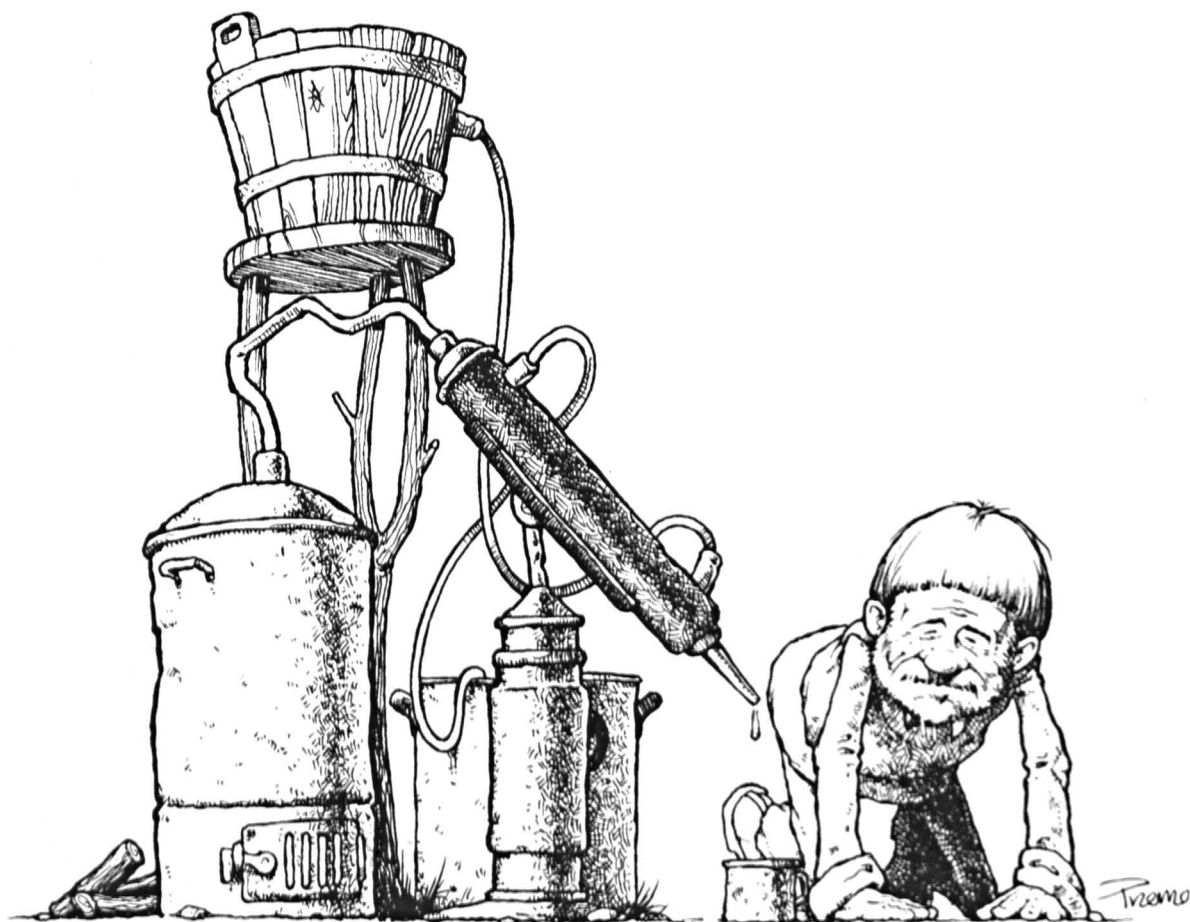
nim życia", który pamięta o duszy, ale nie ma już siły, żeby walczyć. Nie zapobiega temu stanowi rzeczy szkoła, która „edukuje proste i nieskomplikowane maszyny do regenerowania szmelcu i złomu”. Nadzieja jednak pozostaje w młodości i dziecięcej wrażliwości. Tylko ona jest w stanie zauważyć toczącą się bezustannie walkę i podjąć ją.

Ewa Klajman-Gomolińska pozwalając nam zajrzeć do świata swojej pełnej poezji duszy sprawia początkowo wrażenie, że w jej zbiorze znalazły się przypadkowe obrazki, niby widziane z okna pędzącego tytułowego wagonu, niby fragmenty snów. Zagłębiając się jednak dalej, widać, że tworzą one świetnie przemyślaną całość, wyrażającą pragnienie prawdziwego życia, wolności, twórczości. Początkowe wrażenie chaosu, przy jednocześnie krótkich

formach, jest niczym wołanie do czytelnika, aby zatrzymał się na chwilę i zmusił się do refleksji. Mam wrażenie, że autorka widzi świat w wyjątkowy sposób, a fakt, że czuje się w tym odosobniona, budzi jej zdziwienie.

Czym dłużej podąża się za zapisanymi przez Klajman-Gomolińską myślami, tym więcej zauważa się głębokich prawd ukrytych w jej słowach. Pozwalam sobie zanotować tu chociaż część wrażeń z tego spotkania - resztę zostawiając innym. Nie chcę być samolubna.

Ewa Klajman-Gomolińska, *Pędzące noce w wagonach*, Bydgoszcz 2007.







ARTUR GÓRSKI

POWRÓT MORALNOŚCI ESTETYCZNEJ

Żyjemy w czasie wielkich bankructw idei, które niedawno poruszały umysły, wywoływały *Jesień Ludów**, były natchnieniem poetów. W miarę rozczarowań do życia społecznego i jego typowego produktu, tj. do współczesnego filistra, rwały się więzy między jednostką a tymże społeczeństwem, wzrastała niechęć i protest przeciw tym wszystkim objawom duchowym, jakie w tym gminowładzie zmaterializowanego „obywatela” znajdowały swe źródło. Umysły wrażliwsze i głębsze, straciwszy szacunek dla filistra i sympatie do ruchów społecznych, poczęły wycofywać się z życia i szukać innych, trwalszych jego wartości. Zwrócono się do ludzkiej duszy oderwanej, poczęto cenić indywiduum jako takie, jako osobny, w sobie zamknięty świat i swoim najwyższym prawom podległy. Odkryto się w nowszej literaturze współczesnej jakby nowe odkrycie duszy; spostrzeżono, że poza zewnętrznym jej życiem istnieją całe głębie nie objęte światem dziennym, całe tłumy uczuć i przeczuć, które nigdy w gwarze życia nie przychodzą do głosu.

I tak nastąpił szybko gruntowny „przewrót wartości”. Na miejsce masy stanęła indywidualność jako najwyższa wartość i godność na ziemi, na miejsce etyki społecznej etyka duszy, moralność estetyczna. Rozpoczęła się równocześnie reakcja przeciw materializmowi i naturalizmowi w literaturze, która w tej formie swojej zdemokratyzowała się, przyczyniła się do wzrostu demokracji, ale przez swoje pozytywne poglądy i zewnętrzne pojmowanie świata wyjałowiała i straciła urok. Powstały nowe prądy literackie i artystyczne. Niejednolite, nie ujęte w jedno łożysko, ale to mające ze sobą wspólnego, że wszystkie one były opozycją przeciw metodzie przedmiotowej i materialistycznemu pojmowaniu ludzkiej duszy. (...)

Tak powstała literatura „nagiej duszy”, obranej z szat czasu i pozostawionej przed oczy

artysty w całej swojej piękności i grozie. Miała ona ogromny szacunek dla tych uczuć, które wiodą życie w głębi i nie wychylają się na próg świadomości, przywracała godność tej duszy ludzkiej, której teorii „środowiska” odebrały samoistość i wielkość, a gdy trącała o harfę zmysłów, to dobywała z niej nie brutalne, zwierzęce, lecz szlachetne i przepychem lśniące melodie. (...)

Kochamy wszystko, co rodzime, wierzymy w wielką przyszłość naszego narodu, a najgorętszym naszym pragnieniem - być podnóżkiem chwały tej Ojczyzny, której służyć chcemy ostatnim uderzeniem serca. Kochamy wszystko, co się poświęca i co cierpi w milczeniu za błędy swojej szlachetności i jesteśmy zawsze z tymi, co z zaduchu kruchcianego, z bijatyki życia wznoszą się na szczyty ducha, gdzie nie dobiega wzrok codzienny, nie dosięga ślina potwarzy i gdzie dolatują samotne, dumne orły.

Młoda Polska, 1898 (fragment).

*W oryginale, oczywiście: *Wiosnę Ludów* (przyp. red.).





ROBERT KONCA

* *
*

Jakie są wieczory
W tym krajobrazie ze snu
Którego granic przekroczyć nie mogę

Zawsze widzę ten sam pejzaż
Zatopiony w purpurowym świetle
Dwóch zachodzących słońc
Wielowymiarowy obraz zastygły
Pomiędzy chwilą skończoną
A jeszcze nie zaczęta
Który ożywa wtedy
Gdy ja budzę się gdzie indziej

Czy kryształowe miasto
Otwiera swoje hotele
Dla księżyca

Czy rzeki można przelewać na dłoń
I smakować jak wino

Czy delfiny błogosławią światu
Tańcem srebrnych płetw
I znikają jak święci
W głębinach nieba

Czy ta postać
Rozpostarta nad widnokręgiem
To Ty
Pielęgnująca swoje piękno
W strumieniu gwiazd...



IZABELA KOCZODAJ

ABSINTHIUM ABSOLUTUM?

*Pijmy, mądrzy pielgrzymi,
Absynt zielenią się ścielę.¹*

Adolf Nowaczyński wyodrębnił swego czasu specjalny gatunek człowieka, który określił jako *gladiolus tavernalis*. Ów „mieczyk kawiarniany”, jak sama nazwa wskazuje, wyróżniał się przede wszystkim zamiłowaniem do egzystencji stadnej, wiedzyonej na terenie kawiarni. *Gladiolus tavernalis*, niczym dziennikarz Jelsky, bohater powieści *Próchno* Wacława Berenta, wołał „Kawiarni!” nie tylko wtedy, kiedy potrzebował chwili odprężenia, ale również, gdy czuł się skonfundowany czy zagubiony, czy chciał się na czymś skoncentrować lub coś przemyśleć... W kawiarni na przełomie XIX i XX wieku prowadziło się dyskusje o życiu i sztuce, tu się pracowało, tu zapadały kluczowe dla narodzin polskiego modernizmu decyzje. Ale przede wszystkim - w kawiarni się piło.

„Nadużywanie alkoholu jest świadomym i zamierzonym elementem obyczajowości cyganeryjnej, jedną z cech konstytuujących cyganerię” - stwierdza J. A. Malik.² Alkoholizm artysty-cygana był czymś więcej niż tylko nałogiem: był policzkiem wymierzonym „praworządnemu”, filisterskiemu społeczeństwu, gestem artystycznej niezawisłości. Nic więc dziwnego, że z piciem nie kryli się nie tylko prawdziwi artyści, ale również owi kawiarniani „satelici”, tak zwani „improduktywi”, którzy, sami nic nie tworząc, częstokroć zapładniali artystycznie jednostki predestynowane do działania. O jednym z takich „gestów artystycznej niezawisłości” pisze T. Weiss: „Wyłudził mianowicie Przybyszewski od Gabryelskiego, człowieka ponoć dość skąpego, pożyczkę. I natychmiast, na oczach wierzyciela, w manifestacyjny sposób zmarnotrawił całą sumę, łażąc od knajpy do knajpy, zamawiając po dwa-

dzieścia butelek szampana, które pozostawiał niedopite, by w kolejnej knajpie zamówienie powtórzyć. Zmarnotrawił, nawet nie przepił tych pieniędzy. Gest był wyrażnie wobec Gabryelskiego-filistra manifestacyjny...”³ Zresztą, Stanisław Przybyszewski, jak chyba żaden z polskich pisarzy przełomu wieków, poznał blaski i cienie picia ostentacyjnego. Niezwykle szczerze wypowiadał się na ten temat w spisanych pod koniec życia wspomnieniach *Moi współcześni*, gdzie znaleźć można obszerny ustęp na temat *vin gai* (alkoholu, który podnieca, rozwesela, bez którego życie towarzyskie byłoby nieraz wręcz niemożliwe) oraz *vin triste* alkoholu-narzędzia w arsenale szatana, trzymającego pijącego w morderczych kleszczach nałogu.⁴

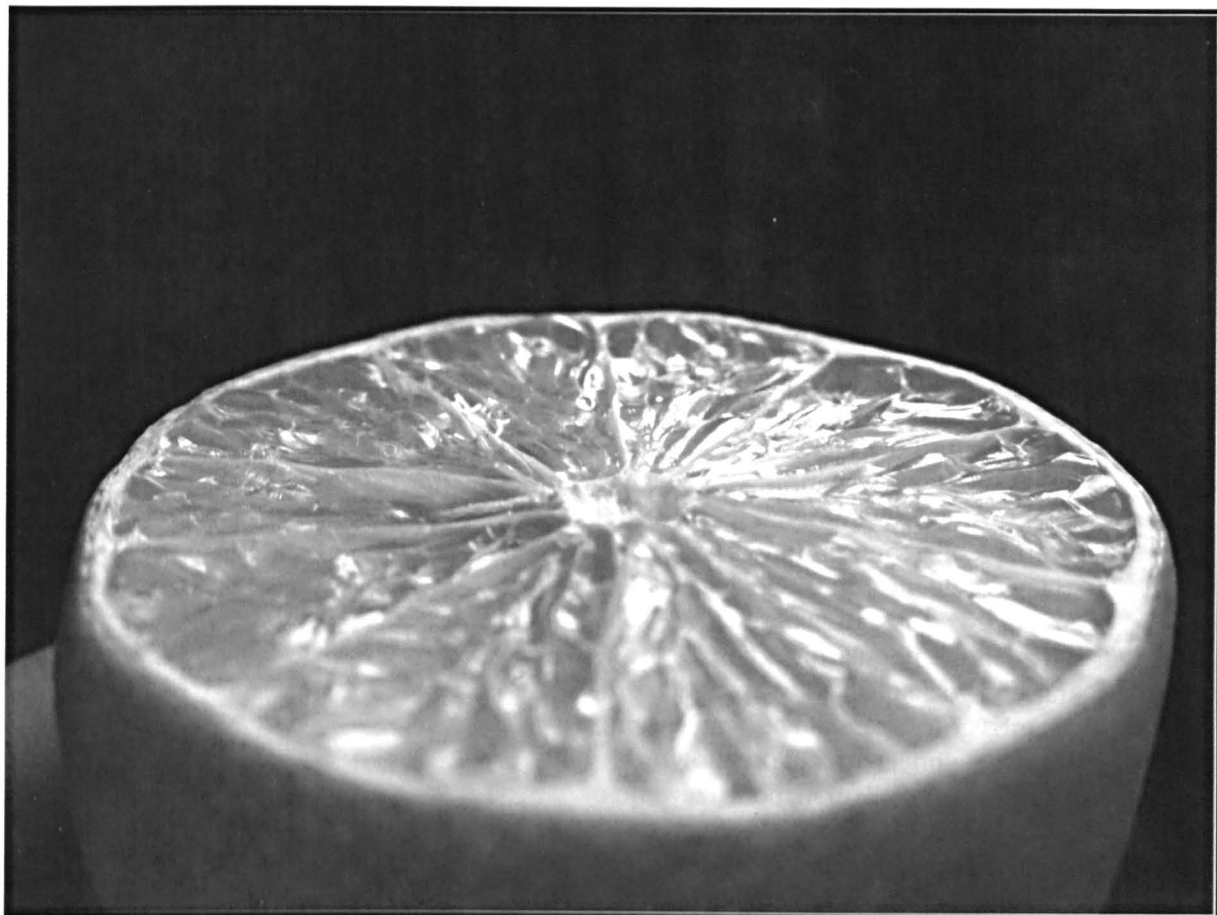
Za sztandarowy trunek bohemy artystycznej *fin de siècle'u* powszechnie uważa się absynt. Ojczyzną tego alkoholu, początkowo reklamowanego jako środek leczniczy, jest Szwajcaria. Legendę absyntu, określanego również mianem „zielonej wróżki” ze względu na zielone lub zielonożółte zabarwienie (choć produkuje się także absynty bezbarwne), podsycalo powszechnie panujące przekonanie o jego właściwościach halucynogennych. W istocie, nie ma dowodów na to, by absynt był trunkiem bardziej uzależniającym czy szkodliwym od innych wysokoprocentowych napitków. Niemniej jednak, niesprawiedliwe oskarżenia doprowadziły w 1915 roku do uchwalenia ustawy o zakazie sprzedaży i wytwarzania absyntu w większości państw europejskich oraz USA (zakaz zniesiony został dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku). Ostatecznym argumentem, przemawiającym za wyniszczającym działaniem

absyntu, stało się słynne „absyntowe morderstwo” popełnione w 1905 roku w Szwajcarii: alkoholik Jean Lanfray, wypijwszy dwie szklaneczki absyntu (oraz, o czym nie chciała pamiętać szczególnie niechętna „zielonej wróżce” Liga Antyalkoholowa, *creme de menthe*, koniak, siedem szklanek wina, dwie filiżanki kawy z brandy i litr wina), zastrzelił ciężarną żonę, dwoje swoich dzieci, a w końcu popełnił samobójstwo.

Absynt, jak chyba każdy trunek kultowy, miał swoje ceremonie. Około godziny piątej po południu rozpoczynała się *l'Heure Verte* „zielona godzina”, którą uznać można za karykaturę mieszczańskiej *five o'clock*. Oryginalnie, absynt przed spożyciem poddawany był tak zwanemu „rytuałowi wody”: na wierzchu szklanki z trunkiem kładło się specjalną, wyposażoną w otwory łyżkę z kostką cukru.

Następnie przelewało się bardzo powoli z karafki wodę przez cukier, tak, by każda kropla wody wpadająca do trunku zamieniała się w białą linię, tworzącą na dnie charakterystyczne dla absyntu zmętnienie; tak tańczyła w szklance „zielona wróżka”.⁵ Nowszy i znacznie bardziej spektakularny „rytuał ognia” nijak się ma do *fin-de-sicle'owych* tradycji spożywania absyntu.

Wbrew pozorom, literackie obrazy poświadczające powszechne uwielbienie artystów dla absyntu są stosunkowo nieliczne. Nie ma absyntu ani w tak ważnej apologii życia bohemy, jaką są *Sceny z życia cyganerii* Henryka Murgera, tylko nielicznych wzmianek na temat tego trunku doszukać się można w poezji francuskich „poetów przeklętych”. Owszem, pija się szampana, wino „bordo” (u Baudelaire'a znajdujemy cały cykl poświęcony temu



trunkowi: *Dusza wina, Wino galganiarzy, Wino mordercy, Wino samotnika*, będący zarazem znakomitą charakterystyką rozmaitych typów ludzkich), likiery, poncz, Rimbaud wspomina „bomby piwa...”.⁶ Podobnie jest w „cyganeryjnej” literaturze polskiej: motyw absyntu wcale nie pojawia się częściej od wzmianek poświęconych innym trunkom. Dla przykładu: we wspomnianym na początku tego szkicu *Próchnie* bohaterowie pijają piwo, koniak (który określa się jako „napój mistyczny: nalewkę na sumieniach samobójców”), wódkę (slogan „wino, kobieta i śpiew” zastąpiony został w młodopolskiej kawiarni przez inny frazes: *wódka, prostytutka i nastrój*, jak konstatuje Jelsky⁸), wino, szampana; absynt pojawia się tylko raz – dwie jego porcje zamawia aktor Borowski. Imponującą apologię absyntu wygłasza podmiot liryczny wiersza Antoniego Langego *Idź i pij absynt* (utwór jest, nawiasem mówiąc, częścią cyklu poetyckiego *Ballady pijackie*): „Idź i pij absynt! W jego czarów kole / Zapomnisz życie swe nędzą brzemiennie”.⁹

Dlaczego więc przede wszystkim absynt kojarzony jest z cyganerią artystyczną? Odpowiedzi może być kilka. Po pierwsze, „misteryjny” sposób spożywania tego alkoholu, wymagający czasu oraz posługiwania się specjalnymi akcesoriami, odstraszał ceniących każdą minutę swojego życia mieszczan i zapracowanych robotników. Picie absyntu budowało wspólnotę „cyganów” – ludzi zwykle niezakorzenionych w rytuale tak zwanej „codziennosci” (powyższe stwierdzenie nie odnosi się wszakże do Francji, gdzie absynt w okresie *Belle Époque* był znacznie popularniejszy niż w innych krajach i gdzie pijali go wszyscy). Po drugie, intrygować musiała bohemę legenda i postać „zielonej wróżki”: oto główny składnik absyntu, tujon, podejrzewano o powodowanie stanów podobnych stanom narkotycznym, tak wielce pożądanym przez artystów-amatorów wdarcia się do królestwa Niedostępnego.

Po trzecie, właśnie z powodu domniemyanych właściwości zmieniających percepcję absynt irytował „obrońców moralności” znacznie bardziej niż jakikolwiek inny trunek, co z pewnością przyciągać doń musiało wszelkiej maści „mieczyki kawiarniane”. Po czwarte, w środowisku, w którym nadużywanie alkoholu było powodem do snobowania się („Świątecznego cała ambicją polega na tym, żeby uchodzić za moralnego truposza. Pozuje między innymi na pijaka, którym nie jest” powie bohater „cyganeryjnej” noweli Sienkiewicza¹⁰), podejrzany o bycie wyjątkowo uzależniającym absynt siłą rzeczy musiał stać się napojem pożądanym. Po piąta wreszcie: i w tym wypadku okazało się, że owoc zakazany smakuje najlepiej – zwłaszcza wśród tych, którzy uważali się za „zakazanych” członków społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że „zielona wróżka” zwiódła między innymi Baudelaire’a, Wilde’a, Picassa...

¹ A. Rimbaud, *Komedia pragnienia. Przyjaciele*, tłum. K. A. Jaworski, [w:] A. Rimbaud: *Wiersze*, wybrał, oprac. i posłowiem opatrzył A. Międzyrzeczki, Kraków 1993, s. 139.

² J. A. Malik, *Adolf Nowaczyński. Między modernizmem a pozytywizmem*, Lublin 2002, s. 39.

³ T. Weiss, *Cyganeria Młodej Polski*, Kraków 1970, s. 65.

⁴ Zob. St. Przybyszewski, *Moi współcześni*, wstęp J. Wilhelmi, Warszawa 1959, s. 307-313.

⁵ Zob. <http://www.absynt.yoyo.pl/>, stan na dzień 13.12.2007.

⁶ A. Rimbaud, *Romans*, tłum. J. Iwaszkiewicz, [w:] tegoż: dz. cyt., s. 29.

⁷ W. Berent, *Próchno*, oprac. J. Paszek, Wrocław 1979, s. 222.

⁸ Zob. tamże, s. 240.

⁹ Za: http://zyjzdrowo.pl/index.php?pd=prasa&d=mednat&dzial=mednat&link=view_single&genid=c9cf4e6f6c5779513aec4ba3519c2e18&title=Historia+polskiego+pijanstwa, stan na dzień 14.12.2007.

¹⁰ H. Sienkiewicz, *Ta trzecia*, Warszawa 1969, s. 7.





KAROL BAUDELAIRE

Spleen

Kiedy niebo, jak ciężka z ołowiu pokrywa,
Miażdży umysł zlej nudzie wydany za łup,
Gdy spoza chmur zasłony szare światło spływa,
Światło dnia smutniejszego niżli nocny grób;

Kiedy ziemia w wilgotne zmienia się więzienia,
Skąd ucieka nadzieja, ten płochliwy stwór,
Jak nietoperz, gdy głową tłukąc o sklepienie,
Rozbija się bezradnie o spleśniały mur;

Gdy deszcz robi ze świata olbrzymi kryminał
I kraty naśladują gęstwę wodnych smug,
I w mym mózgu swe lepkie sieci porozpinał
Lud oślizgłych pajaków - najwstrętniejszy wróg;

Dzwony nagle z wściekłością dziką się rozdzwonią,
Śląc do nieba rozpaczą szalejący głos
Jak duchy potępieńców, co od świata stronią
I nocami się skarżą na swój straszny los.

A w duszy mej pogrzeby bez orkiestr się wloką,
W martwej ciszy nadziei tylko słyhać jęk,
Na łbie zaś mym schylonym, w triumfie, wysoko,
Czarny sztandar zatyka groźny tyran - Lęk.

Przekład Bolesław Wieniawa Długoszowski



DARIUSZ MAGIER

PRO FIDE ET LIBERTATE. 240 ROCZNICA KONFEDERACJI BARSKIEJ

„Przysięgam Panu Bogu w Trójcy jedynemu, Najświętszej Pannie Marii niepokalanie poczętej i wszystkim świętym, osobliwie patronom Korony Polskiej i Tobie, głowo Kościoła, Ojcie Święty, papieżu rzymski, na to, jako tego sekretu przysiężenia na obronę wiary świętej katolickiej rzymskiej użytego, osób, miejsca zjazdów i wszelkich lekkomyślności nikomu, bądź nawet najprzejrzystszej osobie tak płci męskiej jak i białogłowskiej, nie wydam i nie wyjawię, i wiary świętej rzymsko-katolickiej nie odstąpię, ale aż do utraty ostatniej życia mego jej bronić sercem i orężem będę, aż do wspólnego jej w moim kraju ocalenia i ugruntowania ...” – te słowa zaprzysiężenia członków dla sprawy konfederacji, zwanej barską, często przytaczane są dla wyjaśnienia celu jej zawiazania. Właśnie mija 240 rocznica podpisania aktu konfederacji.

Nadaje się ówczesnej Polsce etykietę „Rzeczypospolitej Anarchii” i jest to spostrzeżenie trafne. Od Sejmu Niemego (1717) państwo jest bezsilne w sprawie jakichkolwiek reform. Na olbrzymim obszarze przekraczającym 730 tys. km² nieustannie ścierały się sprzeczne interesy obu części składowych monarchii, a elekcyjne igrzyska były świetną rękojmnią dla zabaw obcych dyplomacji europejskich. Ku upadkowi ściągała kraj „złota wolność”, działalność Sejmu paraliżowało liberum veto, a prawo dopuszczało zawiązywanie konfederacji przeciwko własnemu królowi. Wciąż brakowało centralnego skarbu, a armia królewska liczyła raptem 12 tys. ludzi. W Europie chyba już tylko polska szlachta zdawała się nie dostrzegać, że Rzeczpospolita z wolna staje się rosyjskim protektorem. Dowodem tego była również ostatnia elekcja, kiedy to caryca Katarzyna II przeforsowała kandydaturę Stanisława Augusta Poniatowskiego, a pole elekcyjne otoczone zostało przez żołnierzy rosyjskich oraz dworaków Czartoryskich – frakcji popieranej przez Rosję. 6 września 1764 roku szlachta zgromadzona w owym

„kotle” jednogłośnie obwołała królem Stanisława Augusta. Jednakże nowy król, ten „kosmopolita łatwo ulegający wpływom”, doskonale zdawał sobie sprawę z przyczyn wewnętrznej słabości swego kraju i – być może – byłby uczynił coś w kierunku poprawy sytuacji, gdyby w Petersburgu nie zwyciężył jednak pruski pogląd, że dla dobra Rosji Polska musi być jak najsłabsza. Dopilnować tego miał ambasador rosyjski w Warszawie, książę Mikołaj Repnin, który jedyną możliwość realizacji planów Imperium widział w bezwzględnym popieraniu idei złotej wolności wśród polskiej szlachty. Typowym przykładem jego działalności była tzw. sprawa dysydencka, której bezpośrednią przyczyną było zawiązanie konfederacji barskiej. Wyznanie rzymsko-katolickie było w ówczesnej rzeczywistości religią mniejszości (duża liczba protestantów wśród szlachty i mieszczaństwa oraz prawosławne Wielkie Księstwo Litewskie i ziemie ruskie) i chociaż była to mniejszość rządząca, nie notowano przypadków prześladowań religijnych. W tej religijnej różnorodności mieszkańców Rzeczypospolitej Obojga Narodów kraje ościenne dojrzały możliwość destabilizacji sytuacji wewnętrznej, tym bardziej, że dwór pruski był protestancki, a rosyjski – prawosławny. Do prawego zrównania wyznań zapalił się także Stanisław August, widząc w tym krok ku nowym prądom oświeceniowym, którym hołdował. Zanarchizowana szlachta podzielona została jeszcze bardziej: na zwolenników i przeciwników reformy, przy czym Repnin kontrolował obie frakcje. Jednych kusił równością praw, drugim dawał do zrozumienia, że Rosja nie będzie sprzeciwiać się detronizacji króla, który depcze szlacheckie swobody. To przyniosło efekty. W 1767 roku w Toruniu zawiązała się konfederacja protestantów (nb. zainicjowana przez rosyjskiego oficera), a w Słucku konfederacja prawosławna. Odpowiedzią strony katolickiej było zainicjowanie ruchu o charakterze znacznie

szerszym, który wkrótce przerodził się w konfederację generalną i objął cały kraj. Jesienią 1767 roku Repnin uznał, że sytuacja dojrzała do dalszych działań. Nadzwyczajne posiedzenie Sejmu (tzw. sejm repniniowski) uchwaliło pełnię praw dla dysydentów oraz „prawa kardynalne” – potwierdzenie pełni wolności szlacheckich, główne bariery wewnętrzne wszelkich reform. Jednocześnie aresztowani zostali najzagorzalsi zwolennicy konfederacji katolickiej: bp krakowski Kajetan Sołtyk, bp kijowski Józef A. Załuski, hetman Wacław Rzewuski oraz jego syn Seweryn. Pozostali przywódcy opozycji opozycji, m.in.: podkomorzy różański Michał Krasiński, starosta warecki Józef Pułaski oraz przedstawiciele rodów Potockich, Sapiechów i Krasińskich udali się do Baru, gdzie w lutym 1768 roku ogłosili Akt Konfederacji Barskiej. Marszałkiem Konfederacji ogłoszono Michała Krasińskiego. W trosce o ideowe oblicze ruchu ścisłe grono dowódcze konfederacji powołało Zakon Kawalerów Krzyża Świętego, który miał osobiście kierować poczynaniami sprysiężenia. Hasłem barżan stał się zawołanie: „Jezus Maryja!”. Trudno jest

ocenić istotę konfederacji barskiej. Niewątpliwie znaczna część jej zwolenników walczyła o partykularne cele, których idea było przedłużenie anarchii. Jednakże kryła się pod nią przede wszystkim chęć wywalczenia wolności, rozumianej jako niepodległość i suwerenność. Skomplikowana była dusza ówczesnej polskiego szlachcica, rozpasanego w swym sarmatyzmie, ale także wiernego Rzeczypospolitej, katolicyzmowi i polskim tradycjom. Właśnie postulaty polityczne kryły się najprawdopodobniej pod słowami: „zabieramy się do obrony wiary i godności”, wyrażonymi w dalszych słowach tekstu Aktu Konfederacji Barskiej. Trzeba zaznaczyć, że już od pierwszych dni istnienia Konfederacji dał się zauważyć jej militarny charakter. 4 marca 1768 roku, w dzień św. Kazimierza – patrona rycerstwa polskiego, powołano związek wojskowy w służbie konfederacji, na którego czele stanął Józef Pułaski. Wojska konfederacji pieczętowały się białym orłem z pałazami w szponach i wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa na jego piersi, a żołnierze mieli odznaki zawierające słowa: „Pro fide et libertate” (Za wiarę i wolność)



Porwanie Stanisława Augusta przez konfederatów

przywieszone do lewych boków. Przyznać trzeba, że nie byli to wytrawni gracze polityczni, a i doświadczenia wojskowego nierzadko im po prostu brakowało. Wydaje się, że bardziej zdawali się na łaskę Bożą niż określone plany strategiczne, jednakże wybór miejsca zawiązania sprzysiężenia wskazuje, że pomocy oczekiwali od Turcji. Dojrzałym posunięciem było natomiast wystąpienie pod religijnymi sztandarami, co spowodowało ściągnięcie do konfederacji mas drobnej, konserwatywnej szlachty, na której zmysły oddziaływać musiało hasło obrony wiary. Pod płaszczykiem tego spontanicznego wybuchu kryła się duma narodowa wielkiego narodu, którego ojczyzna stała się igraszką obcych rządów. Nieodłącznym elementem ideologii barżan był wrogi stosunek do króla Stanisława Augusta, którego nienawidzono na równi z Repninem i uważano za sprawcę wszystkich nieszczęść („Ciołek posłuszny Katarzynie, dążący do tyranii”).

Pierwsze miesiące nie były dla konfederacji zbyt korzystne. Po kilku niefortunnych potyczkach na Podolu i Ukrainie wojska rosyjsko-królewskie obległy Bar i zdobyły go w czerwcu 1768 roku. Resztki konfederatów wraz z dowództwem schroniły się w Turcji. Wydawało się, że upadek ruchu jest przesądzony, gdy jego idee odżyły nagle na innych ziemiach Rzeczypospolitej. Objął on Małopolskę, Litwę, Wielkopolskę, Krakowskie, Lubelskie i Polesie. W 1769 roku punkt ciężkości sprzysiężenia przeniósł się na Śląsk, gdzie powołano nowe kierownictwo – Radę Generalną Stanów Skonfederowanych, tzw. Generalność. Ale okres Generalności nie był już tym samym żywiołowym wystąpieniem „za wiarę i wolność” z początków 1768 roku, kiedy to beztrako i dziarsko śpiewano: „Marsz Polacy, marsz do broni

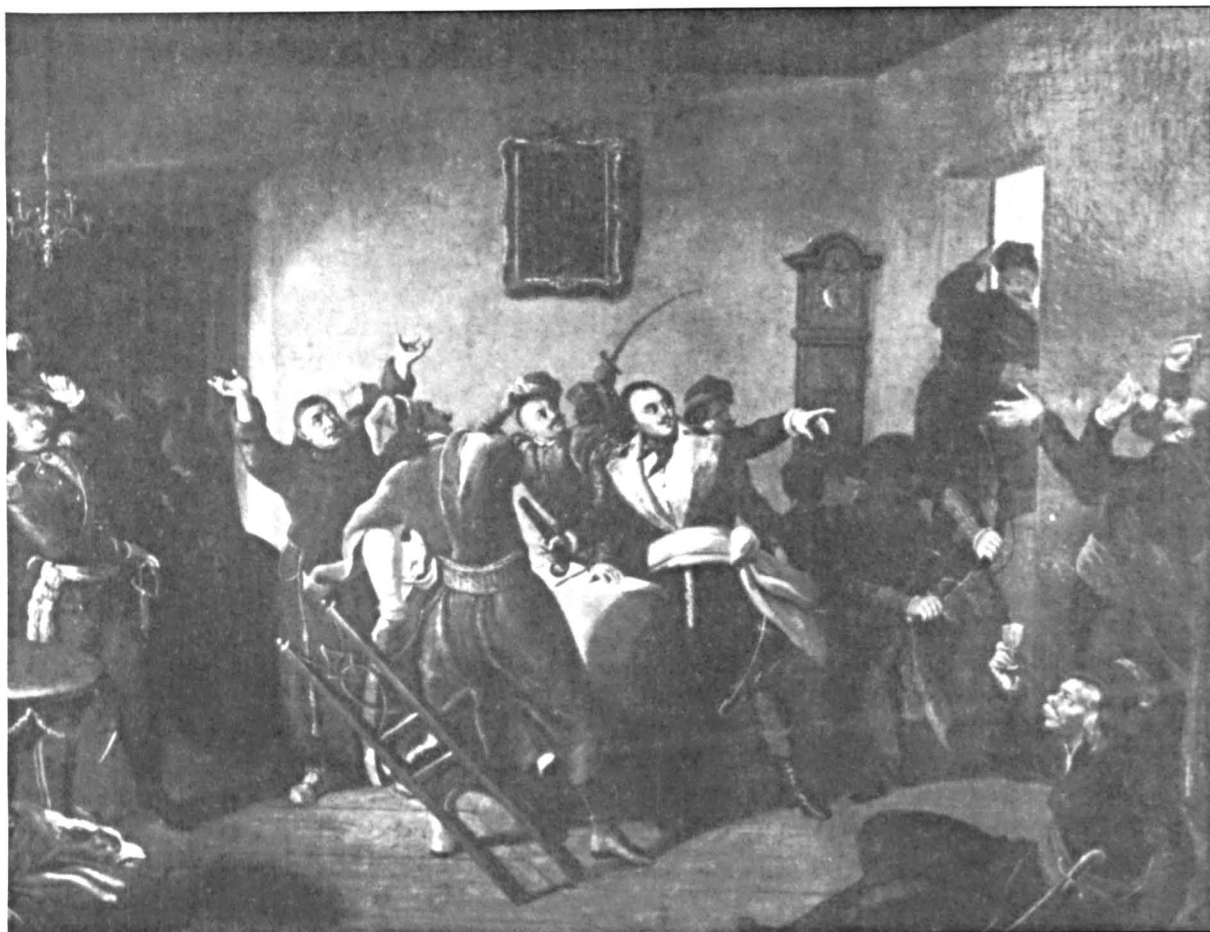
Gdy nas Moskwa zewsząd goni
Stańć mężnie przy Bellonie
Nie dajcie Polskiej Koronie
Wpaść w ohydę...”

Sprzysiężenie przerodziło się w walkę magnackich koterii o prywatne wpływy i korzyści po hipotetycznym obaleniu Stanisława Augusta. W październiku 1770 roku Generalność uchwaliła detronizację

króla, licząc, że na terenach południowej Polski, które opanowała, można będzie przeprowadzić nową elekcję. Akt detronizacji głosił m.in.: „Podnieście ramię, w krwi deklarowanego przyjaciela Moskwy, a kraju nieprzyjaciela, tyrana Stanisława Poniatowskiego, zmyjcie hańbę i obelgę narodu” i chociaż słuszny w swym założeniu, przyniósł powstaniu więcej kłopotów aniżeli korzyści. Król, który dotychczas był niezdecydowany i gotowy do kompromisu, teraz przystąpił do bezwzględnego tłumienia konfederacji. Poza tym, w łonie samych konfederatów detronizacja wprowadziła chaos, gdyż było wśród nich wielu, którzy walczyć chcieli tylko przeciwko Rosji, królowi zaś byli przychylni. Zniweczono więc jedno-myślność członków sprzysiężenia, a próba zamachu na życie Stanisława Augusta w listopadzie 1771 roku rzuciła cień królobójstwa na ideę walki o wolność.

W tym czasie konfederacja już dogorywała. Ostatecznie dobiło ją ogłoszenie aktu pierwszego rozbioru Polski, kiedy to wielu dowódców zawiesiło swoją działalność. W maju 1772 roku na ziemie objęte rządami Generalności wkroczyły wojska austriackie, a powstanie pogrążyło się w zupełnym chaosie. Ostatnim bastionem obrońców, kolejny raz, staje się Częstochowa, a jej obroną kieruje Kazimierz Pułaski, syn jednego z przywódców, prawdziwy talent militarny zrodzony w trakcie tej wojny. Jasna Góra padła 18 sierpnia 1772 roku, a koniec walk dał początek prześladowaniom barżan. W końcu XIX wieku A. Kraushar pisał: „Pędzono tłumy szlachty pobranej na polach bitew, towarzyszków konfederacyi barskiej [...] w głąb Rosji, za Ural, na Syberię, do Kamczatki i do Kopalń Nerczyńskich...” (A. Kraushar, Konfederaci barscy na Syberii, Kraków 1895).

Konfederacja barska od początku budziła kontrowersje, a spojrzenie na nią zmieniało się na przestrzeni lat kilkakrotnie. Oscylowało od uczuć uwielbienia w okresie romantyzmu, poprzez sceptycyzm pozytywistów i koniunkturalne zapomnienie w czasach rządów komunistycznych. Pewnym jest jednak, że określając źródło sprzysiężenia ciemnotą i



Pułaski w Barze. Mal. K. Szlegiel

zacoferaniem, które przyczyniły się do rozbioru Polski jest niesłusznym uproszczeniem. Idąc tym tropem można by dojść przecież do przekonania, że przyczyną kolejnego rozbioru było powstanie kościuszkowskie, a trzeciego – Konstytucja 3 Maja. Barżanie stworzyli hasło niepodległości, była więc konfederacja szkołą uczuć patriotycznych, którym to hasłem posługiwać się będzie odtąd wiele kolejnych pokoleń polskich patriotów. Powstanie wyrwało szlachtę z politycznego i ideologicznego marazmu epoki saskiej, ożywiło bojowego ducha i wyzwoliło naród polityczny spod autorytetu magnaterii. Odtąd cnotami bardziej znaczącymi w Polsce będą już nie duma i bogactwo magnackie, lecz odwaga i gotowość do poświęcenia życia ojczyźnie. Ponadto ruch przyczynił się do obnażenia rzeczywistych celów Rosji i Katarzyny II. Przebieg konfederacji barskiej podobny jest

do późniejszych zrywów niepodległościowych, charakteryzowały go cechy, które później pojawią się w czasie powstania listopadowego i styczniowego, takie jak: oczekiwanie na pomoc mocarstw, emigracja po klęsce oraz zesłania na Syberię. Konfederacja barska była też szkołą wielu słynnych dowódców, którzy zabłądzą później w powstaniu kościuszkowskim bądź w gronie zwolenników reform Sejmu Wielkiego czy nawet, jak Kazimierz Pułaski, rozślawią Polskę poza jej granicami.





JĘDRZEJ SIWEK

Ulice miasta

Wysiedli,
chwilę po tym zastygli
w bezruchu stoją dokąd zmierzali: w
nieznane.

Brezentowe worki leżą równo przy nogach,
widać ryż, fasolę i kawałek wołowiny
zawinięty w dziennik, numer z
przedwczoraj.

Stoją
i palą tytoń owinięty w bibułkę,

dopiero dźwięk tłuczonej butelki
anyżowej wódki przerywa milczenie.

Miasto podkreca volume. Słychać:
jazgot hamulców,
rozmowy towarzyskie,
brzęknięcie monety.

Ruszyli do wyjścia
by za moment odwrócić głowę
i ujrzeć wejście.

Nie zauważyli

na ulicy niczyje 5 złotych
odbija promień słońca.



TOMASZ SOBIERAJ

UWAGI O ARTYSTACH, KRYTYKACH I SZTUCE Z WĄTKAMI KOPROFAGICZNYMI I ENTOMOLOGICZNYMI

I

Talent jest darem bogów. Obdarzają nim swoich wybrańców w akcie niesprawiedliwej często rozrzutności. Umiejętność pisania, brzdąkania, pstrykania, rysowania, wydawania dźwięków, podrygiwania, filmowania i strojenia min jest natomiast dostępna dla każdego - i to od dawna. Niestety, można odnieść wrażenie, że artystami zostają mianowani ci, którzy talentu a nawet powyższych umiejętności nie posiadają. Mają za to ambicje. Wynikiem dużych ambicji i małych możliwości jest twórcza obstrukcja miernot, której ostatnią fazą jest bolesne wydalenie. Na te odchody sztuki rzucają się krytycy niczym pracowite żuki gnojarze, żeby ulepić swoją życiodajną kuleczkę; reszty aktu konsumpcji dokonują muchy. Wychodząc z założenia, że miliardy much nie mogą się mylić łatwo jest udowodnić, że gówno jest dobre. Ale czy naprawdę?

II

W efekcie kumulacji twórczej i odtwórczej bylejakości, koneksji i strachu, reżim żuków gnojarzy wraz z masami plujek decyduje o smaku, mówiąc, która kupa jest dobra, ale nie mówiąc dlaczego. Innego zdania są oczywiście pszczoły i motyle tylko, że w demokracji głos elit się nie liczy. Muszą zatem fruwać gdzie indziej i nigdy nie przekonają much o walorach kwitnącej jabłoni. Mam oczywiście świadomość, że działalność artystyczna to (niestety) nie matematyka i że nie można przeprowadzić eleganckiego dowodu na jakość dzieła, stosując ściśle wzory i jednoznaczne pojęcia, ale można przynajmniej spróbować stworzyć zespół takich pojęć, terminów i zasad, który w pewnym przybliżeniu pozwoliłby

zaklasyfikować dany produkt twórczej biegunki lub obstrukcji do właściwej kategorii. Jak na razie, odnoszę wrażenie, że proces oceny dowolnej twórczości odbywa się w najlepszym przypadku na podstawie intuicji i subiektywnych doznań, w najgorszym i najczęstszym na koleśiowskich i finansowych układach - wszystko zaś ubrane w smętne powtórzenia, kalki, banały, wystraszone jęki a nawet bezinteresowną służalczość. To zjawisko typowe dla braku charakteru, odwagi i wykształcenia, a jego efekt jest taki, że mierność w tak zwanej sztuce jest coraz bardziej powszechna. Zaczynam wręcz mieć pewność, że obecnie należy nie umieć pisać, śpiewać, malować czy reżyserować, żeby (przy dodatkowych sprzyjających okolicznościach oczywiście) zostać wielkim artystą albo produktem dla mas - to już kwestia umowy i odgórných decyzji.

III

Demokratyzacja sztuki sprawia, że każdy może napisać piękny wiersz lub powieść, nakręcić piękny film czy pięknie zaśpiewać piękną piosenkę. Może też być inaczej - każdy może napisać niepiękną książkę, namalować niepiękny obraz i nakręcić niepiękny film. Lecz czy w związku z tym, każdy kto wykonuje rzeczy piękne lub niepiękne jest artystą? Oczywiście, że nie. Artysta to nie jest ktoś, kto wykonuje rzeczy piękne i wtedy mówi się, że jest artystą popularnym. Artysta to także nie jest ktoś, kto wykonuje rzeczy niepiękne i wtedy mówi się, że jest artystą elitarnym. Artysta to również nie jest ktoś, kto chodzi ubrany na czarno, popija absynt, sika do doniczki z fikusem i jest pederastą i wtedy mówi się, że jest artystą kontrowersyjnym. Artysta to jest ktoś, kto swoją wyobraźnię, emocje, intelekt, fobie,

szaleństwo i odmienność potrafi przekazać w formie dzieła. I nie ma znaczenia czy środkiem ekspresji są papier i litery, pędzel i farby, ciało i ruch, palce i struny, aparat i film, kamień i dłuto - to są tylko media, instrumenty, które zostały przez niego wybrane i - co niezwykle istotne, którymi nauczył się posługiwać. Bo artysta, to nie tylko stan ducha to także zwykłe, rzemieślnicze umiejętności - warunek konieczny, żeby twórcę nazwać artystą. Jeśli tych umiejętności brak, to można mówić co najwyżej o sztuce naiwnej. Niestety, często się o tym zapomina nadając miano artysty ludziom, którzy nie opanowali warsztatu a wydali z siebie produkty okrzyknięte przez krytykę jako zjawiskowe (głównie dzięki brakom warsztatowym), które traktuje się jako indywidualny rys, bezkompromisowość i nowatorstwo. Molier mawiał, że „wiedzieć wszystko bez nauki to cecha wielkich artystów” - słusznie, ale wszyscy wielcy i nieco mniejsi mieli jednak opanowany rzemieślniczy warsztat, czego o ich współczesnych następcach najczęściej powiedzieć się nie da. Techniki cyfrowe i marketing nie zastąpią edukacji.

IV

Artystę i rzemieślnika łączą umiejętności i zdolności. Obaj wiedzą co i jak zrobić. Różnica między nimi polega na tym, że artysta znajduje się w fizjologicznym, chorobowym wręcz, stanie konieczności tworzenia, jego życiowym celem jest uprawianie sztuki dla sztuki, rozwijanie się, czasami, gdy intelektu starcza, nawet teoretyzowanie, wymiana myśli, czego skutkiem są dzieła indywidualne. Rzemieślnik natomiast wykonuje pracę w celu zarobkowym, masowo, naśladowując innych, uwzględnia obowiązujące trendy, ciesząc się niemałą nieraz i zasłużoną sławą. Różni ich hierarchia potrzeb, wartości i zawartość boskiego daru - talentu. Miernota natomiast, gatunek najbardziej pospolity, chce połączyć życiowe cele jednego i drugiego, nie

posiadając ich cech i umiejętności. Skutki widać i słysząc, pomimo uwijających się wśród radosnego brzęczenia much żuków gnojarzy.

V

Jestem skłonny przyznać rację Chińczykom i Eklezjaście, którzy twierdzą, że wszystko już było i choćby dlatego nie trzeba w nerwowym poszukiwaniu indywidualności silić się na szokujące, mniej lub bardziej, wytwory (odchody), karkołomne pseudofilozoficzne parabole, naiwne teorie czy quasi-naukowe opracowania zapominając o istocie sztuki, którą jest synteza estetyki i myśli. Epigonizm i inspiracja są w sztuce zjawiskami powszechnymi i nieuniknionymi - wiedzą o tym erudyci i znawcy, a tylko kwestią czasu i chęci jest udowodnienie dowolnemu twórcy, że nie jest odkrywczy. Sztuka rozwijała się w wyniku ewolucji, zapożyczeń, dyskusji a nie rewolucji. Wszystkie „rewolucyjne” zmiany w sztuce są wytworem propagandy nieuków a nie faktami historycznymi.

VI

Podjęrzewam, że wielu się z tymi luźnymi uwagami nie zgodzi. Trudno. Szczęśliwie, podstawową (teoretyczną?) zaletą tej tak zwanej demokracji jest to, że mogę wyrażać swoje opinie i z nikim się nie liczyć. Korzystam więc z tej swobody, póki jeszcze można.





JOLANTA ROJECKA

zmierzch
upragniony czas cienia
koi chłodnym dotykiem
dniem zmęczone sumienia

noc
mroczny bezmiar niebytu
serc pragnienia otula
gwiezdny płaszczem grafitu

świt
szary brzask martwej ciszy
blade płoszy demony
wiernych snu towarzyszy

trwam
śledząc wśród pór i odsłon
wciąż w niezmiennym zachwycie
zawsze zmienny nieboskłon

jestem
tuż obok
ale za blisko
by móc być sobą

czuję
cię w mroku
gdy moim myślom
odbierasz spokój

kryję
się w ciszy
tam gdzie mnie nigdy
już nie usłyszysz

czemu
wciąż obok
wciąż zbyt daleko
by móc być z tobą



ANDRZEJ TRZEBIŃSKI

Demagogia przemocy

Zwrot, jakim się operuje dzisiaj: „rewolucja świadomości kulturalnej” czy „rewolucja świadomości politycznej” nie jest bynajmniej czczym echem Brzozowskiego, jest w ogóle dzisiaj frazesem mniej niż kiedykolwiek. To rozstrzyga w stawianiu zagadnień.

Ponieważ teatrem rewolucji jest tylko i wyłącznie nasza świadomość kulturalna i nic ponadto - nie może istnieć i nie może wykolejać przebiegających rewolucyjnie procesów żadna dręcząca przemoc. Wszystko, co powstaje w zrewolucjonizowanej świadomości kulturalnej Polski, jest rezultatem wewnętrznych, własnych, z pogłębionego sumienia płynących nakazów, jest rezultatem, by raz jeszcze podkreślić, jedynie własnej, dobrej woli.

Tradycyjne lęki polskiego inteligenta przed wiązaniem rewolucji kulturalnej z jakimikolwiek przemianami i bodźcami płynącymi z przemian politycznych, małoduszne i instynktowne zapieranie się przez polskiego inteligenta kultury mającej ambicję oddziaływania poza strefę określoną politycznymi granicami, demagogiczne przerażenie polskiego inteligenta wobec kultury rzekomo nie tylko zdeterminowanej przez podłoże polityczne, ale wręcz powstającej na rozkaz polityki - nareszcie, raz w końcu wszystko zdemaskowane!

Klerkowska, inteligencka, małoduszna demagogia o przemocy jest dziś fikcją. Wszystko, co aktualnie powstaje, jest wyłącznie owocem wolności. Jest powstawaniem nie na rozkaz bynajmniej, co najwyżej na nakaz. Nakazy te biją ze źródła jedynego i wolnego: sumienia twórcy. To miał na celu wyświecić wstęp

IMPERIUM KULTURY - - KULTURA IMPERIUM*

niniejszy, rehabilitujący żywotność i realność zwrotu o „świadomości kulturalnej”.

Klimat rozkwitającego mitu

Klimat kultury imperialnej nie jest czymś, co roztacza się poza nami i co w rezultacie może grozić niszczeniem i zabijaniem nas. Jest jedynie czymś stwarzanym we wnętrzu psychiki, czymś, co może jedynie rozwijać nas w dalszym ciągu, ponieważ samo jest wynikiem rozwoju. To ograniczenie procesów kulturalnych do granic czystej świadomości twórczej może wprawdzie grozić różnymi innymi niebezpieczeństwami: właśnie pokusami klerkostwa, zerwania związków z pełną pozakulturalną rzeczywistością. Skoro jednak pokusa ta dzisiaj nikogo nie przywodzi do grzechu, świadczy to o fikcyjności także tego niebezpieczeństwa.

Klimat kultury imperialnej, w jakim żyje nasza świadomość zbiorowa, rozwija ją jak na polskie dziewiętnasto- i dwudziestowieczne tradycje niezwykle oryginalnie. Wiek XIX stworzył w Polsce koncepcję kultury narodowej jako *sui generis* gigantycznego pomnika narodu. Koncepcje te realizują zarówno *Dziady* i *Kordian*, jak *Wyzwolenie* i *Wiatr od morza*.

Przy podobnej koncepcji kultury jako pomnika narodu zainteresowania obcych mogą mieć, czy muszą nawet, zawsze piętno oczekiwania na pomnikowe niedyskrety, na swoiste sensacje kultury. Kulturę trzeba brać wtedy tylko pod kątem widzenia jej egzotyki. Polskiej egzotyki!

Egzotyka jednak ciekawi, jątrzy, fascynuje, ale nigdy nie zmusza do pogłębienia swojej wizji świata, do przyspieszenia procesów

etycznych, słowem, nie wychowuje ani nie utwierdza człowieka w jego człowieczeństwie. Kultura własna, mająca ambicje oddziaływania na innych, przekraczania politycznych granic własnego narodu, wypromieniowywania własnych wartości i wiązania nimi, przywiązywania do siebie obcych – jednym słowem, kultura imperialna musi być czymś więcej niż pamiętnikiem. Czytanie cudzych pamiętników ma w sobie zawsze podskórny smak nieprzyzwoitości, immoralizmu, szczególnie pamiętników kogoś, kto cierpi. Kultura imperialna musi ekspresjonistyczną postawę wyrażania siebie zastąpić kreacjonistyczną postawą tworzenia dzieł kultury jak najbardziej obiektywnych, niezależnych od chwili stworzenia od swoich twórców, mogących iść samodzielnie i bez naszej opieki na podbój świata.

Czerpanie z własnego wnętrza i z własnego zewnętrznego klimatu tworzywa, ale przekształcanie go na obiektywne, ponadpolskie, uniwersalistyczne dzieła kultury – oto rdzeń przemiany.

Mit kultury i jej realizm

Kultury prawdziwie silne, mające świadomość własnej siły, nie poprzestają nigdy jedynie na organizowaniu swego kulturalnego mitu. Wola kultur silnych nie zużywa się i nie niszczy wytwarzaniem i stawianiem przed sumieniem człowieka co raz to nowych imperatywów. Imperatywy i mity kulturalne – o tym trzeba pamiętać – najłatwiej powstają w zamroczeniu, jako emanacja upojnej wyobraźni. Najłatwiej dlatego, ponieważ w owym zamroczeniu czy upojeniach tracą charakter trudnych i niebezpiecznych zadań, a płaczą się i utożsamiają chętnie z dowolnie widzianą i nierealnie ocenianą rzeczywistością istotną.

W istocie, w męskim, dojrzałym spojrzeniu pomiędzy mitem i imperatywem kultury a istniejącą realnie rzeczywistością zawsze będzie dystans. Dystans ten, miara tego dystansu jest miarą siły zdobywczości.

Świadczy o odwadze kulturalnej. Jest poddaniem twardej próbie kulturalnego dynamizmu. Bo sił kultury nie mierzy się siłomierzem ani ilością koni mechanicznych. Mierzy się uświadomioną sobie, widzianą i odczuwaną jako zadanie, rozpiętością pomiędzy imperatywem i mitem a realistyczną wizją istniejącej rzeczywistości. Realizm kultury jest w równej mierze kwestią mocnej i dobrej woli, co mit. Kultura prawdziwie silna zdobywa się obok wysiłku wytworzenia mitu na wysiłek ogarnięcia, swego rodzaju imperialistycznego podboju przez świadomość kulturalną, pełnej, najbardziej pełnej rzeczywistości.

Dopiero te dwa momenty: mit i realizm, związane ze sobą strukturalnie, obdarzają kulturę męską równowagą, dojrzałością i dyscypliną. Inaczej jest albo romantyczne pomieszanie rzeczywistości z naszym pragnieniem i tęsknotą, albo oportunistem nie tyle liczenia się, co brania sobie za normę „wszystkiego cokolwiek istnieje”.

Konieczność ruchu kulturalnego w Polsce

Walka z „Polską fantastyczną” nie wystarcza.

Potrzebny jeszcze mit kultury imperialnej. Mit wielkiej historii: ogień, który zapala sumienia, oczyszczające je z małości. Myśli te powstawały w tym właśnie klimacie gorejącym, ale i oczyszczającym zarazem klimacie kultury imperialnej wraz z jej wielkimi mitami-zadaniami: przebudowa polskiego snobizmu na polską samodzielność, polskiego importu na polski eksport, polskiego subiektywizmu i pamiętnikarstwa, w którym pokutuje romantyczny postulat wyrażania własnej duszy, na obiektywizm, w którym wyraża się męski, dojrzały, z tomizmu wyrastający postulat tworzenia – kreowania.

Istnieje głęboka i pełna odpowiedzialności konieczność wywołania w kulturze polskiej a dziś przynajmniej przygotowania, jeśli nie wywołania jakiegoś wielkiego, szerokiego,



1941, Park Ujazdowski, Warszawa

ogarniającego cały naród ruchu kulturalnego, który związałby ze sobą te dwa momenty polskiej rewolucji - mit o imperium i realistyczną, odważną wizję rzeczywistości otaczającej nas - i który byłby ruchem posuwania się po tej wielkiej drodze historycznej od tego, co realnie istnieje, ku temu, co być musi.

Istnieją także warunki wywołania takiego ruchu kultury polskiej. Warunki te stwarza ostry, śmiertelny dla słabych, ale hartujący mocnych, klimat czterech lat wojny, jakiej nie mieliśmy dotąd w historii. Ale jednocześnie, znając tradycje polskiej małości, indywidualistycznie pojmowaną w Polsce kwestię odpowiedzialności etycznej, przerost ambicji a brak wielkiej dumy dziejowej, tęsknoty polskie za sensacją a obojętność wobec prawd kultury jako wobec czegoś nudnie naturalnego i oczywistego znając, widząc realistycznie polską rzeczywistość

kulturalną, trudno zaryzykować zdanie, że nawet w klimacie kultury imperialnej i przy innych sprzyjających warunkach owoce rewolucji wojennej zdołają naprawdę dojrzeć. W polskich warunkach mówienie o dojrzewaniu czegokolwiek zakrawa zawsze na paradoks.





MARIUSZ BOBER

Musimy pić

Chodź Syzyf na piwo
 Zostaw ten kamień
 I drogę pod górę
 I Ty Ikar też
 Rzuć swoje słońce
 I dumne swoje skrzydła
 Zawołaj Dedala
 Bo chłopak
 Straci co ma
 I wy wszyscy bogowie
 I prości ludkowie
 Rzućcie w cholere
 Wasze ambicje i cele
 Ruszajmy
 Gdzie Bruno niechybnie wygląda nas
 Ruszajmy wszyscy brakuje tam nas
 Rozlejmy w puchary i czary
 Wypijmy za zdrowie nasze
 I tych co stracili je
 Wypijmy za nas
 Za nasze upadki
 Za szczęście w niestosownym
 momencie
 Za wygrane po czasie
 Za szanse niewykorzystane
 Wypijmy
 Wreszcie za coś czego zmienić nam nie
 dane
 Za coś co oczy stawia na baczność
 Za coś co sprawia dziwakiem
 Wypijmy też za to co jest
 I za to
 Czego nigdy nie będzie

Policentrycznej wiedzy

A pamiętasz policentryczną wiedzę?
 Kaganek paliła jeszcze
 Cygara od czasu do czasu
 Rum piła
 Wiedźma!
 Kochałem jej styl
 Podarte pończochy
 Pasek skórzany z jadowitego węża
 Po kapeluszu rondo zostało
 A nad nim
 Wyspa siwych włosów!



MARIUSZ BOBER
DARIUSZ MAGIER

ŚWIAT EMILA CIORANA OD RUMUŃSKIEJ MISTYKI DO FRANCUSKIEJ GRAMATYKI

Jesienią 1997 roku w Paryżu ukazał się gruby tom notatek Emila Ciorana. Zaskoczenie, bo wydawało się, że o pisarzu zostało już powiedziane i napisane wszystko. W *Cahiers*, czyli *Zeszytach*, poznajemy Ciorana innego. Zapiski z lat 1957-1972 to tysiąc stron znakomitej prozy rumuńskiego emigranta, z którymi polski czytelnik mógł zapoznać się w 2004 roku.

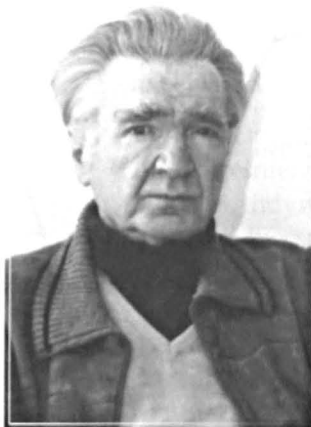
Wielki świat wygląda zza okienka, wysublimowana literacka myśl, przecież nieznaną dla zwyczajnego zjadacza chleba, jakże odległego od wydarzeń z paryskich księgarń. Przedziwne, jak wąski jest krąg odbiorców, dla których pojawienie się *Zeszytów* Ciorana staje się wydarzeniem. Gdyby chcieć ująć w jedno zdanie, esencję, to zawsze zaskakujący staje się świat pisarza. Zaskakujący – wszak pisarz wie, że tak odmienny styl życia, że przeciętny zjadacz chleba uzna go za społecznie nieprzydatny, wyobcowany. A przecież literackie podróże Ciorana skłaniają do refleksji, gdy obserwujemy jak krok po kroku stawał się wnikliwym myślicielem, któremu towarzyszyły muzyczne wspaniałości Bacha. Czyż nie jest tak, że dopiero polemika, czy też nawiązywanie do myśli innych pisarzy, w pewien sposób pomaga wniknąć w ich osobliwy świat, świat również intymny, w którym bohater opowiada o

tym, co je na
śniadanie, co czyta,
kiedy nie tworzy, i
jakie rozterki nim
targają. Można
ubolewać, że tak mało
wnikamy w literacki
świat twórców.

Cioran żyje w poczuciu porażki, zauważa, że jego pokolenie, pokolenie rumuńskich intelektualistów, poniosło klęskę. Mowa oczywiście o wydarzeniach sprzed

wybuchu drugiej wojny światowej. „Co zawdzięcza Iron Guard?” pyta i odpowiada „Konsekwencje wynikające dla mnie ze zwykłego młodzieńczego uniesienia były i są tak ogromne, że w późniejszym czasie okazało się dla mnie niemożliwością orędowanie za jakąkolwiek sprawą, nawet zupełnie nieszkodliwą, nawet szlachetną, czy Bóg wie jaką. To dobrze, że przyszło nam drogo płacić za szaleństwo młodości; później oszczędzamy sobie niejednego rozczarowania.”

Międzywojenna Rumunia to niedowład ustrojowy, powszechne malwersacje, korupcja, nepotyzm, fałszerstwa wyborcze i chaos gospodarczy. W 1927 roku młody idealista nacjonalistyczny Corneliu Zelea Codreanu, zwany przez zwolenników Kapitanem, organizuje Legion Michała Archaniola, którego „zbrojnym ramieniem” była tzw. Żelazna Gwardia. Zaczął działalność z małą grupą studentów, w której wprowadził klasztorno-koszarową dyscyplinę stając się raczej prorokiem niżli przywódcą politycznym, a codziennością legionistów był religijny mistycyzm, poświęcenie, ascetyzm i kult śmierci. Wkrótce ruch rozrósł się do ponad 350-tysięcznej organizacji. Mieszkali we wspólnotach zwanych gniazdami, wędrowali po kraju z ikoną Michała Archaniola głosząc rychłe zwycięstwo nad szatanem i pomagali chłopom w pracach polowych. Legion Michała Archaniola zgromadził elitę młodego pokolenia Rumunów. Członkiem bukareszteńskiego gniazda „Axa” był Emil Cioran. Jako młodego eseistę pchnęła go tam fascynacja chrześcijańską mistyką śmierci, męczeństwa, obojętnym przyjmowaniem cierpienia, które wówczas pojmował jako dominujący składnik ludzkiej egzystencji. To wszystko znalazł w ruchu, na którego czele stał Codreanu. W 1933 roku członkowie Legionu tworzą Komando Śmierci, którego zadaniem jest jednak nie zabijanie, ale przyjęcie śmierci. Miała to być forma



Emil Cioran

ideowego apostołstwa, kolejne w dziejach Europy krucjaty dziecięce kolumny młodzieży legionowej uformowanej w znak krzyża (tzw. żywe krzyże). Grzegorz Górny pisze: „Po drodze śpiewali pieśni, wznosili legionowe hasła, piętnowali bezprawie władz. Zatrzymywani przez policję i żandarmerię (...) klękali i modlili się. Wkrótce cały kraj przemierzały kolejne grupy krucjaty dziecięcej, gromadząc na swej trasie wielotysięczne tłumy. (...) Kiedy w miejscowości Teius żołnierze otworzyli ogień, Legion doczekał się pierwszego męczennika”.

Po latach Cioran określi Legion Michała Archaniola, w którym czynnie uczestniczył, mianem „obląkańczej sekty”. „Był to ruch okrutny, mieszanina prehistorii i profesji, mistycyzmu, modlitwy i rewolweru, prześladowany przez władze i zabiegający o prześladowania” - napisze.

Nie przypomina w samokrytyce swej młodzieńczej postawy innego Rumuna, również popierającego w młodości Legion Michała Archaniola, Mircei Eliadego. Słynny religioznawca nie wspomina przeszłości, ale też nie przyłącza się do politycznie poprawnego chóru krytykującego międzywojennych młodych rumuńskich narodowców, zaś jego książkę zatytułowaną *Od Zalmoksisa do Czyngis-chana* można określić mianem apoteozy ojczyzny i własnego pokolenia, pokolenia legionistów - idealistów, którzy próbowali zmierzyć się z przeszłością i - jak to określi Przemysław Dulęba - ideą „mocnego dobra”.

Natomiast do Ciorana „grzechy młodości” wracają w postaci sennego kosmaru na jawie i nigdy nie kończą swojego nań wpływu. Przeszłość jest dlań przekleństwem, które zaważyło na dalszych jego losach, ale jednocześnie fascynuje go ona i nie pozwala na komfort innej niżli kontr-ideowa postawy.

W *Zeszytach* zauważamy głęboką ambiwalencję, klasyczną dwuznaczność właściwą każdemu dziennikowi - rozdarcie między refleksją filozoficzną a materią egzystencjalną zapisywaną *in crudo*. Autor przechodzi głęboką metamorfozę, od pochwały czynu do apoteozy

ataraksji. W tej metamorfozie nurt miał swoich wybitnych przedstawicieli: Martina Heideggera, Gottfrieda Benn, Ernsta Jungera czy też Andre Malraux, a w świecie anglosaskim W. H. Audena. Jego metamorfoza to zmiana myśli filozoficznej na kontynencie

orientującej się na młodość. Cioran należał do pokolenia, jakże licznego i spóźnionego, wielbicieli i uczniów Fryderyka Nietzschego poszukujących innych „łatwopalnych idei”. Jednak dojrzewa: „Z biegiem czasu, coraz częściej stwierdzam, że w każdym punkcie stoję na antypodach myśli Nietzschego. Coraz mniej lubię myślicieli szalonych. Wolę mędrców i sceptyków, nienatchnionych *par excellence*, których żaden ból nie ekscytuje ani nie bulwersuje. Lubię myślicieli podobnych do wystygłych wulkanów.” Przypomina w tym trochę pięćdziesięcioletniego duchowego spaślucha, który wspominając swoje życie z odrazą dziwi się, że kiedyś mógł łązić po drzewach.

Z chwilą kiedy dokonuje zwrotu w stronę mistycznej pasywności, do tego dowcipnej, zamienia mistrzów niemieckich na francuskich. Dla znawców europejskiej topografii intelektualnej skok ten nie jest kwestią przeprowadzki z jednego miasta do drugiego, z jednej ulicy na inną. To skok nad Renem, nad przepaścią dzielącą dwie absolutnie inne koncepcje kultury i literatury, definiujące przez długi czas różne postawy i oczekiwania. W pewnym momencie porzuca pisanie po rumuńsku i niemiecku, by skupić się na języku francuskim, tym samym koniecznością stała się gramatyka francuska. Od tej chwili autor podziwia elegancki francuski sceptycyzm, w końcu wpisuje się w długą linię francuskich moralistów i prawdopodobnie staje się jednym z ostatnich



Corneliu Zelea Codreanu

przedstawicieli tejże. Studiuję dzieła Pascala czy Montaigne'a, „wykradając” również z francuskich pamiętników inspiracje, „sól attycką”, francuskie *esprit*. Nie omija salonów. Zatracając transcendencję porzuca, jako posiadające w sobie ziarno zniszczenia, zaangażowanie ideowe. To prawda, wojna idei może niszczyć ludzkie ciała, jednakże apatia „nienatchnionych” niszczy ludzkie dusze.

Wartość *Zeszytów* bierze się również stąd, że zwierają ogromny żal za tym, co autor porzucił. Jak się okazuje, łatwiej jest wertować strony jądłospisu, niż przerzucać stronicie wielkich kultur. Dzieło od strony „archeologicznej” jest pasjonujące: zawiera niemiecką poezję, niemieckich mistyków, takich jak mistrz Eckhart, dalej muzyka niemiecka i oczywiście wielki Jan Sebastian. Przedziwne, że autor stylizuje się na wygasły wulkan, chwala chorobę, bezsenność, czy zmęczenie. Po co? Pozornie? Bo jednak odzywa się w nim tęsknota za „wulkanami czynnymi, za szczytami, nad którymi unoszą się oznaki aktywności”?

Obok konotacji rumuńskich, niemieckich, francuskich, Cioran zaraża się Hiszpanią. Dlaczego miłość do Hiszpanii? Hiszpania to kraina honoru, rycerskości, pasji, mistyki, a przede wszystkim ojczyzna nostalgii. Znajduje zastępczą Rumunię, staje się Hiszpanem.

Czym jest dziennik intymny? Wynałazkiem pisarzy nowożytnych. Nigdy nie odnajdziemy dziennika Homera, Dantego czy Szekspira. Ci autorzy przedstawiali życie w walce, w doświadczeniu. Pisarz ciągnie nas wręcz za rękaw, by pokazać, co posiada w zakamarkach swojej pracowni. Niedojedzony pasztet, brudna kurtka, kotlet schabowy, sterta starych gazet, zabłocone buty, niezmyte naczynia to również jego świat. W przypadku Ciorana nic takiego nie spotkamy, jakby zamykał akurat te podwoje swojego świata. Nic na temat prywatnego życia. Poznajemy jedynie filozofa i jego nastroje? Nie spotykamy też jego bliskich? Po „S.” domyślamy się jedynie, że chodzi o Simone Boue, towarzyszkę jego życia, która przygotowuje dzienniki do druku, sama jednak ginie tragicznie. Inni pojawiają się epizo-



Komando Śmierci Legionu Michała Archanioła

dycznie - Ionesco, Beckett, Celan czy Czapski.

Ucieczka od rumuńskiej mistyki w gramatykę francuską nie uwalnia go od „demonów”, które kierowały jego poczynaniami w młodości. Widzimy autora jako człowieka nerwowego, toczącego bój z własnym temperamentem, marzącego o buddyjskiej obojętności, a w rzeczywistości nie potrafiącego przeżyć choćby jednego dnia w spokoju. Awantury w urzędach to dlań rzecz normalna. Przedziwne, marząc o samotności, prowadzi bogate życie towarzyskie, „kolacyjne”, gdzie spotyka kolegów literatów, którymi gardzi w swoich dziennikach. Rezygnując z idei zamienia aktywność na jałowość.

Cioran jest niezmiernie błyskotliwym pisarzem, suwerennym, nie podlegającym modom, skrzętnie szperającym w bibliotekach w poszukiwaniu dzieł zapomnianych. Zadziwia pochwała „cienia” w jego twórczości. Kłują w oczy paradoksalne

stwierdzenia: „klęska jest lepsza od zwycięstwa”, „każdy sukces jest wulgarny”, które znowuż stanowią powrót do *złej* przeszłości eseisty. Jednakże w autowyzutku Emila Cioranie idea rumuńska zamienia się w swoją karykaturę. Mistyka śmierci ewoluuje w mistykę błahostek. Przedziwne przemianowanie pochwały życia. *Zeszyty* stają się wielkim hymnem na cześć dekadencji, upadku, impotencji życiowej.

Cioran to sceptyczny emigrant. Zagajewski twierdzi, że emigranci to ludzie szczęśliwi. Ludzie, którzy starannie ukrywają swoje szczęście. Oslawiona nostalgia, lata dzieciństwa, dźwięki dzwonów, ośnieżone Karpaty. Balansowanie pomiędzy zaletami emigrowania, a pozostaniem w kraju, pomiędzy tym, co traci emigrant, a za czym tęskni człowiek wzorem Immanuela Kanta, który nigdy nie opuścił swojego miasta.

A co z Cioranem? Ponoć nie wrócił szczęśliwy do Rumunii tracąc pamięć w Paryżu na podobieństwo amnezycznych starców. Powojenna Rumunia, naród komunistycznego „cara” Ceausescu, wywiera nań ciągle ogromny wpływ. To „narod nieszczęśliwy i nieuczciwy...”, „narod, w którym wszystko przekształca się w miniaturę”. A przecież w swojej intelektualnej układance zawiera istotne klocki teologów i myślicieli, mistyków i kompozytorów, w końcu poetów. On sam - kiedy mówi: „Prawdziwy pisarz trzyma się ojczystego języka, nie zamierza szperać w tej czy innej obcej mowie. Umie się ograniczyć - oto jego sekret” - łamie własną regułę.

Po co więc czytać *Zeszyty*? Choćby dla samej ich błyskotliwości, zaskakującej inteligencji, w końcu dla samego stylu. Cioran wypowiada ciekawe zdania, np.: „Niepodobieństwem jest napisać listu kondolencyjnego, nawet jeśli jest się szczerym. To gatunek najbardziej fałszywy; ciekawe, że nie został zniesiony za jednomyślnym postanowieniem”. Nie znajdujemy u niego dłoni złożonych do modlitwy, znajdujemy niemalże wścieklą ciekawość, która ma zastąpić modlitwę. Dociekliwość, która pcha go do bibliotek,

do lektury, do innych ludzi. Modlitwa to ciekawość skierowana do samego siebie.

Czy czytelnika nie zniechęci lapidarny styl Ciorana? Ten styl zwodzi, pulsuje, irytuje. Wypowiada zdanie, a za chwilę mu zaprzecza. Jeden z recenzentów nazywa go „Beduinem myśli”, inny twierdzi, że bohater uprawia „najbardziej błyskotliwy irracjonalizm bałkańskiej beznadziejności”.

Ale też Cioran nie nabiera się na intelektualne mody. Absolutnie suchy przechodzi obok zmieniających się francuskich nastrojów, ba, wyszydza na dokładkę epokę strukturalizmu, kiedy wszyscy, jak jeden mąż, pisali o języku. Epatuje post-legionowymi wypaczeniami, takimi jak: „Jednostka, podobnie jak naród, jest coś warta tylko wtedy, gdy zostaje zwyciężona. (...) Ktoś, komu się udało, z punktu staje się nieinteresujący”. Świat nieudaczników i życiowych rozbitków staje się również światem osobnym, innym gettem wartym zainteresowania, miejscem, w którym również toczy się życie. Cywilizacja pomiędzy światem idei a kontr-idei.

Zagajewski określi jego literackie zmagania jako „snobizm rozpaczny”, ma wątpliwości, czy użyć określenia „nihilizm”. Cioran korzysta z własnej medycyny jako lekarstwa na „infekcję cienia”. Przeciwwaga to jego erudycja zdobywana w sposób chaotyczny, egzystencjalny i być może dlatego bardziej wyrafinowana. A przecież niejaki Constantin Noica, mistrz młodych intelektualistów, krytykował Ciorana za lekturę mistrzów drugorzędnych, nie tak jak on, który delektuje się Platonem, Arystotelesem, Heglem, Heideggerem. A Eckhart, Seneka drugorzędni? Cioran unika modnych gigantów, boi się ich. Obawia się, że mogą na powrót rozpaść w nim ogień i pchnąć na powrotną drogę od kontr-idei do idei. Nie chce już iść za wielkimi, tak jak kiedyś poszedł za Codreanu. Strach przed złym wyborem obezwładnia go. Jednak w tej kontrowersji znajdujemy także dążenie do prawdziwego, wolnego wyrazu myśli, unikanie myślowej łatwizny, fascynację umysłami samotnymi i surowymi dla siebie. Wypowiada zdania, które intrygują, pompują do szarych komórek pytania.



Żelazna Gwardia

W gruncie rzeczy w przeklinaniu przeszłości przez autora *Brewiarza zwyciężonych* możemy odczytać żal za utraconymi szansami, za porywami serca. Kontr-ideowość wydaje się być tu wyborem rozpacz po upadku tego, co Eliade określi mianem „duchowej rewolucji”, opisując zachowanie legionistów internowanych wraz z nim w obozie Miercurea-Ciucului: „Wieczorna modlitwa kończyła się potężnym <<Bóg jest z nami>>, odśpiewanym przez trzysta głosów. Na ostatnim piętrze znajdowało się pomieszczenie na nieustanną modlitwę. Dniem i nocą któryś z więźniów przez godzinę modlił się tam lub czytał Biblię, przerywając tylko wówczas, gdy ktoś inny przychodził go złuzować”. Postawę Ciorana mógłby przyjąć Leon Degrelle, Belg również obciążony ideowym „grzechem młodości”, gdyby (co się, na szczęście, nie stało) jego dusza przestała „płonąć”, a w jej miejscu pozostał zimny, bolący kamień. Tak jakby pisarz ubolewał nad tym, że ominął go chrzest krwi, który Żelaznej Gwardii zgotował królewski rząd Rumunii. 30 listopada 1938 roku Corneliu Zelea Codreanu oraz trzynastu jego dowódców Legionu Michała Archaniola zostało zamordowanych w więzieniu Doftana. Zabił ich ten sam Tron, o którym nieśpełna pięć lat wcześniej w *Podręczniku dowódcy gniazda* Kapitan pisał: „Legion stoi niezłomnie na straży wokół Tronu, na którym zasiadali Książęta i Królowie poświęcający się w obronie chwały i dla dobra Narodu”. Ciała przywódców Legionu wywieziono do lasu, wrzucono do głębokiego dołu, oblano kwasem, potem

zasypano wapnem i zalano betonem. Technika zaangażowana w walkę z ideą. Na myśl przychodzi legenda związana ze śmiercią polskiego poety związanego z ruchem narodowym, Andrzeja Trzebińskiego, któremu przed rozstrzelaniem Niemcy mieli zalać ustawa wapnem. Jedenaście lat po zabiciu Codreanu Cioran oddał jednak swoisty hołd postawie legionistów pisząc mesjanistycznie: „Wszystkim wodzom pościnano głowy, a ich trupy wyrzucono na ulice: spotkało ich przeznaczenie, co zwalniało kraj ze spotkania z własnym”. Ale nie była to prawda, a jedynie refleksja emigranta, chwilowa słabość późniejszego przedstawiciela gramatyki francuskiej.

W *Zeszytach* czytelnik napotka przewrotność, która z jednej strony będzie przyciągać, z drugiej odpychać. Znajdzie zranionego człowieka w wiecznym ruchu pomiędzy smutkiem a ciekawością, życie i historię współczesnego intelektualisty, „podróżnika” po kulturach, którego powojenna reakcja demoliberalna uczyniła kreaturą podobną post-komunistycznym twórcom mającym w życiorysie stokroć gorsze „heglowskie ukąszenie”. Wyciągnij rękę, choć ta róża nie jest pozbawiona kolców. Taki jest kwiat, taki jest świat Emila Ciorana.



Bibliografia:

- E. Cioran, *Zeszyty 1957-1972*, Warszawa 2004.
- P. Dulęba, *Dakowie, Zalmoksis i Legion Michała Archaniola. Rumuńskie dziedzictwo Mircei Eliadego*, „Frona”, nr 33.
- M. Dylewski, *Jedna Rumunia, trzy „faszyzmy”*, „Frona”, nr 33.
- M. Eliade, *Od Zalmoksis do Czinygis-chana*, Warszawa 2002.
- G. Górny, *Rumuńska mistyka śmierci*, [w:] idem, *Demon Południa*, Warszawa 2007.
- A. Zagajewski, *Gramatyka francuska*, „Zeszyty Literackie”, 93, nr 1/2006.



OSKAR SZWABOWSKI

Na pustyni hipermarketu

wiersz rozgrywa się
w szarej kolorowej scenerii
na ziemi Niczyjej
i traktuje o niczym co jest

wiersz opowiada o kimś
kto siedzi na ruchliwej ulicy
odbijającej się w nim kolory
sprawiają że staje się szary

wiersz opowiada o kimś
kto siedzi będąc w ruchu
o zdarzeniach które się nie wydarzają
o zatłoczonych ulicach które są puste

ten wiersz to zapowiedź
która się powtarza
dopóki inna zapowiedź się nie pojawi

Znikający

Dla Lelego

rozkłady jazdy
obowiązują tylko
czekających

wybierający się w drogę
mają własne kalendarze

Reszta jest milczeniem

jak
marginesy szkolnych zeszytów
zapisane uwagami

jesteśmy o tyle
o ile
wyodrębnia nas
czerwony tusz

PO XXV

opisuje nas cmentarzysko
słów bez treści
dawno zapomnianych znaczeń
przysypanych
rozgadana ciszą

pstrokata zatłoczona pustka
przywoływana podtrzymywana
celebrowana codziennie
w każdej chwili spędzanej
na kwaterze numer
gdzie już nic
po prostu nic

fikuśne znicze
malownicze wieńce
plastikowe



ARTUR ROGALSKI

POGRANICZA, CZYLI PAN TADEUSZ PO PODLASKU, CZ. 3

„gorzałeczka przepalona
leci w gardło jak szalona
Hu - ha!”

Z pewną „taką dozą nieśmiałości” zasiadam do pisania trzeciej części *Pana Tadeusza*.... Niniejszy kwartalnik ma być o alkoholu, czyli po naszymu „alku”. Biorąc pod uwagę częstotliwość, jak też rozmiary wykorzystania alka na Pograniczu, mniemam, że ten tom „Koziego...” rozmiarowo dorówna co najmniej przeciętnemu tomowi encyklopedii brytyjskiej, zatem postaram się jak najwięcej i trzeźwo (tak!) przedstawić to, co w kwestii alka pozostawiły nam dzieje Pogranicza w spadku.

Oczywiście nie można zapominać, że temat ma bardzo rozległy kontekst. Bo skoro butelczyna to przecież nie samemu, tylko w szerszym gronie, więc imprezka (bał, uczta, etc.), muzyczka, te sprawy. A jak dobrze alek służy do podnoszenia poziomu odwagi i siły! Nieoceniony Wójcicki w swoich *Starych Gawędach* wspominał „Byłem sam świadkiem na Podlasiu, jak szlachcic zza Łukowa za garniec wódki próbował siły z niedźwiedziem, co go oprowadzali cyganie. Że był podpiły, nie pochwycił zwierza po wierzchu łap, i to zrobiło, że go niedźwiedź w poły pochwycił, przełamał i rzucił na ziemię. Leżał potem on szlachcic sześć niedziel, zanim się wyleczył”. Trzeba było pamiętać, Panie Bracie, że alek dodaje siły pozornie, podobnie jak refleksu, o czym tak często przypomina nam w TV pan rzecznik Policji Państwowej, ale cóż, wtedy nie było rzeczników (tylko wodnicy, ale to zupełnie inna branża) nie mówiąc już o TV, i ludzie - jak to się mówi - byli bardziej śmiałe.

Wielu tu było pijących (co za eufemizm!), ale w spożyciu celował Antoni Kuszell z Żeliszewa, sławny żołnierz, hulaka i awanturnik doby napoleońskiej, potem poseł na sejm, a co! swój chłop, kość z kości i krew z krwi naszego Pogranicza. Nie tylko w spożyciu zresztą. Mało który pamiętnik z epoki nie wspomina o wybry-

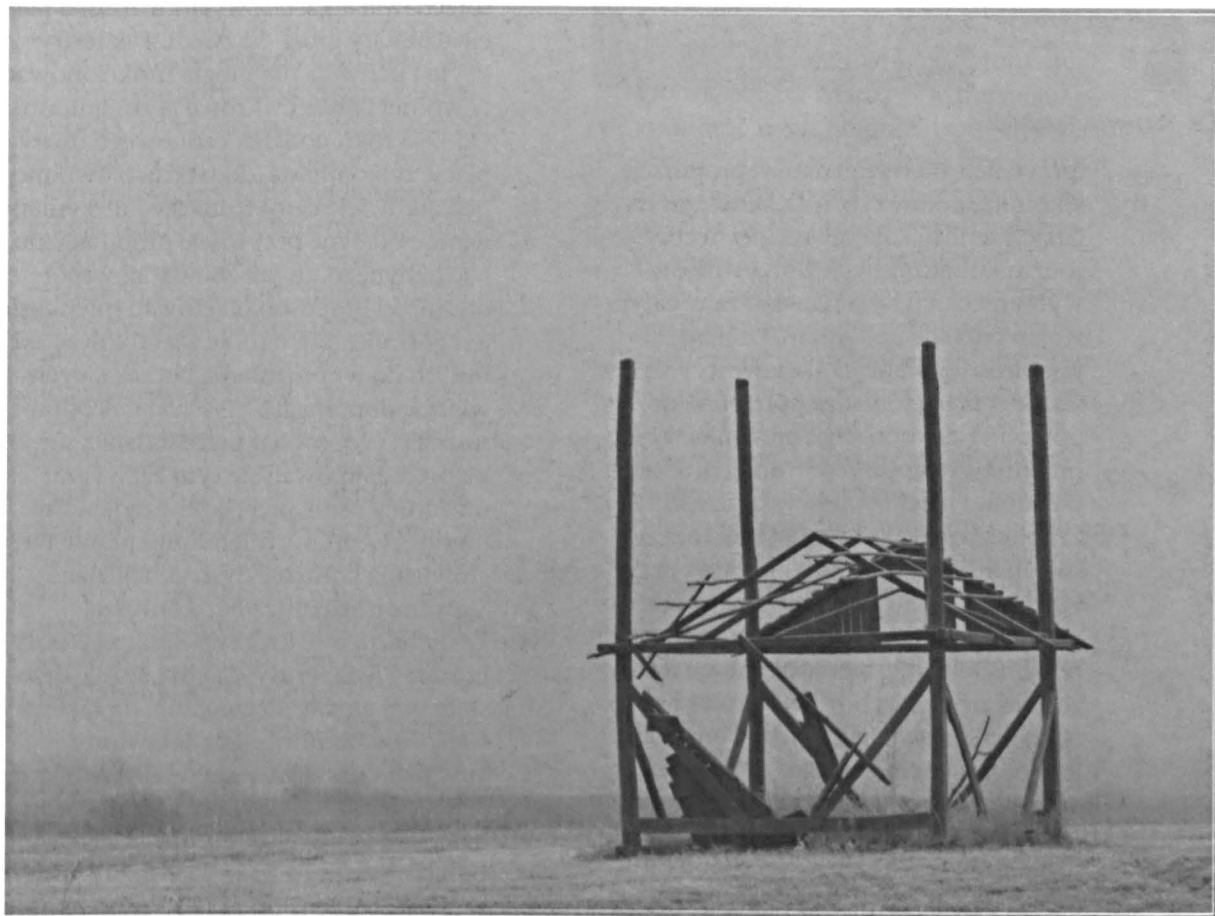
kach Kuszella, popełnianych na trzeźwo lub po pijanemu. Już nie daruję sobie, aby choć Fredry nie zacytować „pod Warszawą zaś Kuszell, kapitan huzarów, pijany, prze-czuł metodę Prisnitsza, kiedy szlachcica, jadącego w dzień ciepły w futrze, kazał z futrem wciągnąć do Wisły, aby się z nim kąpał”. Nie wiem czy na trzeźwo czy po pijanemu, ale wszystko wskazuje na to drugie, rozpoczął Kuszell swoje uczestnictwo w powstaniu listopadowym: „Antoni Kuszell z Żeliszewa, którego trzeciego dnia po rewolucji przybył do stolicy i prosto się udał do Banku proponując generałowi Chłopickiemu i Radzie Administracyjnej wyprawę na Litwę i wojnę partyzancką, a gdy go zimno tam przyjęto, perorował w kawiarniach i w klubie... Chłopicki, chcący go czymś zaspokoić, dał mu upoważnienie organizowania jazdy w województwie podlaskim. Antoni wzięwszy z sobą kilku-nastu akademików za adiutantów udał się do Siedlec. Chciał powiesić prezesa wojewódzkiego, pana Sternalskiego (Joachima Starnalskiego - A.R.), urzędnika ślepo posłusznego wielkiemu księciu, którego uciekł z pałacu rządowego przez tylne okno, aresztował majora komenderującego artylerią, jako nieochotnego rewolucji, szukał wszędzie osób, z którymi miał dawniej na pieńku, a pomiędzy innymi pewnego doktora neofitę, którego był raz odmówił przybyć na jego wezwanie, nastraszył bardzo, uwożąc go w las i po kilka razy, związawszy mu oczy, komenderując swoim przybocznym akademikom ślepymi ładunkami go rozstrzeliwać”. No, powiedzcie sami, czy takie hece można wyprawiać na trzeźwo?

Wykorzystanie alka w pałacach i dworach... mój Boże! toż to temat na pracę habilitacyjną. Oczywiście tylko dla zaawansowanych badaczy. Co ja, nieboraczek, mogę o tym pisać. Jeśli u Radziwiłłów na stołach ustawiano... jakby to ująć... makietę prze-

strzenne, w których płynęły rzeki z tokaju, a po nich pływały stateczki z cukru... to sami rozumiecie. W pałacach w Siedlcach i Radzynie aż takich brewerii nie było, ale jestem dziwnie spokojny, że trunków się tam za kołnierza nie wylewało.

Problem alka jest oczywiście utylitarny i grzechem byłoby sprowadzać go li tylko do pańskich stołów. Z dawien dawna prawo do wyrobu alkoholu na własny użytek posiadali chłopci osiadli na dawnych gruntach wybranieckich, najczęściej potomkowie piechurów wybranieckich. Łany wybranieckie i ich posiadacze były solą w oku dzierżawców dóbr królewskich (tylko w takich dobrach egzystowali wybrańcy). Dlaczego? A dlatego/ że posiadali rozległe przywileje gospodarcze - tylko nieco mniejsze od tych, które posiadał starosta, a całkiem niedostępne dla pozostałych mieszkańców wsi wchodzących w skład królewskiej.

Starosta mógł wycinać drzewa w puszczy królewskiej, wybrańcy także, starosta łowił rybki w królewskich stawach, wybrańcy tak samo, starosta produkował gorzałeczkę i piwko dla chłopów - oprócz wybrańców właśnie, bo ci mogli produkować sobie alka sami. Co prawda tylko „na domową potrzebę”, ale kto ich tam sprawdził. Pili sobie domowe piwko lub wódeczkę, a i pewnie cichaczem sąsiadów spraszali. Najbliżej Radzyna leżała tenuta (królewszczyzna) kąkolewnicka, zamieszkała zresztą przez nader sprytnych i rzutkich chłopów (śwarne gady chciałoby się rzec!). Wybrańcy tenuty kąkolewnickiej od okresu staropolskiego stanowili zwartą grupę. Potrafili się zjednoczyć, kiedy chodziło o dochodzenie i obronę swych praw. Podczas tzw. pierwiastkowej regulacji hipotecznej dóbr rządowych w 1826 roku władze usiłowały odebrać funkcjonujące jeszcze na tych dobrach służebności





📷 Katarzyna Kolasieńska

(przywileje na wyrąb drzew, propinację alkoholu, połów ryb, itd.). Wówczas na łanach tenuty kąkolewnickiej liczba rodzin korzystających z przywilejów wybranieckich była największa w całym województwie podlaskim. Działając wspólnie wybrańcy kąkolewnicki byli w stanie zebrać pieniądze potrzebne do opłacenia zawodowego prawnika. W ich imieniu występował patron siedleckiego trybunału Józef Pękosiński. Dzięki swej zapobiegliwości utrzymali niektóre ze swych liczących po kilka wieków przywilejów. A wielu innych mniej rozgarniętych posiadaczy łanów wybranieckich podczas tej samej regulacji w 1826 roku zostało zrobionych w „bolo” przez cwanego przedstawiciela Skarbu Państwa Franciszka Raciborskiego...

Właśnie tak na problem alka zapatrywały się władze państwowe – ci zdziercy jak zwykle weszli, co by tu można zachapać lub obłożyć podatkiem z czystej miłości do obywateli, rzecz jasna, i dla ich dobra. Pół

biedy jeszcze, kiedy władzuchna była nasza, krajowa, bo wtedy była szansa na rozbudowany dialog na linii rządzący – rządzeni. W okresie staropolskim prawo propinacji alkoholu spoczywało w rękach właścicieli wielkich dóbr ziemskich. Miejscowa ludność nie mogła produkować (z nielicznymi wyjątkami, patrz wyżej), ani kupować trunków z innych źródeł, co więcej musiała nabywać obowiązkowo pewną ilość pańskiego alkoholu. „Aby utrudnienie w nabywaniu trunków związane z prawem i przymusem propinacyjnym służyło podnoszeniu dochodów pańskich, a nie zmniejszało, o ile możliwości rozmiarów konsumpcji, dwór przykazywał karczmarzom, aby zawsze mieli pod dostatkiem trunków, oraz naznaczał kary na opieszalych”. Jakież to były dobre czasy! Nie było szans, aby się nie napić... W 1766 roku w Rzeczypospolitej wprowadzono czopowe i każdy, kto wyrabiał i sprzedawał alka, bez wyjątku, musiał płacić dziesiąty grosz od zysku. Tak restrykcyjna uchwała nie mogła funkcjonować w wolnej Polsce i wkrótce ją zmieniono. Od 1775 roku podatek czopowego miały płacić tylko miasta, dodatkowo uwolniono całkowicie ceny trunków i utrzymano w mocy dawne przywileje propinacyjne. Nic dziwnego, że, jak zauważali współczesni, „cały sposób przemysłu miejskiego jest gorzałkę, piwo robić i szynkować, a i innym do wypróżnienia beczek swych wiernie dopomagać”. Na dodatek administracja czopowego przedstawiała się kiepsko, zajmowali się tym zazwyczaj urzędnicy celni, przeciążeni zadaniami merytorycznymi, mieli inne sprawy na głowie niż kontrolę dystrybucji alka... Słowem: hulaj dusza bez kontusza!

Ale kiedy na ziemi Rzeczypospolitej weszły Europa i Azja (Prusy, Austria, Rosja) przestało być wesoło. Szczególnie na Ziemiach Galicji Zachodniej, gdzie osławiony austriacki fiskus zajął się rabunkiem kraju. Nasze Pogranicze szybko odczuło dobrodziejstwa systematu „europejskiego”. A butelkowane i beczkowane przyjemności zaczęły drożeć w błyskawicznym tempie. Jak już wspominałem, pod koniec I RP

podatek czopowego był pobierany tylko od mieszkańców miast, wsie były z niego zwolnione. Austriackim urzędasom, z miłościwie panującym wówczas oberurzędasem, nie mieściło się to w głowie. Od samego początku swoich rządów uważali, że czopowe musi być przeniesione także na wsie. No i przeniesli je w 1803 roku. Aby podatek dał spodziewany dochód, przeniesieniu towarzyszyły pełnowymiarowe szykany urzędnicze. Już od 1805 wysokość czopowego podwyższono, a dominia zmuszono do prowadzenia skrupulatnej dokumentacji wyszynku, wkrótce zarzucono im jednak nierzetelność i ogólnie szacunkowo narzucono ilość alkoholu, który powinna wypić każda galicyjska rodzina. Na przeciętną 5-osobową rodzinę winno przypadać, według ustaleń Wiednia, sześć garnców wódki rocznie. Czyli około 24 literków, zatem literek na twarz łącznie z niemowlętami, małymi dziećmi etc... Fajnie, nie? Jak ktoś myśli, że pomiar prawidłowości krzywizny banana jest szczytem biurokratycznej durnoty, to się myli... Tak, tak, można o tych czasach zanucić słowami Kazika: „A kto wódki nie pije, ten jest wywrotowcem, tak! świadomie uszczuplającym dochody państwa bezideowcem!”. „Stało się czopowe ogromnym ciężarem dla ludności miast i wsi Galicji i nawet w miastach mających prawo propinacji większość dochodów szła do kas państwowych” - pisał wybitny znawca dziejów Zachodniej Galicji prof. Tadeusz Mencil. Ale, ale, a dziś to jak jest? Ceny alka ciągle rosną, a na dodatek ciągle szykany i prohibicja. Pod chmurką nie wypijesz, tu nie, tam nie... A fe! Hańba! Jakie to tradycje kontynuuje się w wolnej Rzeczypospolitej, he? Nasze czy cudze? Wolności narodowe oprymowują! Kardynalne prawa łamią!

Jeśli już o tym mowa, to wróćmy do naszych możliwych. Po 1795 roku, niestety, jak to najczęściej bywało, „znaleźli się obrotowo” po obu stronach barykady. Powstała nawet nowa magnacka ideologia „Trzeba ratować ojcowiznę, gdy przepadła ojczy-

zna”. Pozornie nic słuszniejszego, ale wydaje mi się, że bardziej prawdziwe byłoby hasło „Trzeba ratować ojcowiznę, gdy się sprzedawało ojczyznę”. Niestety, w zaprzęg rydwanu władzy dali się wciągnąć także i ci, którzy ojczyzny nie sprzedawali, jak np. Małachowscy czy Czartoryscy.

Bezpośrednio i pośrednio.

Kiedy Czartoryscy zamieniali w 1806 roku Siedlce na dobra państwowe z rządem austriackim problem alka stał się niemal pierwszoplanowy. Spadkobiercy dobrej księżnej Aleksandry zachowali się brzydko i odebrali miastu prawa propinacji oraz podwyższyli opłaty od gruntów. Uczynili tak, aby w przetargach z władzami austriackimi maksymalnie podwyższyć cenę miasta, co, jak to przy takich okazjach bywa, jedna strona starała się najmocniej wydoić drugą. Naiwni mieszczenie usiłowali reklamować u władz austriackich - mieli do tego okazję, bo właśnie wtedy przebywała w mieście komisja rządowa oceniająca faktyczny stan dochodów miejskich. Można byłoby się spodziewać, że władze powinny się wmieszać w spór biorąc stronę mieszczan, obniżyłoby to przecież wartość nabywanego miasta. Akurat! Austriacy gotowi byli odżalować te głupie parę tysięcy, ważniejsza była władza. W myśl dewizy „dziel i rządź”. Wiedeń „wyrozumiałe” nie wziął udziału w sporze pomiędzy mieszczanami i arystokratami. Mimo płaczów i skarg siedleccy „sławetni” dostali korniaka i od Czartoryskich i od władz krajowych. Te ostatnie zyskały to, co chciały oprócz potrzebnych im Siedlec (idealne położenie i infrastruktura w sam raz na stolicę cyrkułu) właśnie i niezgodę wśród rządzonych. I jak zawsze opłaciło się.

Wasze zdrowie!





MARIA KRYŃSKA - SZOSTAK

Pod szklanym kloszem

"Stopy zdają się mówić:
Doszliśmy dotąd, to już kres."
(*Krawędź*, S.Plath)

"Jaki smak będą mieć wigilijne róże?
Pszczoly wzlatują. Wyczuwają wiosnę."
(*Przezimowanie*, S.Plath)

Może niebo mnie wypełni - stanę się
błękitem. Pszczoly
zwinęte w rój runą na mnie i we mnie,
obnażą mnie
do szpiku kości. Będziesz potem szukał
długo -nie rozpoznasz,
nawet jednego słowa, nawet jednej
obumarłej części.

Jeszcze walczy o mnie mój zagon cebuli,
jabłonie,
siedemdziesiąt jeden na jedną, zabieram im
owoc jak swój.
Powalam drzewa miłością, po której
milczenie. Cmentarz
roзраsta się we mnie ciszą, do
nieprzytomności.

Trawa wbija się w stopy zawsze, wyzierając
na wylot.
Nie mam jej tego za złe, niech robi co chce.
Przywykłam do bólu. Ścianie oddaję
czerwień, kolor
mego serca, przecież go porzucę. Położę się.
Zasnę.

Jeśli nie potknę się o Krawędź w tym
szalonym pędzie,
przetrwam. Przezimuję. Zrzucę szaty
żałobne. Cis dostojnie się nagnie
mojej smukłej skórze. Księżyc udzieli ślubu
obraczce w welonie.
Ja zasiądę do miodu, spojrzę kocim okiem,
więc to był raz trzeci.

Wiara

babci

To tłące się w nas zarzewie
Z ojca na syna, z matki na córkę
Ten rytm słów z ust do ust
Patrzysz na mnie znam to wyznanie
Jak pieśń pełną bólu łkanie tajemne

Mój bunt nie był na argumenty
Bo jak dyskutować z twoją pewnością
Za którą znaki pokoleń, życie
Bliskich, odeszłych za horyzont

Moja myśl łapie cię w locie
- dzisiaj jestem bliżej niż dalej

Wilczy zew

Przez chaszcze, wiązy, stary las
Wybiegamy: ja i cztery wilki -
Moja przyboczna straż
Tak na jedno oko, księżyc, troje gwiazd
przyływ -
Dzisiaj cię przyniesie po cyplach moich nóg
Na koldrę ciepłych traw
W rozkołysanie bioder



MAREK CHODOWSKI

ROSJA KARCZEMNA, CZYLI ALKOHOL W KRAINIE STOLICZNEJ

*Ty chodzisz pijana
Tys zbladla jak sciana
Ty moja, ty mila
Wierna i kochana.*

A. Platonow „Szczęśliwa Moskwa”

Rosjanie często podkreślali i podkreślają, że ich kraju, mentalności, historii, życia społecznego nie można zmierzyć taką samą miarą co reszty Europy. Zastanawiając się, co determinuje i tworzy słynną „rosyjską duszę” odmiennosc narodowego charakteru tej nacji, możemy przekonać się o słuszności maksymy: „Rosji rozumem nie pojdziesz”.

Przyjrzyjmy się historii alkoholu w krainie *Stolicznej*. Przyjrzyjmy się jak ogromne przestrzenie, surowy klimat, trud egzystencji osławiane były przez alkohol a

dokładniej wódkę. Rozpocznijmy opowieść o niepojmowalnej „Rosji karczemnej”.

O istotnej roli alkoholu w życiu słowiańskiej Rusi może świadczyć przekaz, mówiący, że książę kijowski Włodzimierz wybrał chrześcijaństwo jako religię dla swojego ludu między innymi pod wpływem argumentów mnicha bizantyjskiego, który przekonywał go o wyższości swej nauki. Mówił on, że islam zabrania całkowicie a judaizm częściowo picia alkoholu, natomiast chrześcijaństwo jest wolne o tego zakazu.





Joanna Bukowska

A na Rusi jest' wjeselie piti, nie mozet biez towo byti - miał odrzec Włodzimierz i poprowadził swoich poddanych by ochrzcić się w Dnieprze. Był rok 988 po narodzeniu Chrystusa.

Napoje alkoholowe Słowianie produkowali ze sfermentowanych owoców, jagód, miodu, zbóż. Najpopularniejsze na Słowiańszczyźnie były różnorakie miody i piwa i kwas chlebowy. Wódka na Rusi po raz pierwszy według historyków pojawiła się w 1386 roku, kiedy to na dwór księcia moskiewskiego i włodzimierskiego Dymitra Dońskiego przybyli kupcy włoscy, jadący z Genui na Litwę. Przyjęci gościnnie mieli zrewanżować się „palącą wodą”. Aqua vita (okowita) do tej pory na Rusi nie była znana i wtedy jeszcze nie przyjęła się. Po raz drugi o wódce w Moskwie słyszymy w 1429 roku, za panowania Wasyla II Ślepego ojca Iwana III Srogięgo. Był to więc okres końca zależności Rusi od Tatarów i początków

budowy niepodległego Państwa Moskiewskiego.

Początkowo wódka używana była nie jako napój, ale w celach leczniczych i dezynfekcyjnych. Szybko jednak Rosjanie zagustowali w picu okowity. Wkrótce przestali ją importować i rozpoczęli miejscową produkcję. Prekursorami byli prawdopodobnie mnisi klasztorni. Znane są także przekazy o walce z nielegalnym pędzeniem alkoholu, odnoszące się do 1474 roku, kiedy to w Pskowie wprowadzono zakaz przywożenia podrobionego alkoholu.

Sankcje państwa spowodowane były faktem, że popularność gorzałki dostrzegli także władcy moskiewscy. Już Iwan III jako pierwszy zapoczątkował monopol państwa na produkcję i sprzedaż alkoholu. Także Iwan IV Groźny zadbał o monopol. Później państwo zrezygnowało z pełnego monopolu na rzecz dzierżawy praw do produkcji i handlu alkoholem, za co trzeba było jednak zapłacić państwu. Od własnej produkcji już tylko krok do eksportu. Przyjmuje się, że Rosjanie rozpoczęli handel wódką po 1506 roku, kiedy Moskwa podpisała traktat handlowy ze Szwecją i „palące wino”, jak nazwano towar, pojechało na północ.

Nieocenionym wkładem Rosjan w rozwój produkcji alkoholu były prace chemika Dymitra Mendelejewa. Sporządził on optymalną recepturę i definicję wódki - alkoholu przygotowanego z żytniego zbożowego spirytusu rozcieńczonego miękką źródlaną wodą do 40%, którego jeden litr powinien ważyć równo 953 gramy. W 1894 roku formuła chemiczna wódki została opatentowana i powstała słynna „Moskowskaja osobiennaja” - pierwowzór rosyjskich wódek.

Relacje cudzoziemców opisujących Rosję często zawierają opisy pijanstwa tak niższych warstw, jak i dworu carskiego. Iwan Groźny uwielbiał ponoć upijać do nieprzytomności swoich gości. Piotr I i jego otoczenie znane było z hulastycznego trybu życia i stworzenia „Najbardziej Pijanego Soboru”. W 1716 roku, za jego panowania wprowadzono prawo, według

którego codzienna racja alkoholu przysługiwała między innymi żołnierzom, budowniczym Petersburga, stoczniovcem i robotnikom portowym. Kolejnym przykładem pijaństwa na szczytach władzy mogą być spotkania organizowane na „dworze” obsesyjnie podejrzliwego Józefa Stalina, który upijał swoich współpracowników, licząc, że pod wpływem alkoholu powiedzą coś, czego nie odwazyli by się nawet pomyśleć na trzeźwo.

Pili także kolejni I sekretarze komunistycznej partii i pierwszy prezydent Rosji Borys Jelcyń. Wyjątkiem okazał się Michaił Gorbaczow i - jak pisze prasa - obecny przywódca Władimir Putin.

Tutaj dochodzimy do problemu jaki stanowi nadużywanie alkoholu wśród społeczeństwa rosyjskiego. To ciągle jest jedna z jego ulubionych rozrywek. W różnych okresach w Rosji próbowano ograniczyć spożycie wódki, a nawet wprowadzić prohibicję, jak to nazwano po rosyjsku - *suchoj zakon*.

Próbował Mikołaj II w czasie I wojny światowej, także bolszewicy podczas wojny domowej pod jakże dopingującym hasłem: „Towarzyszu wstań! Przecież na kolanach nie będziesz budował komunizmu”. Ostatnią wielką próbą były rządy Michaiła Gorbaczowa. Za ten fakt i upadek ZSRR nie jest on jednak w swojej ojczyźnie dobrze wspomniany. Były to jednak przypadki dość odosobnione.

Pod koniec lat dwudziestych XX wieku Stalin miał powiedzieć: „Co jest dla nas lepsze: jarzmo zagranicznego kapitalizmu czy wprowadzenie wódki? Oczywiście, że zdecydowaliśmy się na wódkę, albowiem uważaliśmy i uważamy nadal, że jeśli dla zwycięstwa proletariatu i chłopstwa przyjdzie nam odrobinę powalać się błotem, zdecydujemy się na to”.

Zupełnie zdumiewającym epizodem historii Rosji jest jednak fakt, że państwo za pomocą nakazów przymusowo nakażywało ludziom chodzenie do szynków i picie wódki. W połowie XIX wieku handel wódką w przeżywał w Rosji kryzys, spowodowany masowym podrabianiem alkoholu. Pojawiła się wódka bardzo złej

jakości, którą lud nazwał siwuchą. Jej cena, początkowo niska, znacznie wzrosła. Speculacyjna cena i niska jakość siwuchy doprowadziła lud do granic wytrzymałości i sprawiła, że ludzie przestali ją pić.

Początkowo sytuacja wydawała się chwilowa i incydentalna, jednak mimo obniżenia ceny knajpy nie zapełniły się. Miał oto miejsce za panowania Aleksandra II, cara reformatora, który został po przegranej wojnie krymskiej pustki w skarbie. Na reformy potrzebował pieniędzy, dlatego w 1859 roku wyszło rozporządzenie o przymusowym odwiedzaniu szynków, zaś cenę wódki podniesiono. Wybuchwały buntury chłopskie, które stłumiono, cenę alkoholu zdecydowano się jednak obniżyć.

Picie mocnego alkoholu w Rosji stało się elementem jej historii, kultury literackiej i kulinarnej. Według jednej z anegdot w 1941 roku Stalin rozkazał wyciągnąć z łagru starego, jeszcze carskiego generała i zapytał co zrobić, żeby utrzymać Moskwę. Generał odpowiedział, że Moskwę pomogą obronić trzy rzeczy na „S”: słonina, suchary, spirytus.

W tradycji polskiej ostatnim kieliszkiem pije się *strzemienne*, w Rosji *na pasaszok*, od posocha - podróznego kostura, z którym wyruszano w drogę. Kończy się opowieść o roli alkoholu w historii naszego wschodniego sąsiada. Pozostaje więc... *na pasaszok*.



Bibliografia:

1. A. Kuzmiszczew, K historii ruskogo narodnowo „winnowo ducha”, http://www.ng.ru/style/1999-11-05/16_wine.html
2. B. Popija, W starinu zapiwali, a nie zakusywali, http://www.ng.ru/style/2001-11-13/12_vodka.html



WOJCIECH SZMIĄG

1980

przypadkowy bohater nie odkrył niczego
szturmówki łopotały na plakatach
padły pierwsze słowa

czerwone krzyże otoczone pochylniami
masa krytyczna postulatów z drewna
lubiłem lato, salw nie było

wczoraj w Gdańsku spotkałem Pannę S.
nocą po ćwiartce rozmazany tusz
sierpień bolał jak wtedy

kelnerka rozplynęła się za naszymi plecami
motywowana setką czystego eteru Panna S.
rozchyliła usta i uda pod stolikiem

zapatrzyłem się w twarz siwego barmana
starając się odgadnąć czy strzeliłby
do własnej córki?

świętowanie

formalności świątecznych formalistów czas
zacząć
sacrum zanurzone w śmietanie nabiera
smaku
ciężko pachnie makowiec ironicznych
uśmiechów
wierni szukają wiernych w oparach
drogiego alkoholu

zwracam hostię, oparty o mur klasztoru już
bez treści
cholernie zimno... za wcześnie... za dużo... za
późno?
ciemność kwitnie wokół dotkliwymi
tęsknotami

dwa tysiące lat za mną, miliard przede mną
spóźniłem się na nic i nic już nie przyjdzie
ocieram twarz brudnym, ostrym śniegiem
śmieję się, w uszach budzą się bębny
Nawaho

Romek, gdzieś ty się tak spieszył?

zimno i mokro jak cholera, Romek
a ty wybrałeś się na łękę
za kościołem

dwa znicze dwa zimne żółte kufle
płomień na mokrym lastryko
deszcz

facet, który kradł wczorajsze kwiaty
zapytał - *kolega?*
otworzyłem gronowe wino

kurwa, cały się trzęsę, Romek, w środku,
koleś zniknął, to nic że nie pogadamy,
to nic, śpij

CHIMERA (WIECZNIE ŻYWA)



Ostatni wykład Leonarda.

PRZEDMOWA.

W trzydziestym roku życia, Leonard da Vinci przybył na dwór Ludwika Sforzy i założył w Medyolanie pierwszą, jaką wogóle powstała w Italii, akademię.

Sztych autentyczny z Muzeum Brytańskiego, przedstawiający widzianą z profilu florentynkę z odsłoniętą piersią, nosi napis ACHA: LE: V: i robi wrażenie dyplomu lub projektu na dyplom. Mamy nadto sześć rysunków florentyńskich, gdzie sznurki franciszkańskie przewijają się i wiążą wzorem dekoracyjnego pięknopisma arabskiego; czytamy na nich: ACADEMIA LEONARDI VINCI. Zgromadzenie to tworzyli zapewne naprzód uczniowie-malarze: Luini, być może przedziwny Sodoma, Andrea Solario, Marco da Oggione, Beltraffio, Cesare da Sesto, Gaudenzio Ferrari, Andrea Salaï, Francesco Melzi; dalej, humanista Lomazzo, Fra Luca Pacioli, autor „Della divina proporzione”, Konstantyn Lascaris i Demetrios Chalcondylas. Urzędowy poeta księcia, Bellincione, a niekiedy i znakomity Bramante — przyłączali się do uczniów.

Akademia miała skupiać nadto młodzież żądną kształcenia się i pociągniętą przez geniusz oraz wdzięk Mistrza.

Nie jest tedy zmyśleniem bezzasadnem przypuszczenie, że mógł przemawiać po raz ostatni do tych, którzy od lat szesnastu karmili się jego wiedzą, i że, jeśli to zrobił, w owej tragicznej dlań chwili, — musiał wznieść się do rozważań najwyższych, musiał wyłożyć swą teorię sztuki, czyli — jakbyśmy dzisiaj rzekli — swoją estetykę.

W różnych rękopisach ogłoszonych przez p. Ravaisson'a, w Kodeksie Atlantycznym, oraz w kolekcji Windsorskiej, którą wydaje p. Szabasznikow, znajdujemy rozproszone pierwiastki tego wykładu ostatniego.

Cudzysłowy wokół zdań tekstualnych oraz odsyłacze do różnych rękopisów i wydań zjeżyłyby dziwacznie ten zwięzły zarys. Zwraca się on do artystów, a bardziej snadź jeszcze do pisarzy naszych czasów, w których niewolno szanującemu się człowiekowi oddzielać w ukształceniu swem Sztuk Pięknych od Literatury. Obyż wzniosły ten głos z poza grobu był egzorcyzmem skutecznym dla sztuki i smaku dni dzisiejszych.



OSTATNI WYKŁAD LEONARDA DA VINCI
W JEGO AKADEMII MEDYOLAŃSKIEJ [1499] *).

Pragniecie usłyszeć, w przemówieniu pożegnalnym, ducha mojej nauki. I owszem, przystaję chętnie, acz duszę mam smutniejszą, niż w on dzień, gdy na ścianie re-fektarza wyszło na jaw złowrogie olejów działanie. Ach! budowle Bramanta opuszczone... Księżę utracił państwo, majątności, wolność... i nic z tego, co przedsiębrał, nie jest ukończone...

Wytrwałość broni nas od zniewag losu, jak odzie-nie od urazów zimna. Podobnie, jak pomnażamy suknie, gdy zimno się zwiększa, zdwójmy wytrwałość w dobie wielkich urazów życia, aby dusza nasza nie poniosła szwan-ku. I pytajmy doświadczenia, tej najbardziej gorzkiej, ale

*) Te *Memorabilia* największego z artystów, wydobyte z pię-ciu tysięcy stron jego rękopisów, z pietyzmem przełomaczone i ułożone, przedstawiają jego estetykę i bez ujmy stanąć mogą obok czysto technicznego *Traktatu o malarstwie*.

najpewniejszej wyroczni. Pośród knowań, zbrodni i bitew, które są jednakim księstw i rzeczypospolitych obyczajem, stawać po stronie wielkorządzących losów rzemiosłem jest najemnego kondotyera. Patrzcie na mnichów: żyją oni w dobrej zgodzie z Turkami, aby tylko wolno im było śpiewać swe modły. Tak i artyści powinni być zgodni, aby tylko wolno im było robić swoje.

Jakto? nasza ręka, która tyle truduła się, aby miśternie władać pędzlem, miałaby teraz chwycić szesnastostopową dzidę! Na toż tak długo kształciliśmy swego ducha, aż się stał zwierciadłem, w którym odbija się dzieło Boga, aby teraz wystawiać głowy na pociski obłąnnicze! Kapłan, który się miesza do spraw świeckich, obniża swój urok i znaczenie: malarz winien nie znać innych białych i czarnych prócz barw na swojej palecie.

Doradza mu to, obok nader żywych instynktów samozachowawczych, nieskończone dostojeństwo Sztuki, która, jak słońce, jaśnieje dla wszystkich oczu i zachwycą równie pizańczyków jak florentczyków, równie gwelfów, jak gibelinów. I niedość jest — umyć ręce od wydarzeń państwowych; winniśmy nadto wyznawać najwyższe poszanowanie dla Pisma Świętego, przedewszystkiem dla tego, że w niem jest prawda, a potem, ponieważ artysta trzymający się nauk odszczepieńczych i wichrzycielskich odstręcza od swych dzieł ludzi, którzy są jedynie słów jego przeciwnikami.

Sztuka nie będzie miała wrogów i nie będzie zapoznawana przez nikogo, jeżeli artysta przykładając się będzie wyłącznie do swej pracy. Jakoż w istocie, Sztuka przedstawia tylko przyjemność dla każdego i prawdziwy pożytek moralny: leczy z nieokrzesań pierwowotnego. Miećcie to za pewnik: ludzie rodzą się zwierzętami, a iluż przez całe życie pozostaje tylko workiem na pokarm! Człowiek rodzi się złym, ale wkrótce poznaje, że z jego

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

5

korzyścią jest być cnotliwym. Iluż dobyłoby pugiłału przeciw spółzawodnikom, iluż zabrałoby sąsiadowi to, czego im brakuje, gdyby nie strach takiegoż pugiłału lub praw karzących!

Dla nas robienie majątku nie jest celem, a służba nasza warta więcej od służby mnichów. Oni sprzedają publicznie i swobodnie łaski boże, nie pytając o pozwolenie gospodarza w niebiesiech, i płacą za to, czego żądają, niewidzialną, nieuchwytną monetą. My, malarze, czynimy widzialnymi Boga i Madonnę; ludzie oglądają ich na naszych malowidłach, jak gdyby w objawieniu. Jakież kazanie zdolne jest nawracać takie tłumy i przez tak długie lata, jak moja *Wieczerza* u Najświętszej-Panny-Łaskawej, zawsze jednako przekonywająca?

Gdy religia zostanie odrzucona, jako hamulec stający na przeszkodzie rozpętaniu nieprawości, fresk mój jeszcze opowiadać będzie ludziom najbardziej zepsutym o niezmierności Boga potędzie! A gdyby ohydni zbrodniarze rzucili się na kościoły, wstrzymałaby ich — ich, których nie odstraszało już nawet świętokradztwo — piękność i doskonałość malowideł świętych.

Sztuka nasza wyjaśnia tajemnice i czyni prostemi, dotykalnemi dogmata najciemniejsze. Teolog nie zdoła nigdy wytłómaczyć Dziewicy-Matki. Gdy my ją odmalujemy, świat cały ją pojmuje i hołdem otacza. A jednak nikt z bractwa naszego nie był policzon w poczet świętych, nawet Fra Angelico!

Miłość rodzi się z poznania; im ono głębsze, tem bardziej miłość wzrasta. Owóż artysta, nieustannie zapatrzony w Stworzenie, oddaje Stwórcy hołd ustawiczny. Kędyż szukać Boga, jeżeli nie w człowieku, Jego dziele, i jakąż wielką modlitwą jest rysunek, który sili się zgłębić i odtworzyć obraz Boga! Wpatrzeni w przedziwny ład przyrody i w cudowną sztukę budowniczą, wyja-

wiającą się w ciele ludzkim, poznajemy zaiste sprawcę wszego życia i miłujemy go, jakośmy powinni, rozważając, że ciało niczem jest obok duszy, która zamieszkuje taką architekturę i która — wszystko jedno, czysta czy grzeszna — jest rzeczą boską.

Piękne malowidło wysławia Artystę Najwyższego, bo zmusza do patrzenia na objaw jego potęgi. Bez nas, ubodzy duchem nie pojęliby dogmatów: my to dajemy ciało duchom i pokazujemy ludziom aniołów żywych i uśmiechnionych.

Dwa odruchy, instynkt i pragnienie, działają w nas jako siły poruszające: od jednego z nich nie możemy się oswobodzić. Musimy jeść, i spać, i odziewać się. Ale nie byłoby rzeczą niegodną zajmować ducha wydarzeniami swego żołądka? albo, gdy się jest sytym, poszukiwać snu, tego rodzaju śmierci? albo zakładać chlubę swą na chodzeniu w jednej nogawicy czerwonej, a drugiej zielonej, wedle nakazu mody, zawsze niedorzecznej? Szlachetne pragnienie jest duchowem: cnota i wiedza jedynie zadowolnić je mogą.

Pragnienie piękna odwraca nas, na przykład, od rozwiozłości, która zezwierzęca tyle osobników. Kto ma w pamięci piękne nagości sztuki, odsunie się raczej od kurtyzan, bo nie znajdzie w nich doskonałości, która żyje mu w myśli. Nie obraży to psują obyczaje: one uzdrawiają je raczej.

Florencya, miasto demagogiczne, nie zasłużyła na piękne talenty, które jej się zrodziły, skoro uważa malarstwo za rzemiosło, dla tego że artysta otrzymuje wynagrodzenie. Nie żyją-ż kapłani z ołtarza, t. j., z prawdy, którą wykładają tłumowi? Słuszna też, iż my żyjemy z piękną, gdyż bez naszego tłómaczenia mało ktoby je znał. Żli kapłani uchodzą niejednokrotnie za doskonałych. U nas obluda jest niemożliwą. Widać odrazu, jeśli obraz jest

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

7

zły. Zresztą, policzcie ilość mnichów: tysiąc ich na jednego malarza.

Nie skończyłbym nigdy, gdybym miał na celu apologię Sztuki. Posiada ona właściwość boską: tworzy; czyni widzialną niewidzialność, a trwałymi rzeczy najbardziej pierzchliwe. Słodki uśmiech ust kobiecych, który urzekł całe życie Danta, my możemy go okazywać wszystkim i przez wieki całe. To, co jest jeno mgnieniem w rzeczywistości, my umiemy przeciągać poza długowieczność patryarchów. Przez to jesteście panami czasu.

Wielorakość języków, Babel nieustanna, przeszkadza ludziom rozumieć się wzajem. Węgrzyn, Esklawon nie pojma ojczenaszu wypowiedzianego po tokańsku. Malarstwo, jednaki dla wszystkich język oczu, zrozumie Turek niegorzej od Lombardczyka. Zmuszamy dziecko, a ono płacze, ucząc się liter. Pokażcie mu rysunek: odczyta treść obrazu bez nauki. Z wyjątkiem baretu, rzeźba nie ma takiej jasności wyrazu: pozbawiona barwy, gry światła i cieni, wyobraża ona poruszenia ciała raczej, niż duszy.

W głowach starożytnych widzimy cechy stale te same, wszystkie boginie podobne są jedna do drugiej, piękne tą samą pięknnością, młode jednaką młodością. Nasze madonny są różnymi osobami, nie zaś jednym ciągle typem, i jawią ogromne urozmaicenie rysów. Starożytność oddawała piękno cielesne tak, że niepodobna uczynić lepiej. Ale odkąd jeden człowiek umarł na Wschodzie i odkąd Zachód oplakuje go co piątek, nowe piękno wraz z nową objawiło się prawdą. Jedna dusza odniosła zwycięstwo nad światem, wyłącznie przez swą piękną. Pojmowano dotychczas tylko gwałtowność namiętności albo pogodę bogów, a oto Bóg, który płacze, oto namiętności łagodne. Wielkie чудо, z którego powstała nowa Sztuka, współzawodnicząca ze starożytną. Dzwonnica Giotto wy-

sza jest nad obeliski. Architektura, matka sztuk, poczęła je wszystkie, ale malarstwo, niezrównane jej dziecie, powołane zostało do oderwania się od monumentu i do stania się monumentem na własną rękę, i nikomu nie przyjdzie nawet na myśl jego drobna rozciągłość materyalna, jeżeli pełne jest wyrazu.

Mówić wam będą niejednokrotnie: „Zwróć oczy ku temu zwierciadłu, możesz w niem oglądać, do woli, postacie niebiańskie lub karykaturalne; wybieraj, co chcesz widzieć: aniołów czy ludzi, królowy czy wieśniaczki, głowę Bramanta czy idyoty!” Mogę, prawda, malować, do woli, Izabellę d' Este lub wiejską gęsiarkę, księcia Ludwika lub jego masztalerza — ale nie powinienem tego robić. Tylko postacie niezwykle wybitne zasługują na zaszczyt sztuki.

Niektórzy z was towarzyszyli mi do Borghetto, gdy szukałem rysów Judasza. Ci, znając me notatniki, pełne grotesków, zdumiewali się mojej trosce — bo przecież łatwo jest zawsze oddać coś brzydkiego. Ale jakkolwiek nikczemny był sprzedawca Boga własnego, trzeba go było zrobić możliwym pośród innych uczniów, pięknych bez różnicy, jako przystało duszom, które myśl boska przybrała sobie za towarzyszkę. Pewien święty upewniał o brzydocie Jezusa. „Przez pokorę,” mówił, „Zbawiciel pragnął niewątpliwie wydawać się najokropniejszym ze śmiertelników.” O głupoto biskupia! Przez zakon Najwyższego, ciało jest dziełem duszy; sama ona kształtuje swą powłokę i wykuwa ją od wnętrza na zewnątrz, jak złotnik chcący stworzyć wypukłości. Spytacie: jakże się stać mogło, jeżeli Jezus był tak piękny, aby cześć i miłość nie przejęły Żydów na jego widok? Owóż, ci nędzni nie mieli wcale sztuki: zakon zabraniał im czynić wizerunki czegobądź, co jest w niebiesiech lub tutaj na ziemi. Oczy ich, te okna duszy, były zamknięte, nie otrzymały światłości form. Bez sztuki, człowiek nie zna

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

9

piękna, bo sztuka jedna je wyraża. Tym więc, którzy są ciemni, na podobieństwo Żydów, brak zawsze dobroci oraz rozumu twórczego. Spójrzycie na sekciarzy Mahometa, zabobonnych i okrutnych, na te prawdziwie nieokrzesane zwierzęta: nie znają oni malarstwa, podobnie jak Żydzi.

Uważać możemy jakąś postać pod trzema względami: 1-o w jej gatunku i proporcjach: człowiek jest człowiekiem, zwierzęciem ludzkim; 2-o w jej namietnościach oraz ich odruchach: lew rozwścieczony ryczy albo też jeździec stara się poskromić konia; i 3-o jeśli nie chodzi już o jakiegobądź człowieka, lecz o człowieka, który myśli i robi rzeczy, jakie sam tylko myśleć i robić jest zdolny.

Trzy więc mamy stopnie w malarstwie: wyobrażenie zwierzęce lub typowe; ruch namietnościowy; i wreszcie stan pojmowania. Ci, co zatrzymują się na dwóch pierwszych poziomach, nie osiągają bynajmniej celu sztuki, którym jest wyobrażenie osobistości wiekuistej. Życie i jego potrzeby, namietność i jej przystępy są wspólne człowiekowi i zwierzętom. I zwierzęta parzą się, chodzą na łowy, walczą między sobą, podobnie jak my. Ale my myślimy, a one nie. One umierają, my zaś jesteśmy nieśmiertelni. Owóż, nieśmiertelność wynika ze zjawisk nieznanym zwierzęciu, które są, bez wyjątku, żywszymi lub spokojniejszymi stanami myśli.

Łatwo znaleźć modelów dla rzeczywistości i dla proporcji ciał, równie jak dla niskich namietności. Lud i żołdactwo dostarczają wszędzie zwierzęcych akcentów gniewu i chciwości; gdzież wszakże szukać wzorów myśli i nieśmiertelności, jeśli nie między królami i książętami, którzy, bądź aby zdobyć, bądź aby zachować swą potęgę, zmuszeni są do nieustannego wysiłku przezorności, oraz najśmielszych a zarazem najskrytszych obmyśłów i rozli-

czeń? Ci, którzy wzniesli się ponad spólobywateli przez wielkie czyny lub nawet przez kabały i knowania, uderzają zazwyczaj charakterem pełnym zastanowienia, któremu piastowanie władzy więcej jeszcze nadaje głębi: pilnie więc badać ich należy. Co do motłochu, nie zaniedbywałem go bynajmniej, jako jednego z przedmiotów obserwacji; któż wszakże zużywałby barw dostojenstwo na gęby bezmyślne i rubaszne? Tyleż warto byłoby naśladować na płótnie bez zmiany pierwszy lepszy spotkany krajobraz. Niemasz widoku, który stanowiłby tło odpowiednie dla jakiejś postaci, o ile nie zmienimy go w cokolwiek. Jaskinia zgodzi się zawsze z niedźwiedziem, wilk z lasem, a wół z łąką; ale z chwilą, gdy chodzi o obramienie szlachetnej postaci ludzkiej, konieczną jest kompozycja twórcza. Może się zdarzyć, że wielkość, na podobieństwo Sokratesa, brzydkim będzie dla nieregularności rysów; ale jak miejscowość jakaś przemienia się w oczach zależnie od stanu nieba, tak oblicze człowiecze, jakiegokolwiekby było, nabiera życia i wyszlachetnia się głębią duchową w pewnych chwilach, gdy indywidualność wychodzi na jaw. Aby portret był podobny, trzeba wypowiadać modela, mówić o miłości z kobietą a o walkach z wojownikiem, gwoli rozbudzeniu duszy. Róbcie portrety tylko do pół ciała i wielkości mniej niż naturalnej: w ten sposób twarz zachowa całe swe znaczenie. Zaczynajcie od oczu, niechaj będą czynne, brzemienne wolą. Pięknym jest ten portret, który opanowuje, więcej, oczarowuje widza: najlepiej niechaj z oczu danej osobistości wyziera sam artysta i niechaj w ten sposób daje coś z własnego ducha tworzonym przez się postaciom.

Żadnego ruchu ni gestu, inaczej postać stanie się alegoryczną. Okazałem wam, że model może odmieniać wyraz do nieskończoności. Ta sama głowa, pod wzglę-

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

11

dem linii i proporcji,—przechodzi od marzenia do wzgardy, od smutku do gniewu, przez prostą zmianę cieniów wokół oczu i ust. Nie troszczcie się o uwydatnienie wyrazu, żadnych nie pozostawiające wątpliwości. Zagadka pociąga człowieka i więzi jego uwagę. Księża mają słuszość, że nie chcą, aby wyjaśniano religię. Gdyby nasze tajemnice chrześcijańskie zostały zrozumiane, trzeba by natychmiast wymyślić inne; umysł nasz karmi się zagadnieniami. Magia zgubiła wiele tęgich głów, ponieważ, odsłoniwszy, w mniemaniu swem, tajniki wiary, stały się one wyznawczyniami innych tajemnic dziwacznych i, wrzeczko przeniknąwszy skrytości Kościoła, spostrzegły wnet inne... a potem inne jeszcze.

Rozum ćwiczy się, jak u siebie w domu, w dziedzinie doświadczenia. Nabyć jakąś wiadomość — pożyteczna zawsze dla umysłu, choćby dla tego, że porzuca się bezużyteczne, a zachowuje to, co dobre. Bo, nie znając, niepodobna nic kochać lub nienawidzić; to też pragnienie poznania działa w człowieku jako instynkt zwierzęcy.

Znajomość przeszłości i badanie stworzenia są ozdobą i karmią ducha ludzkiego. Należy posuwać się od znanego do nieznanego — i świadectwo zmysłów jest prawdziwym probierzem prawdy; ale rozum nie może ogarnąć nieskończoności: początek i koniec rzeczy leży za granicami umysłowości ludzkiej. Niechaj sobie mnisi i księża, którzy przez natchnienie posiadli wszystkie tajemnice, tłómaczą pisma święte, które są prawdą najwyższą. My zadowolnijmy się tem, że, nieokreślając nieskończoności, damy ją odczuć. Aby wywołać ten odbłask nieskończoności w jakiejś twarzy, należy odrzucić znamiona namiętnościowe i ukształtować maskę poważną i uśmiechnioną jednocześnie, pociągającą i ujarzmiającą zarazem, niby chimere, która nie byłaby okrutną, albo syrenę, która chcia-

łaby tylko wypróbować żeglarzy, albo wreszcie niby anioła nieco ironicznego.

Te materye zbyt subtelne wymykają się słowom: zrozumiecie mnie jednakowoż, gdy powiem, że piękne oblicze winno być jak gdyby muzyką myśli harmonijnych a nieokreślonych. Jakaś nuta wydaje nam się smutną lub wesołą, stosownie do okoliczności, jaką nam przypomina; podobnie, jakaś twarz nader różnym podoba się widzom: żaden nie widzi w niej tegoż samego.

Mówili jedni, że zbyt wielką dałem przewagę naturze ludzkiej Zbawiciela, ponieważ poza jego głową brak tradycyjnego nimbu złotego; drudzy, że rozwinąłem za nadto naturę boską, ponieważ Jezus z rezygnacją nadludzką przyjmuje zdradę Judasza. Zrobiłem zatem dobrze, skoro stronnicy jednej i drugiej natury odnajdują je w moim dziele. Widz doszukuje się w obrazie, na który patrzy, własnych swych dążeń; i sam artysta odtwarza nieprzeparcie myśl swoją, więcej nawet, rysy swej własnej twarzy; dochodzi tak daleko, że obdarza modelów swych własnymi wadami i zaletami.

Kto wierzy, iż celem Sztuki jest odtwarzanie natury, nie namaluje nigdy nic trwałego: bo natura — żyje. Ale nie ma ona rozumu. W dziele, myśl winna wynagrodzić i zastąpić życie, inaczej ujrzymy tylko twór cielesny, bez duszy. Dostojniejsza to będzie zawsze — pomyśleć postać niebiańską, aniżeli skopiować ziemską, namalować anioła aniżeli człowieka.

Jedynie przedmioty duchowe godne są kusić prawdziwych artystów, choćby tylko przez swoją trudność! Czem gardzimy w rzeczywistości, gardźmy tem również i w sztuce. Któż śmiałyby wziąć za temat obrazu żebraków u drzwi kościelnych, albo wieśniaczki na targu, albo też wyobrazić odwach, szynkownię lub ghetto żydowskie? Wszystko to może być pożytecznem przy nauce. Brzydo-

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

13

ta przyda się przy badaniu piękna, bo pojmujemy lepiej jakąś rzecz przez jej przeciwieństwo. W dziele, prawidłem jest piękno, wynikające z potrójnej doskonałości: formy, uczucia, oraz idei.

Zaczynamy od piękna zewnętrznego, i możemy sobie przyklasnąć, gdy je osiągniemy; potem staramy się wydobyć na jaw duszę. Byłoby dzieciństwem ubiegać się o oddanie namiętności, zanim się posiędzie wszystkie części budowy ciała ludzkiego i pozna ruchy każdego członka w najprzeróżniejszych położeniach. Ale kto już posiadał umiejętność, postępować będzie inaczej. Zacznie dzieło w duchu; potem będzie się starał wynaleźć ruch odpowiadający jego idei; wreszcie, po trzecie, narysuje ciało zamierzonej osobistości. — Gdyby ktoś, chcąc malować Chrystusa, zaczął naprzód pracować podług modelu, nie doszedłby do niczego. Oto jak winien postępować. Musi wyobrazić sobie, naprzód, medytacyjnie, czytając Ewangelię, Człowieka-Boga; gdy wyobrażenie wyosobni się w jego duchu, musi wybrać zdarzenie najbardziej nadające się do uwydatnienia tego obrazu, oraz zdecydować rysy twarzy, postawę i wszystko to (osoby czy krajobraz), co ma obramować Zbawiciela. Wówczas dopiero niechaj weźmie modelów, aby ustalić ruch, fałdy odzienia, oświetlenia i perspektywę optyczną.

Przedniejsze wszakże głowy, te, które mają wyrazić myśl jego, musi stworzyć w swej wyobraźni. To wynalezienie twarzy jest wierzchołem geniuszu i trudności zarazem.

Dzieło składa się, jak człowiek, z ciała, duszy i ducha. Uczniowie, zaczynajcie, wedle wymagań nauki, od ciała, które jest rzeczą znaną, aby potem dotrzeć do duszy, która stanowi nieznaną. Mistrz, przeciwnie, zacznie od idei, a potem nada jej wyraz i kształt właściwy. Nie naśladowcie malarzy północnych, którzy, nie wznosząc się

do dziedzin ducha, celują w oddawaniu niektórych uczuć, jak pokory i prawdziwej zbożności, ale kopią przytem niewolniczo pierwszą lepszą osobę spotkaną i brzydko odziewają piękne dusze.

Na ulicy zwraca uwagę nie człowiek szlachetnej, spokojnej postawy i przystojnej odzieży, lecz ten, co uderza wzrostem nadmiernym lub strojem dziwnym.

W sztuce, widz lubi przede wszystkim wszelkie przesady: uwielbienie jego żąda, aby je zdumiewano czemś niezwykłym i nieznanym; dla tego, na drodze, którą wam nakreśliłem, nie zbiera się uznania ogółu. Oko tłumu znajduje upodobanie w barwach nader żywych i niezgodnych, kładzionych twardo jedna przy drugiej: jest to błąd barbarzyński. Obraz powinien mieć barwę ogólną, panującą i uciszącą zabarwienia poszczególne, jak gdyby rozsiane w nim światło stanowiło kolor główny.

Rysunek ma za przedmiot jedno tylko: apoteozę ciała ludzkiego. Biorę to słowo w znaczeniu starożytnym, w rozumieniu heroicznym, i dochodzę oto do ważnej kwestyi charakteru dwu płci.

Wojownik nie będzie miał nigdy zawiele męskości, ani młoda branka — zawiele słabości i omdłałości. Ale postacie anielskie lub alegoryczne do jakiejż płci należeć będą? Zarost i piersi wypukłe nie przystoją jednako naturom duchowym; nawet gdyby naśladować cechy wieku bardzo młodocianego, chłopiec będzie miał zawsze niedość słodczy, a dziewczątka wyda się nazbyt wątłem.

Jeśli chcecie malować anioła, podług męczyzny, musicie zaokrąglić członki, ścięńczyć stawy, uczynić ruch giętszym, bardziej niewieścim; jeżeli pracujecie podług kobiety, trzeba usunąć nadmiar ciała, zmiejszyć krzywizny, nadać twarzy więcej męskości: tak, aby wydobyć młode dziewczę z modelu męskiego, albo młodzieńca z modelu kobiecego. W obu wypadkach, otrzymanie trzeci stan

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

15

ciała ludzkiego, łączący w sobie siłę z wdziękiem i stojący ponad wszelaką chucią czy pożądlivością; ten bowiem trzeci stan postaci ludzkiej nie obudzi żądz w mężczyznach, choć jest takim kobiecym, ani pragnień w kobietach, choć tyle w sobie męzkich ma rysów. Jest to zresztą jedyny sposób, aby uczynić piękno czystym i odpowiednim dla posłów niebiańskich, dla geniuszów oraz innych przejawów duchowości.

Dodajcie do tej formy, której natura nie zna, i którą geniusz człowieczy wynalazł, aby mózdz wcielać niewidzialne, dodajcie — mówię — do tej formy charakter muzyczny wyrazu oraz cechy zagadkowe, jakie nadaje modelacja zastosowana do wydobywania na jaw wewnętrzności, — a otrzymacie prawdziwe zjawy nadziemskie, bez uciekania się do nimbów, niebios otwartych, albo efektów światłocienia.

Malarz odnosi wielkie zwycięstwo, okazując przez samo piękno, że jakaś postać nie należy do ziemi i niebawem powróci do nieba, z kąd zstąpiła.

W nagościach, ciało, przez swoją masę świecącą, odrywa nas od twarzy, tej niezrównanej widowni wyrazu: dobrze jest tedy miarkować ów blask za pomocą oświetlenia sztucznego. Co do głowy, należy ją modelować z wnętrza na zewnątrz. Jeżeli przyjmiecie modelację światła zewnętrznego, wyrzeczcie się potęgi i czaru ekspresji. Usuniecie śmiało głowę z pod wpływów okólnych, niechaj ona będzie obrazem w obrazie. Zwyczaj rozpoławiania twarzy przez linię nosową i pograżania jednej strony w cieniu — nic nie wart. Modelujcie przede wszystkim wyraz, a potem szukajcie światłocienia odpowiednie dla tej modelacji.

Zanim przystapicie do malowania, ustalcie głowę aż do szczegółów jedną barwą, zwłaszcza usta i oczy, i doprowadźcie je do ostatnich granic wykończenia. Kto ma

oczy, ma usta; kto ma oczy i usta, ma głowę; kto ma głowę, ma postać całą, bo w głowie objawia się myśl, ten nieśmiertelny przywilej człowieka. Ciało, draperye, tło, wszystko to są rzeczy dodatkowe.

Widzimy nieraz malarzy, których przyroda oczarowuje i ujarzmia; nie sądzą jej oni, odbijają jeno, jak staw odbija swe brzegi. Mistrz nie ulega takim zawrotom głowy; jest on, niewątpliwie, kochankiem natury, ale broni się od służalczości; to nie Herkules przędący u stóp Omfalii, lecz Ulisses przed czarodziejką Medeą, zmuszający ją do posłuszeństwa mieczem rozumowania.

Model, pożyteczny i niebezpieczny zarazem, zaciera nam w pamięci własną naszą koncepcję, a mówiąc to, nie mam bynajmniej na myśli aktów nagich wyłącznie. Nawet w portretach, strzeżcie się mód swojej epoki: uczynią one dzieła wasze śmiesznymi w oczach potomności. Strzeżcie się również idei swego czasu: artysta nie pracuje dla swych współczesnych, ani dla swego kraju, ani dla swojej rasy. Wszystko, co jest medyolańskim, florentyńskim albo z takiego a takiego roku, wszystko to jest złe: należy myśleć o powszechności ludzi i czasów. Strzeżcie się wreszcie, aby głowy jednego malarza nie były wciąż podobne do siebie i aby ten rys pokrewieństwa nie narażał różnaitości osobników. Wiekom przyszłym nudnymi się wydadzą te mody, te ruchy przesadne, te miny nienaturalne, które są tylko chwilowemi wykrzywieniami jakiegoś miasta czy gromady ludzkiej.

Nie naśladowcie tych, co przyodziewają swych bohaterów we własne kaptury, a postacie biblijne—w lachmany, ujrzane gdzieś w porcie lub na statku. Bo, gdybyśmy nawet znali rzeczywiste ubiory apostołów, jeszcze nie powinniśmy naśladować ich niewolniczo—inaczej byłiby to poprostu rybacy z nad Tyberyady, równie nie nie znaczący jak tutejsi z nad Adryatyku. Owóż, w apostołach

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

17

zajmuje nas przede wszystkim ich apostołat, nie zaś ich rzemiosło pierwotne: i mamy obowiązek wyobrazić ich jako rybitwów ludzi, nie zaś jako rybaków ryb. Wyobraźcie sobie, że odtworzyłem wiernie dwanaście głów żydowskich z Borghetto, składając się tem, iż uczniowie Chrystusa byli żydami, i że przyodziałem ich w turbany i suknie widziane w Wenecyi! Cóż za śmieszność! Cóż za karykaturalna rzeczby to była! — Nie pozostaje zatem, jak odziewać w szerokie szaty faldziste na modłę starożytną — powiecie? Dla czego na modłę starożytną? Nie odziewałem nigdy inaczej jak po Leonardowsku: stwarzałem moje suknie, moje płaszcze i ich faldy, podług mych ciał! Nie naśladujcie teutonów oraz ich załamań o kątach prostych i tak licznych, że ciało znika i że widzieć już tylko głowę i dwie ręce wydobywające się z dwudziestolokciowej fali tkanin. Malujcie podług tkanin cienkich i zwilżonych, i stopniowo dopiero pogrubiajcie, aby nie stracić z oka ciała. Każda postać namalowana winna mózdz zbudzić miłość, pełną czy to uwielbienia, jeżeli jest święta, czy ponęty, jeżeli świecka. Sztuka chce podobać się duchowi za pośrednictwem zmysłów. Nuży nas szybko świetna a hałaśliwa młodość, i znużyłoby nas szybko dzieło nie mające innego ponad ten powabu. Kobiety wywierające wpływ gwałtowny są raczej przebiegłe i zręczne, aniżeli nieskalane piękne: nie należy zatem poprzestawać na wyobrażaniu osób pięknie ukształtowanych i szlachetnych. Złożoność i subtelność urozmaicają niesłychanie ten sam przedmiot.

Niewiele filozofii potrzeba malarzowi, jeżeli pojmuje wyrażnie cel swojej sztuki. Niejednokrotnie wszakże uważa on, iż skończył z nauką, odkąd zdoła malować ściśle podług natury, — i, zapoznając wielmożne dostojęństwo swego pędzla, posługuje się nim gdyby narzędziem rzemieśl-

niczem, zamiast używać go tylko na rzecz piękna, jak rycerz dobywał miecza jedynie za sprawę słuszności.

Z Piękna, jak ze źródła, słodkie płyną rozkosze; oko podaje duszy miłe wrażenie, a dusza udziela go duchowi, rozwijając przez to nasze władze. Powstając naraz ze zbiegu stosunków i proporcji, nabierając potem życia przez namietność żywą i heroiczną, Piękno dochodzi jednak do szczybli najwyższych dopiero w sferze duchowości. Wyobraźnia nasza mocniejsza jest od naszej wrażliwości; duch strzeże lepiej tego, co otrzymał, niż podległa wzruszeniom dusza.

Ileż kobiet porusza z kolei człowieka, podczas gdy pozostaje on wiernym aż do starości myślom swych lat młodości! Aby Sztuka mogła zadowolnić ducha, dzieło musi ujawnić jednocześnie piękno rodzaju i piękno indywidualne, musi zjednoczyć w sobie doskonale ukształtowaną istotę typu z różnorodnością zależną od indywidualizmu. Im więcej w stosunku doskonałym szczególnych zawrzecie właściwości, tem pewniej osiągnięcie poklasku trwało. Wyrażając swą myśl, czuję podobną obawę, jak gdy mam schwycić motyla o skrzydłach połyskujących pyłkiem leciuchnym, który ściera się pod palcami.

Piękno złożone wynika z dwuznaczności i prawie z przeciwieństw. Wyobraźcie kobietę zbyt dumną, aby człowiek śmiał mówić jej o miłości, a nie mogącą ukryć niecierpliwego pragnienia być kochaną.

Tę połowiczność uczucia, ten wyraz dwoisty i zwiłkany—zglębiać należy u kobiet: ich ustawiczne wahanie się, ruchliwa kapryśność ich usposobień są źródłem tych mieniących się spojrzeń, tych uśmiechów niedających się określić, tych prawdziwych drogich kamieni dla artysty, który zdola w szlachetne oprawić je rysy.

Tak powstają owe migotliwości duszy, nieodparty rzucające urok i roznamiętniające jak zagadnienia szcze-

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

19

ścia. Bachantka, mniszka, obie o cechach zbyt wyraźnych, nie podniecają bynajmniej wyobraźni. Widz poznaje natychmiast ich rzeczywistość i nie ma powodu do marzenia. Musi on, przeciwnie, powątpiewać o swym zrozumieniu, aby w nad miarę podrażnionym umyśle zaroili mu się najróżnorodniejsze wykłady i objaśnienia. Człowiek kocha głęboko jedynie rzeczy nieuchwytnie i zapala swe pragnienie jedynie u krzosu przeciwieństw. Ludzie, których opuszcza żarliwa ongi nabożność, stają się zabobonnymi, więcej, oddają się czarnoksięstwu, z potrzeby nieznanego; nawet podniosła miłość wiedzy ma swe źródło w nieprzepartem ciężeniu natury naszej ku rzeczom niewytlómaczalnym. Miłość prawdy — ten najszlachetniejszy odruch naszego ducha — zanikłaby niezwłocznie z chwilą osiągnięcia celu. Poszukiwanie rozognia nas, wyrabia nasze władze, potęguje w nas życie wyższe. Odkrycie zawsze nas rozczarowuje. Szczęście jest tylko pobudką do działalności; gdybyśmy je osiągnęli, jużby nam nie wystarczało: zwróciłibyśmy się ku nowym poszukiwaniom.

Podtrzymujemy życie fizyczne pokarmami; życie duchowe znajduje karm' swoją w sztuce, bo ta utwierdza człowieka w jego poczuciu nieśmiertelności. Niebezzasadnie umysł podobien jest magnesowi: siła jego potęguje się w miarę ćwiczenia jego właściwości. Dostojeństwo śmiertelnika uwidocznia się w pieczy, jaką otacza on swój umysł: kto pielęgnuje rozum, pielęgnuje cnotę. Wszetecznicy, popędliwcy i chciwcy nie są ludźmi rozmyślań i pracy; nieustannie w pogoni za okolicznościami sprzyjającymi ich głupim namiętnościom, podtrzymują oni zamęt w kraju i zagrażają spokojowi innych. Kto z rozkoszą najwyższą zatapia się w rozważaniu stworzenia i sili się rozróżnić w niem prawa rządzące, ten dobrym jest obywatel; uchyla się on od spółzawodnictw i nie zna żądy ni zazdrości. Przykłada cenę najwyższą jedynie do

zbogacenia swej umysłowości: i słusznie, w rzeczywistości bowiem nie posiadamy nic prócz swych myśli. Patrzcie więc, gdzie szukać prawdziwych bogaczy? Nie są-ż nimi artyści, szafujący hojnie czeladzi ludzkiej skarbami swych wizyj, objawiający doskonałość rzeczy i świadczący o wszechmocnej ręce Wielkiego Artysty, której jesteśmy arcydziełem, ponieważ posiadamy nawskróś boską władzę tworzenia? Nie masz istotniejszego nekromanty, nie masz prawdziwszego cudotwórcy nad malarza.

Wywołuje on, wedle swej woli, najstarożytniejsze osobistości i nawet bóstwo samo! Niedość tego! na płaskiej i ograniczonej powierzchni umie okazać całą krainę z rozległymi równinami, wysokimi górami, krętymi rzekami, i jednocześnie dziecię-Jezusa, jego matkę, oraz orszak królów magów; i to nie są widma zwiewne, co olśnią na chwilę i zacierają się natychmiast: tu zjawia przeżywa tego, co ją wywołał.

Sam tylko malarz zdolen jest wywoływać duchy: nawet święci zjawiają się na zew jego i w takiej postaci, jak ich sobie wyobrażamy.

W tematach świętych należy trzymać się wierzeń powszechności, ponieważ same one są już obrazem wytworzonym przez wyobraźnię wiernych, z którym pomysł jednostki nie może się mierzyć. Odwiedziny królowej Saby u Salomona zależą zupełnie od upodobania artysty.

O ile jakaś postać nie istniała dotąd w umysłach ukształconych, z rysami uświęconymi przez tradycję i ściśle określonymi, niechaj artysta usiłuje uczynić ją tak pełną znaczenia, aby współcześni włączyli ją w orszak osobistości tradycyjnych: byłoby to najpiękniejsze powodzenie. Nie wyrażając żadnego faktu historycznego, postać ta będzie objawieniem jakiejś duszy.

Trzeba myśleć o muzyce i o chwili milczenia poprzedzającej wieczór, jeżeli się chce stworzyć wyraz kuszącej

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

21

ponęty. Gdy namalujecie kobietę, niechaj widz zapragnie być kochanym przez nią, żadnej jednak nie żywić nadziei! To są jedyne miłości, które nie kończą się łzami: bo im więcej uczucia w naszych pragnieniach, tem większa męka, wielka męka!

Malarz, który schlebia grubym instynktom, zapoznaje dostojęstwo swej sztuki. Ci i owi księża wykrzykują przeciwko studyowaniu nagości i chcieliby, aby, gwoli wstydnemu, człowiek nie znał świetności ciała. Sztuka nie może różnić się od człowieka: niewolno jej wyrzec się ani wdzięku, ani tchnienia rozkoszy, o ile nie chce umniejszyć się i ograniczyć. Wszystko dochodzi nas przez zmysły; cnotliwość polega na miarkowaniu ich odruchów przez jakiś pociąg wyższy. Kobieta budząca pożądanie nie będzie bynajmniej Wenerą, o ile brak jej cechy właściwej boginiom, że oniesmielają żądzę śmiertelnika. Niektórzy wyobrażają aniołów jako dzieci, jak gdyby czystość ich pochodziła z niewiadomości. Według mego rozumienia, potęgujemy ich dostojęstwo, jeżeli oczy ich niepokoją człowieka swoją wyższością umysłową. Wykonawcom zamierzeń niebieskich, powiernikom tajemnic — źle przystawałaby niewinność prostaczków. Anioł taki wyglądałby na dobrego sługę, który nie wie, co za piękny powierzono mu obowiązek, i spełnia go niewolniczo.

Starożytni nie postępowali nigdy lekkomyślnie, i trzeba mieć szczególne powody, by nie iść za ich przykładem. Jeżeli ich malarstwo, z którego nic się nie przechowało, podobne było do ich rzeźby, to miało ono wyłącznie charakter typów: bo najpiękniejsze posągi wyrażają spoczynek. Niechaj wasze postacie odosobnione będą spokojne; zaznaczajcie charakter czynny tylko w wyrazie: uśmiech niezwykle zaciekawym umysł bardziej, niż gestykulacja gwałtowna. Niewątpliwie, i z bitwy można stworzyć dzieło dramatyczne, dalem przykład tego, we

Florencyi, w epizodzie z pod Anghiari; jest to wszakże sztuka drugorzędna, wyższa od wyobrażania czysto zwierzęcego, ale niższa od wrażeń wywieranych przez pierwiastki duchowe. Oto dlaczego lud sądzi zawsze źle i nie poznaje się na pięknie najwyższem. Rzeczywistość sąsiaduje bliżej z jego własną naturą niezmiernie ograniczoną. Ganiono mnie, że zajmuję się najróżniejszymi rzeczami, obcemi mojej sztuce. Malarz winien być człowiekiem wszechstronnym i korzystać z najdrobniejszych spostrzeżeń. Poziomy to umysł, w którym nic nie budzi zajęcia oprócz własnego proceduru! Dzieło rozszerza się lub zaciera stosownie do tego, czy mózg malarza wielkie lub małe ogarnia widnokreśli. Kto w całym świecie widzi tylko swego modela i swą paletę, schodzi na poziom rzemieślnika: nie zastanawia się już ani nad sobą ani nad innymi, natura uderza tylko jego oko, lecz nie ducha, sam on staje się tylko okiem i ręką głupca — poza umiejętnością władania pędzlem — zupełnie ciemnego. Nauki są prostymi żołnierzami sztuki: pomagają jej do wyrażania z całą ścisłością najnieostrzeżeńszych, najnieuchwytniejszych rysów ducha. Rozległość i pewność wiedzy stanowią podstawę każdego zawodu. Cudowna harmonia wiąże między sobą rzeczy stworzone, i oko malarza wydobywa pierwiastki swej sztuki z widowiska życia. Bicie skrzydeł ptasich da wam rysunek powieki, fala konająca na piasku wskaże odruchy uśmiechu. Znajdowałem na niebie blaski dające się zastosować w spojrzeniu, a kwiaty nauczyły mnie póż dla rąk.

Malarz powinien przestawać z ludźmi, których los pomyślny wyniósł wysoko. Ich zamiary głębokie, nawyknienie do zuchwałego ważenia się na rzeczy i do szczęśliwych zawsze wyników, niezachwiana skrytość, która jest im konieczną, ustawiczną troską o zachowanie lub wzmoczenie władzy, wszystko to wyteża ich sprężyny

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

23

wewnętrzne i czyni z nich przedziwny materiał do studyów.

Ich oczy wyniosłe przysłaniają się, wedle woli, albo miotają błyskawice; w radzie czy w potyczce nabierają wyrazów, które doprawdy wprost przenosić na płótno. Tymczasem pośledni obywatel, zajęty jedynie zarabianiem pieniędzy, nie godzi naszej uwagi: niemasz dlań żadnego odpowiednika malarskiego. Łatwiej znajdujemy natchnienie w kobiecie, niż w mężczyźnie, bo patrzymy na nią z mimowolnym upodobaniem, które ma swój powód, nieznanym prawom przyrody. Malujcie ją, ze ściśniętymi kolanami, z rękoma zbliżonymi do ciała, z głową pochyloną i nieco w bok przegiętą: niechaj nie robi wrażenia zbyt łatwej zdobyczy ani zdawkowej uprzejmości. Inaczej widz nie uczuje żadnego pociągu, a niewarto pracować nad postacią, której niktby nie zechciał, gdyby spotkał ją żywą. Nie trzeba również, aby widz miał poufale uczucie, że spotykał już waszą postać, albo że zna zupełnie do niej podobne. Nawet przed portretem, krewni i przyjaciele winni dziwić się rzeczom, jakich malarz dopatrzył się w modelu. Jest pewna, rzadka nader władza przenikania aż do wnętrza istot, która sama jedna pozwala osiągnąć podobieństwo idealne, różniące się zasadniczo od dokładnego widzenia; działa ona w sposób wieszczbiarsko-odgadujący i wyjaśnia nieznanne przez znane, istotę wewnętrzną przez jej zewnętrzną. Rysowałem wielu starców, ponieważ ich zmarszczki i wykoszlawienia odsłaniają namietności i cierpienia ich lat minionych; z fałd ich skóry czytać można koleje życia, jak gdyby się patrzyło na mapę dokonanego ich przeznaczenia. U schyłku żywota, nos pyszałka zaznacza się wyraźniej, łysina odsłania czoło czcichutnego, bruzdy na twarzy wyjawiają skąpcę, a nadmiernie wydatne wargi — żarłoka. Dajcie niskie, zapadłe czoło, splaszczcie nos — a doprowadzicie typ do rubieży

głuptactwa. Rozszerzcie szczęki, zwiężając wargi,—a stworzycie wyraz okrucieństwa. Każda z namiętności naszych ujawnia w szczególności jakiś popęd bestyjalny, i podobieństwa zwierzęce odsłaniają, na pierwszy rzut oka, całe dusze ludzi. Któż nie zauważył dziwnego powinowactwa między ludźmi prawa a lisem, między duchownymi a fałszywą dobrodusznnością niedźwiedzia, podczas gdy ludzie szlachetni lecz niegłębokomyślni przypominają konia, kondotyerzy nasi mają profile ptaków drapieżnych, a wśród ludu najzwyczajszym jest typ zbliżony do psa lub barana. Cóż dziwnego, że mamy popędy zwierzęce, skoro organizm nasz w tylu punktach zbliża się do organizmu zwierząt? Ale, z innej strony, konieczność pracy nadaje ciału ludzkiemu cechy zasmucające: można odgadnąć profesję człowieka z nadmiernego rozwoju lub zaniku tej lub owej części ciała. Moda również psuje nasze kształty. Nogi wykoszlawiają się jednako przez nędzę i przez zbytek, przez wykwinne obuwie i przez chodzenie boso: należy więc rysować je idealnie. Dawajcie pierwszeństwo przed kurtyzanami kobietom wysokiego rodu i dobrych obyczajów. Życie próżniacze, skłonność do marzeń, czytanie poetów, pewien zresztą urok bogactwa — są rękojmią, że znajdziecie w nich doskonałe studyów przedmioty. Starajcie się zbudzić w nich żywe zajęcie, aby dać polot ich zalotności: uczciwe mają często wiele wyrazu, podczas gdy niepowściągliwe robią wrażenie jakiejś czczości wewnętrznej. Żądza hamowana wybłyska w oczach. Czemuż kobiety odsłaniają swe lubieżności, swe najsromotniejsze i najskrytsze postęпки księdzu, który nic z tem nie umie począć, podczas gdy też same wyznania dopomogłyby wielce malarzowi?

Noszę zawsze przy sobie małe zeszytiki, w których rysuję naprędce wszystko, co mnie uderza: nigdy atoli nie przeniosłem ani jednego z tych szkiców do żadnego

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

25

z mych dzieł. Byłem bardzo młody, gdy namalowałem jednego z aniołów w *Chrzcie Chrystusa* mistrza Andrzeja Verocchio, i wówczas już zdołałem stworzyć piękno, jakiego nikt dotąd nie oglądał. Głowy moje nie są podobne ani do mnie, ani do moich przyjaciół: są to medale myśli mojej, i dla tego pociągać będą zawsze tych, co myślą.

Unikajcie cech charakterystycznych, podobnie jak mód, waszego miasta, i myślcie o czasach przyszłych.

Malarz nie jest historykiem obyczajów, wyobraża on na płótnie człowieka, nie zaś medyolańczyków czy florentczyków. I tego już zawiele, że najróżniejsze postacie tego samego malarza mają zawsze jakiś rys pokrewieństwa.

Uczucia gwałtowne, czyny dramatyczne uderzają wrażliwość raczej, niż wyobraźnię. Przeciwnie, jeśli namalowana przez was postać wyobraża tylko siebie samą, bez żadnego gestu czy atrybutu, umysł widza doznaje podrażnienia — a wiecie, że człowiek lekce sobie waży to, co rozumie. Kształty niechaj zawsze będą harmonijne i takie, jakie ustanowili starożytni. My dzisiejsi możemy, po nich, tworzyć rzeczy nowe tylko w dziedzinie wyrazu. Aby odkryć jego teorię, idźmy drogą nauk, przez doświadczenie! W chwilach szczęśliwych, gdy patrzymy na cudną okolicę w piękny dzień słoneczny, albo gdy słuchamy przyjemnej muzyki, albo wreszcie gdy istota ukochana wyciąga do nas ręce, nie wiemy, jak oddać naszą radość: nazywamy ją wtedy niewypowiedzianą, niewyraźną, niewysłowną, nieprzetłumaczalną. A więc! według mnie, winniśmy dążyć do wypowiedzenia rzeczy niewypowiedzianych, wyrażenia niewyraźnych, urzeczywistnienia niewysłownych, przetłumaczenia nieprzetłumaczalnych. Wszystkie one są już gdzieś poza kształtami i proporcjami — i malowanie ich wykracza poza granice wyobrażania plastycznego; jest to tworzenie duchowe,

która ducha też pociągać będzie. Postacie takie darzą widza tą samą radością, co twarz ukochana. Ale twarz odnawia nieustannie swój wyraz, postać zaś malowana — nie.

Złożoność wyrazu musi zatem wynagrodzić wielką rozmaitość następujących po sobie gier fizyognomii. W tym dziale sztuki nie miałem poprzednika, a oto jak sam postępuję. Robię wiele rysunków tej samej głowy, jedno z wyrazem nader tklwym, drugie z ironicznym, te pełne omdłałości, inne tryskające życiem; i podług tych różnych wersji jednego tekstu, pożyczając to ztąd to zowąd jakiegoś odcienia, układam oblicze tak zagadkowe, że każdy w niem widzi to, co chce, nie myląc się jednak doszczętnie co do rzeczy, jakie w niem zawrzeć chciałem, bo wołał moją było usnuć wątek wyrazu z włókien najróżnorodniejszych. Wiecie, że, zmieszawszy rozmaite wonności, otrzymujemy nową; tak ja mieszam przeróżne wyrazy twarzy, by otrzymać z nich urok niejednolity, który nigdy nie znudzi widza, bo ten nigdy nie będzie pewien, czy to, co widzi, jest tem, co jest. W takiej sztuce, postać na obrazie panuje nad widzem potęgą spójżenia i niepokoi umysł jego jednoczesnym wyrazem wabności i lekceważenia wzgardliwego, rozdzielonym w równych częściach między oczyma i ustami. Większa to chwała pracować twórczo w takiej sztuce, niż malować namiętności, bo ruchy myśli są bez porównania subtelniejsze.

Wiem dobrze, iż nie jestem biegłym w literaturze, i że pewni zarozumialcy sądzą się w prawie zarzucać mi, jako nie rozprawiam wzorem uczonych humanistów! Bezmyślni! Mógłbym im odpowiedzieć, jak Maryusz patrycyuszom rzymskim: „Ci, co chępią się pracą innych, chcą zaprzeczać mi owocu mych własnych znojęw.“ Powiadają oni, że, nie będąc uczonym pisarzem z zawodu, nie powinienem wdawać się w żadne teorie. Nie wiedzą

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

27

snadź, że to, co mnie zajmuje, zależy od doświadczenia, nie od wysłowienia. Ci, co pisali dobrze, nie znali innej muzy prócz Eksperyencji: i moją ona jest przewodniczką. Tym, co śmia lekceważyć mnie — mnie, który jestem twórcą—odpowiem, że oni są tylko powtarzaczami starożytności. Twórca jest pośrednikiem między przyrodą i człowiekiem, podczas gdy czczy deklamatorzy przypominają raczej zwierciadła, które nie istnieją same przez się, i w które spoglądamy tylko gwoli temu, co odbijają. Jeżeli nie umiem poprzeć odkryć swych cytatai, powołam się na powagę wyższą, eksperyencję, mistrzynię ich mistrzów.

Niepodobna kochać lub nienawidzić czegoś bez poznania; miłość jest jego dzieckiem i tem dostojniejszym, im poznanie jest głębsze. Owóż, mogę rzec śmiało, że kocham prawdę, skoro silę się wydobyć ją z form i kształtów. Humanisci opisują obrazy starożytne, których żaden nie widział, ja zaś maluję obrazy, które każdy oglądać może, i które są owocem mego rozumowania. Dzieła starożytne są przykładami, mają one wskazywać nam, jak tworzyć nowe, inne. Gdybym, jak drudzy, kopiował draperie posągów rzymskich, przyklaskiwanoby mi za to naśladownictwo. Wynalazłem inne, jedynie właściwe dla mych postaci. Komu obca matematyka, ten nie zrozumie mnie z pewnością, ale to są jeszcze nauki, w których naśladownictwo jest możebne: uczeń może wkrótce wiedzieć tyleż, co mistrz; w malarstwie rzecz się ma zupełnie inaczej. Geometria może sprowadzić każdą powierzchnię do kwadratu, każdą bryłę do sześcianu; arytmetyka postępuje podobnie z pierwiastkami kwadratowymi i sześciennymi; piękność linii atoli uwidocznia się tylko w malarstwie, a tam najpilniejszy z uczniów nie zdoła często dorównać mistrzowi.

Artysta może osiągnąć taką władzę nad duchem wi-

dza, że ten zdolen będzie rozkochać się w kobiecie malowanej, niemniej niż w żywej. Zdarzyło mi się wykonać obraz treści religijnej, za którym jał szaleć pewien człowiek; kupił go i chciał zniszczyć to, co wskazywało boskość postaci, aby móżdż całować ją bez wyrzutów sumienia. W końcu, musiano usunąć malowidło z domu. Ten rys dowodzi duszy rozwiozłej i niepowściągniętej; iluzę wszakże znajduje rozkosz nader czystą we wpatrywaniu się w piękności, córy naszej sztuki! Gdybym chciał mówić jak humanista, powiedziałbym, że najpodnioslejszą namiętnością jest ta, która płonie do obrazu piękności zamiast do jej rzeczywistości cielesnej, i że szlachetna to rzecz znajdować rozkosz we wpatrywaniu się i rozpamiętywaniu jedynie. Wszystkiego nie masz w książkach: opis daje zaledwie słabe pojęcie o rzeczach, podczas gdy sztuka okazuje rzeczy same i z różnorodności ich umie jednakowo tworzyć widzenia zachwycające i straszne. Ona jest panem i bogiem form. Gaj czy pustynia, śnieg czy skwar letni ukazują się, wedle jej woli; ona wznosi góry, wyłabia doliny, lub rozciąga wzdłuż fal gładkie piaszczyste wybrzeża. Wszystko, co istnieje we wszechświecie przez istotę, obecność i wyobraźnię, wszystko to ona ma w duchu i w ręku; a ręce jej są tak potężne, że stwarzają harmonię przez proporcje uchwycone na pierwszy rzut oka.

Zgłębiałem magię, aby wiedzieć, co jest rzeczywiste: go w tych niezwykle żywiących uroszczeniach poszukiwaniach. Ołówek mój rozkazuje duchom lepiej niż różdżka czarnoksiężka, bo ja umiem wywołać anioła z arkusza papieru. Malarz jest najprawdziwszym czarodziejem. Zwołuje on duchy, i duchy przybierają kształty widome. Najczęściej nekromanci nabawiają się czczych halucynacji i wielkich mozołów, narażają się na stos i zwykle w końcu dostają obłąkania. Utrzymują oni, że duchy mówią z nimi. Jakżeby mogły to robić, skoro nie mają ust, ani

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

29

żadnego innego środka, aby wywołać drgania powietrza? Chyba na sposób malarski, który mówi do wyobraźni. Naprawdę wszakże domagałem się od tych szaleńców, aby narysowali coś ze swych widzeń. Nie pokazali mi nic. Żadne atoli badanie, nawet rzeczy próżnych i zwodniczych, nie pozostaje bezużytecznym zupełnie; powziąłem zamiar osiągnąć to, co zakładała sobie magia bezkutecznie; skierowałem całą pilność swą ku stworzeniu postaci, którą możnaby przypisać duchom, gdyby przybrały ciało; mam na myśli, rzecz prosta, tylko duchy dobre i wzniosłe, bo, co się tyczy złych i głupich, dość wyjść z domu, aby ich spotkać niepoliczoność. Cóż może być cechą ducha, jeśli nie potęga duchowa? a ponieważ prawdziwa wiedza nie dopuszcza ani złości, ani poufałości, nieodzowny więc będzie wyraz słodczy oraz lekko wzgardliwej wyniosłości. Moje postacie nie są w zupełności niebiańskie (widz mógłby czcić je, nie kochając ich jednak), ani też w zupełności ziemskie (nie działają bowiem na ducha, który doznaje poruszenia tylko przed rzeczami niezwykłymi i dziwaczными).

Mówiłem wam już, iż trzeba łączyć cechy młodzieńca i dziewczęcia, aby uniknąć pewnego rodzaju prostactwa, przywiązanego do spraw płci: bo rozbudzanie zwierzęcości obniża wartość dzieła. Radzę wam utwarzać wyraz ze spojrzenia (nie mówię: z oczu) człowieka głęboko uczonego i z uśmiechu kobiety zalotnej: zestroiwszy je należyście, wprawicie w zdumienie widza, którego jednocześnie ujarzmiacie będzie myśl mężka i ujmować wdzięk kobiecy. Cóż może być piękniejszego nad wiedzę kryjącą się pod rysami wdzięku, nad surową przewodniczką światła z oczyma czaru pełnymi i z rozkoszą tchnącymi usty. Malowano i przede mną aniołów zachwycających, których urok wszakże polegał wyłącznie na niewinności i na rysach dziecięcych. Ja dodałem im doświadczenie, wynik

rozmyślań głębokich: u mnie ich przywiązanie do dobra gruntuje się na znajomości zła. Sztuka jest tem drzewem, o którym mówi Pismo, tem jedynie zakazanem. Aby pociągnąć człowieka, potrzeba czegoś złożonego. Jedna tylko Madonna jest samą czystością. Aniołom nie obce jest bynajmniej to, co zwalczają nieustannie, a ponieważ walka to duchowa, muszą zatem przykładać całą cudowność swego umysłu, aby przewyższyć przebiegłość Szatana. Co do mistrza Leonarda — (nie śmieście się, tak chłopci nasi nazywają dyabła) — nie malujcie go nigdy. Z rysami, jakie przypisuje mu pobożność, byłby wstrętnie brzydki, a przedstawiając go inaczej, moglibyście narazić się Kościołowi.

My, wynalazcy zmyśleń, powinniśmy szanować zmyślenia starodawne oraz owo mniemanie pospolite, które wcale nie jest nierozsądne, skoro nadaje kształty zwierzęce temu, co idzie z dołu, zachowując piękność dla tego, co zstępuje z nieba. Jakiś humanista nie omieszkałby podać wam swego zdania za prawdę, popierając je powołaniem się na kogoś ze starożytnych. Czyliż komentatorzy nie znajdują w Biblii miejsc dających się zastosować do gwelfów i gibelinów? czyliż każda partya nie rozeznaje Antychrysta w przywódcy nieprzyjaciół? Jakiś dominikanin powie wam, że święty Jan przepowiedział na wyspie Patmos dzisiejsze wydarzenia w Toskanii! Ja nie filozofuję; ja maluję myśl swoją, od wnętrza i od zewnątrz. Człowiek myśli swobodnie: nie zdołałby jednak podobnie mówić. Na jednego, który ma jakieś prawdy do powiedzenia, tysiąc głupców ugania się za niedorzecznymi urojeniami. Słowa księży są doskonałe, ich obyczaj — zły. Pilnujmy się praw naszej sztuki i zgłębiajmy jej tajemnice: nie zbraknie ich dla największej przenikliwości. Zakresem człowieka jest człowiek; ale jedni wydają się więcej niż ludźmi, drudzy — mniej. Częstość podziwiałem więcej

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

31

duszy w mych koniach, aniżeli w ludziach, z którymi obcowalem. Jest coś drażniącego, gdy się widzi istoty bezmyślne cieszące się równie pięknym organizmem, jak najrozumniejsze. Można by pomyśleć, że niektórzy aniołowie uczłowieczyli się, i że wiele zwierząt stało się ludźmi. Z przykrością widzę, jak nieraz twarze prostackie lub karykaturalne ujawniają całe bogactwo linii i barw. Malarstwo winno służyć jedynie do uwieczniania najwznioślejszych ducha koncepcyj; bo, jak zwierciadło pochyłe, odbija ono, z natury swojej, niebo, traci zaś dostojność, gdy zaczyna odtwarzać pospolitość życia.

Cząstka dąży nieustannie do połączenia się ze swą całością, aby położyć kres cierpieniu, jakim jest właśnie jej niedoskonłość. Jak ćma leci ku światłu, tak człowiek wyrzyna się z powrotem ku swemu pierwopoczątkowi. Jego pragnienie spręża się ustawicznie ku nowej wiosnie i nowemu latu, ku nowym miesiącom i nowym dalszym latom; znajduje on, iż rzeczy pragnione nadchodzą zbyt powoli, i nie zdaje sobie sprawy, iż pragnie w ten sposób własnej śmierci. To tajemnicze i wyroczne pragnienie jest „piątą esencją,” duchem pierwiastków zawartych w duszy i dążących nieustannie do porzucenia ciała i do powrotu na łono tego, który je utworzył. Sztuka zaspokaja, przez dzieła swe, tę nieprzepartą potrzebę, źródło namietności, które sam tylko duch zdolny jest oczyścić. Przez to dążenie, człowiek oddala się od bieguna zwierzęcości i zbliża się do Przyczyny, która jest nawskróś duchową. Oko malarza, dające się łatwo oczarować naturze, pociąga częstokroć za sobą jego rękę, nie pytając mózgu o pozwolenie; wpatruje on się wtedy bez zastanowienia i wykonywa bez obmysłu. Ganiono mnie, gdy się odezwałem, iż malarz powinien być wszechstronnym, a jednak na tem polega jego dostojność. Nie masz umysłu tak nieokrzesanego, aby, za sprawą czasu i przy-

kładania się, nie był zdolny dać sobie rady z jednym z rodzajów malarstwa, krajobrazem, wyobrażaniem zwierząt, kwiatów, albo portretem, — ale byłby to rzemieślnik, nie artysta.

Porównyując między sobą różne sztuki piękne, ludzie oddają często pierwszeństwo rzeźbie, co wielką jest omyłką. O wartości posagu stanowią jedynie proporcje harmonijne i ruch. Jeżeli chodzi o myśl, to ta daje się uzewnętrznzić jedynie za pomocą światłocienia. Charakter osobistości ujawnia się tylko na twarzy; wszystkie Wenerzy starożytne wydają się córkami tegoż samego posagotwórcy: piękne są, lecz jednakie. Piękna tego prześcignąć nie zdołamy, zaledwie — ci i owi — osiągamy je niekiedy; pracujemy więc w kierunku, gdzie twórczość dalsza jest możebna, indywidualizujemy nasze postacie, tak, aby wszystkie różniły się jedna od drugiej, i to — ile można — najbardziej, nie kształtami, których liczba jest ograniczona, lecz wyrazem, który — powtarzać wam to będę bez końca — jest dziedziną nieskończoności. Tylko nie zapominajcie nigdy, że wykonanie musi być nieomyślne, gdy się zamierza coś duchowego. Dość jakiejś ręki ciężko narysowanej, aby zesromocić najwznioślejszą kompozycję. Wykończenie w robocie nadaje obrazowi cechę wytworności i potęguje jego znaczenie.

Trudno doszukać się piękna u gotyków, robota ich wszakże drobiazgowa i nader staranna zasługuje na wszelkie pochwały. Któż poświęci wiele uwagi dziełu, do którego artysta najwidoczniej niewiele przyłożył pilności? Nie pozwalajcie nigdy jednej barwie oddzielać się od drugiej; w postaciach drugorzędnych nie należy zaniedbywać się co do linii, można tylko nieco szerzej traktować robotę. W malarstwie nie masz antyków. Giotto zaczął wszystko. Nie mamy tedy nic do kopiowania, a mimo to odsyła się nas ciągle do starożytnych, w tej naszej sztuce

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

33

tak wyłącznie dzisiejszej. Zresztą, naśladowanie nie doprowadza do niczego. Trzeba by z ciała i z ducha być podobnym do artystów przeszłości, aby mózgi ciągnąć dalej ich sztukę. Pojmuję z trudnością myśli pokolenia, które bezpośrednio mię poprzedzało, a miałbym rozumieć zamiary i sposoby widzenia mistrzów dalekich i w czasie i w przestrzeni? Czerpmy formy z przyrody, a dusze z duszy naszej. Nieinaczej postępowali starożytni. Wyrazili siebie samych; wyrażmy-ż siebie i my. Korzystajmy jednakowoż z doświadczenia. Ostrzega nas ono, że wielką sztuką w Atenach było wyobrażanie Jowisza i Pallydy; wielką sztuką w Medyolanie będzie zatem malowanie Jezusa i Madonny. Religia była wszędzie i zawsze nieporównaną sztuk pięknych krynicą, i wielki malarz będzie zawsze malarzem religijnym. Tem bardziej, że drugie źródło inspiracji, mitologia, była także religią, której nie rozumiemy dzisiaj, i którą źle oddajemy. Starożytni, przy ich odzieży przestronnej i falistej, mieli ciągle sposobność widzenia ciał nagich w ruchu; my dzisiejsi robimy tylko na parę godzin jakąś istotę z gminu, która zazwyczaj chodzi ubrana zupełnie pospolicie: tego niedość, aby mózgi celować w malowanie nagości. Człowiek tem żywiej wyobraża sobie kształty, im oko jego mniej je postrzega; kobiety naszych czasów budzą wielkie namiętności, a są przecież odziane. Wywołałaby nagość ich żądzę równie gwałtowną? Nawet jeżeli chcecie dać wrażenie rozkoszy, nie straciecie nic przez draperyę: tylko będzie to rozkosz wyższego rzędu. Kobieta naga odpowiada raczej rozwiozłości niżli miłości, prosta chłopka zbudzić może tylko popęd, podczas gdy Beatrycze wstrząsa duszę jednym uśmiechem. Czyliż sądzicie, że najpiękniejsze ciało Italii mogło być zostawić w duchu Danta zapładniający, nieśmiertelny obraz tej, co zjawiała mu się, promieniejąca, pełna szlachetności i słodczy, i, z niewy-

słowną uprzejmością, pozdrowiła go jakimś dziwnym połączeniem dostojności i dobroci, które wywarło na nim takie wrażenie, że zdało mu się, iż w chwili tej poznał najwyższy stopień szczęśliwości niebiańskiej. Trzymając się *Życia Nowego*, nadawajcie waszym postaciom tę uprzejmość niewysłowną, to połączenie dostojności i dobroci, bo one zawsze jeszcze wywierać będą wielkie wrażenie. Malujcie kobiety jako Beatrycze. Mówiłem wam już, iż panie cnotliwe mają żywszą promiennność, niż nierządnicę; podobnie, malarz rozpustny odbiera dziełom swoim wszystko to, co oddaje rozkoszy. Malarze, miejcie jeno swą sztukę za panią serca i kochankę, jeno dzieła swe za potomstwo. Ten sam skud złoty nie może wpaść jednocześnie do kieszeni karczmarza i w czapkę żebraka. Namiętności niszczą istotę człowieka bardziej, niż praca, niszczą ją doszczętnie.

Z serca naszego, z ducha naszego, dusze i duchy niechaj się rodzą, na idealne życie piękna. Dzieło wasze tyle tylko mieć będzie uczucia, co wasze serce, tyle tylko szerokości, co wasz mózg własny. Artysta odtwarza w dziełach swych siebie samego. Jak ojciec — wedle tego, czy sam jest zdrow czy chory — obdarza dziecko swe dobrą lub złą ciałą konstytucją, skazując je na oplakane grzechów własnych następstwa, albo też dając mu korzystać z owocu cnót swoich, tak artysta uwydatnia w utworach własnych dobre swe lub też skażone obyczaje. Nie obojętna zatem, czy artysta jest skromny i przystojnie się prowadzi; hołdując cnocie i wiedzy, zaznaczy mimowolnie te cechy i w swoich zmyśleniach. Sakrament, nawet z rąk niegodnego kapłana, jest zawsze dobry, nigdy wszakże obraz malarza tonącego w nieprawościach.

Nic nie świadczy lepiej o nieśmiertelności duszy naszej, niż to dążenie do doskonałości, które, gwoździ do zaspojeniu własnemu, stworzyło sztuki piękne. Nasze tak

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

35

cierpliwe zgłębianie dzieła boskiego większych wymaga wysiłków aniżeli śpiewanie jutrzni. Różaniec nie przesuwają się w palcach naszych, ale dzięki im objawia się Pan na Najświętsza, a po niej święci i błogosławieni: przez nasze staranie, Bóstwo samo staje się widomem, a to jest wielki cud!

Księża wyrzucają nam, że rysujemy podług dzieła Pańskiego, w dzień Pański! Ganią nas również, iż malujemy przedmioty świeckie! O bezmyślni! Cóż jest świeckie? co święte? Nie oglądamy-ż wielkości Boga w drobnej muszelce, w kwiatku polnym, w listeczku każdym? Twarz uśmiechniona, młode i piękne ciało w podrzucie — nie ujawniają-ż Opatrzności? Nie mówił-że Jezus o kwieciu polnym? Podobał sobie między Martą i Maryą, mówił łagodnie z Samarytanką i z Magdaleną. A my nie mielibyśmy prawa malować tych świętych kobiet, ni czynić ich pięknymi! Jakże Ester znalazła dostęp do serca króla Aswerusa, jeśli nie przez swój urok? Nie wolnoż Ewie zjawić się u boku Adama w całym blasku pierwszej na ziemi oblubienicy i małżonki? Czytajmy do woli boską księgę ciał i dusz, taką, jak wyszła z rąk Twórcy na jego chwałę i na radość naszą.

Jeśli się mówi, że patrzenie odrywa umysł od subtelniejszego poznania duchowego, które wiedzie ku wiedzom boskim, i że jakiś filozof wylupił sobie oczy, ażeby lepiej myśleć, — odpowiem, że oko, pan i władca zmysłów, spełnia swój obowiązek, zaprzeczając gadaninom tępych, krzykliwych i miotających się kłamców, że filozof, który sam się oślepił, by lepiej rozumować, był szaleńcem... i że czyn jego stwierdza dostatecznie bezrozumność jego rozumowań. Zresztą, nie bywają-ż rozumowania źródłem najgorszych nedorzecznosci, herezyj i odszczepieństw? Jeśli Kościół przechodził tyle i tak bezpożytecznych zawichrzeń, sprawcami ich byli mnisi, marzyciele, którym

w odludziu cel roili się po głowach doktryny rozprzężenia; i obyczaje też cierpiały zawsze nie przez artystów, lecz przez mnichów. My, przeciwnie, mając umysł zwrócony nie ku jakimś urojeniom, lecz ku dziełu bożemu, nie myślimy bynajmniej narzucać światu nowinek, lecz tworzymy piękne baśnie na radość czystą dla duchów cichych i pokój lubiących. Nie, sztuka wcale nie psuje obyczajów. Nie malowane to kobiety gubią młodzieńców i starców, trapią rodziny i popychają do kradzieży i morderstw. Nader czystym byłoby miasto, które znalazłoby kurtyzany tylko w ramach, i w którym rozpusta rodziłaby się jedynie z oglądania i rozpamiętywania dzieł sztuki... Tak, artysta jest najlepszym obywatelem, bo geniusz jego staje się dobroczyncą całego plemienia i nadto dzieli się z nim swym urokiem. Uzacnia miejsca, gdzie pracuje; jak czarodziej, przeobraża wszystko, na co spojrzy. Ale oto z wielkiego poznania wielka rodzi się pokora.

Podczas gdy wszyscy podziwiają dzieło i boskiem je głoszą, artysta niezaspokojony cierpi; ujrzał błędy albo też spostrzega zbyt późno piękności, których brak. Cokolwiekby zdołał urzeczywistnić, w duszy ma zawsze doskonałość jeszcze zupełniejszą. Przyjmuje chwalby w obliczu współzawodników, bo jest człowiekiem, cieszy się z nich nawet; ale w samotności urąga sam sobie i goryczy się na swą niemoc. Wielki, zaiste, dramat rozgrywa się w duchu malarza, rozkochanego w swej sztuce i pragnącego wcielić myśl swą najwyższą.

Miedzy pracami, które legenda przypisuje Herkulesowi, najnadzwyczajniejszą jest ta, gdzie bohater wydziera śmierci Alceste, żonę druha swego Admeta. Tu już nie idzie o wytrzebiecie zbójców lub uskromienie potworów, tu przychodzi mu potykać się z samą śmiercią. Tak czyni i artysta z każdą ujrzaną pięknością: wydziera ją niemości, zbawia od śmierci i podaje na stulecia ludziom do

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA

37

rozpamiętywania. O śpiochu, cóż to jest sen? Podobien śmierci! Czemuż nie tworzysz dzieła, które po twoim zgonie ciągnęłoby dalej myśl twoją? Oto upomnienie, jakie zwracam zawsze do tych, co zdolni są je zrozumieć. Bóg, przez miłość dla swego stworzenia i przez zlitowanie nad naszą nędzą, pozwolił nam tworzyć wizerunki, które nas przeżywają. Wojownik znany jest tylko dzięki historykowi. Malarz broni się sam od zapomnienia i oddaje swym opiekunom i dobroczyńcom wzajemną w obliczu potomności usługę; bo pamięć jego, zamiast się zacierać, coraz świetniejszym z biegiem czasów jaśnieje blaskiem: on, co wyobrażał świętych, sam staje się świętym, i wiernej sztuki czczą go zgłębiając.

Niemasz zacniejszego nad to przeznaczenia, ani chwwały równie czystej, bo ona nie przyplaca się łzami ni krwią, jak sława zdobywców, bo ona płodzi tylko radość, i to najszlachetniejszą. I póki nie zabraknie ludzi cywilizowanych, wielki malarz znajdzie przyjaciół wszędzie, gdzie tylko któreś z dzieł jego oglądać będzie można. I samo niebo, którego był tlómaczem, przyjmie go między swe błogosławione.

A teraz oddajmy cześć Panu, naprzód przez miłość, jaką zasadnie żywić dlań powinniśmy, a potem, ponieważ umie on skracać i przedłużać życie nasze, to dobrodziejstwo, które cenić należy, nawet w chwilach najboleśniejszych.

PRZEŁOŻYL Miriam.

J. Péladan.





JOANNA KOWALIK

NOTA BIOGRAFICZNA

EUSTACHY POTOCKI

Potocki Eustachy h. Pilawa (1719-1768), cześnik koronny, generał artylerii litewskiej, właściciel Radzyna, Kurowa i Sernik w woj. lubelskim.

Był wnukiem hetmana Feliksa Kazimierza (zm. 1702 r.), synem Jerzego starosty grabowieckiego i tłumackiego (zm. 1747 r.) i jego drugiej żony Konstancji z Podbereskich, marszałkówny upickiej (zm. 1730 r.), wdowy po Marcinie Zamoyskim, staroście balimowskim, bratem Mariana, kasztelana lubaczowskiego oraz Pelagii żony Józefa Potockiego z linii prymasowskiej i Katarzyny Kossakowskiej.

Urodził się w Sernikach k/Lubartowa w 1719 r. (chrzest 21 IX 1719). Pierwsze nauki pobierał w kolegium jezuitów w Lublinie. Jego preceptorem był ks. Olszeński. Eustachego wysłano w podróż do Niemiec i Francji. Po powrocie w 1740 r. posłował na sejm z woj. podolskiego. 26 XII 1741 r. w Lublinie wziął ślub z Marianną Kątską, miecznikówną koronną. Małżeństwu błogosławił ksiądz Kajetan Sołtyk. Marianna była osobą łączącą dobre urodzenie, koligacje, majątek z zaletami osobistymi. Była wnuczką Stanisława Antoniego Szczuki (zm. 1710 r.) podkanclerzego litewskiego. Matką jej była Wiktoria, jedynaczka Szczuki, ojcem Jan Stanisław (zm. 1727 r.), syn Marcina Kątskiego (zm. 1710 r.) zasłużonego generała artylerii koronnej. Będąc jedyną spadkobierczynią majątków Szczuków i Kątskich wniosła w posagu ogromną fortunę, czyniąc Potockiego jednym z bogatszych ludzi w Polsce.

Jeszcze w dzieciństwie Eustachy otrzymał od ojca starostwo dubieńskie w woj. bełskim. Kolejnej cesji na rzecz syna dokonał Jerzy w 1738 r., kiedy Eustachy przebywał za granicą. Młody Potocki otrzymał wówczas starostwo tłumackie w ziemi halickiej, Dębno w powiecie horodelskim, a także drobne dzierżawy w województwie podolskim: Chreptyjów, Dziurdziankę i Dankowce. Przywilej podwójny wydany został przez króla 20 XI 1738 r.

Swoją działalność publiczną związał Potocki, zgodnie z tradycjami rodzinnymi, z karierą wojskową. W 1744 r. został pułkownikiem w pułku dragonów Wielopolskiego. Tego roku posłował również na sejm grodzieński z woj. lubelskiego; po obiorze marszałka był posłem małopolskim do senatu. W 1746 r. pełnił funkcje poselską z ziemi halickiej.

Okres politycznego zaangażowania Eustachego przypadł na czas wypełniony starciami

frakcji magnackich. Starosta tłumacki należał do stronnictwa hetmańskiego. Do 1751 r. jego kierownikiem był hetman wielki koronny Józef Potocki (zm. 1751 r.), później na czoło wysunął się Antoni Potocki wojewoda bełski i Jan Klemens Branicki hetman polny, a następnie wielki koronny. Przeciwno sobie republikanci mieli „Familie” skonsolidowaną wokół braci Czartoryskich i Stanisława Poniatowskiego. W czasie wielkiego zaognienia stosunków między obozami, po zerwanym sejmie „Boni Ordinis” w 1748 r., rodzina wciągnęła Potockiego do walki politycznej powierzając mu starania o łaskę marszałkowską w Trybunale piotrkowskim. „Familia”, którą oskarżano, że rządzi królewskim rozdawnictwem łask i sądownictwem w Polsce, nie chciała zgodzić się na dopuszczenie Potockiego do funkcji marszałka. Obie strony przybyły do Piotrkowa w asyście wojskowej. Doszło do zerwania Trybunału. Stało się to głośnym skandalem i wywołało burzę publicystyczną, w której wziął również udział Potocki. „Familia” odpowiedziała anonimowo, a ufając w swoją pozycję na dworze chciała uzyskać zgodę na sejm nadzwyczajny i sąd nad gwałcicielami porządku lub przedłużenie kadencji poprzedniego Trybunału. Przed przyjazdem króla na sejm próbowano pogodzić zwaśnione strony. Zwołany specjalnie dla naprawy Trybunału Sejm został zerwany przez Potockich. Eustachy posłował na ten sejm z woj. lubelskiego.

W 1751 r. skutecznie protegował do marszałkostwa Trybunału radomskiego deputata bełskiego Adama Chołoniewskiego. W maju w Piotrkowie starał się o funkcję marszałka dla A. Małachowskiego. Po śmierci Józefa Potockiego przyłączył się do J. K. Branickiego, popierając go wiernie w akcjach politycznych.

6 VI 1752 r. awansował na stopień generał-majora wojsk koronnych poświęcając się jednocześnie sprawom majątkowym na Rusi i Podolu. W 1754 r. starał się o kolejne stanowiska prosząc o protekcję Branickiego (o miecznikostwo koronne) i ambasadora francuskiego Ch. F. Broglie (o marszałkostwo nadworne). 6 lipca 1754 r. otrzymał cześnikostwo koronne. W tym okresie był już związany ze stronnictwem francuskim i pobierał od Francji pensję w wysokości 3 tys. dukatów. Współpracował z Branickim w sprawie ordynacji ostrogskiej.

Po wyborach sejmowych w 1754 r. przegrana „Familii” nie ulegała już wątpliwości, toteż

od Czarotoryskich odwrócili się najwierniejsi nawet współpracownicy. Ich przeciwnicy doznawali teraz oznak łask i protekcji dworskiej. Potocki, na wyraźne życzenie Branickiego, w tym samym roku rozpoczął starania o funkcję deputacką na sejmiku lubelskim. Przy pomocy Franciszka Salezego Potockiego i Jerzego Mniszcha, Eustachy został wybrany marszałkiem Trybunału Lubelskiego. Konkretną pracę trybunalską prowadził w jego imieniu, mimo sprzeciwu „Familii”, A. Potocki. On też za pieniądze pożyczone od Eustachego prowadził akcję wyborczą. Tak zabezpieczony Potocki mógł pozwolić sobie na rzadkie odwiedzanie Lublina. Za funkcję marszałkowską 16 XII 1754 r. wynagrodzony został Orderem Orła Białego.

Pozycja majątkowa, towarzyska i przychyłność dworu czyniły Potockiego atrakcyjnym w oczach Francji, w 1755 r. Broglie uważał go za zdarnego na przyszłego króla Polski.

Kiedy w 1756 r. wybuchła wojna siedmioletnia, Eustachy przewidywany był przez republikantów na marszałka konfederacji przy królu dla obrony Rzeczypospolitej. Wraz z Franciszkiem Salezym Potockim przybył do Warszawy jako poseł z ziemi halickiej, aby oczekiwać tu na przyjazd króla. August III, zatrzymany jednak przez Prusaków pod Pirną, na sejm nie przybył.

W 1757 r. Eustachy Potocki został skarbnikiem stronnictwa francuskiego. Działal według planów Wersalu, gdy za zgodą Branickiego skupował konie od kampanii koronnej dla wojsk saskich. Dzięki przyjaźni partii dworskiej cieszył się królewskim zaufaniem, został wyznaczony przez Augusta III do zebrania chorągwi do obrony Warszawy, a kilka miesięcy później 20 X 1759 r. obda-

rowany generalstwem artylerii litewskiej. Kiedy w 1761 r. doszło do sporu z Franciszkiem Salezym Potockim, m.in. o opiekę nad dziećmi Stanisława Potockiego, wojewody poznańskiego, stronę Eustachego wziął dwór, wojewodę kijowskiego poparli więc Cartoryscy. W 1762 r., po śmierci carycy Elżbiety Piotrownej, Katarzyna II postanowiła usunąć z Kurlandii Karola, syna Augusta III, osadzonego tam w 1758 r. i przywrócić to księstwo Bironowi. Król chciał się wówczas posłużyć Potockim dla podtrzymania w Mitawie królewicza. Wobec sprzeciwu kanclerza litewskiego Fryderyka Michała Czarotoryskiego, planów tych nie zrealizowano. Kiedy zmarł Michał Radziwiłł, Eustachy Potocki kandydował do buławy polnej litewskiej. Otrzymał rekomendację m.in. z sejmiku halickiego. Podobno w drodze ugody zrzekł się pretensji do buławy na rzecz Aleksandra Sapiehy, zyskując w zamian starostwo lwowskie.

Ostatni okres publicznej działalności

Potockiego, to czas jaki nastąpił po śmierci Augusta III (5 III 1763 r.). „Familia” popierana przez Rosję miała już kandydata na przyszłego króla. Stronnictwo hetmańskie było słabiej przygotowane. Potocki stał z większością republikantów po stronie hetmana Branickiego. W styczniu 1764 r. protestował u prymasa przeciw obecności wojsk rosyjskich w Prusach Królewskich. W końcu marca i na początku kwietnia był obecny w Grudziądzu podczas przegranego przez republikantów sejmiku. Na konwokację sejmował z woj. lubelskiego. W końcu czerwca sympatyzował z zawiązaną m.in. przez brata Mariana rekonfederacją Potockich w Haliczu. W 1764 r. uczestniczył w elekcji Stanisława Augusta.

11 VIII 1767 r. swemu bratu stryjcznemu Antoniemu, odstąpił starostwo lwowskie. 8 I 1768 r. oddał chorągiew pancerną w wojsku koronnym i starostwo urzędowskie synowi Kajetanowi.

Ostatnie lata spędził w Radzynie, który wniosła mu w posagu żona. W latach 1750-1765 według planów Jakuba Fontany i pod jego kierownictwem trwały tu prace przy przebudowie i wyposażeniu pałacu. Przy tej inwestycji zatrudnieni byli również Jan Chryzostom Redler, Jan Bogumił Piersz, Józef Lapen, Michał Dolinger oraz ogrodnik Jan Dawid Knackfus. Z inicjatywy Potockiego podjęto prace przy przebudowie kościoła radzyńskiego p.w. Świętej Trójcy oraz pobudowano kościelną bramę-dzwonnicę wraz z parkanem. Potocki ufundował również kościół parafialny p.w. Świętej Marii Magdaleny w dziedzicznych



Sernikach (także według projektu Fontany) budowany w latach 1759-1766 oraz kościół w Dubience. Potoccy wspierali ponadto Collegium Szczuczynskie założone w 1700 r. przez Stanisława Antoniego Szczukę. W przyjaźni pozostawali również z warszawskimi pijarami. Collegium Nobilium Potoccy powierzyli wychowanie i kształcenie synów.

W 1745 r. Potocki z żoną dostali *ius communicativum* na starostwo urzędowskie w woj. lubelskim. W roku następnym prawo do królewskiej Paparzyn w woj. chełmskim. W 1749 r. wyodrębnił część jurydyki Leszno w Warszawie i uzyskał przywilej zezwalający na utworzenie odrębnej jurydyki, którą nazwał „Tłumackie” od Tłumacza w ziemi halickiej. Drugą z jurydyk założył Eustachy na Powiślu. Powstała moc przywileju z 5 XI 1762 r., od imienia właścicielki została nazwana Mariensztatem. W Warszawie miał również Potocki dwa pałace, jeden po ojcu na rogu ul. Miodowej i Długiej, drugi, kupiony w 1758 r. od Bruhla, na ul. Wierzbowej. Posiadał również pałac i kamienicę w Lublinie, dworek i łaźnię na Pradze oraz jurydykę w Grodnie. Ponadto Eustachy Potocki był właścicielem klucza biłgorajskiego w Lubelskiem, hornostajpolskiego, borodziańskiego i kozarowickiego w woj. kijowskim. Na Podolu miał: Budzanów, Krywcze z wsiami Połajcze, Chmielów i Turne, w Grodzieńszczyźnie klucz sidrzański, na Mazowszu Szumowo i Wysokie Mazowieckie. W woj. chełmińskim miał klucz sartawicki. W woj. lubelskim oprócz wspomnianego Radzyna miał Serniki i klucz kurowski. W 1757 r. kupił Brzostówkę. Ponadto Potocki dzierżał królewską część o łącznej kwarcie 25 690 złp.

Eustachy Potocki zmarł w Warszawie 23 II 1768 r., kilka dni po śmierci żony. Pochowani zostali w kościele jezuitów w Warszawie. Projektantem katafalku był Jakub Fontana, dekoracje malarskie wykonał Jan Bogumił Plersch i Jan Berezycki.

Z małżeństwa z Marianną z Kątskich, damą Krzyża Gwiazdowego (3 V 1745 r.), tłumaczką Moliera, Potocki miał ośmioro dzieci: córkę Cecylię Urszulę wydaną za Hieronima Sanguszkę, starostę czerkaskiego (potem wojewodę wołyńskiego) oraz synów: Kajetana, Ignacego, Jerzego Michała, Stanisława Kostkę, Seweryna Franciszka, Jana Eryka i Ubalda Karola, z których dwóch Seweryn Franciszek i Ubald Karol zmarli w dzieciństwie.

Bibliografia:

Portret Potockiego, 3 ćw. XVIII w., niegdyś w kościele parafialnym p.w. Św. Marii Magdaleny w Sernikach. Fot. Jerzy Langda, 1970, neg. Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk (IS PAN);

Encyklopedia Powszechna Orgelbranda, Warszawa 1865; *Encyklopedia Warszawy*, Warszawa 1975; J. Borkowski, S. Dunin, *Panie polskie przy dworze rakuskim*, Lwów 1891, s. 58; B. Grosfeld, *Potocki Eustachy*, „Polski Słownik Biograficzny”, t. 27, Wrocław 1983, s. 804-807; *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, Warszawa 1888; *Urzędnicy dawnej Rzeczypospolitej XII-XVIII*, t. 3, 10, 11, Kórnik 1987, 1992, 1994; Dworzaczek, Kossakowski S., *Monografie historyczno-genealogiczne niektórych rodzin polskich*, Warszawa 1872; K. Niesiecki, *Herbarz polski*, Lipsk 1841; S. Łoza, *Historia Orderu Orła Białego*, Warszawa 1985; A. Bartczakowa, *Jakub Fontana. Architekt Warszawski*, Warszawa 1970; J. Bartoszewicz, *Znakomici mężowie polscy w XVIII w.*, t. 3, Petersburg 1856, s. 83-95; *Kalendarz Warszawski j. Ungra na r. 1853*, s. 30 i n.; A. Broglie, *Le secret du Roi*, Paris 1879; S. Cieszkowski, *Tajna korespondencja Ludwika XV*, Warszawa 1929; E. Chwalewik, *Zbiory polskie*, Warszawa 1927; B. Gembarszewski, *Rodowody pułków polskich*, Warszawa 1925, s. 41; K. Gombin, *Eustachy Potocki i jego działalność na polu sztuki*, maszynopis pracy doktorskiej napisanej pod kierunkiem prof. J. Lileyki, Instytut Historii Sztuki KUL; tenże, *Eustacy Potocki i Ludwik Markiewicz. Rola kolatora i proboszcza przy budowie kościoła pałacowego p.w. Świętej Marii Magdaleny w Sernikach* [w:] *Ziemiaństwo na Lubelszczyźnie. Materiały II sesji naukowej zorganizowanej w Muzeum Zamoyckich w Kozłowie 22-24 maja 2002*, opr. R. Maliszewska, Kozłowska 2003, s. 249-262; tenże, *Gloryfikacja Potockich i Kątskich w rzeźbiarskiej dekoracji pałacu w Radzynie Podlaskim. Przyczynek do badań nad treściami ideowymi rezydencji Eustachego Potockiego* [w:] *Muzea rezydencje w Polsce. Materiały sesji naukowej zorganizowanej w Muzeum Zamoyckich w Kozłowie 14-16 października 2004*, red. K. Kornacki, Kozłowska 2004, s. 505-515; tenże, *Prace przy przebudowie pałacu i kościoła p.w. Świętej Trójcy w Radzynie Podlaskim w świetle korespondencji Eustachego Potockiego* [w:] *Studia nad sztuką renesansu i baroku*, red. J. Lileyko, Lublin 2004, s. 273-285; tenże, *Krystian Gotfryd Deybel adiutant i architekt Eustachego Potockiego* [w:] *Studia nad sztuką ...*, s. 385-391; W. Konopczyński, *Polska w dobie wojny siedmioletniej*, Warszawa 1911; tenże, *Sejm grodzieński 1752 r.*, Lwów 1907; J. Kowalik, *Maria z Kątskich Potocka (ok. 1720-1768). Przyczynek do życia kulturalnego w Radzynie w II połowie XVIII wieku*, „Radzyński Rocznik Humanistyczny”, t. 1/2001, s. 35-46; tenże, *Rezydencja Potockich w Radzynie. zbiory biblioteczne i archiwalia w świetle zachowanych dokumentów* [w:] *Muzea rezydencje w Polsce dz. cyt.*, s. 517-524; M. Kwiatkowski, *Architektura pałacowa i willowa w Warszawie XVIII w.*, [w:] *Warszawa XVIII w.*, Warszawa 1975, z. 3; tenże, *Tłumackie*, „Rocznik Warszawski”, t. 5/1964; A. Lutostańska, *Pałac w Radzynie Podlaskim. Etapy kształtowania się rezydencji na tle rozwoju przestrzennego miasta*, „Kwartalnik Architektury i Urbanistyki”, t. 22/1977, z. 3, s. 209-234; W. Mejbbaum, *O tron Stanisława Augusta*, Lwów 1914; J. Michalski, *Studia nad reformą i prawa sądowego w XVIII w.*, Wrocław 1958; J. Rudnicka, *Biblioteka wilanowska. Dwieście lat jej dziejów (1741-1832)*, Warszawa 1996, s. 22-23; tenże, *Maria z Kątskich Potocka jako tłumaczka Moliera*, [w:] *Między barokiem a oświeceniem. Nowe spojrzenie na czasy saskie*, red. K. Stasiewicz, S. Achremczyk, Olsztyn 1996, s. 285-296; J. Śmigielka, *Pałac w Radzynie*, „Tygodnik Ilustrowany”, t. 2/1860, nr 57, s. 537; K. Waliszewski, *Potoccy i Czartoryscy*, Kraków 1887; T. Zielińska, *Magnateria polska epoki saskiej*, Wrocław 1977; tenże, *Poczet polskich rodów arystokratycznych*, Warszawa 1997, s. 272-273; Z. Zielińska, *Walka „familii” o reformę Rzeczypospolitej 1743-1752*, Warszawa 1983; *Listy Katarzyny z Potockich Kossakowskiej*, Poznań 1883; M. Matuszewicz, *Pamiętniki*, Warszawa 1876; *Rozmowa na Polach Elizejskich między Janem Zamoyckim [...] i Eustachym Potockim [...] zmarłym*, oprac. K. Salkiewicz, *Napis*, ser. 2, 1995, s. 53-57; Archiwum Główne Akt Dawnych, Archiwum Publiczne Potockich; Archiwum Roskie; Archiwum Radziwiłłów; Archiwum Państwowe w Krakowie Oddział na Wawelu, Archiwum Krzeszowickie Potockich; Archiwum Parafialne w Sernikach, Księgi urodzonych w parafii Sernickiej w latach 1719-1750; Regesta fabryki tak percepty iako y expensy kościoła Sernickiego; Biblioteka Narodowa; Biblioteka Ossolińskich; Biblioteka Polska w Paryżu.







ROBERT KONCA

KLUB PIJAKÓW

Kiedy umrę, a kruki skończą już ucztę, to, co pozostanie ze mnie, oddajcie Matce-Ziemi i przykryjcie kamieniem z napisem: Był poetą i lubiał wypić.

Jest na Podlasiu wieś, której nazwy zdradzić mi nie wolno, a w której stoi niepozorny, mały dom o niezdecydowanym kolorze takim, że kiedy człowiek patrzy na tę brązową barwę, uśmiecha się w zadumie, zdając sobie nagle sprawę, jak na pierwszy rzut oka niewielka jest różnica między złotem a łajnem. Na ścianie domu ktoś napisał białą farbą: Klub Pijaków. Na szybie okiennej uwieczniono natomiast, również taką samą farbą, pasjonującą partię gry w kółko i krzyżyk. Po drugiej stronie domu widać spore podwórko i starą, rozpadającą się stodołę. Przechodziłem przez tę okolicę wielokrotnie, ale nigdy nie zauważyłem w domu albo na podwórzu śladów ludzkiej obecności. Zawsze było cicho i pusto. A przecież, biorąc pod uwagę tutejszą kulturę picia, mimowolnie nasłuchuje się jednak śpiewu i wyzwisk, zaś oczy, jak satelity szpiegowskie, monitorują okoliczne trawy, rów i podwórko w poszukiwaniu nieuchronnych, wydawałoby się, artefaktów w postaci butelek po winie owocowo-siarkowym, a może nawet siarkawym, czy piwie marki „Północne mocne”. Ale nic z tych rzeczy.

Pewnego dnia zdecydowałem się wstąpić do klubu.

Dom i jego najbliższa okolica sprawiały wrażenie, jakby nie podlegały już działaniu czasu albo działanie to było jedynie symboliczne. W nieruchomej przestrzeni sekundy krążyły z dostojną powolnością jak godziny sjeisty w gęstym, upalnym świetle dnia gdzieś w Andaluzji albo na Roztoczu. Mimo, że było ciepło, wrześniowe popołudnie, zastanawiał brak owadów i ptaków. Tylko cisza; pusta

autonomia ciasnego pejzażu, który umieszczono w probówce oddzielającej Klub od reszty wsi. I krople czasu, na które trzeba było czekać, aż jedna z nich spadnie na policzek jak woda z zepsutego kranu. Miałem zatem czas i okrążając dom w poszukiwaniu drzwi, po raz pierwszy od tak dawna wiedziałem, że nigdzie nie muszę się spieszyć. Czas dotykał tutejszej przestrzeni tylko na jej peryferiach i to bez właściwego sobie psychotycznego entuzjazmu, ale jakby od niechcenia, z obowiązku, z łaski. Przez te kilkanaście sekund koniecznych do przejścia trzydziestu metrów dzielących szosę od domu, myślałem spokojnie o wielu rzeczach, o meandrach fizyki kwantowej i alkoholu, zaśpiewałem w duchu kilka piosenek z repertuaru Jana Krzysztofa Kelusa, a także odebrałem lekko tylko zniekształcony przekaz poezji z Psiej Gwiazdy, czyli z Syriusza.

Drzwi były zamknięte. Tak właśnie pomyślałem najpierw, ale po chwili zorientowałem się, że sytuacja przedstawia się inaczej. Byłem zaskoczony sobą, tym, że nie odczułem przerażenia, a jedynie zdziwienie, gdy klamka nie zareagowała na ruch mojej dłoni; moja ręka nie była w stanie wywrzeć najmniejszego nacisku na ten kawałek metalu. Czulem swoje ciało, ale wiedziałem, że to o niczym nie świadczy. To kwestia przyzwyczajenia do materii; schemat mentalny, jak szczegółowa mapa zatopionego kontynentu. Ludzie na przykład często odczuwają bóle fantomowe amputowanych kończyn.

Zacząłem przypominać sobie, kiedy umarłem. To mogło nastąpić dawno temu. Niczego nie podejrzewając, pozwalałem karmić się iluzją życia, Ignąłem do niej, bo znałem ją i oswoiłem, a niepokojące fakty pozostawały niezauważone i spały na dnie mojej prywatnej otchłani.

Może to było w 2001 roku, kiedy spotkałem Borgesa. Pił piwo w chyba najgorszej spelunie w Karpatach. Wyglądał jak na

fotografiach z początku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku: wsparty na solidnej lasce starzec o szlachetnej, pogodnej, a jednocześnie trochę smutnej twarzy, z której patrzyły szare oczy, przerażająco bystre i widzące, mimo swej ślepoty. On widzi to, co jest po drugiej stronie pomyślałem. Patrzy na labirynt tego świata jak arcymistrz na szachownicy pełną jeszcze pionków i figur wiedząc już jednak, jaki będzie wynik gry. Zamówiłem piwo i zacząłem przeciskać się w stronę pisarza przez zadymioną salę pełną barczystych drwali i wychudzonych pijaków, pośród głośnych skarg i pozdrowień. Wreszcie usiadłem przy Borgesie, ale on już wycofywał się do innej przestrzeni, już tracił integralność swojej postaci. Zdążyłem jeszcze pochwycić jego spojrzenie i usłyszeć jedno słowo: „Despedida”. Pożegnanie. Zniknął, a razem z nim jego kufel piwa i połowa zawartości mojego. Uśmiechnąłem się i pomyślałem: Nie wiedziałem, Jorge Luis, że lubisz piwo. To, jaki alkohol preferuje pisarz czy artysta, jest niestety uważane przez biografów za błahostkę, a niesłusznie. Może nie jest aż tak: Powiedz mi, czym się upijasz, a powiem ci, kim jesteś. Ale czy Jerofiejew napisałby *Moskwa Pietuszeki*, pijąc francuskiego szampana albo inne Malibu? Czy Bohumil Hrabal w ogóle by pisał, gdyby wlewał w siebie codziennie od rana dwudziestoletnią Whisky? Czy Malcolm Lowry stworzyłby *Pod wulkanem*, pijąc soft-drinki przez słomkę, a nie znając działania Mescalú?

Pijąc piwo przypomniałem sobie fragment wiersza Borgesa pod tytułem *Pożegnanie*:

*Mędzy moją miłością a mną wzniesie się
Trzysta nocy jak trzysta murów
I morze będzie magią między nami*

Skoro spotykam umarłych, to oznacza, że także nie żyję? Jeżeli tak, to czym jest życie, czy tylko innym, ściślejszym stanem skupienia ciała? Klamka nie ustępowała, nawet nie drgnęła pod naciskiem mojej dłoni i nie wiem, jak, ale po chwili znalazłem się w środku Klubu Pijaków. Tak pomyślałem to rozrzedzenie ciała, atomy

powypadały ze swoich orbit i oddaliły się od siebie, mikrokosmos rozproszył się w makrokosmosie, materia stała się mgłą przenikającą przez ściany.

A może to nie śmierć, tylko pewien rodzaj rozszczepienia, mówiąc potocznie: wyjście z siebie myślałem, patrząc na Czarnego (którym przecież jestem, a przynajmniej byłem), który siedział przy oknie i pisał, nie zwracając najmniejszej uwagi na moje przybycie do Klubu Pijaków. No ale ten Borges, i parę innych osób, których daty śmierci należały do przeszłości, a których spotykałem czasami, wpadałem na nich znienacka na rogach ulic albo w kątach barów, zamieniając często z nimi kilka niewyraźnych zdań przy butelce czegoś mocniejszego. Parę razy spotkałem na



Bożena Zwier

przykład Pawła, zmarłego kilkanaście lat temu. Miałem wrażenie, że Paweł, jak i inni umarli (poza Borgesem), nie zdawali sobie sprawy ze swojej śmierci. Poza wrażeniem rozrzedzenia ciała niewiele się zmieniło. Umysł nadal kontynuował swoje marzenia i spekulacje, a miał co analizować, zważwszy na przenikanie przez zamknięte drzwi i spotkanie innych, o których wiadomo, że już nie żyją. Czulem się niezręcznie, gdy rozmawiałem z Pawłem, wiedząc, że przecież umarł, a wszystko wskazuje na to, że o tym nie wie. To były trudne rozmowy, bowiem umarli mówią bardzo niewyraźnie, używając przy tym słów z obcych języków; prawdę mówiąc brzmi to jak zwykły bełkot. Ma to pewnie



Robert Konca

związek z tym, że posiadają oni jedynie fantomowe struny głosowe. Czułem się więc niezręcznie, a teraz okazało się, że nie potrzebnie, bo byłem, jak Paweł, martwy. Słuchałem tych dziwnych dźwięków, za pomocą których Paweł usiłował mi coś przekazać, a później tłumaczyłem mu jego sytuację, opowiadałem, co się dzieje w świecie żywych, co słychać u starych znajomych. On pilnie słuchał, ale ja, zdziwiony widziałem, że bezradnie kiwa głową, nie rozumiejąc, co mówię. Pamiętam, jak mu współczułem, że nie rozumie moich klarownych myśli wypowiedzianych tak wyraźnie przez aparat mowy, ale gdybym wsłuchał się w swój głos, usłyszałbym tylko niewyraźny, tajemniczy szepot pozbawiony samogłosek i modulacji, monotonny jak stukot kół pociągu. Swoją drogą, te rozmowy umarłych przypominają niektóre rozmowy żywych, którzy choć rozumieją nawzajem swoje słowa to nie są w stanie zrozumieć rozmówcy. A więc i w tym względzie śmierć nie czyni wielkiej różnicy.

Może umarłem przed laty w Klubie Atrapa w Jeleniej Górze, a pierwszym znakiem śmierci była nagle przemiana kufli piwa w czaszki wypełnione krwią. Piłem tą krew otoczony stadem głodnych demonów o wstrętnych, zdeformowanych pyskach, skaczących w rytm jakiejś żalosnej namiastki muzyki. W tafli krwi, jak w magicznym lustrze, zobaczyłem swoje odbicie, tak nieprawdopodobne i obce,

naznaczone piętnem odwiecznego zła, że z ulgą straciłem poczucie tożsamości. Pamiętam tę chwilę: smak krwi, która nie gasiła pragnienia i nieludzka siła pelzająca w moim ciele jak dziesięciometrowy pyton, nad którą nie miałem żadnej kontroli. I ta przemożna wola zniszczenia wszystkiego wokół, całej tej atrapy życia. Usiłowałem opowiedzieć o tym przyjaciółom, którzy byli obok mnie, ale szybko zrozumiałem, że to niemożliwe, bo przecież oni znajdują się w innym świecie, gdzie jeszcze można beztrudno się bawić i pić zwyczajne piwo ze szklanych naczyń. Wreszcie nadeszło uczucie nieistnienia; łaska cienia spłynęła niewiadomo skąd i spowiła łagodnym całunem krainę domniemanej śmierci.

Oczywiście, patrząc na Czarnego w Klubie Pijaków, przerywającego nagle pisanie i nalewającego sobie pół szklanki jakiegoś destylatu, patrzącego gdzieś w dal za oknem pokrytym kółkami i krzyżykami, zdawałem sobie sprawę z tego, że ta śmierć może być tylko formą ucieczki, czymś, co umysł łatwiej zaakceptuje od jakże bolesnej świadomości, że te spotkania z Borge-sem, demonami i czaszkami to epizody schizofreniczne w postaci niemal klinicznej. Może Klub Pijaków i wszystkie wspomnienia są tylko chorą wizją Czarnego przebywającego od dawna w domu bez klamek, przypiętego pasami do łóżka, ale cóż znaczą pasy i cykliczne strzykawki pełne kolorowych kłamstw, wobec kreacji umysłu, który przyjął dar szaleństwa, stając się inkubatorem dla motyla schizofrenii, z którym teraz szybuje, pijąc nektar z kwiatów dobra i zła; porusza się na wskroś czasu i już nie dostrzega różnicy między jawą a snem, życiem a śmiercią.

Zbliżając się powoli do stołu, za którym siedział Czarny, pomyślałem, że niepotrzebnie to wszystko analizuję; jakie to właściwie ma znaczenie żywy czy martwy, szalony czy normalny te słowa niczego nie opowiadają o tych stanach ducha, umysłu, materii. Pamiętam zdanie z książki pod tytułem *Psychopatologia* Davida Rosenhana i Martina Seligmana (dwóch psychiatrów pracowało nad nim, dzień i noc), które Czarny kiedyś zapisał w swoim notatniku: „Jednostka, która twierdzi, że

widziała Minotaura i podała mu rękę, a następnie zjadła z nim kolację, cierpi na halucynacje". Czarny uśmiechnął się i odetchnął z ulgą, mrucząc: Jestem zdrowy. Z Minotaurem zjadłem raz tylko obiad i wypilem kilka butelek wina „Bycza krew”.

Patrzyłem na Czarnego. Wydawał się pasować do tego cichego klubu zagubionego na małej wsi, gdzie wrony zawracają; klubu, w którym piją już tylko na wpół przezroczyste istoty; piją w ciszy i skupieniu, wypatrując czegoś lub kogoś w nieruchomej przestrzeni. Czarny kiedyś nie pił w ogóle. Jednak rozwijająca się niezwykła wrażliwość, a być może i predyspozycje genetyczne, sprawiły, że zaczął próbować alkoholu. Picie trochę koło tę przemożną chęć oplakiwania świata, łagodziło współczucie, które skierowane było do wszystkiego, co żyje, do ludzi, zwierząt, roślin, ale także do minerałów, plastiku i metali żelaznych i nieżelaznych, a

najbardziej do złomu. Pamiętam, jak Czarny zbudził się któregoś dnia roztrzęsiony i smutny na skutek snu, w którym wysłuchał tragicznych zwierzeń pewnej leciwej lokomotywy spalinowej. Tolerancja alkoholu u Czarnego stała się swego czasu niemal legendarna. Zero siedem wódki i do tego wiadro piwa nie stanowiły problemu. Nie można jednak cały czas być w najwyższej formie. Teraz pół litra i parę piw wystarczą do utraty koordynacji, a następnego dnia smutek staje się czasem trudny do zniesienia. Depresyjna natura Czarnego z wiekiem przechodziła w fazę pewnego ascetyzmu, odsunięcia się od świata na tyle, na ile to możliwe. Czuł, że jego naturalnym stanem jest odosobnienie i medytacja pośród skalistych turni i szemrzących potoków. Z drugiej strony, jako archiwista umierającego świata, potrzebował też kontaktów z innymi ludźmi, chciał nadal poznawać ich życie,



radości i cierpienia. I tu alkohol ponownie stał się pomocny, wydawał się niszczyć sztuczne bariery między ludźmi (póki nie tworzył nowych), a poza tym nic tak nie łączy z rzeczywistością jak nawyk, by nie powiedzieć: nałóg. Czarny prowadził też badania nad alkaloidami różnych roślin w celu zastąpienia lub uzupełnienia alkoholu. Chciał znaleźć substancję, która łączyłaby towarzyskie zalety alkoholu z psychodelicznym działaniem niektórych ziół; wtedy rozmowa stałaby się medytacją. Przygotowywany razem z Arturem eksperyment z absyntem został jednak odłożony do następnej wiosny. Obiecujące rezultaty przyniosły natomiast badania z użyciem nalewki z pigwy. To było podczas wielkiej jesiennej wyprawy Artura i Czarnego na peryferie Miasta. Na początku droga wiodła nieczynnym od dawna torrem kolejowym, którym niegdyś jeździł słynny pociąg relacji Lublin-Gdynia, zwany Włóczęgą Północy. Tam, na ostrzu stalowych szyn, nastąpiła pierwsza degustacja. Dla porządku trzeba dodać, że chłopaki mieli także butelkę miętówki i nie można wykluczyć, że w połączeniu z pigwą wystąpił efekt swoistego synergizmu. Percepcja rzeczywistości, a może sama rzeczywistość, zmieniła się po około dwudziestu minutach. Pierwszym znakiem był wielki, ufortyfikowany budynek otoczony dziesięciometrowym ogrodzeniem, z lądowiskiem dla śmigłowców i potężną, metalową bramą pełną kamer i

fotokomórek. Posesja była pusta i cicha i można było jedynie snuć przypuszczenia, czyją Obecność skrywa i ku czyjej czci wzniesiono tę ponurą świątynię na przedmieściach powiatowego miasta S. Chwilę później, w pobliskim wąwozie natknęli się na betonowe silosy wkopane w ziemię, przywodzące na myśl instalacje rakiet balistycznych. Zdaje się, że mamy już tarczę antyrakietową powiedział Artur. Raczej gwiazdne wojny - mruknął Czarny, odpalając papierosa. Poszli dalej tym wąwozem, do którego od strony Miasta prowadziły błyszczące nowością tory kolejowe. Następnie wędrowców pochłonął wielki labirynt należący do Królestwa Kolei Żelaznych, którego korytarze rozwidlają się we wszystkich kierunkach, pokrywając swoją siecią niezmiernie przestrzenie Eurazji, od Lizbony po Władywostok, od Murmańska po Palermo. Szli przed siebie, pośród tajemniczych zwrotnic, które zmieniały czasem kierunek poruszania się Artura i Czarnego, kierowały ich ku zapomnianym lokomotywniom i magazynom wypełnionym gruzem, rupieciami i starym, leniwym mrokiem, w którym coś zdawało się spać, czekając na przebudzenie. Kolejne, starannie odmierzane dawki pigwówki zastały ich na ślepym torze, w zniurcho miałym czasie, pod złamanym semaforem. Tędy jeździły tylko pociągi pod specjalnym nadzorem, przewożące pasażerów ze stacji Czas do stacji Wieczność, gdzie pracowały pełną parą kwantowe maszynownie zajmujące się przemianą materii w eter. Wzmocnieni pigwówką, odświeżeni miętą trzydziestoprocentową, zaglądali bez lęku, jak ciekawskie dzieci, w okna maszynowni, obserwując z uwagą rozpuszczające się ciała i przedmioty codziennego użytku. Czuli pod palcami drżenie całej budowli; ich ciała także wibrowały gotowe na eteryczną komunię.

Nie dane im jednak było zmienić stanu skupienia i ulec rozproszению, poczuli bowiem tę nie znośną sprzeciwu wolę napicia się. Przed zachodem słońca stali na wiadukcie nad torami spinającym dwa światy i popijali z rozkoszą złoty destylat, a wschodni wiatr szeptał im do ucha swoje



tajemne instrukcje...

Stałem przy stole. Czarny czytał wiersz
Borgesa *Moje książki*:

*Moje książki (które nie wiedzą, że istnieją)
Są częścią mnie tak samo jak twarz
O siwych skroniach, z dwójgiem szarych oczu,
Których daremnie szukam w głębi lustra,
Których dotykam wklęsłością mej dłoni.
Nie bez gorzkiej logiki
Myślę, że słowa istotne,
Które mnie wyrażają, kryją się wśród stronic
Nie wiedzących, kim jestem, a nie wśród kart mych
książek.
Tak jest lepiej. A głosy umarłych
Wypowiedzą mnie całego na zawsze.*

A może umarłem wtedy razem z Wojtkiem,
przy flaszcze czystej i słodkim batoniku na
zagrychę, gdy zamiast o kobietach czy o
sporcie, rozmawialiśmy o sensie istnienia,
z każdym zdaniem zagłębiając się w
dusznej otchłani, w której nasze myśli
ulegały anihilacji. Aż w końcu mogliśmy

już tylko milczeć, całkowicie trzeźwi
mimo pustej butelki, bo wiedzieliśmy, że
odtąd nic już nie będzie takie samo, że
padło o jedno pytanie za dużo. Albo w
1996 roku, gdy zapisałem następujące
słowa:

*Myślę, że i śmierć nie wyjaśni niczego
Bo gdy światło gaśnie, mrok nie mówi dlaczego*

i w tym właśnie momencie żarówka pękła z
trzaskiem i potem siedziałem w ciemnym
pokoju zdziwiony tak szybką i konkretną
odповідzią...

A w Klubie Pijaków Czarny znowu pisał,
popijając Miodówkę Lubelską, od której mi
też zaczęło się kręcić w głowie czy wspo-
mnieniu głowy. Nagle zauważyłem, że w
kącie pokoju, w cieniu na starej kanapie,
siedzi potężny i milczący Drwal Vlado i
pije boroviczkę z litrowej butelki, bez
skrzywienia ust, jak źródłaną wodę. Mam
nadzieję, że chociaż ty żyjesz pomyślałem.
Minęło parę lat od naszego ostatniego
spotkania w Karpatach i wiesz, nawet
napisałem opowiadanie o twoich dalszych
losach; napisałem tak, jakbym chciał, żeby



potoczyło się twoje życie. Vlado tylko wzruszył szerokimi ramionami i bez słowa podał mi flaszkę. Wypiłem spory łyk i poczułem, jak alkohol szybko rozprzestrzenia się po moim lekkim ciele, obejmuje świetlistym błogosławieństwem jego niezmierzone dorzecza. Usiadłem obok Drwala Vlado, gdy w Klubie pojawił się jeszcze jeden gość. Cyganka Marta zaczęła zmysłowo tańczyć tuż przy Czarnym, co chwilę obdarzając go astralnym dotykiem i pocałunkiem, których Czarny nie mógł w pełni odczuć, ale ja i owszem, a Czarny tylko uśmiechnął się zagadkowo, przerwał pisanie i nalał sobie miodówki do szklanki, wypił odrobinę i powrócił do pisania, gdy tymczasem Cyganka Marta (o której właśnie myślał i pisał) kradła ze szklanki swoim długim, węzowym językiem miodówkę kroplę po kropliczce; po paru minutach Czarny odłożył długopis, machinalnie sięgnął po prawie pustą szklankę i zdziwiony pomyślał: „Czy ja nie za szybko piję? Przecież przed chwilą nalałem do pełna. Nawet nie pamiętam, kiedy wypiłem...” pokiwał w zamyśleniu głową i zapalił papierosa. Wówczas, korzystając z subtelnych kręgów dymu, Cyganka Marta rozpoczęła skomplikowany rytuał transferu borowiczki z butelki Drwala Vlado do szklanki Czarnego.

Wstałem z kanapy, zatoczyłem się lekko na ścianę i natychmiast znalazłem się na zewnątrz Klubu Pijaków. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że poza strefą Klubu była już zima. Przez rozwalone ściany stodoły widziałem w dali oszronione drzewa i niespokojne stada czarnych ptaków. Niezły ciąg, pomyślałem - od jesieni do zimy. Wróciłem do Klubu, a tam nie było już nikogo. Na stole leżała kartka papieru i stara „Literatura na Świecie”, wydanie poświęcone Borgesowi.

Pamiętam wieczór autorski Krystyny Rodowskiej, znakomitej poetki i tłumaczki, między innymi wierszy Borgesa. W pewnym momencie ze ścian Centrum Kultury i Sztuki w powiatowym mieście S. zaczęły spadać jedna po drugiej wszystkie dekoracje przygotowane na ten wieczór. Powiało grozą i tajemnicą, a ja wiedziałem, że Jorge Luis był wtedy z nami. I wie-

JORGE LUIS BORGES

przełożyła
KRYSZYNA RODOWSKA

WSPÓŁWINNY

Krzyżują mnie, a ja muszę być krzyżem i gwoździami.
Podają mi kielich, a ja muszę być cykutą.
Oszukują mnie, a ja muszę być kłamstwem.
Podpalają mnie, a ja muszę być piekłem.
Muszę schlebiać i dziękować, co chwila.
Żywię się wszystkim, co popadnie.
Ciężarem wszechświata, upokorzeniem, radością.
Muszę usprawiedliwić to, co mnie rani.
Nie liczy się moje szczęście ani nieszczęście.
Jestem poetą.



*Pro Robota i Kona
z wdzięcznością i miłością
i miłością Krystyna Rodowska*

działem, co mam robić. Podałem swój sfatygowany egzemplarz „Literatury na Świecie” pani Rodowskiej i poprosiłem, aby przeczytała nam wiersz Borgesa pod tytułem Współwinny.

Krzyżują mnie, a ja muszę być krzyżem i gwoździami.
Podają mi kielich, a ja muszę być cykutą.
Oszukują mnie, a ja muszę być kłamstwem.
Podpalają mnie, a ja muszę być piekłem.
Muszę schlebiać i dziękować, co chwila.
Żywię się wszystkim, co popadnie.
Ciężarem wszechświata, upokorzeniem, radością.
Muszę usprawiedliwić to, co mnie rani.
Nie liczy się moje szczęście ani nieszczęście.
Jestem poetą.

Pod wierszem pani Krystyna napisała dla mnie dedykację: „Z wdzięcznością w imieniu Borgesa i swoim”. Spojrzałem na kartkę pozostawioną przez Czarnego.

Przeczytałem:

Kiedy umrę, a kruki skończą już ucztę, to, co pozostanie ze mnie, oddajcie Matce-Ziemie i przykryjcie kamieniem z napisem: Był poetą i lubiał wypić.





JADWIGA GRABARZ

Mysz cyrkowa

między jednym przystankiem a
godziną,
kiedy z omegi wyrasta kolejny początek
miejskie świetliki wiszą
i kołyszą gwar za oknem
dokąd można jeszcze pozostać
bilon na dłoń i wytrząsam iskry i
krzeszę
sweter o piec kaflowy, zimny, ale pełen
dusznego powietrza myśli się kłębią
w wykładziny, granat godziny taki sam
albo inny, który można delektować

a po Brackiej chadzają wciąż czarne
koty
i gołębie na rynku - tylko jakby
nieświadome a może wiedzące więcej
dzióbią ziarno sypane z nadzieją, że
pofrunie
chlebem w niebo sukien, do okien,
gdzie jeszcze czekają je wiersze
najpiękniejsze

ranek rozkłada niebieski baldachim,
na nim białe kreski rysowane
samolotem,
potem nadchodzi publika i czeka
dostaje mysz zamiast człowieka,
co stawia ostrożnie nóżki na linie

w Galicji wciąż robią najlepsze grzańce

Czekolada, bar mleczny i rodzynki

Co mi powiesz na szron i przystanki,
na ręce w kieszeniach przed mrozem
ukryte, spowite ciszą jak świty?
Wybudzasz kawą w tory i szyny

Wiesz, ja się boję, zawsze na światłach
jest taki moment, gdy obcas się waha,
nie wierzy oku, ręce w kieszeniach
moja jest prawa - byle do arkad

Półtorej godziny tyle trwa podróż
deszcz wystukuje marszowe kroki,
które dotykam mi przeinaczasz
w rumieńce o barwach jesiennych liści

Mgielka wieczoru jest porą przytuleń
mruczających już od drzwi, łaszących się
wokół.

Ciepło dziś widzę za szybą, rozmyty
listopad. Podobno szczęście leż się nie
wstydzi

Czasoprzestrzeń. Neverending?

Biegniesz i ja biegnę przestrzeń się
zamyka,
chwycona w obcegi penetruje oko,
pachnie księżycówką *Silence*, czas chyba
zwariował -
z arlekina błazen huśta czasoprzestrzeń

Księżyc też się dziwi, złapał się za głowę
i ciężko oddycha, w zimno puszcza parę
jakby chcąc rozmrozić lodu mleczną
drogę.
Zostawia pytanie, co z nas będzie
potem?



MAKSYMILIAN DYMISTR CZORNYJ

ABENTAJERY KAZIMIERSKIE

In Nomine Patris

Po ostatnich opadach deszczu Wisła wezbrała, a nurt był szybszy i bardziej zdradliwy niż zwykle. Czterech mężczyzn z trudem radziło sobie z wielką, pełną drwa tratwą. Ich mięśnie były napięte, oddechy przyspieszone, a spojrzenia szybkie i uważne. Poprzecierane łańchmany oczekiwały wodą, mieszając ją z gęstym błotem na deku.

Było zimno, a na rzece wiał mocny wiatr. Zdawało się, że szare, ciężkie niebo zwisa tuż nad ziemią, siąpiąc nieprzyjemną mżawką. W oddali, na prawym brzegu widać już było wielkie spichrze Kazimierza.

- Piotrze, wybadaj głębokość! - komenda retmana przecięła plusk rzeki.

Wielki mężczyzna, z czarną zmierzwioną brodą i gęstymi włosami wymykającymi się spod futrzanej czapki przeszedł na przód tratwy. Chwycił długi, solidny drąg i uważnie spuścił go w nurt Wisły. Sprawnym ruchem obrócił się i z całych sił zaparł o drwa. Pozostali flisacy jednocześnie unieśli wiosła i pychy tak, że tratwa niemal zatrzymała się.

- Półtora sążnia!

Retman z niepokojem odjął od ust fajkę i zerknął na skalisty brzeg. Nie dostrzegł żadnych wirów i uspokojony odwrócił się w stronę drugiej tratwy. Uniósł wysoko dłoń i pomachał.

- Półtorej sążnia! - krzyknął chrapliwie. - Ciągnijcie z dala od brzegu!

Zatarł zmarzniete ręce i otulił się sukmaną.

- Jeszcze chwila i będziemy w Kazimierzu - odezwał się do towarzyszy. - Hej, ho żwawo!

Pokrzepieni jego słowami, zerwali się do ostatniego wysiłku. Nie bacząc na strumienie przelewającej się lodowatej wody przekładali liny, bijąc wiosłami o jesienną taflę rzeki. Krew na ich skroniach pulsowała ze zdwojną siłą, żyły obrzmiały, a oddechy przyspieszyły. Dyszeli i parskali, nie pozwalając nawet myślom na chwilę odpoczynku.

- Piotrze, wypatruj mielizn! Szanc, nie szanc, trzeba być ostrożnym.

W dni, kiedy nurt rzeki był szybki, a poziom wody wysoki, musieli płynąć blisko brzegu, niekiedy zapierając się o niego pychami i mocnymi dragami. Wymagało to uważnego kierowania i zgrania załogi.

Biel kazimierskich spichrzy zbliżała się z każdą chwilą, napełniając serca flisaków ulgą. Widoczna z oddali wieżyczka kościoła przypominała o upragnionym niedzielonym odpoczynku, a solidne mury zamku napawały nieokreśloną dumą.

Ponad szumem rzeki poniosły się słowa dumki. Załogi trzech pozostałych tratw znalazły ulgę w prostej, rytmicznej przyśpiewce.

- Flisaczkowa żona, siedzi sobie doma. A flisaczek, nieboraczek, robi na chleb jak robaczek, płynie do Torunia!

- Skupcie się! - krzyknął retman. - Płyńcie uważnie. To niebezpieczny odcinek.

Las skończył się i tratwy wpłynęły między



Malgorzata Kolikiewicz

zakola i piaszczyste wysepki. Na wybrzeżu zebrali się pierwsi kupcy, a rybacy szybko uprzętały swoje łodzie.

Piotr czuł, jak wyslizgane drewno wiosła wbija się w jego dłonie. Pękające odciski piekły przy każdym gwałtownym ruchu, a bosa stopy wykreślało zimno. Stał, zapierając się o drewniane kłody, które ze specjalnej ściłki mieli spławić aż do Gdańska.

- Ustawmy nasze skutury w jednym miejscu - nakazał retman. - Niech te krypty, pokażą na co je stać!

Na brzegu flisacy musieli wystawić część swoich towarów dla mieszczan, którzy coraz tłumniej pojawiali się na usypanym, piaszczystym wale. Było to kłopotliwe i zarazem zbawienne, bo pozwalało na w pełni usprawiedliwiony odpoczynek. Myśli oryli same uciekały ku karczmom i hulance, ale z trudem powstrzymywali je i zmuszali do baczego obserwowania dna.

Nagle tratwa obróciła się, zatoczyła krąg na wodzie, a jej przód gwałtownie się zanurzył. Wszyscy flisacy znaleźli się w przenikliwie zimnej rzece. Rozpędzona tratwa pomknęła między nimi, aż wreszcie z łomotem uderzyła o kamienne wybrzeże. Liny puściły i wielkie bale, trzeszcząc potoczyły się na obie strony. Piotr poczuł jak zahacza kolanem o wystające z dna gałęzie, które rozszarpują jego szarawary i tną odrętwiałą zimnem skórę. Uchwycił w pasie retmana i spróbował stanąć. Muliste dno uciekło spod jego stóp i zdradliwie rzuciło w stronę rozpędzonego nurtu.

W tym momencie objęły go silne ręce i jednym ruchem podciągnęły ku górze. Strumienie wody zlały się z jego łachmanów stapiając w jeden dźwięk z szumem Wisły.

- Puść go, no rzesz puść! - Słowa odbijały się w jego głowie tęnym echem. - Wypuść, bo nie utrzymamy cię!

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że dłońmi obejmując głowę retmana. Poczuł ciepłą lepkość i zobaczył zmasakrowany policzek i wysokie czoło.

- Seweryn! - Ten sam głos był spokojniejszy i rozważniejszy. - Bierz retmana, łap go za dłonie.

Lepkie włosy wywinęły się z dłoni Piotra.

Popatrzył ku górze obrzucając tęnym wzrokiem pełne ludzi nabrzeże, a wreszcie siwe niebo i czerwone twarze nad sobą.

et Filii

Ksiądz Ignacy z zapalem szykował swoje notatki. W niedzielę miał wygłosić pierwszą mszę, w nowootwartym kościele św. Ducha. Było to wydarzenie, którym od tygodni żył cały Kazimierz. No, prawie cały, wyjątkiem byli wszechobecni Cyganie i Żydzi, dla których święto nie miało żadnego znaczenia.

Zmęczony pracą odłożył na bok Pismo Święte i wyrzwał przez okno. Przypomniawszy sobie o akcie sobotniej spowiedzi, którą obiecał żonie sołtysa, Marcie, a wkrótce miał udać się do rodzinnego domu, gdzie obłożony chorobą leżał jego ojciec.

Daleko, jeszcze przed piaszczystymi zakolami Wisły, płynęły tratwy flisackie. Siwe, jesienne niebo rzucało mglisty cień, spowijając rzekę mistycznym dymem.

Ksiądz obserwował ją przez chwilę, aż wreszcie gnany sumieniem odwrócił się, poprawił sutannę i zszedł na rynek.

Brudnymi, smutnymi uliczkami krążyli kupcy żydowscy, którym zabroniono udziału w handlu nadbrzeżnym. Żli i zmarznięci plątali się między domami, rzucając ciche przekleństwa. Czuli się oszukani i poníženi, a nierozpatrzone przez sołtysa petycje wzbudzały ich odrazę. Potajemnie radzili nad rozwiązaniem sytuacji, ale obawiali się gniewu nowowybranej rady. Już przed kilkoma dniami, jednogłośnie zdecydowali się czekać i obserwować wydarzenia.

Ignacy nachylił się nad drewnianą studnię, wzniesioną pośrodku rynku. Poczuł zapach wilgotnego drewna i zimnych, mokrych kamieni. Zacerpnął wiadro i obmył twarz. Pracował nieprzerwanie od samego świtu, a teraz z trudem zbierał zmęczone myśli.

Minał podcienia kamienicy Radców Miejskich, przeszedł nad kanałami i przystanął przy drewnianych drzwiach murowanego domu. Z westchnieniem wszedł na ciemną klatkę schodową.

- Ignac! - zmęczony głos poniósł się echem. -

Ignac, właśnie ciebie wyglądałam!
 Zza uchylonych drzwi wyglądała
 pomarszczona, kobieca twarz.
 - Chodźże prędko. Ojciec chce cię zobaczyć.
 Stary Krusziwski leżał na wysokim łożu,
 obłożony stosem pierzyn i poduch.
 Oddychał ciężko i nierówno, pół-
 przytomnie wywracając oczami. Jego
 blada, wychudzona twarz nasunęła
 Ignacemu na myśl średniowieczne
 przedstawienia Danse - Macabre.
 - Matko Święta - szepnął wzruszony. Nie mógł
 powstrzymać tych słów i poczuł wstyd.
 - Wypowiadaj mnie - bezsilny starzec wyma-
 mrotał ciężko.
 W tym momencie do pokoju wpadł
 zdenerwowany chłopiec. Jego wielkie
 ciemne oczy były zaczerwienione, a wargi
 suche.
 - Flisacy - krzyknął roztrzęsiony - Flisacy, wpa-
 wpadli do wody, podtopieni, z towarami!
 - Co z nimi? - zapytał zmartwiony Ignacy.
 - Jeden umierający! Prosi o ostatnie wysłu-
 chanie!
 - Gdzie jest?
 - Leży na nadbrzeżu!
 Ignacy z żalem popatrzył na ojca.
 - Idź, idź - odpowiedział leżący kupiec. Ja tu
 poleżę i poczekam, aż... wrócisz. To twój
 obowiązek.
 Ksiądz stał nie mogąc zdecydować się na żaden
 krok.
 - No idź! Na Boga, idź!
 Chłopiec pociągnął go za rękaw. Utkwił w nim
 wyczekujące spojrzenie.
 - Dobrze - postanowił Ignacy. - Prowadź mnie.

Ranny flisak z trudem wypowiadał słowa,
 cedził je, a jego język przypominał twardą
 kłodę, o którą rozbijały się próby sklecenia
 zdań. Ignacy w skupieniu przekładał róża-
 niec, odwrócił się tylko raz, na zawołanie
 służącego ojca.
 - Pan, proszę księdza, nie żyje.
 Niebieskie oczy Ignacego wymierzyły niebu
 bolesne spojrzenie.

et Spiritus Sancti

- Dymitrze! - Wąty rybak odwrócił się do
 towarzysza. Pomóż ty mi z tą łodzią!

Lada moment do nadbrzeża miały przybić
 tratwy flisackie i z nakazu sołtysa przystań
 powinna być uprzątnięta. Obaj mężczyźni
 z całych sił chwycili za burtę łodzi i stę-
 kając wyciągnęli ją na brzeg. Szorując po
 piasku znaczyła w nim głęboki ślad, wy-
 pełniając powietrze mdłym zapachem
 wilgoci i mułu.
 - Ja płocha ciustfuju siebia - mruknął Dymitr. -
 U mienja tiempieratura.
 Rybak z drugiej łodzi pogardliwie splunął.
 - Wy, Rusini, wszyscy jesteście bezużyteczni.
 - Ach, da? Eta mienia razdrażajet!
 - Co, proszę? Gadał sobie, gadał!
 Wąty towarzysz Dymitra delikatnie opuścił
 łódź.
 - Dajcie spokój - powiedział. - Zostawcie to.
 Wyjmij czerpak i przekop rów.
 Dymitr bez słowa wyrzucił na brzeg dużą
 szufłę i zanurzył ją w mokrym piasku za
 rufą łodzi.
 - Lepiej zrobiłby to drapaczem - parsknął rybak
 z drugiej łajby. - I tak zajmie mu cały
 elmat.
 - Przekłęci flisacy - zmienił temat czwarty
 rybak. - Jak myślisz Janie, ile zarobią?
 - Nie wiem - Przyjaciół Dymitra bezradnie
 rozłożył spracowane dłonie. - Pewno
 więcej niż my.
 - A pracę jaką mają! Siedzą na zadach i nic nie
 robią. Ino towaru pilnują.
 - Nas się ryby nie imają.
 - Ano, trzeci połów jak galeas w czas flauty.
 Wszystkie łodzie znalazły się na brzegu i
 mężczyźni popatrzyli na południe, w
 stronę zakola Wisły. Tratwy flisackie
 wyłoniły się zza wysepek mknąc prosto ku
 kazimierskim kupcom.
 Gdyby mieć tak pieniądze powiedział
 smętnie Jan to można by coś, tego
 ichniego drwa kupić. Bo tańsze niżli tutaj.
 A i zbożem by nie pogardził.
 - Tfu - splunął zadziorny rybak. - Wiselka cię
 karmi, nie pole!
 - Ale chce się czasem zarobić i przysiąc w
 spokoju. Nie myślałeś o tym, Kubo?
 Tratwy zbliżyły się, podchodząc prawie ku
 skałom wybrzeża. Dymitr odrzucił czerpak
 i stanął prostując plecy. W tym momencie
 usłyszał trzask, a gdy tylko się obrócił
 zobaczył rozrzuconych w rzece flisaków.
 Ich potężne sylwetki odcinały się od linii
 wody, niesione w dół prądem.

Zaśmiał się głośno.

- Ścisliwawa puti! Ja was sierdiečna pazdrawliaju!
- Tu się z nim zgadzam - prychnął Kuba. - Przekłete towarowce, a pływać nie potrafią!

Rybaczy zebrali się na brzegu obserwując wijących w wodzie flisaków. Zadowoleni spoglądali na unoszące na Wiśle bale, w milczeniu wymieniając pogardliwe spojrzenia.

- Potopią się odezwał się wreszcie Jan. - Potopią jak muchy.
- To się potopią - przytaknął najmłodszy z rybaków. - To się potopią, a więcej nam z wody wylazić nie karzą.

Jan bezradnie machnął ręką i odwrócił się w stronę łodzi. Odłożył na miejsce czerpak i rozprostował liny sieci. Nie odwracając się parsknął głośnym śmiechem.

Domine

Kupcy kazimierscy tłumnie wylegli na nabrzeże oczekując przybycia flisaków. Ceny przewozowe wystawianego towaru zawsze były niskie, a produkty warte kupienia i handlu. Zboże w spichrzach z każdym dniem drożało, więc zdobycie go jeszcze na wyładunku zapewniało znaczne zyski i możliwości.

- Tym razem tylko drwo - oznajmił Michał. Wychylał się nad drewnianą przegrodą, zerkając w górę biegu rzeki. - Cztery tratwy.
 - Nie dużo tego - odezwał się ktoś z boku.
 - Wystarczy, żeby cena była przystępna.
- Michał czochrał swoją bujną, czarną brodę. W myślach szybko przeliczał możliwe wartości i zyski.
- Niech ktoś zabierze tych łajdaków - Niski kupiec wskazał na rybaków. - Niechże uprzątną łodzie i zrobią miejsce na towar.
 - Dawno mówiłem, żeby zrobić tu przystań, a nie było żadnej petycji!
 - Petycje, petycje i petycje! Czcze gadanie! Do diabła z nimi! Ja na nic nie wyłożę pieniędzy.
 - Sam bym postawił, ale zaraz zlecicie się jak gachy do kiepa!
 - Nie masz prawa, przystań rzecz publiczna! Chcesz wznosić? Dobra, ale pro publico

bono!

- Nie radźcie nad przystanią - Niski kupiec spurpurowiał ze złości. - Ale niechże pogonią tych rybaków! Towar nie może czekać!

Tratwy flisackie minęły ostatnie zakole zbliżając się do skalistego brzegu. Potężne postacie z bliższa rosły do nadludzkich wymiarów.

- Zdrowe chłopcy - skwitował Michał.
- Jak od pługą oderwane, szczęść Boże ich pracy.

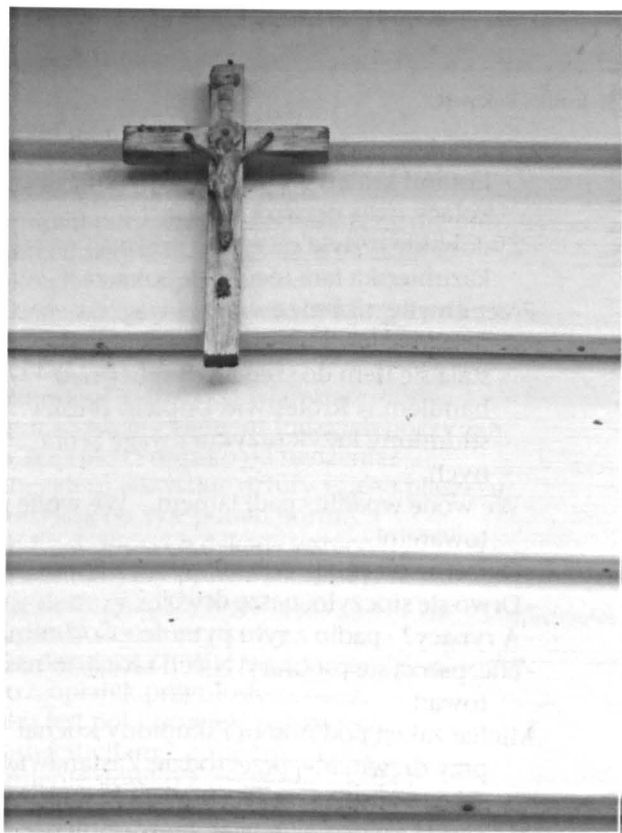
Kupiec w czarnym płaszczu i wysokim czepcu wskazał w stronę wieżyczki kościoła.

- Jutro msza - oznajmił poważnie. - Niech was czort broni od abentajerów. Już dawniej od chciwości nas posadzają jak Żydów.

- Żydzi, mój panie, to inna sprawa!

Szybko podniósł się tumult, a każdy z zebranych rozpychając się pragnął wyrazić swoją opinię. Michał wspiał się na drewnianą przegrodę.

- Panowie! - krzyknął ostro. - Panowie kazimierscy, przyjaciele! Co nas tu Żydzi i foryestrzy obchodzą?





Joanna Bukowska

- Co? Co? - wrzawa ogarnęła całe nabrzeże. -
Listami królewskimi z wyladunku tylko
Polacy mają prawo korzystać!
- Żydowskie bzdyki na rynku czekają,
kazimierska fara niech ich pokarze.
Przez chwilę nikt nie zwracał uwagi na
flisaków. Ich sprawa, jak to zwykle bywało,
stała się tłem do szerszej dysputy nad
handlem w Królestwie. Dopiero plusk i
stłumiony krzyk przykuł uwagę zebranych.
- We wodę wpadli! - padł lament. - We wodę z
towarem!
- Diabelne ofiermy!
- Drwo się stoczyło, nasze drwo!
- A rybacy? - padło z tyłu pytanie. - Co z nimi?
- Nic, patrzą się psubraty! Niech ratują, to nasz
towa!

Michał zaklął pod nosem i skupiony kucnął
przy drewnianej przegrodzie. Zastanawiał
się nad zmianą cen, na powrót kalkulował
zyski i kwoty. Wiedział, że wcześniejsze
obliczenia wezmą w łeb, o ile wszystkie

bale nie zostaną zebrane.

A Pan Bóg, jak to Pan Bóg, patrzył na wszystko
z nieba i smutno kiwał głową. Wzdychał i
mruczał, gniewnie zerkając w stronę no-
wootwartego kościoła Świętego Ducha.
- Niech go pierun trzaśnie! - szepnął.
I wtedy stało się. Kościół wybuchnął pożarem,
który strawił go całkowicie, pozostawiając
tylko nadpaloną ścianę i kamienny funda-
ment. Od tego czasu ludzie mówili:
- Abentajer panie, toć jest abentajer
kazimierski!





IZA STANIEC - ŁASKOWSKA

Co można zrobić ze starym modelem

roztrzaskać
cisnąć nim o ścianę
patrzeć z zaciekawieniem
jak wysypują się z niego
kolejno wszystkie numery
na jedną kupkę ci
do których się czasem dzwoniło
na drugą zapomniani
lub którzy zapomnieli
albo zmienili numer
w powietrzu wirują jeszcze ci
do których wysyłało się
najwięcej esemesów
teraz wszyscy w jednym milczeniu
za jednym pociągnięciem zmiotki
lądują na szufelce
wśród dzwonek grafiki i opcji
gotowi do wymiany
na najnowszy model

Wernyhora

Czekał na mnie kilka dni.
Kiedy przyszedłem do Wernyhory,
podniósł już nie głowę, a łeb.
Poprawił poły znoszonego płaszcza, nie purpury.
Pokręcił się już nie w siodle, a na stołku.
Pokręcił i zrobił pod siebie.
- Co, dziadek? O której was córcia przywieźli?
Patrz, mam fajki. Chcesz? To kup.
Ja ci fajki, ty mnie róg.
Rozumiem, transakcja wiązana.
Sznur to ważny element ludzkich poczynań.
Co, ścierpło ci dupsko od siedzenia?
Policzyłem wszystkie dziury w jego płaszczu.
Sporo ich, bo żyje ponad normę.
Gdyby skończył o dekadę wstecz,
płaszcz to byłby prawie jak nowy.
Tyle deszczy zdążyło go zsieć,
wypalały słońca-podkowy.
- Co, dziadek? Zima idzie, co? Córcia odbierze?
Patrz, opłatek przyniosłem. Bierz.
Takiś jest pół-człowiek, pół-zwierz,
a ja jestem cham i „miał-być-poetą”.
Zamienię słówko z „miał-być-profetą”
i spadam dalej w życie, o! w najlepszej wierze.



ANNA NOGAJ

SPOTKANIE Z NIM

Obserwuję go dość długo, właściwie to nawet nie wiem, odkąd tutaj jestem. Czas płynie gdzieś obok mnie, poza mną i przeze mnie. Faluje spokojnym płomieniem świecy albo drży w jej niespokojnym oddechu, a ja i tak nie czuję jego upływu. Za oknem przesuwają się wełniane czapki, kapelusze, uniesione do góry kołnierze. Sapia zatrzymujące się autobusy, wysypują co chwila garstkę ludzi, którzy rozbiegają się w różne strony miasta. Czasem ktoś potrze dłonią zaparowaną szybę kawiarni i zajrzy do środka. Tych ciekawych spojrzeń odbija się w niej coraz więcej, ale to, co na zewnątrz, to, co zwykle śledziłam z wielkim zainteresowaniem, aby przekuć później swoje spostrzeżenia w barwną metaforę, dzisiaj już po chwili przestaje mnie interesować. Moją uwagę w zupełności pochłonął człowiek siedzący przy oknie w nieprzerwanym milczeniu. Zjawił się tu nie wiadomo skąd i po co. Bo nic nie zamówił ani z nikim nie rozmawia. Właściwie oprócz niego, mnie i jednej osoby, siedzącej w kącie lokalu z nosem ukrytym za płachtą olbrzymiej gazety, nie ma nikogo. Tę senną atmosferę dopełnia cicha, smutna melodia, sącząca się z głośników, drży w uszach, wprawia w stan odrętwienia. Czasem tylko kelner przesunie się koło mnie pospiesznie, czasem rozlegnie się śmiech spazmatyczny, jakby niewprawne ręce biły w fortepian. A człowiek pod oknem trwa dalej w cichym skupieniu. Wyjęłam z kieszeni płaszcza mój nieodstępny stary notes i próbuję zapisać to, co w tym momencie czuję. Ale nie mogę nakreślić nawet słowa, wyrrywam kartkę i mnę ze złością, aż wewnątrz dłoni zaczyna wzbierać ciepłem. Nie wiem, co mam dalej ze sobą zrobić, jak się zachować. Może teraz, jak głośniejsz postawię szklankę na blacie, może jak krzyknę przepraszam pana, może... Nie! najlepiej będzie, jak jeszcze poczekam, popatrzę. Jest w tym patrzeniu jakaś tajemnicza siła, przyciąganie. Na twarzy tego człowieka oprócz skupienia maluje się coś jeszcze, coś

jeszcze... Siedzi jak odlany z brązu bożek, jak manekin jakiś. Nic, tylko patrzy i patrzy. A wzrok ma daleki, zabłąkany na obcych ścieżkach, dla mnie niedostępnych. Co w tym wzroku może się odbijać? Może zrywają się w jego oczach ptaki do lotu, drżą krople rosy na łąkach, ktoś wyciąga rękę na pożegnanie. A może lśniąco włosy dziecka jak żytnie powrosła i zanurzona w nich kobieca ręka. A najpewniej jest w nich odjeżdżający pociąg i gasnące światła czy... O, poruszył się, poruszył wargami. Uniósł jedną rękę i powoli opuszcza na blat, powoli, z wielkim namaszczeniem. Opuszcza i podnosi; a wszystko to dzieje się jakby we śnie, w zwolnionym tempie. Nawet już nie jestem pewna, czy to się dzieje. Znow uniósł dłoń i delikatnie opuszcza w dół. Zawahał się na chwilę, położył palce na blacie. Rozprostował je i dociska, jakby chciał przeniknąć drewnianą powierzchnię stolika, a na jego twarz wstąpił ledwie dostrzegalny grymas. Chcę mu jakoś pomóc, ale nie mogę. Nie mogę się ruszyć, może to jego wina, może moja. Udziela mi się to milczenie i ten dziwny, raz tchnący spokojem, innym razem bólem nastrój. Czuję, że mam mokre policzki. Niemożliwe. Co mnie z nim może łączyć, że tak mocno go odczuwam i jego obecność tak strasznie niepokoi. Serce przyśpiesza, bije gwałtownie, coraz szybciej. Jeśli on zaraz nie wyjdzie, nie zrobi czegoś, nie wiem... nie powie choć słowa, zwariuję. O Boże! Szukałam tej chwili i chyba znalazłam. Targają mną różne emocje. Teraz znowu wstępuje we mnie powoli spokój i ukojenie. Coś zaczynam rozumieć, przeczuwać, tylko nie mogę nadażyć nad kotłującymi się w głowie myślami. A jego ręka opada, wciąż opada, a w tym opadaniu jest bezmiar cierpienia, żalu, obojętności. A może jest jeszcze oczekiwanie, tak, musi być oczekiwanie. Poznaje, że tak jest, po tych chwilowych zawahaniach, zamyśleniach. Rytmiczne uderzanie dłoni o blat, walenie serca słyszę tylko tyle. Nic więcej. Ktoś mi podaje chustkę i pyta - czemu płaczesz?

teraz dopiero zdaję sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje. Ale jest mi dobrze, bardzo dobrze. Coś we mnie pękło, coś się otworzyło. Uczucie, za którym tęskniłam, powoli rozplywa się po ciele, oczyszcza. Przeciągam moką dłońią po twarzy i znów wpatruję się w obcego, nie mogę przestać. A w tym opuszczaniu ręki znajduję coraz więcej tak jakby ta dłoń kładła się na moim czole, jakby tuliła, jakby... Kim jesteś?, kim jesteś? myślę, bo nawet nie mam siły, aby cokolwiek głośniej powiedzieć. Zaciskam palce na blacie do białości. Tak jak wtedy, gdy byłam dzieckiem i z wielkim strachem klęczałam po raz pierwszy przy konfesjonale. Zaciskałam palce na drewnianej półeczce tak bardzo mocno, jakbym chciała wszystkie grzechy z siebie wycisnąć. Teraz w tym zaciskaniu nie ma już strachu, ale jest oczekiwanie. Wzbiera we mnie wielka radość i ból zarazem. Czuję, jak się go pozbywam. A może nie pozbywam, ale się go uczę. Tak, uczę się bólu. Pierwszy raz od dawna dotykam naprawdę. Drżącą dłońią, niechęcący, popchnęłam mosiężny świecznik. Rozgrzany воск parzy mi palce. Nie wzbraniam się jednak przed gorącym żółtej stróżki wzbierającej na mojej dłoni. Patrzę, jak rozplywa się po skórze, rozgałęzia, szukając najlepszej drogi, aby w końcu zastygnąć w różnych formach, zgasnąć. Palcami drugiej ręki dotykam lepkiego wosku i powoli ugniatam, mocniej, coraz mocniej, aby czuć w sobie moc tworzenia. Moc ciepła. Wpatruję się w płonący niespokojnie płomień świecy i chłonę to światło, przenikam je. Właśnie te dwie niby prozaiczne czynności napelniają mnie przedziwną treścią, taką bardzo realną. Po chwili wrywam się z zamyślenia, gdy jakiś nieźle już zalany facet odsunął z łomotem krzesło, usiadł na przeciwko i trzasnął olbrzymią łapą w kolano zanosząc się dzikim chichotem, przechodzącym powoli w bełkotliwą piosenkę. Nie mogę zrozumieć ani jednego słowa, co sprawia, że denerwuję się jeszcze bardziej. Nie mogę go słuchać, nie chcę! Usiłuję się podnieść, odkleić od rzeczywistości tego człowieka, która jak lepкими mackami przykleja się do twarzy i powoli

obejmuje całe ciało. Od słów wciskających się do uszu dźwiękiem uciążliwych, rzęgotających grzechotek. A to moje wstawanie trwa całą wieczność. Na ciężkich jak z ołowiu nogach idę jednak przed siebie i ślaniając się raz na lewą raz na prawą stronę zahaczam o różne sprzęty. Za dotykiem omdlełej dłoni osuwa się obrus i tłucze parę szklanek, kieliszków. Z wywróconej lampy osunął się czerwony abażur odsłaniając nagość rzeźbionego chłopczyka, jego zawstydenie. Zadzźwięczało mi w uszach, a potem wszystko nagle ucichło. Znów ta cisza, ta cholerna cisza!! Gęstnieje, zatyka uszy, płacze nogi. Krok po kroku zbliżam się do człowieka pod oknem, krok po kroku, krok... Pragnę jednego. Przejrzeć się w jego oczach, przejrzeć się w swoich oczach. Jak to jest, móc siebie widzieć, jak to jest, oglądać swoją twarz, każdy grymas, uśmiech układanie warg do wypowiedzenia słowa. Ale jak do niego dojść. Słabnę



coraz bardziej, a jeszcze zaludniło się strasznie w tej małej kawiarence. Nadęte matrony przepychają się łokciami, pyzate dzieci krążą jak widma, szturchając mnie co chwila, ktoś nawet szarpnął mnie za ramię. Skąd ci ludzie, czemu mi tak strasznie duszno. Z trudem przepycham się przez tłum skłębionych ciał i czuję pulsującą w arteriach żył krew, krople potu na skroniach. I to głupie uczucie, że nikt mnie nie widzi, to lekceważenie. Jeszcze jeden krok, ten jeden jedyny krok i... Widzę! Ogromne szkliste oczy przyprószone tajemnicą, jak mieniące się w słońcu lustra wody, jak błyszczące misy odbijające promienie światła. Wygląda, jakby płakał, ale nie. Bo te oczy, te ogromne oczy były jak wyschłe studnie łaknące wody, jak trawy pożółkłe spalone lipcowym słońcem. Takie znajome mi oczy. To ja tam jestem. Ja jestem... Uwieczona w tych oczach, tak bliska ale i daleka. Zobaczyłam w nich drogę zasypaną śniegiem, nieprzejezdną. To był ten las, ciemny mruczający las. Szłam krok za krokiem i oglądałam się za siebie. Buty z trudem odrywały się od podłoża, a ogromne płaty śniegu chłodem wciskały się do oczu. Padało i padało, że już świata nie było widać. Roztańczone konary drzew skrzypiały złowieszczo, zdawało się, że połamią się za chwilę jak zapalki. Tylko te twarze, pojawiały się gdzieś blisko mnie, te znajome twarze, i znikwały za chwilę. Niemal ocierałam się o nie. Zdawało mi się, że czuję na szyi ciepły oddech, a potem ta przeraźliwa pustka. Przecież szli za mną, gdzie oni są... Zabłądziłam na dobre. Każdy podmuch wiatru rozwiewał zarysy postaci, zasypywał śniegiem. Potem jeszcze muśnięcia palców na moich rękach. Tak bardzo chciałam je przytrzymać, spleść z moimi, ale za chwilę w dłoni zostawało tylko powietrze. Ostre powietrze, które jak ostrze brzytwy smagało po twarzy. Stałam, rozejrzałam się dookoła i... Mam ochotę wyciągnąć rękę i pogłaskać tę drugą siebie po włosach, poklepać po ramieniu, przytulić. Ale nie robię nic. Stoję i patrzę. Cała tym patrzeniem jestem. Ten człowiek w ogóle mnie nie zauważa, nie widzi. Uderza swoją dużą dłonią o blat, jeszcze wolniej. Nagle przestał. Podparł ręką brodę i odwrócił się w zamysleniu w stronę okna. Teraz

już wszystko wiem, rozumiem, tylko czy starczy siły, aby temu podołać? Czuję, że muszę iść, biec, byle dalej stąd, byle szybciej. Grube płaty śniegu kładą się na czołe, skleją rzęsy. Unoszę garstkę białego puchu i przykładam do twarzy. To przejmujące, wspaniałe zimno niesamowite. Nie wiedziałam, że tak może pachnieć śnieg, że tak może pachnieć szczęście. Po chwili zamyslenia zaczynam iść przed siebie, a raczej nogi same niosą w nieznanym kierunku. Idę wciąż szybciej i szybciej, odgarniając łańcuchy świateł, które rozrzuciły po mieście latarnie. Przydeptuję stopami światło miesiąca prowadzące wśród gęstniejącego mroku. Ściemniło się już na dobre, a śnieg sięga kolan i z trudem mogę stawiać kolejne kroki. Zaczynam biec. Uciekam od przeraźliwego jęku skrzypiących huśtawek, zatykam uszy, a pisk staje się nie do zniesienia. Uciekam od dziecka z załzawionymi oczami, samotnie taplającego patykami w błocie. Od szumu drzew falujących nerwowym łopotem skrzydeł spłoszonych ptaków i od bijących po twarzy gałęzi. Uciekam. Zmęczenie okazało się jednak silniejsze. Zatrzymuję się pod najbliższym drzewem i przytulam czoło do spękanej kory. Jestem gdzieś nad rzeką, w ogóle nie znam tego miejsca. Wiem tylko, że ktoś mnie szuka, że muszę gdzieś iść. Z trudem otwieram oczy i zauważam na drugim brzegu majaczący zarys jakiejś postaci. Ktoś gorączkowo kiwa do mnie ręką. Oglądam się w drugą stronę. Tutaj z kolei zza drzewa wygląda przerażona twarz, łypiąc błyszczącymi oczyma. Zamykam powieki i coraz mocniej zatykam uszy. Znowu zbliża się ten straszny szum, niepokój. Urywane głosy, szept, szloch jakiś i te przeraźliwe łańcuchy huśtawek rozrywają ciszę. W górze unoszą się podarte gazety, pod nogami kupa śmieci, tekturowych pudeł. Mam ochotę położyć się pod jednym z nich i zasnąć na chwilę. Odpocząć. Ale wiem, że nie mogę teraz zasnąć bo stracę zapach śniegu, ciepło człowieka... Siebie stracę. A dziś poczułam że jestem, że mogę wszystko zacząć od nowa.

Znowu mnie woła. Teraz wszystkie szmery i krzyki zamilkły. Zapadła głucha cisza, ale ona nie boli. Delektuję się nią, wciągając wraz z powietrzem w płuca, spokojnie

oddycham. Mam świadomość, że znalazłam się przed wielkim wyborem, ważną chwilą mojego życia. Czuję na sobie spojrzenia zza drzew, za skrzynek i z każdego miejsca ktoś na mnie patrzy. Czekają, co zrobię, jak się zachowam. Stoję na jakiejś granicy absurdu, gdzie zderza się czas i przestrzeń, gdzie jestem i mnie nie ma. Uwięziona między niemocą a pragnieniem. Strachem a nadzieją.

Jak przejść tę cholerną rzekę, jak się do niego dostać. A czuję, że muszę uchwycić tę daleką dłoń, uczepić się jej i dać poprowadzić. Patrzę i patrzę, i czuję wzrastające ciepło, wielką miłość i coś, czego nie umiem zamknąć w słowach. Ściśnięte gardło, w głowie kotłują się myśli, jak je wyrazić, jak się wypowiedzieć. Nagle, ciężkie kłębiaste chmury przetoczyły się ospale po niebie, odsłaniając księżyc, zrobiło się zdecydowanie jaśniej. Z twarzy czekającego osunęła się gęsta zasłona cienia. Niemożliwe. To chyba ten człowiek z kawiarni, ten sam przecież. I nie wiem, czemu z tej wielkiej, tłamszącej się we mnie od lat ciszy, tego milczenia znaczącego ostrymi skazami moją twarz, zamykającego dłoń w kulak, wyrwało się trzykrotnie jestem, jestem, jeeestemmm!!!

On również krzyknął Daj mi rękę, tylko daj mi rękę. Przysiadam zdziwiona na stopach i nasłuchuję. Ty do mnie mówisz? Powtórz to proszę, powtórz, powtórz!!! Łowię każde jego słowo, napełniam się rozplywającym wokół dźwiękiem, który gaśnie i powraca z echem, aby w końcu zamilknąć na dobre. Niemożliwe... Ty naprawdę do mnie mówisz! Powoli wstaje i patrzę z ciekawością w lustro wody. Widzę swoje odbicie, lekko faluje, ale jest bardzo wyraźne. Zanurzam jedną rękę w granatowej toni i zaczynam macić mój obraz, mieszam ze sobą gwiazdy, które teraz rozciągają się po lśniącej tafli w świetliste rozedrgane wstęgi. Płacę gałązki drzew i szeleszczę suchymi liśćmi. Nie mogę patrzeć teraz w swoje oczy, nie teraz. Mieszam coraz gwałtowniej, aż do momentu, gdy wszystko zlewa się w jedną całość i tańczy pod moimi stopami. Muszę stać się częścią tego krajobrazu, odbiciem tych oczu, które gdzieś tam, na drugiej stronie, patrzą i przenikają mnie do końca. Stawiam pierwszy nieśmiały krok. Woda taka zimna.





Z. MAREK PIECHOCKI

Jedna szklaneczka piwa
(mi, niezwyčajnemu alkoholowi)
nadaje myśłom bieg szybszy
i wyrazy jeden za drugim
układają się w myślach

Nawet nadzieja nadziei
jakby bliższa
i sfory myśli złych
które od paru dni oblegają
jakby mniej ujadają

A przecież tak się starałem
w te dni ostatnie
zmysłom dostarczać piękna
które koić powinno

A przecież nie ...



JOANNA SKÓLIMOWSKA

INNA*

Ciemnowłosa dziewczyna siedziała przytulona do szyby. Własne myśli starała się zagłuszyć muzyką. Z każdym dniem bardziej i bardziej zatracala się w swoim własnym świecie, który stworzyło jej serce, choć ten jeden raz zgodne z rozumem. Tego dnia czuła się wyjątkowo źle. Zrozumiała, że utknęła w nierealnych marzeniach, zgubiła sens.

Wyszła na balkon. Niebo było pełne gwiazd, wiał zimny wiatr. Ludzie przechodzący ulicą, przy której mieszkała, pospiesznie mijali jej dom. Najgorsze były pary zakochanych trzymające się za ręce, przytulające, rozmawiające z przejęciem. Dlaczego jej nie było dane odnalezienie tej drugiej połówki, przeżycie wspaniałych chwil? tego nie mogła zrozumieć. Przez te piętnaście lat swojego życia niewiele szczęścia zaznała. Rodzice widzieli w niej tylko problem, to przez nią musieli jeździć po klinikach, wydawać pieniądze na operację, lekarzy. Instynktownie czuła, jak gdyby to właśnie ją obwiniali o to, że urodziła się z wadą stopy. Dręczyła się, bo przecież nie miała na to wpływu nikt nie miał. Usilnie próbowała być „normalną”, cieszyć się życiem.

Spojrzała w niebo... Gwiazdy migotały przyjaźnie. Gdzieś tam pośród nich był jej dziadek, od tylu lat czuwający nad nią. W jednej sekundzie wróciły wszystkie wspomnienia ich wspólnych dni. Przypomniała sobie, jak trzymając w silnych ramionach małą dziewczynkę, szeptał jej do ucha „Blanka, kochanie. Jesteś moim małym, słodkim aniołkiem”. Nigdy nie zapomni, jaka była szczęśliwa, kiedy dziadzio podrzucił ją do góry, kiedy grali w berka, pracowali w ogrodzie. Każda godzina spędzona z nim emanowała bez troską. A potem... przed oczami tylko ten beznadziejny szpital, najwspanialsza osoba leżąca pośród bieli. W pierwszym momencie nie poznała go. Kolor cery niewiele różnił się od pościeli, wyraźnie schudł, twarz pokryła się zmarszczkami.

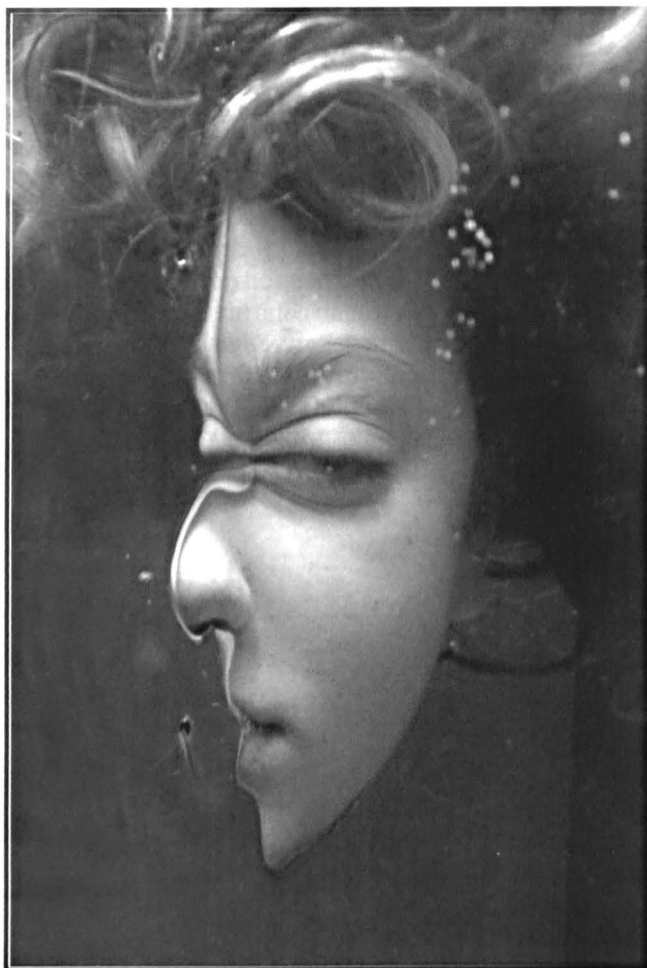
Przed wszystkim jednak brakowało uśmiechu na ustach, iskerek w oczach. Zmartwiona przytuliła się najmocniej, jak tylko umiała. Kilka dni później rodzice powiedzieli jej, że było to ich ostatnie spotkanie. Przeplakała całą noc. Rano nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, straciła apetyt. Toczyła bitwę z samą sobą, ze swoimi, zbyt poważnymi jak na ośmiolatkę, myślami.



Anna Kowalczyk

Bezustannie zadawała sobie pytanie dlaczego to właśnie ją spotyka tak wiele cierpienia, czym sobie zasłużyła? Jednak jedynym wnioskiem, do jakiego udało jej się wtedy dojść był fakt, iż wszystko się zmieni. Teraz wiedziała już, że miała rację. Została na tym świecie sama, mogła liczyć tylko na siebie. Niekiedy spotykała się z siostrą cioteczną, lecz i to nie dawało zbyt

* Wyróżnienie w I edycji turnieju literackiego Chichot Chimery (2007).



📷 Anna Kowalczyk

wiele szczęścia, nie wpływało znacząco na szarą codzienność.

W pewnej chwili poczuła nieodpartą chęć skoku.

- Może to przyniosłoby ulgę - myślała - Tak bardzo chciałabym znów być przy dziadku, móc się do niego przytulić, wsłuchać się w jego ciepły głos.

Zawahała się. Pierwsze piętro to stanowczo za nisko. Wątpiła, by przyniosło to radykalne rozwiązanie. Prawdopodobnie połamałaby się tylko. A jak spojrzeć później „bliskim” w oczy? Jak pokazałaby się w szkole? Nie! Za nic nie mogła tego zrobić. Wzrok wystarczającej liczby osób czuła na sobie, kiedy przechodziła korytarzem.

Nie była wyjątkowo piękna. Mimo to podobała się chłopakom. Mistrzostwo w ukrywaniu swojej inności osiągnęła już dawno temu. Tylko nieliczni wiedzieli o jej problemach z nogą, o tym, że jedna jest chudsza a druga grubsza. Niestety, zainteresowanie ze

strony kolegów po pewnym czasie przerodziło się w fatum. Ona niedostępna, czekała na księcia z bajki. Oni zbyt dumni, by pogodzić się z porażką. Ranili ją bardziej niż obojętność ze strony rodziców. Za słaba, aby zlekceważyć obelgi, złośliwości biegła do łazienki i przepłakiwała całą lekcję. Nauczyciele tolerowali to, gdyż domyślali się, jak trudno jest być innym. Niektórzy uczniowie mieli tyle odwagi, że bezceremonialnie krzyczeli za nią „insza”. Z mocno bijącym sercem zeszła z balustrady i kucnęła w kącie. Łzy ciągle spływały po jej policzkach. Nie zauważyła nawet, że muzyka w mp3 przestała grać. Siedziała wtulona pomiędzy ścianą a barierką, pogrążona w rozmyślaniach. Nagle poczuła wibrację. To telefon tkwiący w kieszeni przetartych jeansów. Nie mogła w to uwierzyć. Do tej pory właściwie nigdy nikt o niej nie pamiętał. Odblokowała klawiaturę i zobaczyła na ekranie „Masz jedną nową wiadomość od - nieznany numer”. Treść zaskoczyła ją jeszcze bardziej. „Bóg nigdy nie daje nam krzyża ponad nasze siły”.

Bóg. Kiedy ostatni raz o Nim pomyślała, pomodliła się, poszła do kościoła? Dawno temu, bardzo dawno temu.

*

Przypomniała sobie sytuację, kiedy jej wiara odeszła tak naprawdę. Kilka miesięcy przed owym zdarzeniem poznała przez internet Laure, swoją rówieśnicę. Znajdowały się w podobnych sytuacjach życiowych - samotne pośród ludzi, nieakceptowane przez najbliższych, zagubione, zlekniowane, lecz mimo to pragnące żyć. Rozmawiały prawie codziennie, pisały o wszystkim, śmiejąc się do monitora, płacząc w klawiaturę. Po pewnym czasie nie wyobrażały sobie życia bez siebie. Pomimo odległości, która je dzieliła doskonale się rozumiały, wyczuwały gdy z drugą działo się coś nie tak. Jednak pewnego dnia czar prysł! Nie pamiętała już nawet, jak to się stało, co było powodem ich kłótni. Zapewne jakaś błahostka, która w normalnych okolicznościach już po chwili odeszłaby w niepamięć. Niestety, wtedy ułożyło się inaczej. Przyjaciółki tęskniły za wspólnymi godzinami spędzonymi na czacie, lecz zachowywały

milczenie. Cechował je upór, każda czekała na wyciągniętą w jej stronę dłoń. W końcu Blanka pękła. Napisała krótką wiadomość: „Najsmutniejsze jest zapomnienie. Nie każdy ma przyjaciela”. Była pewna, że przyjaciółka zrozumie przekaz. Tamtego wieczora położyła się do łóżka dużo lżejsza udało jej się pozbyć tego okropnego pocucia winy, samotności. Widziała, że kiedy nazajutrz wejdzie w skrzynkę, zobaczy tam pojednawczego e-maila od Laury. Nie mogła jednakże spać spokojnie. Kilkakrotnie budziła się w nocy, zlane potem, ze łzami w oczach. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że nadchodzą złe chwile. Nie mogła jednak nic zrobić. Jej głowa spoczęła na poduszce, lecz oczy tej nocy już się nie zamknęły. Rano, gdy tylko usłyszała, że rodzice wstali zbiegła po schodach do kuchni. Nawet nie zauważyli, że weszła. Wyczuwało się jednak dziwne napięcie panujące w pomieszczeniu.

- O co znowu chodzi? - zastanawiała się. Na odpowiedź nie musiała czekać długo.
- Blanka, możesz mamie powiedzieć, o której wczoraj wyłączyłaś komputer? - grzmiał wyraźnie pod denerwowany ojciec.
- Pewnie, że mogę. Koło 23, a bo co? - odpowiedziała zaczepnie.
- Widzisz?! Widzisz w jaki sposób ona mi odpowiada!?
- Ale Maciek, spokojnie! Przecież nie o tym mieliśmy rozmawiać - starała się uspokoić mama.
- Nie o tym, nie o tym! To taki sam problem jak i jej nałóg! Nawet nie wiesz co tam się dzieje!! Pełno zboczeńców, sekt. Założę się, że ona już do jakiejś należy! To dziecko nie ma dla mnie żadnego szacunku! Nie będę tego tolerował!
- Nie należę do żadnej sekty! Uspokój się! Za kogo ty mnie masz?! - Blance puściły nerwy. Nie znosiła, kiedy ktoś oskarżał ją o coś, czego nigdy nie robiła.
- Blanka! jak ty się odzywasz do ojca!? - matka wkroczyła akcji.
- Nie! Tego już za wiele! - rozłościł się na dobre ojciec.
- Pff. I co mi zrobisz? Uderzysz mnie?! Wybacz, ale nie boję się ciebie. Już nie!
- Masz rację! Już się mnie nie boisz! Ale chyba mam już dla ciebie doskonałą karę. Zero komputera! Wywożę go do dziadków, na wieś. Skończyły się zarwane noce. Może w

końcu weźmiesz się za naukę!!

Tego się nie spodziewała. Komputer... Akurat teraz, kiedy była pewna, że z Laurą znów będzie jak kiedyś. Z płaczem uciekła na swoje poddasze zamykając drzwi na klucz. Czemu tak na niego naskoczyła?! Przecież wiele razy wpuszczała jednym uchem, a wypuszczała drugim, kiedy miał do niej pretensje... Po chwili jednak żal do samej siebie przerodził się w żal do Boga. Nie mogła zrozumieć czym sobie zasłużyła na taką rodzinę? Zawsze starała się trzymać z daleka od papierosów, piwa. Zawsze też dostawało jej się za każdą drobnostkę. Jaka w tym jest sprawiedliwość? Inne dziewczyny są przytulane przez mamę, mogą z nią zawsze porozmawiać, a ona.. Zdana jest sama na siebie. Postanowiła napisać do Laury sms-a gdy nagle zorientowała się, że telefon został w kuchni.

- No pięknie. To teraz i z nim mogę się pożegnać - załamała się całkowicie.

*

Od tamtej pory minęło już prawie pół roku. Kontakt z przyjaciółką został zerwany. Choć komórka wróciła do właścicielki, na niewiele się to zdało. Laura zmieniła numer. Na dodatek Blanka nie miała pieniędzy na kafejkę. Za dużo milczenia wkrađło się między nie. Rana bolała nadal. Jak zrozumieć głupie serce, które nie chce zapomnieć? Jak wybaczyć Bogu, że właśnie tak pokierował jej życiem? Nie umiała. Nie chciała. A teraz ta dziwna wiadomość. Kto mógł ją wysłać? Dlaczego? Zastanawiała się czy i co ma odpisać. Spojrzała na półkę ze swoimi ulubionymi książkami. Wzrok zatrzymał się akurat na *Małym księciu*. Przypomniała sobie te przepiękne cytaty, mocno wryte w jej głowie. Jeden pasował doskonale... „Kraina łez jest taka tajemnicza”. Jej palce szybko uwijały się po przyciskach, a później bez większego namysłu kliknęły „wyslij”. Zżerała ją ciekawość, co odpisze jej tajemniczy nieznajomy i czy w ogóle dowie się, kim on jest.





NESTOW SAKACZBIA

Śmiecionośny

Urodziny Mamy minęły po hasłem:
 "śmieci". Śmieci
 na które się zablokowałem, gdy staliśmy
 pod chatą ciotki.
 Ja i Ojciec. Ja i test. Ja i te cholerne
 podrzucanie
 śmieci. Już nie ma podjeżdżania
 pod śmietniki. Jest obawa
 Ojca, że ktoś zobaczy. Spisze
 numery i będzie
 kłopot. Nie wyrzuciłem. A później
 jak łatwo można się spodziewać, smród
 mojej odmowy ciągnął się
 za Ojcem aż do Łapalic. W Łapalicach
 Mama urodzinowa. W Łapalicach
 Ojciec prowokujący. I dałem się wciągnąć.
 Spektakl: "rodzinne piekielko czas zacząć".
 Ciocia na widowni
 wciągnięta do akcji na zasadzie: "ciocia
 mówi
 jak to widzi". Fantazyjny prezent
 urodzinowy za jedyne dwa worki
 śmieci. A wszystko mogło być zupełnie
 inaczej, jak to powiedział Ojciec, gdybym
 tylko chwycił
 za te cholerne śmieci. Takie gdybanie
 to żadna nowość. Takie gdybanie to jedno z
 imion Ojca.
 A na koniec nagły mój ból brzucha.
 Tak więc super. Nic
 tylko wymarzyć sobie
 takie urodziny. Gdy podrzuca się śmieci
 cztery lata, to już nawyk, z którym ciężko
 walczyć.
 Takie podrzucanie. Takie sobie.

Knaipka „pod Świadomością”

„Czy trzeba być świętym, by święcić?
 Więc poświęć tu chwilę
 I zostań
 Bo dzieci nie płaczą ze szczęścia
 Dzieci płaczą ze starości”*

Zostałem. Przybiłem
 A gwoździ w tym stole nie zliczysz
 To stara tradycja, tak "zostać i przybić"
 To spadek z pradiada
 Na dziada i ojca, a z ojca na syna
 A synem opowieść
 Spłodzona z przypadkiem. Zostałem
 Dlaczego? Iść mogłem
 Gdzie matka? Dość tego!
 Polewaj. Zostaję
 A drogę niech znaczą

* Podszepty



GRZEGORZ ŻAK

MONOPOL

Trzask! Solidna brama otworzyła się na chwilę wystarczającą na wtoczenie się do wnętrza wozu zaprzężonego w dwa brunatne woły zbożowe. Trzask! Zamknięcie bramy zrównało się w czasie z otoczeniem wozu przez uzbrojonych strażników.

- Nażwisko! – krasnolud, najwidoczniej dowódca straży, miał trudną do zdefiniowania, ale łatwą do wykrycia wadę wymowy.
- Przecież mnie znasz, Rudi – hobbit na wozie nosił zgrzebne, płócienne portki i takąż koszulę. W ręku miał bat.
- Ta jest, znam cię, ale przepis jest przepis – Rudi nachylił się do kudłatego hobbitckiego ucha – trza pozór zachować, koty na wachcie, chwytasz?

Niziołek westchnął:

- Chwytam, co mam nie chwytac.
- No to nażwisko! – ponaglił dowódca straży.
- Din Szamrokhopper.
- Co wieciecie?
- Pyry, jak zwykle...
- Nie żagając, jeno odpowiadać! Pyry, dobrze. W czelu?
- W celu... Pędzenia wody, wiadomo, a w jakimże...?
- Ech, Din, miałeś odpowiedzieć: w czelu wspomóżenia przemysłu monopolowego, czy jakosż tak.
- Daj spokój Rudi, jak Koola kocham.
- Dobra – krasnolud znów nachylił się do ucha woźnicy – nie podważaj mi autorytetu Din, koty na wachcie. Dobra – podniósł głos – wjeżdżacz. Hala numer dwadzieścia trzy, fioletowe wrota, prosto, potem w lewo i w prawo...
- Wiem, wiem.

Wóz powoli wtaczał się do wnętrza twierdzy.

Twierdzy wyjątkowej pod każdym względem – jedynej kamiennej fortecy w Ponurej Puszczy, dla której budowy kamień sprowadzano z odległych Gór Istniejących, płacąc za to fortunę. Graf Kociłokieć, właściciel twierdzy, mógł sobie na to pozwolić. Mógł pozwolić sobie na prawie wszystko. Jego forteca zwała się Pormoss. Produkowano tu najpopular-

niejszy trunek w Sargalu – słynną Ponuropuszczańską Żywicę.

Załadowana ziemniakami fura Dina

Szamrokhoppera nie skręciła w lewo i w prawo. Przeciwnie – najpierw w prawo, a potem w lewo, w ciemny zaułek za rampą przeładunkową oddziału lepienia gąsiorów. Nikt nie zauważył, jak hobbit rozrzuca ziemniaki na ziemi i bierze do ręki drewnianą, powyginaną różdżkę, wcześniej ukrytą na dnie wozu. Oprócz niej pod ziemniakami leżały miecze, topory, noże i inne narzędzia nie nadające się raczej do obierania ziemniaków, chyba, że bardzo z grubsza. Din Szamrokhopper wyciągnął też blaszaną konewkę. Podskakiwał dziwnie, podlewając ziemniaki, szepcząc coś i dotykając je laską. Powietrze nabrzmiało dziwną mocą – stało się jakby



bardzo żyzne, jak pole pełne wilgotnego nawozu. Ziemniaki zaczęły kiełkować... Graf Kociłokieć pomyślał, że warto by umieścić na reklamowych plakatach ostrzeżenie, iż Ponuropuszczkańska Żywica pali żywym ogniem na wątrobie, a palenie powoduje raka i choroby serca. Kociłokieć wiedział, że takie notki wbrew pozorom zachęcają – na zasadzie kontry i chęci doświadczalnego sprawdzenia „co to znowu za kłamstwa w reklamie”. Graf znał się na marketingu i zawsze sam nadzorował kampanie reklamowe. Łyknął soku z malin. Alkoholu generalnie nie pijał, za wyjątkiem okazjonalnych kontroli jakości.

*

Trzask! Brama otworzyła się na chwilę, wpuszczając wóz zaprzężony w dwa brunatne woły zbożowe. Na wozie, pełnym dorodnych ziemniaków, siedział ubrany w płóciennę łachy niziołek i uśmiechał się:

- Witaj Rudi, pyrów wam przywiozłem.
- Nażwisko... – wpół wykrzyknął, wpół wyszeptał dowódca straży – Din Szamrokhopper!
- Jam ci jest! To jak, tam gdzie zawsze?

Krasnolud i cała obsada wachty przypominała w tym momencie „Grupę Laokonia”. Albo inną grupę wyrzeźbioną w marmurze.

- Co tak stoita, pyrów nie widzieli? Na wodę przywiozłem. Rudi, to ja!
- Din, co ty tu robisz?
- Ile razy będę powtarzał. Pyry. W celu wspomnienia pomysłu monopolowego czy coś. No jak, dobrze spałem? Ma się tą pamięć, a?
- Din, ty już tu dzisiaj raz wjeżdżałeś, przecież widziałem...
- Rudi, byłeś na produkcyjnej i się nawdychałeś, czy co?
- Ale... Zatrzymać go. Malmo leć do Czubba. Powiedz, że dzieje się coś dziwnego. Cichy alarm – Rudi Huczymłot odzyskał zdolność myślenia, choć na to nie wyglądał – cały czas gapił się szeroko otwartymi oczami na Dina Szamrokhoppera. Drugiego już dzisiaj. Ten, jakby w rewanżu, gapił się równie mocno otwartymi oczyma na dowódcę straży.

– Co się dzieje ...?

Z ciemnego zaułka za rampą przeładunkową oddziału lepienia gąsiorków wybiegła armia uzbrojonych stworzeń. Stworzeń przypominających górskie trolle – potężne brązowe monstra, wymachujące bronią trzymaną w białych ramionach. Na ich czele pędziła niewysoka kobieta z drewnianą, powyginaną łaską w jednej i z konewką w drugiej ręce. – Niszczyć! – krzyknęła – Niszczyć wszystko!

*

Graf Kociłokieć spojrział za okno. W jego zakładzie był ruch. „Dobrze” – pomyślał – „Ruch w interesie to ważna rzecz”.

W twierdzy Pormoss zatrudniono najlepszych fachowców w każdej potrzebnej branży. Także w ochronie. Reakcja straży, mimo zaskoczenia, była błyskawiczna. W mgnieniu oka naprzeciw brunatnym stworzeniom wybiegli elfi łucznicy, krasnoludscy topornicy, krzemienne trolle i ponuropuszczkańscy chłopci z wielkimi mieczami, zaprawieni w utrzymywaniu się przy życiu w najsurowszych warunkach. Świsnęły cięciwy i ciała napastników pokryły się strzałami.

Równie dobrze mogli strzelać do ziemniaków. Potwory nie wytraciły nawet pędu, wpadły na pormosską straż z impetem. Szczęknięta broń. Trysnęła bezbarwna posoka. – Bigoszować! – ryknął Rudi Huczymłot i wzniósł topór do cięcia. Podobno później wykorzystano ciała potworów do produkcji specjalnej, limitowanej serii Ponuropuszczkańskiej Żywicy z dopiskiem „Potwornie smaczna – na bazie prawdziwie monstrualnych składników”. Ale póki co, nikt o tym nie myślał. Zwłaszcza straż zajęta obroną przed niezwykle silnymi ciosami kielkowych ramion.

Nikt nie zauważył, jak niska kobieta w płóciennych portkach i płócienną koszulą wchodzi do głównego budynku. Na pewno nie dostrzegło jej dwóch trollowych wartowników, wpatrujących się jak zauroczeni w trzymaną w drobnej dłoni magiczną różdżkę.

*

Din Szamrokhopper nie miał dobrego widoku spod swojego wozu. Nie miał też czasu na przemyślenie, o co tu w ogóle chodzi. Wiedział jedno – jeśli coś stanie się z Pormossem, nie będzie miał komu sprzedawać pyr. A to mu się nie podobało. Postanowił działać – to, że znał fabrykę jak własną kieszeń, znacznie ułatwiało zadanie. Szybko wyczołgał się spod fury i ruszył w stronę wieży przy oddziale etykiet. Tam urzędował właściciel.

*

Graf Kociłokieć widział co się dzieje, ale nie tracił spokoju. Płacił strażnikom i pokładał w nich w związku z tym zaufanie na zasadzie „wszyscy jedziemy na tym samym wózku, ale ja powożę”. Jednak sytuacja wydawała się o tyle poważna, że wyciągnął z szafy pierścien. Złoty pierścień z wyrytą recepturą Ponuropuszczańskiej Żywicy – tajemnicą strzeżoną przez pokolenia w rodzinie Kociłokciów. Nikt z pracowników nie znał jej w całości –

siedmiu zaufanych Pamiętaczy znało po jednym składniku, siedmiu kolejnych ich proporcje w zestawieniu. Całość recepty przechowywana była na jednym jedynym złotym pierścieniu. Graf Kociłokieć nie ufał nikomu – nawet samemu sobie, i nigdy nie nauczył się przepisu na pamięć, obawiając się, może go kiedyś nieopatrznie zdradzić. Dzięki takiemu rygorowi nikt jeszcze nie przełamał monopolu i nikt nie podrobił Ponuropuszczańskiej Żywicy. Graf podszedł do okna i spojrzał na pierścień pod światło. „Wody źródlanej kadź, ziemniaków ziemnych sak...” – odczytał. I dostał kamieniem w głowę.

*

Din Szamrokhopper podniósł kamień, którym przed chwilą oberwał. To nie był kamień. To był złoty pierścień. „To ten pierścień!” – wykrzyknął w myślach i uniósł klejnot do światła. „Wody źródlanej kadź, ziemniaków ziemnych sak...” – przeczytał i rozejrzał się z niepokojem. Wokół latały kamienie. To nie było bezpieczne miejsce. Dwaj trollowi wartownicy zaklinali się potem,





📷 Mirosław Koczkodaj

że nie widzieli, żeby ktokolwiek wchodził albo wychodził z głównego budynku. A mała czarodziejka wychodząc trzasnęła nawet drzwiami. Nie znalazła tego, czego szukała. Skupiła się, odetchnęła głęboko. Potrząsnęła różdżką, która po chwili zabłysła niebieskim światłem i odchyliła się wyraźnie w kierunku oddziału etykiet. Tam poszła.

Ziemniaczane stwory odkryły, że ich kielkopodobne ręce nadają się świetnie do rzucania kamieniami. To dało im chwilową przewagę – do momentu, gdy skończyły się kamienie. Potem Rudi Huczmłot poprowadził krasnoludzkich toporników i ponuropuszczańskich operatorów mieczy dwuręcznych do „sałatki”, jak w bojowym zapale nazwał tę operację.

★

Graf Kociłokieć spojrzał nieprzytomnym wzrokiem w łagodne oczy, ładną twarz z zadartym nieco nosem i zaciśnięte usta

kobiety trzymającej powyginaną nieco różdżkę.

– Witam panią w moich skromnych progach – wymamrotał.

Błysk różdżki ocucił go w jednym momencie.

– Papani w jajakiej sprawie? – zająknął się.

– Dawaj pierścień – głos kobiety był zdecydowany jak statek idący na dno.

– Piepierścień?

– Nie graj na zwłokę. Dawaj!

– Piepierścień?

– Już! – tupnięcie nie jest może zbyt dojrzałym gestem. Chyba, że towarzyszy mu błysk i grzmot.

Graf Kociłokieć złapał się za guza na czole.

– Nie mam go. Miałem. Ale nie mam. Straż!!!

– Nie wołaj straży!

– Nie mów mi co mam robić, kobieto!

Zgubiłem pierścień. Straż!!!

Następny grzmot uderzył właściciela fabryki prosto w uszy, a błysk niemalże opalił mu brwi.

– Widzę, że mówisz prawdę – stwierdziła czarodziejka – a teraz powiem ci, co masz

robić.

- Ale...
- Czy ja mówię dość wyraźnie? Najpierw wezwij straż.
- Co...? Ale... A tak, dobrze... Straż!!!

*

Rudi Huczmyłot wyprężył się w postawie na bacność i zameldował:

- Atak odparty.
- To bardzo dobrze – Kociłokieć miał drżące dłonie – trzeba wypuścić jeszcze.
- Jak to panie, przeczeż...
- Zginął pierścień. Szukajcie go.
- Pierszcień? Tak jeszt panie. Idę wypuścić jeszcze.

Niewielkie, zajadłe, ale bardzo inteligentne drapieżniki od dawna służyły za pomocników sargalskim przestępcom. Wytresowany jeszcz potrafił śmiertelnie sterroryzować i przestraszyć przeciętną miejską gospodynię domową. Potrafił wejść do domu przez szczurzą norę i otworzyć okno, ułatwiając zadanie włamywaczowi. Najlepszym i najbardziej cenionym numerem było porywanie biżuterii – często w biały dzień i przez odgryzienie ofierze upierścienionych palców. Odchodził tu problem wyżywienia drapieżnika, a na niemal nienaruszone wyroby jubilera wystarczyło poczekać, aż o jeszcze upomni się natura i wyjątkowo szybki cykl trawienny. Graf Kociłokieć trzymał kilka sztuk dobrze wytresowanych jeszcze na wszelki wypadek. Teraz był wszelki wypadek.

- Czego szukamy, panie? – zapytał chudy opiekun jeszcze, Bywój.
- Zza pleców właściciela Pormossu wyszła kobieta w zgrzebnej odzieży.
- Szukamy złotego pierścienia.
- Eskorta spojrzała na grafa pytająco. Ten zmarszczył brwi:
- Słuchajcie jej. Szukamy pierścienia. Tego pierścienia – podkreślił – Rudi Huczmyłot, ty dowodzisz akcją. A potem sobie porozmawiamy.
 - Tak jeszt – krasnolud skrzywił się wewnętrznie. Wiedział, że rozmowa, która go czeka, dotyczyć będzie czujnej jak leśny nocny stres kobiety, dzierżącej śmiertelnie

niebezpieczne narzędzie. Bywój rzucił przed stadko jeszcze własny złoty pierścień. Pamiątkę po tym, jak przy pomocy tych zwierząt siał postrach wśród bogaczy na ulicach Puk-Puk i innych miast Sargalu. Po chwili drapieżniki pobiegły za Dudą, przewodniczką stada. Za nimi grupa strażników oddelegowana przez Rudiego Huczmyłota.

Sam Rudi poszedł sprawdzić stanowisko przy bramie wjazdowej. Dwa woły zbożowe pasły się spokojnie na zakładowym trawniku, nie wyprzęgnięte z pełnej ziemniaków fury. „Din Szamrokhopper” – pomyślał dowódca straży. Znał hobbita nie od dziś. Znał go z obrotności i umiejętności zadbania o swoje interesy.

*

Graf, zupełnie wyjątkowo, łyknął duszkiem kubek Żywicy i skrzywił się. Nie lubił mocnych trunków, ale sytuacja była niecodzienna.

- Rzeknij swoim komandosom – powiedziała głośno czarodziejka – żeby nie próbowali żadnych sztuk, bo mam ich szefa na smyczy i starczy, że mocniej ścisnę gałkę.
 - Słyszeliście? – zapytał retorycznie otaczających ich w pewnej odległości zabijaków różnych ras. Skinęli głowami. Kociłokieć sięgnął po kiszzonego ogórka. Nic lepiej nie uwydatniało smaku Ponuropuszczańskiej Żywicy niż przyrządzone w ten sposób ogórki. Graf skrzywił się ponownie. Za kiszonymi warzywami też nie przepadał.
 - Co będzie, gdy znajdą? – czarodziejka z obrzydzeniem patrzyła na piętrzące się wokół zwały ziemniaków, przyzmy gliny i gotowe do wywozu gąsiorki z charakterystyczną żółto – brązową etykietą. – Zawołają nas. – Oddał swoje pieski!
- Skinął dłonią. Eskorta cofnęła się z zasięgu wzroku szefa. Gdzieś niedaleko, w twierdzy, szemrał strumyk.
- Używamy najlepszej wody źródlanej – zagaił po chwili właściciel Pormossu – mamy własne ujęcia i...
 - Zamilcz! – spod palców kobiety strzeliły iskry. To nie było sympatyczne.

- Coś ty za jedna kob...?! – graf Kociłokieć zmytygował się szybko – Kim jesteś pani? Jak cię zwą?
- Wypuściła powietrze nosem. Dla dodania efektu swoim słowom.
- Możesz mi mówić Mara. Albo jeszcze lepiej Tamara. Jestem żoną alkoholika. Byłą żoną. Byłego alkoholika. Zmarł na wątrobę.
- Bardzo mi przykro – wyszeptał Kociłokieć formalnie i zadrżał. Nie lubił fanatyczek – bardziej nawet niż wódki i ogórków. Bał się ich – szczególnie, gdy miały faktyczne powody, aby go prześladować.

★

Din Szamrokhopper od czasów nauki w Leśnej Szkółce w Wilku umiał czytać i pisać. Ale przede wszystkim czytać. Schowany za wielkim piecem do wypalania gliny powtarzał w myślach przepis na najpopularniejszy alkohol w Sargalu: „Wody źródlanej kadź, ziemniaków ziemnych sak...”. – A tutaj – doszedł jego uszu przedzierający się przez buzowanie ognia głos – Jest oddział lepienia gąsiorków. Jak pani widzi, daję zatrudnienie wielu ludziom, elfom, krasnoludom i hobbitom, wspomagam rolnictwo i tę, no, ekologię, poza tym...

- Poza tym rozpijasz Sargal i czerpiesz z tego ogromne zyski, z ludzkiej krzywdy.
- Ale...
- Zyski są tak ogromne, że przesłaniają względy moralności i zagłuszają płacz żon mężów alkoholików.
- „Zyski” – pomyślał Din Szamrokhopper – „Ogromne zyski”. Din umiał zadbać o w miarę dostatnie życie swoje i swojej rodziny. Ale słowo „zyski” brzmiało jak nowy dom, nowa fura i koniec z grzebaniem się w ziemi. Słowo „ogromne” dodawało obrazowości. Zwłaszcza dla niziołka. Za piecem było gorąco. Din Szamrokhopper wyszedł ze swojej kryjówki i podniósł pierścień z wrytą nań recepturą nad głowę. W blasku padającym z ogromnego pieca do wypalania naczyń na wódkę nie wyglądał imponująco – jak mały, spocony niziołek. Mały, zdeterminowany, wiedzący czego chce, spocony niziołek.

- Tutaj! – krzyknął.
- Czego? – obejrzał się graf – A, pan, pan... Szemrakkupper?
- Szamrokhopper mości grafie. Chciałem porozmawiać o interesach.
- Mój pierścień! – zauważył w końcu Kociłokieć – Oddawaj mój pierścień!
- Oddawaj, ale mnie – odezwała się Tamara. Chłód jej głosu niemal gasił żar pieca.
- Zaraz – hobbit otarł pot z czoła – Jeśli można zauważyć, to ja mam pierścień i ja dyktuję warunki.
- To może być już niedługo – czarodziejka podniosła różdżkę nad głowę i zapaliła niebieski płomień.
- „Skąd w tej kobiecie tyle nienawiści? Z powodu męża pijaka? I to w dodatku nieżyjącego?” – pomyślał właściciel fabryki i otarł pot czerwoną chustką wyciągniętą z lewej kieszeni.
- Na dany sygnał strzała przeszła hałą fabryczną. Tamara złapała się za nadgarstek – magiczna różdżka upadła na klepisko. Z niespodziewaną zwinnością graf Kociłokieć podbiegł i kopnął ją w głęb oddziału lepienia gąsiorków. Z cienia wyszedł elf z naciągniętym łukiem. Spojrzał na szefa. Ten wskazał niziołka.
- Chwileczkę – Szamrokhopper zbliżył dłoni do paleniska – jeśli nawet trafisz, to ten bezcenny pierścień potoczy się prosto do ognia. Stopi się i już nigdy nie odczytacie napisu.
- Czego chcesz? – graf skinął na elfa.
- Tak lepiej – hobbit odetchnął z wyraźną ulgą widząc, jak łucznik opuszcza broń – chcę... Chcę żyć dostatnio do końca moich dni.
- To może być już niedługo – zacytował czarodziejkę Kociłokieć – a jeśli nie?
- Spalę pierścień.
- Spal go – syknęła z nienawiścią Tamara, próbując wyszarpnąć strzałę z przedramienia.
- Zamilcz kobieto!
- Przez szum ognia przebiegał się odgłos ujadających w oddali ogarów. W rzeczywistości był to odgłos tropiących jeszcze. Z bliska. Rozpędzona przewodniczka sfory wbiegła na hałą i nie wytracając pędu skoczyła na hobbita, mierząc bezbłędnie w złoty pierścień. Trafiała w pierścień. I wpadła z nim do ognia, ginąc w czeluściach pieca.

- Duda! – krzyknął zasapany Bywój – Duda!
 - Za późno – odezwał się cicho niziołek.
Poczuł zapach palonej sierści – za późno –
powtórzył głośniejszym głosem – teraz znowu ja dy-
ktuję warunki.
 - Teraz dołączysz do jeszcze – warknął graf.
 - Nie sądzę. Znam receptę na pamięć. – Łesz –
stwierdził właściciel Pormossu
podejrzliwie.
 - Nie – głos niziołka był spokojny – Przecież
chcę żyć dostatnio do końca moich dni.
Mogę zacytować. Szybko się uczyć.
Spytajcie Rudiego Huczmyłota. To jak?
 - Cytuj!
- Nikt z obecnych, zaabsorbowanych akcją, nie
zauważył, jak w głównych wejściu na
oddział lepienia gąsiorków staje niska ale
szeroka postać, zagląda do środka i z
cichym szeptem „tusz mi”, wbiega do
środku.
- To leci tak – hobbit podparł się pod bok –
wody źródlanej kadz, ziemniaków
ziemnych sak... – w dokończeniu
przeszkodziła pięść. Ciężka, twarda jak
diament i czarna jak węgiel pięść,
uderzająca ze znaczną prędkością. Prosto w

- głowę Dina Szamrokhoppera. Z
okrzykiem:
- Ty złodzieju, mam cze!
- Din już tego nie słyszał. Teraz leżał. Tylko i
wyłącznie leżał. Graf Kociłokieć poczuł ból
głowy, choć w porównaniu z sytuacją
niziołka nie powinien.
- Rudi, coś ty zrobił?
 - Odnalazłem winowajcę – stwierdził
niepewnie Rudi Huczmyłot – i
unieszkodliwiłem.
 - Właśnie – graf potarł dłonią czoło – zrobić tu
porządek – zwrócił się do zebranych –
zabrać ją – wskazał czarodziejkę Tamarę –
do mojego biura. Porozmawiamy. Opiekun
jeszczy, Bywój, zaglądał do pieca i cicho
nawoływał:
 - Duda, Duda, chodź do pana.

*

- Rudi Huczmyłot – kontynuował właściciel
twierdzy Pormoss – pobierzesz pensję za
trzy miesiące i odejdziesz w trybie
natychmiastowym. – Ale chciałem
dobrze...



- Nowym dowódcą straży mianuję Czubba Waligórę. Wymyślić mi od zaraz jakiś system ochrony przed czarami. I ocucić tego niziołka.
- Na Dina Szamrokhoppera wylano cztery wiadra wody, nim otworzył oczy.
- O co chodzi? – wyjąkał przestraszonym głosem – kto wy jesteście?
- Receptura na Ponuropuszczkańską Żywicę, pamiętasz? – potrząsnął nim właściciel fabryki.
- O co chodzi? No o co?
- Graf Kociłokieć rozłożył ręce:
- To koniec Pormossu. Zginął przepis na nasze płynne złoto.
- A Pamiętacze panie? – wtrącił Rudi Huczmyłot.
- Co mam pamiętać Rudi? – grzeczna odpowiedź była najwyraźniej oznaką rezygnacji.
- Nie czy pamiętacze, tylko Pamiętacze. Oni pamiętają.
- Dziś rano dostałem wiadomość, że Jakub Wymertalek umarł. Podobno na wątrobę. Zapadła cisza. To był koniec. Pewnego etapu w historii Sargalu. A używając mniej wzniosłych określeń – koniec zakładu, ich pracy i kariery grafa. Czyli koniec ich małego świata.

*

- Wyszli przed halę oddziału lepienia gąsiorków. Ostatni, nie mogąc oderwać się od pieca, wyszedł opiekun jeszcze. Był smutniejszy niż inni. W dodatku coś spadło z dachu i uderzyło go w głowę. Coś pachnącego spalenizną i piszczącego.
- Duda! – ucieszył się Bywój – Ona żyje!
 - To było jak wiadomość o uratowaniu krzesła ze spalonego domu. Miła, ale co z tego.
 - Pewnie przebiegła w szybkim tempie przez komin – wzruszył ramionami elf łucznik.
 - W niesamowicie szybkim tempie. – Duda! Dobra Duda! Patrzcie, chyba chce kupić. Jeszcze mają bardzo szybkie trawienie. Dobra Duda, idź tam na trawnik.
 - Panowie, w tej tak smutnej dla nas chwili chciałbym wznieść toast! – zagaił graf Kociłokieć, odszpuntowując świeżą butlę Żywicy – To koniec, ale zostało nam jeszcze trochę wódki, której nie sprze-

damy. Wypijemy ją. A może uda nam się stworzyć nowy produkt? Składnik Jakuba Wymertalka możemy spróbować zastąpić, metodą prób i błędów. Zobaczymy.

- Toast wzniesiono w ciszy. Nadzieja była tak nikła, że graf nalał jeszcze jedną kolejkę. W przelocie spojrzał na załatwiającego poważną fizjologiczną potrzebę jeszcze.
- Panie Bywój, sprzątnij to waść, nie znasz zasad?
 - Znam, szefie.
 - Kociłokieć dbał o porządek w Pormossie. Wszelkie nieczystości miały być sprzątane z trawników natychmiast, a właściciele odpowiadali za swoje zwierzęta. To był pożyteczny przepis.
 - No to na zdrowie! – wzniesiono kubki – Bywój, chodźże już i napij się.
 - Bywój stał nad efektem jeszcze trawienia i spoglądał nań, głaszcząc Dudę.
 - To wy tu podejdźcie, proszę, wielmożny grafie – rzekł – dobra, bardzo dobra Duda, zasłużyła na nagrodę.
 - Ton jego głosu i uśmiech na twarzy sprawił, że podeszli. Zobaczyli. Zwyciężyli. W jeszcze kupie błyszczał duży złoty pierścień.
 - Klejnot tkwi w kwiecie lotosu. Też. – powiedział filozoficznie elf łucznik.
 - Gówno i diament – stwierdził graf Kociłokieć – jesteśmy uratowani.
 - Z hali lepienia gąsiorków wytoczył się Din Szamrokhopper i zapytał mętным głosem:
 - Ale o co chodzi?

*

- Kilka godzin później już niemal całkiem trzeźwy właściciel twierdzy Pormoss znowu myślał tylko o interesach:
- Ja rozumiem, straciła pani męża. Rozumiem pani ból, rozumiem nawet to, że niesłusznie, podkreślam, niesłusznie nas pani obwinia. Jesteśmy nawet gotowi – tu graf Kociłokieć spojrzał z niejaką dumą w oczy czarodziejki Tamary – wypłacić odszkodowanie. Pod jednym wszakże warunkiem – teraz spojrzenie grafa zyskało na ostrości – musi nas pani nauczyć robić ogromne ziemniaki. Tylko bez rączek i agresywnych skłonności. To jak, dogadamy się?





HUBERT CZARNOCKI

Przypływ

Błyski ślizgają się
po wodzie, słą znaczenia.
Szepty świateł, pomruki wody.
Światło uwięzło
w krtani rzeki.
Przeczuwa, że jest jeszcze czymś.

Wyślij w niebo sto tysięcy posłańców

Leżę obejmując swój cień, zaciskam w
palcach
imię Boga, śpię z jego szalikiem.
Kopię w ziemi w poszukiwaniu Boga,
zerkam przez szparę od klucza,
przeglądam zapiski. Rozchyłam trawy,
rozgarniam
gałęzie. Rozszarpuje mnie samotność,
mój cień zanosí się płaczem.

Chciałbym mieć w sobie przecucie
ciebie, nosić w sobie twój ślad, znamię,
rzucać się z mostu w twoje objęcia.
Znajdować pochowane w kieszeniach i
szufladach
upominki od ciebie. Śpiewaj mi do snu,
bądź
dla mnie wszystkim, skoro wszystko mi
zabrałeś.

Spotykałem obcych ludzi, słuchałem
rozmów, wpadały mi w ręce książki,
których miałem
nie czytać. Myślałem, że potrafię
zrozumieć alfabety
albatrosów, czytać bukwy buków. To
wszystko
widziane z góry miało składać się w
jakiś czytelny napis.
Kiedyś pomyślałem coś a po chwili
usłyszałem to
z twoich ust. Innym razem wieczór
zagiął kartę dnia,
tak że mogłem do niego powrócić.
Wierzyłem, że chodzę tropem,
mówiłem o znakach.
Sygnały, błyski zewsząd, pióra spadające
z nieba, podarunki z góry.
Jak książka, która przypadkowo
otworzyła
się na nieprzypadkowej stronie.



JOANNA BURGIEŁ

Zenobia była starszą kobietą i mieszkała na czwartym piętrze typowego, szarego bloku. Z racji swojego wieku uwielbiała rutynę. Codziennie rano budziła się dziesięć minut przed budzikiem, który już od piętnastu lat niezmiennie nastawiony był na godzinę ósmą. Otworzywszy oczy Zenobia przez pięć do siedmiu minut wpatrywała się w płamę na suficie. Po upływie tego czasu siadała na łóżku, przeciągając się, co zajmowało jej do trzech minut. W zależności od tego, czy zostało jej jeszcze trochę czasu, czy też nie – odmawiała (lub nie) swoją poranną modlitwę: „O Jezusie Nazarejski, jak mnie dzisiaj garb napieprza!”

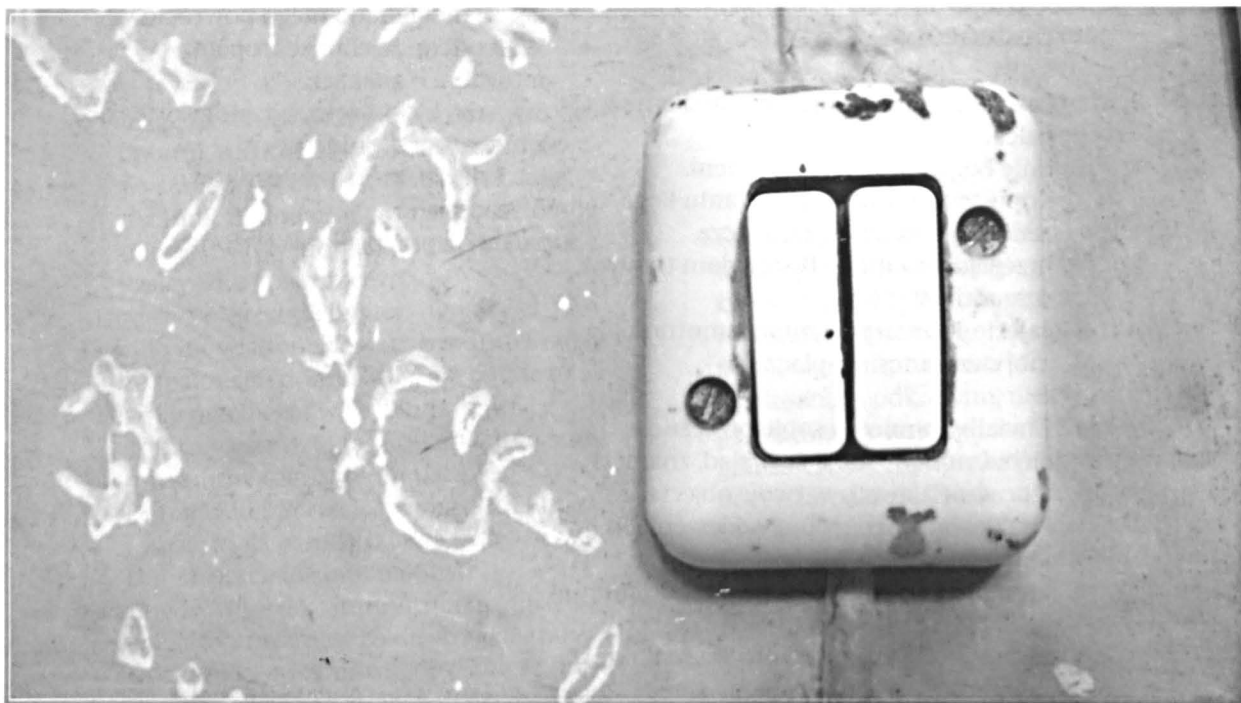
Nie jadła śniadania, za to każdego ranka wypijała dwie filiżanki mocnej kawy. Siedziała potem nawet do dwudziestu minut na stołku między lodówką a stołem w małej kuchence i cierpliwie czekała aż jej serce przestanie łomotać jak wariat. Oczywiście nie próżnowała w tym czasie! Zenobia doskonale zdawała sobie sprawę z tego jak cenna jest obecnie każda minuta jej życia. Najpierw spoglądała za

CZERWONY CZAJNIK

okno i sprawdzała, czy gołębie nie nasrały na parapet. Jeśli nasrały – odnotowywała ten fakt w notatniku: „sprzątnąć kupy”. Mimo doskonałej pracy umysłu i wzorowej w tym wieku sprawności fizycznej, Zenobia miewała kłopoty z pamięcią.

Sprawdziwszy stan czystości parapetu, staruszka kierowała wzrok na zlew. (Jej serce cały czas dudniło jeszcze w szczupłej i kościstej klatce piersiowej, wciąż pozostawało dziesięć – piętnaście minut do pełnej równowagi). W zlewie zawsze znajdowały się naczynia pozostawione po kolacji. Zenobia nie miała siły zmywać po całym dniu ciężkiej pracy nad swoim życiem. Wolała z rana szorować gary szczotką ryżową niż pół do dziewiątej wieczorem (punktualnie o dwudziestej pierwszej kładła się spać) choćby przetrzeć je wilgotnym zmywakiem. Aktywny dzień życia Zenobii nie pozostawiał ani odrobiny energii – wszystko należało porządnie odespać.

Spojrzenie na zlew przypominało kobiecie o konieczności zaplanowania dnia. Przez



ostatnie dziesięć minut łomotania starego, zmęczonego serca, notowała kolejne punkty: „kupy, zmywanie, ćwiczenia, zakupy, sprzątanie, ćwiczenia, obiad...”. Lista mogła wyglądać każdego dnia nieco inaczej, zawsze jednak opierała się na tym samym schemacie i zawsze musiała być gotowa przed dziewiątą rano. O dziewiątej Zenobia zaczynała życie.

Jednak – jak nietrudno zgadnąć – tego dnia (tak, właśnie tego dnia!) coś poszło nie po myśli Zenobii. O godzinie piętnastej czternaście (już prawie piętnaście) staruszka usłyszała gwizdek czajnika. Z początku był cichy i odległy, z pewnością dochodził z któregoś z mieszkań piętro niżej. Z każdą chwilą stawał się jednak coraz głośniejszy i bardziej natarczywy. Staruszka właśnie tarła marchewkę na surówkę, „przecież dopiero surówka!” – myślała z irytacją – „Potem wstawiam kartofle i gotuję pulpety, herbata zawsze na końcu!” Ze złością rzuciła nóż na deskę, z taką siłą, że odbił się i upadł na podłogę. Kobieta nie zwracając na niego uwagi, chwyciła kartkę z rozpisany planem dnia. Sprawdziała punkt po punkcie, mamrocząc do siebie. Wszystko się zgadzało: surówka, kartofle, pulpety. A herbata na końcu! Zupełnie zdezorientowana stała na środku kuchennej i czuła jak w jej oczach zbierają się łzy. Już zaciskała dłonie w pięści by zacząć bić się po głowie, kiedy nagle dźwięk ustał całkowicie jak ucięty kuchennym nożem. Cisza jaka zapadła była najpiękniejszą muzyką dla uszu Zenobii. Kobieta szczęśliwa wróciła do swoich obowiązków.

Następnego dnia na obiad miały być kopytka. Instrukcja głosiła: mąka, jajka, woda – wałkować; formować, kroić, gotować; smalczyk i herbata - ale czajnik zaczął gwizdać już kiedy Zenobia odkrajała piątą kluskę! Mało nie zacięła się w palec z tego wszystkiego! Dźwięk był nie do zniesienia! Dla pewności znowu spojrzała na kartkę, ale wszystko było w porządku, tylko ten cholerny gwizdek! Postanowiła przeczekać. Usiadła na stołku i spojrzała za okno. Zdążyła zauważyć nową ptasią kupę na parapecie i już miała podnieść się, by ją posprzątać, kiedy w jednej chwili dźwięk gwizdka ustał całkowicie. Zenobia czuła coraz większy niepokój – co robić? Myć parapet, czy kroić kluski? Z ciężkim sercem zdecydowała, że powróci do planu

dziennego, notując jednak odnośnik na marginesie: „sprzątnąć kupę”.

Kolejny dzień też nie był dla Zenobii spokojny, podobnie jak cały nadchodzący tydzień. Od kiedy gwizdek czajnika po raz pierwszy wyrwał ją z ukochanej rutyny kończącego się powoli życia, nie dał jej już ani dnia wytchnienia. Ręce Zenobii zaczęły trząść się bez powodu. Kiedy usiłowała dziergać serwetkę na bujanym fotelu w pokoju, który niegdyś nazywała gościnnym, szydełko po pewnym czasie wypadało jej z ręki, a robótka pruła się o kilka centymetrów. Staruszka nigdy nie mogła przewidzieć, kiedy znowu usłyszy znienawidzony dźwięk, ale wiedziała, że na pewno nie będzie wtedy pora na herbatę! Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że dźwięk rozlega się codziennie po piętnastej. Czasem było to pięć, a czasem piętnaście minut – te różnice doprowadzały Zenobię do szału. Mimo wszystko zaczęła włączać gwizdek do swojego planu dnia. Pomiędzy „zetrzeć marchewkę” i „wstawić kartofle” wpisywała drukowanymi literami: „CZAJNIK”. Z tego też powodu tarła marchewkę powoli i niezwykle ostrożnie, czekając w napięciu na wrzask intruza. W końcu przestała już podskakiwać gdy go usłyszała, raczej wzdychała z ulgą, że na ten dzień ma już problem z głowy.

Sytuacja oczywiście skomplikowała się, kiedy czajnik zaczął gwizdać dwa razy dziennie. Pierwszy raz po piętnastej, drugi raz przed dwudziestą, która była porą kąpieli. Zrozumiałe jest, że Zenobia odczuwała wyjątkowy dyskomfort siedząc w wannie i namydłając brzuch, gdy nagle, usłyszawszy gwizdek – zaczynała się zastanawiać, czy być może rzeczywiście nie powinna w tej chwili parzyć herbaty? Pamięć Zenobii była słaba, każdy element życia codziennego traktowała więc jak przypomnienie obowiązków, ale ten jeden szczególny element nie był starannie wyselekcjonowaną i zdefiniowaną częścią jej poukładanej, spokojnej starości! Był intruzem w jej szczegółowo zaplanowanym życiu i staruszka czuła całym sercem, że nie może pozwolić mu zniszczyć tej pięknej rutyny, którą tak ukochała, którą budowała pieczołowicie już od piętnastu lat!

W sobotę obudziła się jak zwykle, wypila dwie kawy i siedząc przy kuchennym stoliku o godzinie ósmej dwadzieścia przy wtórze



Małgorzata Kolkiewicz

mocno bijącego serca spisywała swój plan dnia. Jako najważniejszy punkt (zaraz po sprzątaniu kup, których tego dnia było na parapecie wyjątkowo dużo!) wpisała zamasyście i z determinacją, wielkimi drukowanymi literami: „CZAJNIK – ZABIĆ” zaplanowane na dziesięć minut po piętnastej. Na wypadek gdyby zdarzyło się, że zacznie gwizdać wcześniej (na przykład pięć po piętnastej), Zenobia zrobiła adnotację na marginesie: „rzucić wszystko natychmiast!” Tak też zrobiła. Gdy tylko gwizdek czajnika ogłosił godzinę piętnastą pięć, staruszka rzuciła nóż i odkrojoną właśnie kluskę do zlewu, po czym wyszła z mieszkania, ostrożnie schodząc po schodach piętro niżej. Znalazła drzwi, za którymi jak oceniała czajnik na pełnym gazie był już bardzo bliski eksplozji. Zapukała. Nie trudno się domyslić, że jej pukanie zupełnie utonęło w morzu głośnego, szaleńczego gwizdu. Zenobia poczuła na całym ciele nagłą falę gorąca. Przez głowę przebiegało jej milion myśli: gdzie jestem? surówka, kartofle, sprzątnąć kupę, wyjść z wanny, owinąć ręcznikiem brzuch, wytrzeć stopy do sucha, do łóżka, spać, spać, spać...

Zenobia waliła szaleńczo w drzwi mieszkania numer siedemdziesiąt sześć, powoli tracąc siły. Czuli, że się dusi, było jej gorąco, brakowało powietrza, a dźwięk gwizdka nagle urwał się w jednej sekundzie jak to miał w zwyczaju. Staruszka już tylko lekko stuknęła w drewno swoją słabą piąstką, przytrzymując się ściany i dysząc ciężko. Nagle złapała się za suchą lewą pierś i upadła na wycieraczkę. Zapadła pełna napięcia cisza, przerywana tylko tłumionym gruchaniem gołębi gdzieś na dachu budynku. Wewnątrz mieszkania ktoś zbliżał się do drzwi.

Po chwili na progu stanęła szczupła młoda kobieta w różowym szlafroku frotte niedbale przewiązanym w pasie. Na nogach miała różowe, puchate papucze, a na głowie turban z wielkiego różowego ręcznika. W rękę trzymała pękaty czerwony czajnik z zakręconą spiralnie metalową rączką – lekko nałożony gwizdek jeszcze podśpiewywał melodyjnie, przepuszczając przez dzióbek szare obłoczki pary. Z czajnika parowała śmierć.





PAWEŁ GŁOWNIAK

W pustym, zamkniętym w szarości domu
 Żyły zjawy okropne, nieznane nikomu
 Przeszłości duchy ukryte w nicości
 Gnębiące co noc swych nielicznych gości
 Na biurku starym, wśród papierów stosów
 Otwarta księga, na niej pukiel włosów
 Słowa na pierwszej stronnicy zapisane
 W dziwnym języku, litery nieznane
 Na dole przypis bardziej zrozumiały:
*„Dla tych, co na chwilę swą czekały
 Dusz martwych, posłańców Tęgo,
 Co przeciwstawił się Najwyższemu, co
 złamał wolę Jego”*
 Powyżej gwiazda pięcioramienna w kręgu zamknięta
 Płomienną czerwienią nakreślona jej linia kręta
 W krańcu komnaty młody człowiek zagubiony
 Świecą oświecla swą drogę, drży przerażony
 Staje na wprost księgi, spogląda na jej stronnice
 Duka wyrazy powoli, różowieją z przejścia mu lice
*„E`ST artiz w hant ve
 Tis Bachu nales le
 Vie li ba tue
 Vole wer i he`n“*
 Po komnacie rozgląda się niecierpliwie
 Wzrokiem obłądnym patrzącym chciwie
 Gwiazda błysnęła, buchnęła czerwienią
 Na wszystkich ścianach jej kolory się mienia
 Głos z wnętrza niczego dobył swe tony:
*„Tyś, co mnie wezwał, spośród żywych
 zostaniesz przekreślony
 Dusza twa niech w czeluściach piekła płonie
 Umysł w oceanie szaleństwa niechaj tonie
 Kmieciu parszywy, śmiertelniku niemrawy
 Nawet nie wiesz, co przyzywałeś dla swej*

zabawy

*Jam jest Zniszczenie, jam Pan Zagłady
 Nikt na tym świecie nie da mi rady
 Odejdź teraz w pokoju człowieczku głupi
 Zabierz sprzed mych oczu swój obraz trupi
 Sługą mym będziesz do ostatnich chwil swego bycia
 Jam jest pan twojego życia
 Będziesz patrzył, jak świat niszczeje w mych dloniach
 Będziesz czuł jego ból w swych własnych skroniach
 Dla swej pychy mnie wezwales
 Postawiłeś wszystko na jedną kartę, przegrales”*
 Młodzieniec panicznie wzrokiem rzuca dookoła
 Pragnie uciec i przerażony woła:
*„Panie! O litości błagam cię odrobinę
 Nic nie zrobiłem, a zarzucaś mi winę
 Przybyłem, by cię uwolnić, wydobyć z podziemi
 Wrócić w twą rękę siłę, byś panował na Ziemi
 Myśli me podle, które by chciały
 Równym tobie być, już poznikaly
 Mocy ja nie chcę, o litość proszę
 Nanhat, takie imię ja noszę”*
*„Nanhat, ty będziesz posłańcem mroku
 Żaden śmiertelny nie dotrzyma ci kroku
 Tam, gdzie twa noga przeklęta postanie
 Życie się skończy i ciemność nastanie
 Imię swe zmienisz, kimś innym będziesz zwany
 Jako sługa ciemności będziesz pamiętany
 Dzisiaj umarłeś, dziś się narodziłeś
 Przeszłość swą wymarż, zapomnij, kim byłeś
 Idź teraz i siej zniszczenie
 Na twoje barki składam te brzemie
 Pod nowym imieniem w świat ruszaj, parszywy
 Bohadur, umarły, lecz żywy
 To ty, zapamiętaj to dokładnie
 Nie podnoś głowy, bo już żeś na dnie”*



KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI

Odkąd sięgał pamięcią Pech był mu wiernym i niechcianym druhem. Za złośliwość losu uważał już sam fakt, że urodził się w tak popieprzonym kraju jak Rosja - gdzie ludzkie życie nie jest warte funta kłaków. O tak! Matuszka Rassija znana była z okrucieństwa. Wredny towarzysz miewał w zwyczaju ujawniać się w najmniej spodziewanych momentach. Gdy już o sobie przypominał, na ogół wywracał świat Siergieja do góry nogami. Życie z takim kompanem przypomina chodzenie po zamrażonym jeziorze, niby lód jest gruby i czujesz się bezpiecznie, lecz wystarczy chwila nieuwagi - trafiasz na cieńsze miejsce i trach! Ładujesz w zimnej wodzie. Jeśli miłościwy jest ci litościwy, miast utonąć, kończysz z zapaleniem płuc w szpitalu.

Siergiej Siemionowicz, długo oczekiwany pierworodny, pojawił się na świecie pewnej zimowej nocy, tuż po pierestrojce. Będąc małym brzdącem praktycznie nie miał rodziców, oboje byli tak zapracowani, że w zasadzie dom był im hotelem. Otoczony nadopiekuńczymi niańkami i stertą zabawek, jakich tylko dusza zapragnie, spędzał całe dni na kreowaniu fantastycznych krain, których był oczywiście jedynym i niepodzielnym władcą. Z

ŻYWOT PARSZYWY

czasem wszystko się zmieniło - wkroczył w buntowniczy wiek. Gdy zaczął sprawiać problemy, wtedy jaśniepaństwo raczyli łaskawie zauważyć, że mają syna. Trochę się spóźnili...

Nadal ich kochał, ale nie potrafił już znaleźć z nimi wspólnego języka. Początkowo bunt służył do tego, by zwrócono wreszcie na niego uwagę, potem stał się pejcem, którego używał by wymierzyć im karę, pokutę za błędy wychowawcze.

Jesień; szarobure niebo siąpiło zimnym deszczem. Sterty pożółkłych liści czekały aż pierwszy śnieg pogrzebie je pod sobą. Rachityczne gałęzie drzew targał lodowaty wiatr. Z upodobaniem wciskał się w każdą możliwą szparę między ubraniami. Nienawidził tej pory roku - kojarzyła mu się z umieraniem. Nie przypuszczał, że od dziś będzie przypominała tylko i wyłącznie o pewnej bezsensownej śmierci...

Po fizyce wyłączył komórkę (wciśnię kit, że się rozładowała) i wymknął się ostrożnie ze szkoły. Był umówiony z Olegiem na wspólne wagarowanie. Oleg miał fajnych starszych - wystarczyło, że nie chciał iść do szkoły i pozwalali mu zostać w domu. Zaległości? Jakie zaległości? Odrobina gotówki i nie było po nich śladu. Czasami mu zazdrościł; on tradycyjnie dostanie niezłą burę gdy tylko ktoś poinformuje ojca; z matką jeszcze pół biedy, zawsze jakoś się można było dogadać. Czego się jednak nie robi dla dobrej zabawy? U Olega miały być dwie fajne panny, łatwe la-seczki, które po paru kieliszkach lubią się pobzykać. Dla takiej rozrywki gotów był znieść ostrą ojcowską połajankę, nawet trzygodzinny monolog o tym, że skończy jako cieć zamiatający ulice. Bo jeśli nie znormalnieje i nie zacznie się uczyć jak wszyscy normalni (normalni? hahaha) chłopcy w jego wieku, tylko taka przyszłość go czeka.

– Się ma stary oceanie – weselo wykrzyknął Oleg otwierając drzwi na ościert – wskakuje!
– Hejka brachu! – odparł Siergiej i wskoczył.



– Rozmiękczyłem je trochę winkiem – mru-gnął porozumiewawczo okiem.
Siergiej wyszedł od Olega późnym wieczorem, maszerował do domu cały w skowronkach; tego dnia nawet okrutnik wiatr nie mógł popsuć mu humoru. Upojony alkoholem i przyjemnymi wspomnieniami nie odczuwał zimna. Uwielbiał takie powroty do domu.

Wewnątrz mieszkania panowały egipskie ciemności. Dziwne – pomyślał – matka jak to matka pewnie przesiaduje u jakiejś znajomej. Ale ojciec? Zawsze o tej porze był w domu. Usłyszał cichutkie zgrzytniecie. Nie przejął się tym zbyt przyzwyczajony do różnych odgłosów - było to naturalne w każdym domu. Śmiał się na wspomnienie tego jaki lęk w nim wywoływały, gdy był małym szkrabem. Myślał, że po domu chodzą okrutne potwory gotowe pożreć go, gdy tylko wyjdzie ze swojego pokoju. Kiedyś nawet zlał się ze strachu do łóżka – coś stuknęło w ciemnościach, w rogu pokoju i po chwili leżał w mokrej pościeli. Intuicja podpowiadała, że tym razem coś jest jednak nie tak. Tylko co? Zdjął w pośpiechu buty i zapalił światło. Oczy przodków spoglądały nań surowo z pożółkłych obrazów. Wbiegł po skrzypiących stopniach na piętro i Skierował się wprost do łazienki - wiedział, że trzeba wykorzystać te chwile samotności by doprowadzić się do porządku po imprezie. Niedbale wyszorował zęby, aby zabić zapach fajek i gorzałki, dla lepszego efektu przepłukał usta płynem antybakteryjnym. Długo mydlił dłonie; starzy strasznie się o to palenie czepiali. Usłyszał kolejne, tym razem wyraźniejsze, zgrzytniecie. Postanowił sprawdzić skąd dobiega ów dźwięk – zaczynał już działać mu na nerwy; za każdym razem miał wrażenie, że któreś z rodziców właśnie wróciło do domu. Wyszedł i zaczął nasłuchiwać. Cisza, przez parę sekund, nieznośnie się dłużyła. Kolejne zgrzytniecie – to z biura ojca – pewnie zapomniał zamknąć okno. Pomieszczenie, w którym ojciec zwykł najczęściej rezydować, przypominało małą bibliotekę – po bokach stały ogromne regały wypełnione księgozbiorem, między nimi okazałe mahoniowe biurko. Gdy

wkroczył do środka ujrzał obraz, który będzie mu się latami pojawiać w koszmarach sennych: przewrócone krzesło i wisielec... TATA! Wpatrujące się z niemym wyrzutem, nabiegłe krwią oczy, wystający z ust siny język i zwisająca, zastygła stróżka śliny. obraz pociemniał jak gasnący w ciemnym pomieszczeniu telewizor.
Zemdlał.

Przebudził się w szpitalu z obandażowaną głową; założono dziewięć szwów. Początkowo niewiele pamiętał i nie do końca wiedział dlaczego się tu znalazł, lecz z minuty na minutę pamięć w okrutny sposób przywoływała skrawki wydarzeń sprzed paru godzin, wyświetlając je niczym makabryczne slajdy.

Wypisany został jeszcze tego samego dnia. Dwa dni później pogrzeb ojca. Do tej pory oboje jakoś się trzymali. Za dnia mieli mnóstwo formalności do załatwienia, lecz w nocy i on i matka dali upust długo powstrzymywanym emocjom. Leżąc nocą w łóżku słyszał szloch dobiegający zza ściany, czuł się taki bezsilny, przepełniało go poczucie winy. Gdyby tamtego dnia wrócił normalnie do domu...

To właśnie wtedy pierwszy raz w swe czule objęcia wzięła go siostrzyczka Depresja. Niepozorny, zbuntowany nastolatek w ciągu jednej nocy przemienił się w odpowiedzialnego, przygniecionego ciężarem życia, mężczyznę. Cierpienie matki sprawiło, iż z dnia na dzień stał się wzorowym uczniem, jednym z tych grzecznych kujonków, którymi tak zawsze pogardzał. Wszystko to po to by nie przysparzać matce dodatkowych zmartwień. Prosto ze szkoły gnał do domu i wyręczał ją w czym się tylko dało. Niewiele go obchodziło, że dawni kumple odwrócili się od niego po tej metamorfozie, że się śmieją. Miał gdzieś durne zaczepki, jedynie Oleg go wspierał. Najważniejsze było by matka odzyskała chęć do życia. Niestety było z nią coraz gorzej. Twarz, kiedyś pełna życia, teraz była blada. Podkrążone i opuchnięte oczy straciły cały blask. Spojrzenie nieobecne - nie było nawet śladu po błyskających dawniej wesołych iskierkach. Skryta, przygarbiona, milcząca, a przecież kiedyś była duszą towarzystwa. Nieukojonny smutek odcisnął

się na jej zdrowiu ponurym piętnem. Nie upłynął nawet rok od śmierci ojca jak wykryto u niej raka, niestety w fazie terminalnej, kilka miesięcy później umierała w okropnych męczarniach. Nie mógł nic zrobić; znowu tak cholernie bezsilny, przepełniony poczuciem winy.

Nie był na to przygotowany. Przez ostatnie miesiące cały czas się okłamywał, cały czas miał nadzieję, nawet przez chwilę nie dopuszczał do świadomości okrutnej prawdy. Teraz musiał wziąć sprawy w swoje ręce i zdecydować co dalej, z czego będzie żył. Z ciężkim sercem sprzedał dom rodzinny. Nie miał żadnego wyboru.

Pieniądzy wystarczyło raptem na dwa lata. Na początku wydawało mu się, że jest bogaczem. Miał wrażenie, że te pieniądze starczą na bardzo, BARDZO DŁUGO. Wynajął malutką kawalerkę. Pieniądze praktycznie przeciekały mu między palcami, na imprezki, na panienki, na alkohol, wystawne obiady w renomowanej restauracji. Głównie na trunki z procentami, którymi bezskutecznie próbował zagłuszyć rozpacz po utracie rodziców. Ani się obejrzał a na koncie były już tylko marne resztki. Przez prawie trzy dni nie wychodził z domu, przepełniony bezbrzeżnym lękiem i poczuciem beznadzieji. Godzinami leżał na łóżku gapiąc się w pożółkłą wytartą tapetę jakby w niej znajdowało się rozwiązanie wszystkich jego problemów. Trzeciego dnia, w czwartek, w jego ogarniętym mrokiem umyśle pojawiło się nikłe światelko nadziei na lepszą przyszłość. Aż się zdziwił że wcześniej na to nie wpadł.

Dilerka okazała się całkiem intratnym zajęciem. Szybko wkręcił się w odpowiednie środowisko. Dzięki sprytowi, obrotności i instynktowi radził sobie całkiem przyzwoicie w tym interesie - zupełnie jakby los chciał mu wynagrodzić dotychczasowe cierpienia. Skutkiem ubocznym nowego zajęcia były wyrzuty sumienia. Wielu znajomych wpakował w ten syf, ale przecież gdyby nie on to kto inny by im to sprzedał. Gdy pojawiały się przykre myśli, przypominające swą natrętnością rój wygłodniałych much, zbijał je kontrargumentem, że przecież los

postawił go pod ścianą. Na znalezienie uczciwej roboty, przy obecnym bezrobociu nie było na to nawet najmniejszej szansy. Z czasem coś w nim umarło i przestało przypominać mu o tym co jest dobre a co złe. Przyzwyczaił się i zobojętniał.

Jego terenem było Piekiełko, znana moskiewska dyskoteka. To właśnie w niej poznał Sonię – delikatną, wrażliwą blondyneczkę z rozbitej rodziny. Była inna niż spotykane każdego dnia laski. Sprawiała wrażenie małej zagubionej dziewczynki, którą musiał się zaopiekować. Skromna, inteligentna – prawdziwy skarb na tle wyzywająco ubranych, wiecznie podpitych, wulgarnych córeczek bogatych tatusiów, które się do niego przystawiały. Jednak w głębi duszy zrodziło się w nim przeczucie, że to wszystko było zbyt cudowne, by mogło być prawdziwe. Oboje byli po przejściach; szybko znaleźli wspólny język i stali się nierozłączną parą. Sonia wiedziała czym się zajmuje - nie potępiała tego, wiedząc jakie są realia. Miała tylko nadzieję, że jeśli tylko nadarzy się okazja to Siergiej z tym skończy.

Życie znowu nabrało jasnych kolorów, znowu miał po co żyć. Odnalazł się ten zagubiony sens trwania na tym świecie. Idylla trwała zaledwie kilka miesięcy. Zaszlepiiony bezbrzeżnym szczęściem i poczuciem spełnienia, nie zauważył powoli pojawiających się pęknięć. Gdy tak trwał w niezachwianym przekonaniu, że los mu sprzyja, że nic złego już się nie wydarzy; przypomniał się stary znajomy... Pech. Żywot parszywy; okazało się, że jego jedyna, ukochana, najcudowniejsza kruszynka jest pieprzoną kurwą, suką, zdzirą, która daje się posuwać jego najlepszemu przyjacielowi, Olegowi. Kutas nie przyjaciel! Miał ochotę ich pozabijać. Skończyło się na połamanym nosie Olega i splunięciu dziwce w twarz.

Chłwał na umór przez kilka dni zamieniając kawalerkę w ruinę. Budził się i zasypiał, oblepiony brunatnym kleistym potem, dryfując po morzu czterdziestoparo procentowego alkoholu. Skóra zeskorupiała od niezliczonych spazmatycznych wyrzgnięć, w ustach ohydny kapcio-

waty posmak i to palenie w żołądku. Gdy wyszedł z rozpaczliwego ciągu w mieszkaniu cuchnęło gorzej niż w gorzelni. Po podłodze wały się puste butelki, pety – to cud, że pożaru nie było – i gdzieśgdzie zaschnięte, nie do końca przetrawione rzygowiny; niechciana pamiątka z żołądka: zupki chińskie, kawałki ogórka, niezidentyfikowane mięsio, resztki ryb, cuchnąca breja. W pijanym widzie zde-molował wszystko co się tylko dało połamać lub potłuc; prywatna apokalipsa. Zdychał z wyczerpania leżąc na dywanie męczony najkoszmarniejszym kacem ze wszystkich dotąd przeżytych. Jego organizm składał się w siedemdziesięciu procentach ze spirytusu; pocił się spirytusem, szczał spirytusem, nawet we łzach były procenty. Czuł się wyprany z uczuć i chęci do życia. To wtedy postanowił po raz pierwszy przydragować. Może lepiej byłoby im tam gardła popodrzynać, jak prosiakom, a potem palnąć sobie w łeb?

Piekielko, różowy, tandetny neon z daleka rzucał się w oczy, przyzywając utrudzonych nocnych wędrowców. I pomyśleć, że to kultowa, znana na całą Moskwę dyskoteka, i że dostanie się do środka w piątkowy wieczór graniczyło z cudem. Przy wejściu stało dwóch łysych, mocno przysterydowanych, ubranych w skóry bramkarzy.

– Sie masz, Siergiej – Wycedził przez zęby ten bardziej przypakowany, przygryzając jednocześnie zapalke. – Dawno cię tu nie było, wskakuj.

Taaa, zawsze miał wjazd za friko, czuł się tu jak w domu - lubiany zarówno przez klientów jak i obsługę. Aby dojść do pulsującego jednostajnym, dudniącym dźwiękiem serca dyskoteki musiał pokonać, przeciskając się między ludźmi, strome wąskie schody następnie należało tylko przeprawić się przez długi słabo oświetlony (i jeszcze bardziej zatłoczony) tunel - podobny do tych w bunkrach - i przedsiónek z ogromnym półokrągłym barkiem. Dotarcie do tego miejsca zajmowało mniej więcej dziesięć minut. Po drodze robił częste przystanki, by sprzedawać towar stałym klientom. Jak zawsze gdy tam



📷 Mariusz Bober

dotarł, uboższy o jakąś jedną trzecią prochów, robił sobie przerwę na drinka. Przebicie się przez tłum do którejkolwiek z mocno wymalowanych barmanek graniczyło z cudem, lecz nie miał z tym problemów, wszystkie go znały. Wystarczyło że stanął w do-brze widocznym miejscu a momentalnie pojawiała się jedna z nich z jego ulubionym dryniem. Dziwnym trafem zawsze znajdowało się też wygodne miejsce do siedzenia.

Sącząc bez pośpiechu obserwował podrygujące na parkiecie dziewczyny. Jak sprzedawał cały towar, jak zwykle wyrwie jakąś pannę i trochę się zabawią. Po zdradzie Sonii wszystkie kobiety stały się dla niego tylko pustymi suczkami, które należało poderwać, przelecieć i spławić. Już nigdy nie będzie tak durny aby się zakochać.

Snujące się leniwie myśli przerwał kolejny stały klient. Błado zielonkawo zombie; trzęsący się jak galareta strzępek człowieka o wielkich przekrwionych oczach, ściskający w dłoni z trudem uzbirane pieniądze. Zmusił się do przyjaznego uśmiechu i

sprzedał kolejny foliowy woreczek, niezbędny tej imprezy - dla tego chłopaka prawdopodobnie gwóźdź do trumny. Zostawił uszczęśliwione ludzkie truchło i ruszył na parkiet. Po drodze zaczęła go dziewczyna, z którą niedawno się zabawił. Trochę się pocałowali i ją splawił. Czuł się już trochę zmęczony. Im szybciej zejdzie cały towar tym prędzej wróci do domu. Wyrósł już z całonocnego imprezowania. Coraz częściej jednostajny, mechaniczny łomot wywoływał ból głowy i podenerwowanie. Ktoś odpalił ultrafiolet i stroboskop. Poruszający się rytmicznie ludzie sprawiali wrażenie na-kręcanych automatów. Zastygali w dziwacznych pozach jak na obrazach szalonego artysty. Ciemność. Chłopak podrzynający dziewczynie gardło. Ciemność. Siergiej wydał ochryply, pełen niedowierzania okrzyk. Z gardła wytryskuje krew. Ciemność. Poczuł jak serce załomotało arytmicznie niczym jazzowy perkusista. Dziewczyna wylupuje chłopakowi oczy. Ciemność.

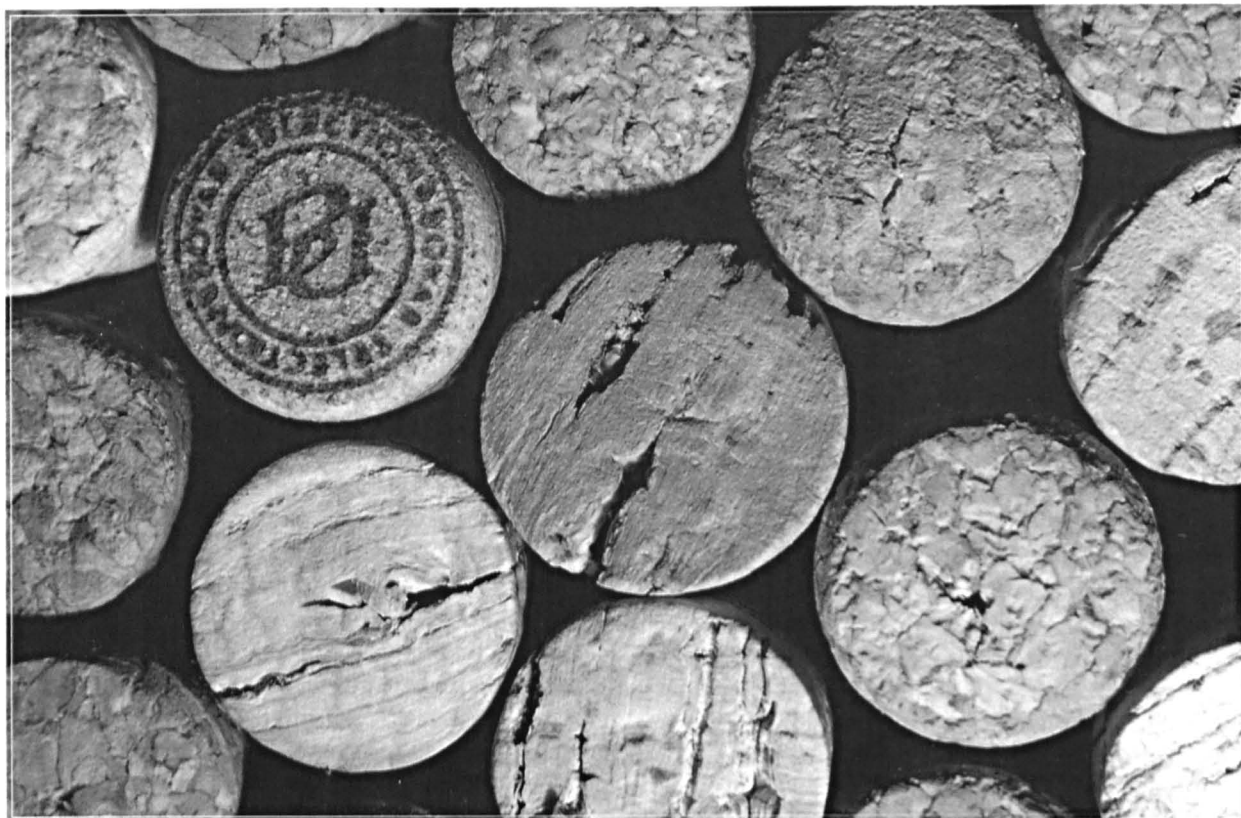
Rozbryzgujące się gałki oczne. Ciemność. Czuł jak nogi zaczynają się pod nim ugiąć.

Dwa czarne otwory i szklista posoka spływająca po twarzy. Ciemność.

Kurwa! Dosypali mi coś. – Olśniło go jedyne racjonalne wyjaśnienie dla rozgrywającej się przed nim masakry.

Większość tańczących wywija nożami, tnąc i dżgając każdego kto się znajdzie w zasięgu ostrza. Ciemność. – Boże jestem naćpany! – Wymamrotał sam do siebie – Mam przejebane.

Miganie stroboskopu znacznie przyspieszyło i miał wrażenie, że wszyscy zaczęli się poruszać w zwolnionym tempie. Wyglądało to jak makabryczny balet. Mimo ran ludzie nadal tańczyli dżgając się nożami. Połyskliwe, śliskie wnętrzości wypływając z powłok brzusznych, podskakiwały w rytm szaleńczej muzyki. Przetarł mocno oczy mając nadzieję, że ohydne majaki znikną. Niestety. Tuż przed nim mokry od potu grubasek skalpował ładną blondyneczkę. Nóż powoli przesuwiał się po czole.



Drugą ręką oddzierał włosy, razem ze skórą, od czaszki. Po delikatnej twa-rzyczce spływały ciemne stróżki krwi. Kątem oka dostrzegł błysk. W ostatniej chwili odskoczył w tył ratując się od zbliżającego się ostrza. Jezu! Muszę wyglądać jak idiota - Pomyślał. Postanowił najszybciej jak się tylko da opuścić lokal nim ktoś się zorientuje że gnębią go halucynacje. Mocne uderzenie w plecy prawie zbiło go z nóg. Zatoczył się do przodu rozpaczliwie zamachał rękami jak cepami. Minę miał jak baletnica, która uświadomiła sobie na scenie, że zapomniała o założeniu majtek. Gdy tylko odzyskał równowagę zauważył nóż wystający z boku. Dokoła rany powoli powiększała się ciemna plama. Krwawił. Czuł, że zaczyna wpadać w panikę. Nie był w stanie ocenić co jest rzeczywistością a co majakiem. To wszystko było takie realistyczne. – Posłuchaj – powiedział do siebie. – Takie rzeczy się zdarzają. Coś ci dosypali a ty się teraz rzucasz jak wariat. Ludzie naokoło na pewno gapią się na ciebie Siergieju jak na idiotę. Teraz musisz schować się w najbliższym kiblu i doprowadzić do stanu używalności.

Instynktownie ruszył w dobrze znanym kierunku. Dopadł drzwi. Gdy tylko znalazł się w środku wpadł do pierwszej z brzegu wolnej kabiny i szybko zaryglował drzwi. Panika wracała jak fala po odpływie gotując się do tego by zalać chaosem jego rozemocjonowany umysł. Nie zdążył przeanalizować tego co się wydarzyło; obraz przed oczyma dziwnie się rozmył i zaczęło się robić coraz ciemniej i ciemniej i ciemniej...

Obudzony przez pulsujący tępy ból głowy, otworzył oczy. Otaczała go ciemność. Uwięziono mnie – jedyne logiczne wytłumaczenie jakie przyszło mu do głowy. Tylko kto, gdzie i dlaczego? Pamiętał rzeź w piekielku, nóż tkwiący w boku, ale co było dalej? Pomacał dłonią, nie było żadnej rany. Nic mu się nie stało. Wstał ostrożnie by nie narobić hałasu. Dziwne – nikt go niczym nie skrępował. I po co była ta cała szopka z narkotykiem? – był już w stu procentach przekonany, że coś miał w drinku, że ktoś się za coś mści.

Dlaczego? Może stracił kogoś przez prochy? Może komuś podpadł? Tylko czym? Może kolesie z konkurencji chcą przejąć teren? Uświadamiał sobie, że jest bardziej niż prawdopodobne iż czeka go jeszcze trochę nieprzyjemnych doznań. Ktoś zamierzał się nad nim trochę po pastwić bo w innym wypadku po prostu zarobiłby kosę między żebra; w roztańczonym tłumie nikt by nie widział sprawy. Nie miał wątpliwości – żywy z tego nie wyjdzie. Co za parszywy żywot! Musi się stąd jakoś wydostać. Tylko jak? Otaczały go egipskie ciemności – pewnie zamknęli go w jakimś obskurnym małym pomieszczeniu, gdzieś na zadupiu. Ostrożnie, aby niczego nie przewrócić, wyciągnął ręce i ruszył powolutku do przodu. Po zaledwie kilku krokach opuszkami wyczuł gładką powierzchnię. Pomacał dokładniej. Szkło. U stóp pojawiło się jaskrawe światło. Było coraz wyżej. Wstrzymał oddech. Serce łomotało jak oszalałe. Po drugiej stronie szyby unosiła się zasłona. Jasność była oślepiająca. Zmrużył oczy. Po drugiej stronie szyby... Oleg pieprzył się z Sonią. Tego było już za wiele. Krzyk uwiązł w gardle, zaczął walić pięściami w szybę.

Popieprzyło mi się pod kopułą. Odbiło mi! – nie mógł uwierzyć, że to co widzi dzieje się naprawdę.

W mgnieniu oka zasłona opadła ponownie skrywając Siergieja w ciemnościach.

Albo umarłem – błysnęło mu w głowie – albo jestem nafaszerowany jakimś gównem.

Może ktoś chce by wydawało mu się, że zwariował?

– Czego chcecie? – krzyknął łamiącym się głosem.

– Albo umarłeś – delikatny, kobiecy głos powtórzył jego myśli – albo masz jazdę, albo ci odbiło

– Mam dość! Wypuście! Mam już dość! Cisza.

Usłyszany przed chwilą głos wydawał się znajomy. Usiłował sobie przypomnieć do kogo może należeć. Niestety szufladka z tym wspomnieniem została zamknięta a klucz gdzieś się zawieruszył. Zgrzyt... Boże niech to będzie tylko sen. Niech to się już skończy. Powoli wdech i jeszcze wolniej

wydech aż powietrze opuści płuca i jeszcze raz wdech - próbował uspokoić skołatane nerwy jedynym znanym sobie sposobem. Zdawał sobie sprawę, że jego umysł jest w stanie skrajnego wyczerpania, o krok od obłędu. Pomogło, w niewielkim stopniu, ale jednak. Znowu mógł jakby jaśniej myśleć. Zgrzyt... Odegnął pierwotny lęk paraliżujący zmysły. Ruszył po omacku przed siebie. Nie ważne co się stanie. Niech się dzieje co chce - nie zamierzał tu gnić i trząść portkami. Oczy zaczęły rejestrować niewyraźne zarysy. Przystanął. Zgrzyt... Dostrzegał coraz więcej detali; coś jakby siedzenia. Rozjaśniało się, obraz stawał się coraz wyraźniejszy. Znajdował się w zdewastowanej starej sali kinowej. Gdyby zrobił jeszcze jeden krok do przodu wyróżnąłby kolanem w pierwszy rząd. Zgrzyt... Ciarki przebiegły po plecach. Ten dźwięk... czy to tylko kolejne złudzenie czy... Zgrzyt... Tym razem usłyszał bardzo wyraźnie. Ten straszny odgłos. Pobiegł w kierunku, z którego dochodziły zgrzytnięcia. Zgrzyt... Pchnął drzwi. Biuro ojca. Wisielec uniósł lekko głowę, zwisająca z ust stróżka śliny zaczęła się lekko bujać. Posłał Siergiejowi pełne wyrzutu spojrzenie. Zgrzyt...

- Nie jesteś prawdziwy! - mówił bardziej do siebie, pragnąc utrzymać w ryzach skołatany umysł. Z całej siły zacisnął powieki i przez chwilę był w innym świecie, gdzie istniał tylko łomot jego serca - To nie jest prawda. Stał długo kiwając się jakby miał chorobę sierocą i powtarzał te cztery słowa niczym mantrę. Z tego stanu wyrwał go płacz dziecka. Ostrożnie odsłonił oczy i stwierdził, że chyba go już nic w życiu nie zdziwi. Znajdował się w ogromnej pieczarze, w której mimo iż nie było żadnego źródła światła panował lekki półmrok. Wszystko pokrywała warstewka kleistego, połyskującego śluzu, który zdawał się żyć swoim życiem. Nozdrza podrażniał ostry słodkawo-kwaśny odór. Spojrzał w kierunku, z którego dochodziło kwilenie. Zobaczył szeroki korytarz i mnóstwo kopiastych bulw wyrastających z otulonego mlecznobiałą mgłą podłoża. Skrajnie wyprany z emocji, nie zważając na ewentualne niebezpieczeństwo, ruszył

zdecydowanym krokiem w ich kierunku. Leżały w nich niemowlęta. większość spała, kilka rozglądało się niespokojnie, któreś darło się w niebogłosy. Gdy odruchowo zerknął w tamtym kierunku serce niemal zamarło mu w piersi; obrzydliwa zielonkawa macka unosiła malca za nóżkę. Po chwili ujrzał resztę paskudztwa - bo nie sposób było określić inaczej to co coś - olbrzymi bezkształtny twór z niezliczoną ilością węzowatych kończyn. Wzdrygnął się gdy do jego uszu dobiegło mokre pląśnięcie. Macki zawirowały i zaczęły z ogromną siłą uderzać niemowlętami o skały jaskini. Kakofonia płaczu, wrzasków i miękkich pacnięć przez moment niemal go ogłuszyła. Czuł jak żołądek zamienia się w ołowianą kulę. Zwymiotował. Istota zbliżała się wymachując zmasakrowanymi szczątkami maleńkich bezbronnych ciałek. Przez ułamek sekundy ujrzał narośl pomiędzy dwiema mackami. Zrobiło mu się słabo - była to jego głowa. Obrzydlistwo używając jego własnej twarzy patrzyło na niego jak dzieciak na mrówkę, którą w ramach dobrej zabawy zgniecie zaraz patykiem. Czuł jak nogi zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Upadł na kolana trzymając się za głowę. Spodnie w kroczu robiły się mokre od gorących potoków uryny. Jedna z macek rzuciła zwłokami w jego kierunku. Upadły tak, że widział małą niewinną twarzyczkę wykrzywioną w grymasie przerażenia. Sam nie wiedział jak to się stało lecz nagle zdał sobie sprawę, że główka niemowlaka zmieniła się w głowę jednego z jego dawno nie widzianych, klientów z Piekiełka. Zemdlął.

Zbudziło go przenikliwe zimno, najbardziej dotkliwie dające się we znaki w okolicach kroczu. Wszystko potwornie bolało jakby mu ktoś kości pogruchotał. Uniósł trochę zaropiałe powieki. To był tylko sen... Poczucie relaksującej ulgi rozlało się przyjemnie po całym ciele. To tylko koszmar śpuna na zejściu. Czuł, że dłużej tego nie znieśnie. Skundlił się przez głupią dziwkę. Zniszczyła go swoją zdradą. Przez nią stoczył się na dno. Ilekroć przytomniał zaczynał żałować, że ich wtedy nie zatłukł na śmierć. Głupia suka i pożał się Boże pierdolony przyjaciel. Czasami żałował, że

los ich postawił na jego drodze. A może to jego druh Pech maczał w tym swoje paluszki? Jak mógł się tak stoczyć? Przyszło mu teraz wegetować pod mostem i walić w żyłę, a raczej wielką ropiejącą ranę, gdy tylko udało się skołować kompot. Telepało nim; solidnie przemarzł. Próbował się podnieść lecz ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. Skulił się. Postanowił poleżeć, nabrać trochę sił, mimo że bał się kolejnych koszmarów gdyby przyszło mu ponownie usnąć. Wpatrywał się w dogasające palenisko. Przecież nie może tak dłużej żyć. Całe te cierpienia z przeszłości były teraz tak odległe i nieistotne. Liczyło się tylko to by przetrwać. Bardzo chciał znowu normalnie żyć. Skromnie egzystować, może zaryzykować i znowu komuś zaufać, mieć kiedyś rodzinę. W chwilach przytomności wiele razy rozmyślał o sensie życia. Wielokrotnie próbował znaleźć logiczny wspólny mianownik dla tego wszystkiego co go do tej pory spotkało, jakoś sobie to wszystko wytłumaczyć i poukładać. Może jest w tym jakiś głęboko ukryty sens? Może życie to bolesna lekcja, którą trzeba odrobić? Więcej pojawiało się pytań niż odpowiedzi ale jedno wiedział na pewno - nie chce umierać, chce wydobyć się z tego bagna i zobaczyć co jeszcze los trzyma dlań w zanadru. Postanowił, to dziś będzie ten dzień. Jak tylko nabierze trochę sił... detoks. Musi spróbować. Musi!

Chłopiec pieczołowicie budował wieżę z kolorowych, drewnianych klocków. Była bardzo wysoka. Idealna. Ostrożnie, maksymalnie skoncentrowany, ustawiał kolejny element konstrukcji. Wystarczyłby jeden fałszywy ruch, jedno niekontrolowane drgnięcie ręki i musiałby zaczynać od nowa. Jeszcze ze dwa poziomy i ją ukończy. Później rozstawi w różnych zakamarkach, na wszystkich piętrach, oddziały plastikowych żołnierzyków i rozpocznie się wojna...

– Siergiej obiad – w głosie matki słysząc było nutkę zniecierpliwienia.

No nie, zawsze musieli mu przerywać wtedy kiedy najlepiej się bawi. Strasznie go to



Przemysław Krupski

wkurzało.

– Zaraz! – odkrzyknął

– Teraz! Bo powiem ojcu! Wszystko będzie zimne!

Chyba już nieodwołalnie musi przerwać.

Mama się wkurzyła, lepiej nie przeginać.

Wybiegł z pokoju i ruszył ku schodom. Jak

zwykle postanowił zjechać po poręczy.

Była idealna; długa i gładka. Często

dostawał za to burę – rodzice bali się, że

kiedyś spadnie i coś sobie zrobi – ale zbyt

bardzo to lubił. Poza tym nie uważał się za

taką ofiarę losu co to z byle poręczy spada!

Usiadł i już po chwili nabrał prędkości.

Jego twarz rozświetlił promienny, szeroki

uśmiech. Nagle poręcz zmieniła się w

ostrze brzozy...





MARIUSZ KARGUL

Reminiscencje podchmielonego malarza pokojowego (4)

Poczuj fakturę snu
roztaczającego się nad rzeką
zobacz jak ptak obmywa
skrzydła z grzechu w jej nurcie
dotknij tego, co nieuchwytnie
między wodą a niebem
patrz ty siedzisz, ona płynie
patrz uważnie a za chwilę
popłyniesz razem z nią
możesz być liściem
niesionym przez prąd
możesz być prądem
niosącym liść

Istnieje przecież prawda
czasu, miejsca i akcji
istnieje też prawda
parcia na szkło
a szkło to tylko woda i piasek
czy warto więc robić sobie
dupę z gęby
dla satysfakcji kilku
wzbudzonych elektronów?
lepiej już pójść nad rzekę,
usiąść na starym pniu
i zrobić gębę z dupy
opowiadając mu o życiu,
które tam właśnie
się teraz znajduje.

Epikryza

i tylko babcia Eugenia
jak przed wiekami
obciąga setę czystej
przegryzając śledziem
ból człowieczej egzystencji

* * *

i upadł anioł święty
już upadł i nie wstanie
daremny jego trud przeklęty
daremne włosów rwanie

więc śmiejcie się demony
tak, śmiejcie do rozpuku
zerwijcie z szat pagony
wylóżcie trumnę z bruku



JERZY REUTER

ŁEMKO BURY

Pułkownik Lowka Bogdanowycz trzymał mowę. Pozostali, mocząc usta w gorącym piwie, gapili się na starego wiarusa i dmuchali w manierki. Mróz mieszał się z parą i usypiał siwym szronem na wąsach.

- To będzie, jak ja mówi! Wilki wyjdą z tamtej strony – wskazał lufami dubeltówki na las – Pilnujta się strzylcy! Jak dobiegną do połowy polany, macie zabijać i uważajcie, bo wilk, to zawsze wilk. Może atakować!
- Bogdanowycz! – Łemko Bury uniósł się w siodle. – Ja podjadę do nagonki, pozwolicie? – Goń! Niech idą w las! Koniecznie! Swołocz naganiać na polanę...! My im powiemy... Zdrastwujcie.

W kotle ustawionym na kamiennym paleńsku gotował się bigos, a miejscowe kobiety królowały przy stołach. Kielbasy, niczym warkocz ukrainskiej narzeczonej, wiły się pomiędzy bochenkami chleba. Bury położył lufę sztucera na zadzie kobyły i pogalopował przez sypki śnieg.

- A teraz pozwólcie, towarzysze, że pokażę wam swoje medaliery. – Bogdanowycz świsnął pod nosem – Oto moje wojsko – rzekł miękko.

Z domu wybiegły dwa wielkie owczarki i usłużnie przysiadły przy nodze Lowki. – Ten mniejszy, Zula, suka moja jedyna – poklepał psa po karku. – Dwa razy życie moje ratowała. Raz na Odrze, zębami mnie zdzierzyła i do niemieckiego brzegu spłynęła. Drugi raz, w Berlinie, przed miną pozór dała – rozłożył długie ręce na boki. – Ot, taka suka maja! Myśliwi zaśluchali się w Bogdanowycza i z podziwem oglądali psy. Każdy wilczur miał szeroką obrozę z mocowanymi do czarnej skóry medalami. – Dżygit – pułkownik poklepał wielkiego owczarka po głowie – to bestia. Na własne oczy, towarzysze, widziałem jak wyrwał jednemu zdrajcy gardło. Szkolony był na wrogie tanki i miał iść z granatami, ale ja go zabrałem do siebie. Usynowiłem, bracia, jak swego. Cztery orderzy dostał za męstwo!

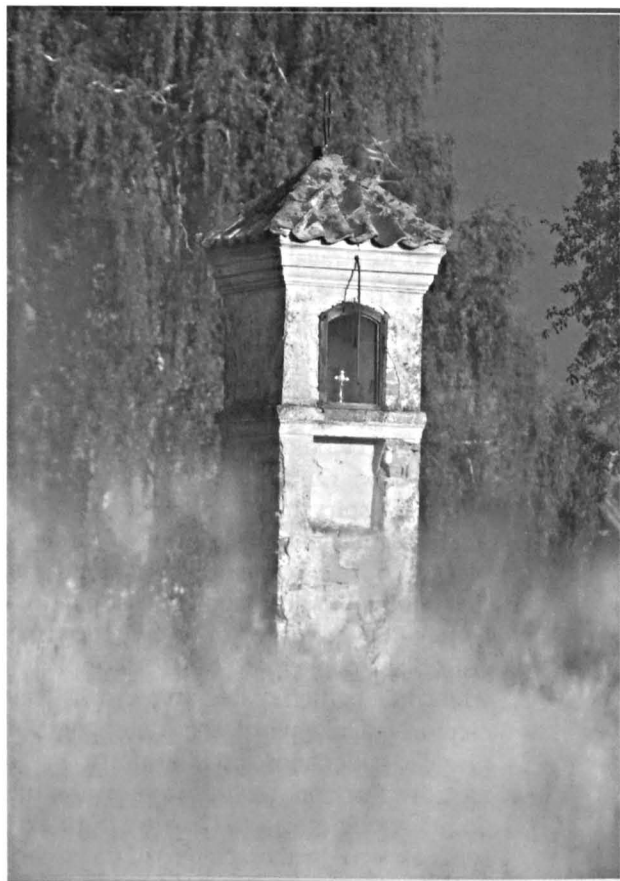
- Swoj pies! – zawołał któryś
- Swoj pies – powtórzyli inni i skłonili głowy przed Lowką. – U nas takich nie masz.
- Oj... Nie masz.

Młaskali w podziwie i pstrykali palcami. Mróz szczypał policzki i kleił oczy, a piwo grzało pod kożuchami. Kobiety w śmiesznie dużych walonkach, tańczyły nad bigosem.

Od strony lasu przygalopował Łemko Bury. Wyhamował przed Bogdanowyczem, aż koń przysiadł na zadzie.

- Melduję! Nagonka poszła!
- To teraz, moi myśliwcy – rzekł pułkownik – stroić giwery i na stanowiska! Jak na złość sypnęło śniegiem. Spadł drobny, a zimny i bił po twarzach do bólu. Wiatr zamiętał drobiny i gęstymi chmurami wirował nad polaną. – Towarzysze! – zawołał pogodnie Bogdanowycz. – Pamiętajcie. Za każdego wilka całe sto złociszów! Placą bez wyjątku, za każdą sztukę.

Myśliwi zatarli ręce, pochuchali w rękawice i rozeszli się w stronę polany, na ustalone





📷 Katarzyna Kolasieńska

stanowiska. Każdy wziął w kieszeń flaszkę wódki i garść nabożów. Pożegnani krzyżem na drogę, pogłaskani kobiecą ręką, wyszli na przeciw wilkom. Od strony lasu słychać było wystrzały jak werbelki i pohukiwania ludzi. To szła nagonka. Łemko Bury objechał na swojej kobyle linię i stwierdził bezpieczeństwo. Teraz on był łowczym i jemu podlegało wszystko. Mianował go wczoraj, przy wódce, sam Lowka Bogdanowycz, bohater wojenny i wielka figura w aparacie władzy. Burego otaczał wielki mir. Do dzisiaj był nikim. Jako szeregowy przeszedł swój bojowy szlak i nikt nie powierzał mu takiego zaufania. Szedł zawsze, gdzie mu kazano. Roztrącał na boki wrogów i strzelał w przód. Zawsze zwrócony twarzą do wroga, modlił się o szczęście. „Niemiec moich pleców nie widział”, tak streszczał swoje wojowanie i to było wszystko, co pamiętał. Jedno, co dała mu wojna, to wielkie zamiłowanie do wódki. Idąc na swoje stanowisko, zwinął ze stołu dwie solidne butle majonego spirytusu. Linia stanowisk ułożona w długi półksiężyc, wsparła się plecami o świerkowy młodniak. Przed myśliwymi bielili się łąka płaska jak patelnia. Łemek Bury usadowił się w wygodnym gnieździe i pociągnął z butli. Alkohol wlewał się ogniem palącym piersi. Dawał ciepło. Nad łąką wirowała zawieja, ograniczając widoczność do kilkunastu metrów. Bury precyzyjnie szykował sztucer do pracy pociągając co chwilę z butli. Po tym, jak jego dwaj bracia poszli na wschodnią stronę gór, wiedzeni słowem magnetycznym i wielkim, pozostał sam. Poszli

za hyrem ognistym i ciężkim, które przyszło wraz z końcem wojny. Ktoś przyjechał na koniu i rzucił w spokojnych Łemków jedno tylko słowo – Bandera. Powyciągali spod strzechy karabiny i wyprawieni na drogę kawalkiem słoniny odeszli. Ci, co pozostali, wybrali nienawiść innych, poníženie w oczach przybywających osadników i podejrzliwość nowej władzy.

Bury ułożył się wygodnie na wiązce słomy i popijając wódkę oczekiwał. Zamieć ograniczała widzenie do połowy polany, a wypity alkohol wchodził w krew i mącił wzrok.

– Bury! – Bogdanowycz sprawdzał stan. – Jesteś?

– Jestem, Bogdanowycz.

– Kulawy!

– Jestem

– Boško!

– Jezdem

– Fiodor!

– Tak toczno

– Pula!

– Jest

– To trzymajcie się, gnaty jedne! Wołki idut! Pasmatrim, kto gieroj!

Nagonka zaciskała pierścień wokół polany, a palba karabinowa mieszała się z okrzykami naganiaczy. Jazgot wystrzałów dochodził z każdej strony. Bury był pijany. Walczył z opadającą na sztucer głową i ogarniającym go snem. Wiedział, że nie może zawieść pułkownika. Gdy ujrzał wybiegające na środek dwie postacie wilków, pomyślał, że to podwójne, pijackie zwidy. Oddał strzał. Wilk wyskoczył w górę, wyrwany uderzeniem pocisku. „Dobrze widzę”, pomyślał, „został jeden”. Po przeładowaniu zamka oddał następny strzał i na polanie pozostała tylko biel śniegu. Ostatkiem sił wypił kilka łyków wódki i upadł nieprzytomny w słomę.

*

Lowka Bogdanowycz tańczył ubrany w żółte bryczesy wokół Burego. Podskakiwał na bosych nogach i co raz uderzał go w twarz. Bury siedział przywiązany do małego zydła na środku izby, doprowadzony do trzeźwości, natarty śniegiem i polany lodową wodą. Kobiety zasłoniły sobą kocioł z bigosem i popłakiwały chowając twarze w kolorowe zapaski. – Faszysta! – wrzeszczał

Buremu w Twarz. – Faszysta i swołocz!
 – Darujcie – sepleniał z wypływającą ustami
 krwią – Bogdanowycz, darujcie.
 – Widzicie go? Chachoł jeden! Izwinitie
 gadasz? Izwinitie? Bandyto i morderco!
 Skurwisynu, job twaju mać!
 – Darujcie, nic nie wiem... Opil żem się jak
 świnią. Wszystkom zabył.
 – Aleś wódki nie zabył! – Bogdanowycz
 uderzył Burego w brzuch. – Suko!
 Myśliwi siedzieli przy długim stole i w
 milczeniu przyglądali się scenie. Pułkownik
 parował wściekłością, a koszula Burego
 czerwieniła się krwią.
 – Opilem się, pułkownik Bogdanowycz –
 zapłakał – opilem jak świnią... Śpił mnie
 wziął i odebrał życie... Darujcie, towarzyszu.
 Mówił bardzo cicho. Bogdanowycz przykładł
 ucho blisko jego ust i co słowo uderzał
 głową w środek nosa.
 – Masz! Faszysto... Suko!
 Bury wiedział, że zrobił coś bardzo złego, ale
 co? Myślał i nic nie przychodziło mu do
 głowy. Wraz z utratą przytomności
 całkowicie zatracił pamięć. Nawet nie
 myślał, by zapytać. Bardziej niż bicia bał się
 prawdy. Po którymś kopnięciu stracił
 przytomność.
 – Teraz, myśliwce moje – Bogdanowycz
 dosiadł się do stołu – musimy coś
 postanowić. Radźcie!
 – Jak tu radzić? Towarzyszu, on nasz. Łemko,
 tutejszy – łagodził stary Pulek.
 – Izwinitie! – przyłożył rękę do serca Fiodor
 – Pomilujcie! – skłonił się Boško, stary
 kłusownik.
 – A może on faszysta i szpion od Bandery? –
 zwątpił Kulawy.
 Pułkownik podszedł do kotła i zagarnął łyżką
 bigosu. Przez chwilę chodził mlaskając
 gołymi stopami o klepisko.
 – Wy tu czegoś nie zrozumieli – zaczął
 łagodnie, – To morderca i bandyta!
 Swołocz! – krzyknął i kopnął w
 zakrwawioną twarz Burego. – Ja tu coś
 wymyślę, robaczki moje! Nie takich ja
 sprawiał, nie takich jak ten.
 – Może wódki dać? – zapytał Kulawy. –
 Napijmy, może coś wejdzie w łeb.
 – Dawaj! Bigosu też podajcie.
 Jedli i przepijali. Każdy myślał o Bury i snuł
 swoje domysły, co do jego losu. Zнали
 Bogdanowycza i wiedzieli, że jemu nie
 wolno sprzeciwiać się, bo to jak skazujący



Łukasz Szymański

wyrok. Pułkownik był wielką „figurą” i
 trzymał władzę w całej okolicy. Gdy już
 pojedli i wypili kilka butelek wódki, Bo-
 gdanowycz powstał i rozkazał ocucić
 Burego. Kulawy wylał na nieprzytomnego
 wiadro wody. Bury wracał do świadomości.
 – Widzisz ty mnie?! – zapytał pułkownik
 pochylając się nad Bury. – Widzisz?
 Dywersancie!
 – Widzę, towarzyszu.
 – Bracia myśliwce! My zrobimy, jak powiem –
 usiadł i przepił – jak wszystko, co tutaj
 powiem. Buremu zmienić gacie i koszulę.
 Dać mu na nogi sapożki, ale nie takie na
 śnieg, na drogę. Dać mu takie cerkiewne,
 cieniutkie i płytkie. Mogłem swołocz
 wykończyć, ale... – Na to „ale”, wszyscy
 przyklasnęli, bo już wiedzieli, że to jedno
 słowo, ma większą wartość niż życie.
 – Mogłem go wykończyć – ciągnął mowę
 Bogdanowycz, – ale mam lepszy pomysł –
 uśmiechnął się i zatarł dłonie. –
 Podkurować mi go do rana, tak żeby stał
 na własnych nogach. A potem będzie
 zabawa. Rzekłem!

*

Obudzili go wczesnym świtem. Kazali ubrać się
 w bardzo cienki garnitur i buty dali, jak z
 papieru.

„Bogdanowycz kazali”, mówili na
 usprawiedliwienie i wciskali do kieszeni
 kawałki kiełbasy. Bury był obity z każdej
 strony do tego stopnia, że w bólu nie rozu-
 miał, co się dzieje.

– Idź na Caryńską – szepnął mu do ucha
 Fiodor – tam bracia twoi ze strilcami



📷 Z. Marek Piechocki

siedzą. Idź.

Przed domem myśliwi stali w szyku. Każdy z nich trzymał strzelbę wspartą na ramieniu. Gdy wyszedł z piwnicy, zdjął czapki na powitanie. Bury modlił się o szybką śmierć.

- Bury! – odezwał się pułkownik. – Dywersancie jeden! Swolocz jesteś faszystowska i zdrajca! – Bogdanowycz! – odparł Bury. – Ty mnie faszystą nie nazywaj! Ja krew swoją przelewałem! Zabij, jak żem winien, ale nie obrażaj!
- Widzicie? Jaki gieroj! – Gieroj! – potwierdził Bury. – Katujesz mnie! Krew mi upuszczasz niewinnie! Ludzie patrzą i widzą.
- Gdzie te ludzie? Te tutaj, to ludzie? Ty błądź jesteś, jak oni wszyscy!
- Tyś błądź, Bogdanowycz. Jeść ci tutaj dają!
- Patrzcie! Jaki się znalazł!
- Kończ, Bogdanowycz!
- Kończę! Faszystowski ryju! – odbezpieczył pistolet i przystąpił Buremu do głowy. – Dam ci szansę! Poznaj krasnoarmiejskie serce... Obyś sam zdechł! Pójdiesz sobie, rybeńko, w las. Tak. Pójdiesz w las. Dam ci

dwie godzinki, job twaju mać, dwie godzinki. Po czasie pójdziemy za tobą. Jak do nocy zdybiemy, to masz w czapę!

Rozumiesz? W czapę! Będzie polowanie! Ot!

- Ruska świnia! – Buremu było już wszystko jedno. – Enkawudzista jesteś! Podły człowiek.

Bogdanowycz zbłądł jak śnieg. Myśliwi uciekli do domu i przyglądali się zza firanek. Odważne kobiety stały obok, owinięte kolorowymi chustami.

- Idź już! Bo ubiję! Łemko Bury odwrócił się na pięcie i poszedł, w cienkich bucikach, w marynarce narzuconej na gołe ciało.
- Polaczki do mnie! – Bogdanowycz krzyknął w stronę domu. – Ktoś musi pochować moje medaliery! – Przez chwilę myślał, bijąc się szpicrutą po bucie. – A oskórować przed zakopaniem! Zapłaca jak za wilki, po całe sto złotych!





WERONIKA JĘDRZEJCZAK

*** (mojej Babci)

starsze panie także marzą
o miłości
na przystankach
na ławkach parkowych
jesienią

przerzucają pożółkłe stronnice
romansów
przez cienki papier skóry
namiętność się wkrada
w ich starość

ciało jeszcze pamięta
zapach letniego wieczoru
usta znają smak ust
dotyk wciąż czuje dotyk

pierś zasuszona
jak owoc granatu -
muzealny eksponat
młodości

starsze panie wracają do domów
ciepłych jak piece
gdzie na ścianach
ich pamięć
w smutnych kolorach sepii

przesłodzona herbata
i jeszcze coś trzeba zrobić
i kogoś jeszcze kochać
cisza
i nikt nie puka

to proza

a na pergaminie skóry
cieniutkie linie żył
składają się
w poemat

1944 (uchodźcy)

Warkocze naszych dziewcząt kiedyś będą
białe,
jak nasze drżące ciała na mękach rozpięte,
jak oczy powleczone strachem, oniemiałe,
jak pióropuszem skrzydeł anielskich -
muśnięte.

Łzami naszego bólu będą karmić dzieci.
Twardym bluszczem pamięci w ich serca
wrośniemy,
który kiedyś zasadzą dni przyszłych poeci.
Takie jest co przed nami - a dzisiaj -
giniemy.

M ł o d o ś ć z wyżyn strącona pociskami

spada
do nóg, które uchodzą - czarnymi wodami.
I raz po raz rozbrzmiewa nagła kanonada,
umierających ulic, szarpanych spazmami.

Miasto nasze umarło (bo myśmy umarli),
i purpurowe łuny nad dachy nas wzniosły,
gdyśmy z nocy kanałów ku słońca latarni
biegli, przez ogród śmierci, trupami porosły.

Warkocze naszych dziewcząt kiedyś będą
białe -
rozplatane przed lustrem - drżącymi
palcami,
stęsknione pocałunków, smutkiem
spopielale,
w pokojach samotności długimi nocami.

A uchodźcy strąceni poeci
pozostaną sami



TOMASZ KRZYKAŁA

O HODOWLI I PIELEGNACJI ROŚLIN DONICZKOWYCH I INNYCH

Kaktus

To nie jest łatwe, niewątpliwie, taka hodowla i właściwa pielęgnacja kaktusa. Rośliny bywają bardzo trudne i wymagające, co niewątpliwie oznacza, że jak mało kto potrafią przysporzyć problemów. Jeden mój znajomy miał w domu dość dużego kaktusa i nie wiedział jak się z nim obchodzić. W końcu ktoś tam gdzieś, w jakiejś kwiaciarni doradził mu, żeby stworzył mu, albo przynajmniej próbował mu stworzyć warunki jego naturalnego środowiska, czyli meksykańskiej pustyni. Od tego momentu mój (świętej już pamięci) znajomy rozsypał w domu piach, ponalepiał na ścianach fototapety przedstawiające dalekie wydmy, poodkręcał grzejniki tak, że było u niego zawsze koło 50°C, aż wreszcie, widząc, że kaktus zaczyna marnieć (o ironio!) chodził po domu wyłącznie w skórze kojota. Wreszcie, któregoś dnia takiej opieki kaktus nie wytrzymał i rzucił się na mojego znajomego, ukuł go porządnie w klatkę piersiową, tamten stracił równowagę i upadł uderzając głową o kant stołu i koniec – umarł! Natomiast kaktus przepadł bez wieści. Moje prywatne dochodzenie wykazało, że był to ewidentny przypadek zabójstwa i nie miał nic wspólnego z wypadkiem – otóż kaktus był z USA, a nie z Meksyku, nietrudno więc zrozumieć jego furie po przypisaniu mu tak poniżającego pochodzenia. Rósł na pustyni skalistej, a nie wśród piaszczystych wydym na tapetach sfotografowanych, tak a propos, w Afryce, do tego zaś w jego naturalnych warunkach nie występowały kojoty! To tyle odnośnie motywacji tej zbrodni w głębokim afekcie. Któregoś dnia, kiedy oglądałem jakieś telewizyjne relacje dotyczące wojny w Iraku mignął mi na ekranie – ależ tak! To był on – kaktus mojego znajomego! Stał na ulicy i szpiegował – najprawdopodobniej pracował dla Amerykanów – jako sposób maskowania wybrał noszenie na sobie

bananów – przebrał się za bananowca! – ale ja i tak go poznałem. To był on!

Arbuz

Dziś rano postanowiłem ubrać się do pracy jak arbuz. Założyłem berecik z antenką i zieloną, roboczą pikowaną kurtkę, która mnie pogrubia. Na kurtce kredą namalowałem jasne, pionowe pasy. Nie bardzo wiedziałem co zrobić z nogami, bo one nie pasowały do wizerunku arbuza, który jak wiadomo nie posiada specjalnie wyodrębnionych kończyn. Problem ten rozwiązałem poprzez próbę upodobnienia swoich nóg do pędów arbuza – ja mam nogi, których nie ma arbuz, podczas, gdy arbuz ma pędy, których nie mam ja; możliwość kompromisu zaistniała sama przez się. W tym celu założyłem ciemnozielone, robocze, drelichowe spodnie a stopy obułem w brązowe, wykonane ze skaju podobnego do kory drzewa buty, jeśli by zaś ktoś jeszcze odczuwał swoisty niepokój patrząc na moją osobę, to na butach widniał stosunkowo duży napis „relax”, który jak sądzę załatwiał tego typu wątpliwości i niepokoje. Pod kurtkę założyłem oczywiście jadowicie czerwony sweter na którym domalowałem markerem stosunkowo dużo czarnych kropek. To miał być miąższ. Tak ubrany wsiałem na rower w celu udania się do pracy, ale zsiadałem co rusz z niego z powodu napadów śmiechu. Proszę sobie wyobrazić – byłem jedynym na świecie egzemplarzem arbuza umiającym jeździć na rowerze! Jadąc przez miasto napotkałem stoisko, na którym leżało mnóstwo stłoczonych moich krewniaków; pomachałem im i pojechałem dalej i rozradowanym sercem – było nas bowiem tak wielu! Potem minąłem sklep z ziołami - odwróciłem głowę ze wstrętem – jako arbuz nie lubię zielska! Dojechałem do pracy spóźniony i dostałem porządną reprimendę od szefa. Zignorowałem go. Jako arbusowi były mi obojętne jego

opinie, a poza tym czułem, że rosnę w siłę – nas arbuzów jest tak wielu!

Fiołek

Kiedy moja narzeczona podarowała mi fiołka poczułem się nieco tym faktem zaskoczony i (nie ukrywajmy) zażenowany też! Moje zażenowanie wynikała z dwóch powodów – po pierwsze moja narzeczona kupiła sześć sztuk rzeczonych fiołków (paragon znalazłem podczas standardowej kontroli w jej torebce) i z niejakim niepokojem myślałem o tym, co zrobiła z pozostałymi pięcioma, po drugie to był bardzo wyrosnięty fiołek – to był fioł co się zowie i niniejszym moja narzeczona spowodowała nominalnie zaistnienie okoliczności, że „dostałem od niej fioła”, jakkolwiek kolokwialnie by to nie brzmiało. Od tego dnia trzymałem mojego fioła w ukryciu, a na światło dzienne

wydobywałem go tylko przy jej przyjsciu, bo nie wypadało inaczej (raz mi inaczej wypadło niż wypaść powinno – najedliśmy się wtedy porządnie stresu – ale po szóstym z kolei teście ciążowym, który nic nie wykazał trochę się uspokoiliśmy! Ale to już inna historia.) Nie mniej jednak dbałem o swojego fioła jak należy – codziennie około czwartej piętnaście, zanim ktokolwiek z mojego bloku był na nogach wyprowadzałem fioła na dwór, kładłem go na trawniku, trochę z nim rozmawiałem, uczyłem go podstawowych prawd życiowych, dekalogu, podstawowych prawd wiary, podstawowych prawd ekonomii i zasad współżycia społecznego (tego jednak uczyłem go krótko – mnie roślinki nie interesują, a i on nie wykazywał chęci!). Raz, kiedy go wyprowadziłem padał rzęsy deszcz – ucieszyłem się, bo dało mi to sposobność „Naturalnego Planowania Pielęgnacji” bez uciekania się do sztucznych metod, potępianych przez Zjedno-



czone Narodowo-Chrześcijańskie Koło Ogrodników Polskich. Potem zamykałem fioła w toalecie, napuszczałem wody do miseczki i kładłem ją obok doniczki z zamiarem wykształcenia w mojej roślinie nawyku pracowitości i przedsiębiorczości, a nie tylko biernego oczekiwania aż ją ktoś oleje z góry, do tego w całkowitym bezruchu. Nie mniej jednak, tak jak murzyn jest czarny, jak Żyd taki jak ci między którymi żyje, tak i mój fioł miał swoją, wrodzona bierność silnie ugruntowana przez naturę i nie potrafił sam sobie zdobyć wody. Mimo takiej szeroko zakrojonej i z poświęceniem przeprowadzanej opieki, mimo tego, że sam go zacząłem podlewać, zaczął marnieć. Byłem szokowany i przerażony. Kiedy w zetknięciu z całą tą sytuacją narzeczona napomknęła, cała we łzach, o ewentualności przesunięcia terminu ślubu a nawet rezygnacji z moich usług, postanowiłem zadziałać z zimną krwią i niemiecką precyzją. Najpierw zadzwoniłem do proboszcza z prośbą o wsparcie, ale on błyskawicznie się rozłączył. Dopiero po siódmym z kolei telefonie zdołałem mu wytłumaczyć, że nie chodzi mi o wsparcie finansowe i proboszcz zgodził się udzielić mi wsparcia duchowego. Potem zamówiłem msze w dziesięciu klasztorach. Potem zadzwoniłem do imama z Marsylii, który zgodził się (za pewną niewielką sumą), pomodlić z wiernymi w meczecie w Dijon. Potem przelałem pewną sumę na konto przywódcy duchowego afgańskiego odłamu Al-Kaidy, o którym mówiono, że leczy i zabija na odległość – mnie chodziło o to żeby wyleczył, ale po zastanowieniu (z dopłatą) podałem jeszcze adresy paru znajomych, już w innym celu. Skontaktowałem się też z paroma rabinami w Izraelu, którzy również obiecali mi serwisową pomoc duchową. Potem (po osobistej rozmowie telefonicznej) z Dalaj Lamą zasiadłem do telewizora obejrzeć razem z moją rośliną osobiście przygotowaną mi przez rosyjskiego uzdrowiciela kasety video dla „innych form życia”, cokolwiek by to miało znaczyć. Pomogło!!! Czy to dlatego (jak mówią złośliwi) że kwiat dostał wreszcie trochę światła, czy za pomocą

wsparcia duchowego – nie wiem! Dosyć, jeśli ze wzruszeniem powiem, że narzeczona do mnie wróciła, a życie jest piękne, ponieważ dzięki własnej upartości, trosce, samozaparcia, determinacji i wierze oraz pomocy wielu kręgów religijno-społecznych ciągle mam mojego fioła, a nawet ostatnio on zaczął się rozrastać! Teraz spędzam życie w spokoju, jeśli nie liczyć paru chwil porannego sprzątania okazałej sterty ofert od rabinów i klasztorów żebraczych. Za parędziesiąt lat, kiedy spłcę imama osiągnę życiową stabilizację – już teraz jednak moje życie wygląda dużo lepiej, bo pomoc z Afganistanu pozbawiła mnie wielu wrogów – właściwie mam już tylko przyjaciół. Samych przyjaciół.

Baobab

Wczoraj, nie bez obaw
Kupiłem baobab
I wczoraj go zasadziłem
Dzisiaj tak wyrósł, że aż się zdziwiłem!

Wielki się zrobił
cały dom zacienił
Ma pień jak wielka bania
Takiego kupiłem drania!

Dzisiaj już wszyscy go widzą
Niektórzy się wstydzą
A niektórzy dziwią
Inni widząc baobab łzę uronią tklivą!

Zlatują już do niego ptactwa zastępy
Afrykańskie orły i pustynne sępy
A na ziemi - Nikt się tego nie spodziewał
wcale!
Pojawiły się już hieny i szakale.

Tam zaś, gdzie widać konary kręte
Zauważyłem już murzyńską piętę!
A po pniu się zsunął jak w biblji kusiciel
Piękny, gruby, wielki wąż Boa-dusiciel!

Małpy mi wyją w listowiu,
Gdy księżyc na nowiu,
A przed świtem (wstałem wcześniej dla zabawy)
Lwy warczały załatwiając swoje sprawy!

Kiedy jednak, by Baobab nie pozostał taki mały

Deszcz na niego tropikalny lał dzień cały
Moczając wszystko dookoła
(Ach, coś to za życia szkoła)

Powiedziałem „Nie” I postanowiłem, że
Kupię siekiere
I drzewo zetnę!

Zrobiłem, co zamierzałem
Po siekiere się wybrałem
Ściąłem drzewo, które chlasło Na ziemię przed
jedenastą!

Dzisiaj, już nie dla zabawy
mam 4 sądowe sprawy.
A do tego kupa zwierza Wpadła w bloku do
Alkierza.

Trawa

Trawa była moim wrogiem – wiedziałem o tym od najmłodszych lat, ale dopiero teraz postanowiłem zrobić z tym porządek! To nie było proste zadanie i oceniając sytuację zdałem sobie sprawę z ogromu czekających mnie wyzwani! Wróg był wszędzie i nie było sensu ukrywać przed sobą i innymi tego oczywistego faktu. Jego działania były wszędzie widoczne, ale wiedziałem z doświadczenia, że on działa powoli. To był szansa dla mnie, dla mojego domu, dla nas wszystkich. Wieczorem zebrałem się z całą rodziną, żoną teściową i dwojgiem dzieci (synem i córką) i ogłosiłem stan wyjątkowy oraz zakomunikowałem dobitnie konieczność gromadzenia zapasów. Żona spojrzała na mnie zmęczonym wzrokiem, ale ja wiedziałem czego się po niej spodziewać! Wiedziałem, że coś takiego mnie spotka!

- Kobieto! – krzyknąłem – Twój brak entuzjazmu działa jak sabotaż w naszej trudnej sytuacji! Lada chwila będziemy odosobnieni, odcięci od całego świata i on naszego stylu życia! Lada chwila pocujemy grozę i lęk! – Mówiąc poczułem wzruszenie i spojrzałem ze łzą w oku na dzieci i na obejmującą je teściową –

Poczujemy strach i rozpacz! – Łza stoczyła mi się po policzku, a dzieci spojrzały po sobie – Ale już więcej nie ustąpimy, nie oddamy nawet piędy ziemi! Nie pozwolimy by wróg zabrał nam wszystko! – Ostatnie zdanie wykrzyknąłem z zapałem – Kiedy wróg posuwa się tak daleko, to jasnym staje się fakt że jemu chodzi wyłącznie o to, by nas zniszczyć! Ale nie traćmy Ducha! Nie traćmy Ducha! – uniosłem ręce jak Mojżesz na filmie, który widziałem ostatnio i który bardzo mnie wzruszył. Spojrzałem na dzieci; stały z rozdziawionymi ustami. Spojrzałem na teściową, ale ona rozmawiała z moją żoną o nowej, reklamowanej właśnie w telewizji przyprawie do pulpetów. Westchnąłem ciężko. Konkretnym plonem tego dnia zostało uchwalone jednomyślnie (1 głos za, 4 głosy wstrzymały się od głosu) 24-godzinne odtwarzanie muzyki patriotycznej w całym domu, gromadzenie zapasów i codzienne dyżury wartownicze przy oknach na strychu. Następnego dnia obudziłem się rano skoro świt i za pomocą szpadla utorowałem drogę przez podwórze usuwając przydeptane szpalery wrogów wraz z korzeniami. Zrobiłem głęboko wciętą i pozbawioną wroga ścieżkę do garażu. Około 10 rano przebiegliśmy z żoną do samochodu i pojechaliśmy do miasta poczynić odpowiednie zakupy. Kupiliśmy oczywiście głównie żywność i wodę, znieśliśmy to wszystko do samochodu, a wtedy, zostawiając żonę na chwilę, pobiegłem jeszcze do sklepu sam, zakupiłem cztery, wielkie, pełne butle gazowe na propan-butan, kazałem zapakować w drewniane pudło, zabić gwoździami i zabrałem to pudło do samochodu kupując jeszcze przy kasie końcówkę do przenośnego miotacza płomieni (była w promocji). Żona spojrzała na to pudło, a potem na mnie z wyrzutem, ale zabroniłem jej mówić cokolwiek, co odebrało by mi ducha, w duchu zaś (tym samym, którego nie odebrała mi żona!) cieszyłem się, że mam ostatecznie dobre zaplecze do walki. Następnego dnia zamknąłem na klucz bramę od zagrody, a sam klucz wyrzuciłem do studni. Od tego

dnia dzieciom zabroniłem chodzić do szkoły (zresztą i tak były jeszcze za małe), zabarykadowałem drzwi chałupy i w rytmach wojskowych marszów zacząłem na szkicu sytuacyjnym – własnoręcznie wykonanej mapie mojego gospodarstwa – planować ofensywę pod angielsko-języcznym kryptonimem „Akcja Grassless”. Było to „Ostateczne Rozwiązanie” – oczyszczenie z trawy całego gospodarstwa, a potem może nawet całej wsi!!! Planowanie zajęło mi dwa dni, po których nadszedł gwałtowny kryzys i rozpoczęcie działań zbrojnych. Wyglądało to następująco:

Dzień 0

5.00 rano – syn budzi mnie w godzinie zmiany warty i prowadzi na strych. Wyczułem, że coś się stało, bo normalnie on kładł się spać, a na strych szedłem sam. Tym razem, wyraźnie przejęty poszedł ze mną.

– Tato – powiedział – nie denerwuj się tylko, weź sobie relanium (postanowiłem od razu uchwalić w domu zakaz używania zwrotu „tato weź relanium”). Syn mój otworzył okienko strychowe i... zamurowało mnie nagle i przejęło zgrozą to, co zobaczyłem! Tam, gdzie zagiął się kawałek blachy i wiatr naniósł ziemię, rosła sobie bezczelnie kępka trawy! W moim domu, na moim strychu, tuż nad sztabem rosła kępa trawy, która mnie pewnie podsłuchiwała impertynencko i pewnie przekazywała informacje innym trawom na podwórzu, a może i dalej! – Chodzi mi o to, tato – mówił dalej mój syn – że kiedy ją próbowałem wyrwać, to oderwałem jedno mocowanie rynny.

– O, nie! – wydarł mi się okrzyk rozpacz – To prowokacja! To prowokacja czysta! – złapałem syna za ramiona i zatrzęsłem nim w desperacji. Rozpłakał się i uciekł na dół. Dobrze zrobił, teraz chciałem być sam! Jak w malignie zbiegłem na dół zaraz po nim.

5.30 rano – odbiłem wieko skrzyni z butlami w garażu, za pomocą końskich rzemieni wykombinowałem sobie zgrabny sposób powieszenia butli na plecach i wkręciłem w nią końcówkę miotacza. Założyłem okulary słoneczne (innych nie miałem) i wyszedłem na podwórze. Wszystkie żdzbla

traw się nagle pochowały! Na dworze było dziwnie ciemno, nic nie było widać i nagle otrzymałem silny cios w głowę. Okazało się, że z powodu skrajnie zabrudzonych szkieł w okularach (nie używałem ich chyba z rok) wyrąbałem głowę w futrynę przy wejściu. Po zdjęciu okularów pierwsza rzeczą, którą zobaczyłem było zarośnięte trawą podwórko.

5.45 rano – W domu żona spojrzała na mnie, jakby zobaczyła Marsjanina, ale powiedziała tylko, że skończył się jej papier toaletowy i musi jechać do miasta – zwarzywszy na brak klucza i na całokształt sytuacji domowej oraz poranną agresję traw w natarciu, jej argument był oczywiście buntem przeciw resztkom porządku i próbą degradacji morale do walki. Wtedy też kichnęła moja córka.

– Co ona - spytałem żony – chora?

– Nie – żona spojrzała na mnie z pewnym przestachem i rezerwą – ma tylko katar sienny.

A więc trawy zaatakowały również moje dziecko! Jeszcze raz były szybsze. Ostatni raz!

5.50 rano – Strych. Rozpoczęcie działań.

Ustawiłem rurę miotacza na wprost kępy rosnącej na dachu, ustawiłem minimalny strumień ognia o nacisnąłem spust, ale nie zadziałało. Podkręciłem gałkę na większy strumień, ale ciągle bez żadnego rezultatu. Wreszcie zwiększyłem moc do maksimum i wpadło mi do głowy, że być może nie zdjąłem blokady przy zaworze. Tak było w istocie. Strumień ognia gwizdnął z taką siłą, że osmalił mi brwi i wąsy, a rura miotacza wypadła mi z ręki i rzygając ogniem zaczęła tańczyć jak głupia po podłodze przy moich nogach osmalając mi buty i paląc sprzęty. Udało mi się ją w końcu chwycić, ale kiedy próbowałem zmniejszyć strumień ognia zapaliłem cały dach i urwałem gałkę regulacji blokując moc na maksimum. Z dziką rozkoszą skierowałem ogień na tą kępę za oknem i spaliłem ją do cna, podobnie zresztą jak samo okno. Zostałbym tam i wypalił całą butle kierując strumień za okno, gdyby nie to, że dachówki zaczęły mi lecieć na głowę. Szybko więc zrzuciłem butlę i wywalilem za okno. Słyszałem jak głucho



Paweł Żochowski

spadła na trawnik! Sam rzuciłem się na schody, żeby uciec ze strychu, ale nim jeszcze doleciałem do pokoju poniżej usłyszałem paniczny krzyk teściowej i dzieci! – Uciekajcie!! – krzyknąłem widząc jednak, że nie bardzo jest jak uciekać, bo drzwi wejściowe stały w płomieniach zasilane dzikim podmuchem wylotu miotacza, skierowanego na nie od zewnątrz. Do powszechnej wrzawy doszły jeszcze krzyki żony, która wyszła właśnie z łazienki. Nie namyslał się wiele złapałem dzieci za ręce, syna za prawą, a córkę za lewą, ale pomyślawszy chwilę, czy to aby nie dyskryminacja płci pięknej, zmieniłem ustawienie dłoni i rozpocząłem ucieczkę. Taborettem wybiłem (z dużą przyjemnością – nie będę ukrywał) okno w jadalni. Wypchnąłem oknem syna, córkę żonę, a potem próbowałem teściową, ale wtedy mój syn znowu zjawił się w jadalni, czarny jak diabeł, krzycząc żebym wybrał inne okno, bo wrzuciłem ich wszystkich

prosto do piwnicy z węglem, której zapomniałem ostatnio zamknąć. Za nim wróciła (też czarna) córka i żona. Zmieniłem okno, jeszcze raz ich wszystkich wyrzuciłem.

6.30 rano – podwórze – Walka w toku. Dom płonął już cały jak pochodnia. Siedzieliśmy chwilę dysząc ciężko i patrząc ja woły. W końcu garaż zajął się od dachu domu sam przez się, a w garażu był samochód i były butle z gazem. Żona z dziećmi i zeszywniała z bólu teściową (przypadkiem wyrzuciłem ją przez okno głową w dół) rzuciły się do bramy i próbowały właśnie ją otworzyć mimo braku klucza. Gorączka panująca na podwórzu była niemiłosierna, ale to mnie nie przerażało, pomimo, że przerażało to moja rodzinę – ja widziałem tylko żółtą trawę wysychającą z gorąca! Byłem górą – lata moich upokorzeń, klęsk i poczucia niższości kończyły się teraz sromotną klęską mojego odwiecznego wroga. Ta jego klęska musi mieć

swoją cenę! Rozpętał mi piekło i zniszczył płon pracy całego życia, ale sam przy tym ginie! To piekło unicestwia też jego samego! Wystarczyło zdobyć się na odwagę, na skok w prze-paść, na którego bałem się zdobyć całymi latami, i oto stopniowo nadchodzi zwycięstwo! Na razie jednak jeszcze trzeba było walczyć! Wieńce i przemowy przyjdą później! Wstałem i pobiegłem do garażu. Pomimo przeraźliwego wycia buzującego już na poddaszu ognia i okropnego gorąca, odpaliłem silnik i wyjechałem na podwórze. Mój dom właśnie się zapadł i sterta płonących desek przykryła buchającą wciąż jeszcze ogniem butle z dokreconym miotaczem. Żona z dzikim wyciem szarpała za rygiel bramy, teściowa osłaniała dzieci wspinające się rozpaczliwie na płot obok bramy. Otworzyłem drzwi auta i pomimo wycia płomieni krzyknąłem, żeby się odsunęli. Zamierzałem rozwalić bramę samochodem, tak jak na amerykańskich filmach i już sobie nawet wyobrażałem ujęcia z kamery, ale wtedy zauważyłem kępkę TRAWY przy słupku bocznym i niewiele myśląc wjechałem w ten słupek. Samochód jęknął, zbiła się przednia szyba, obróciło mnie o 90 stopni i rozwaliłem bramę bokiem samemu tarasując dokładnie przejście. A jednak samochód był dużo niższy i zarówno dzieciaki, jak i żona uciekły po masce. Tak samo teściowa (miała problemy, żeby się wspinać na tą maskę, więc szybko wysiadłem i pomogłem jej kopniakiem). Po chwili już widziałem jak wszyscy uciekają przez pola w kierunku wsi. Byli bezpieczni, a ja mogłem działać już spokojnie.

7.00 – końcowa faza walki. Po chwili rozległa się głośna eksplozja i szczątki butli, której używałem na strychu, z głośnym furkotem wbiły się w płot kilka metrów od miejsca, gdzie stałem. Kilka chwil potem zapadł się garaż i stał się cud! Oto bowiem z rumowiska, w które zamienił się garaż, wypłynęła szeroka struga ognia i zaczęła spływać szybko, buzując ogniem, w kierunku szczątek bramy z zakleszczonym między słupkami samochodem, czyli innymi słowy w kierunku miejsca, gdzie stałem. To była benzyna z plastikowej

beczki w garażu! Moje zapasy na czarną godzinę – oto godzina nadeszła i oto są moje zapasy! Wszedłem na maskę i z głębokim wzruszeniem obserwowałem, jak trawa na podwórzu zamienia się w czarny popiół – benzyny było tyle, że nie zatrzymała jej nawet głęboko wykopana ścieżka z nieistniejącego już domu do nieistniejącego już prawie garażu, jaką zrobiłem parę dni temu. Kiedy rwąca rzeka ognia przepaliła oponę w samochodzie i on gwałtownie usiadł z jednej strony, zeskończyłem na suche miejsce obok i zaraz padłem na ziemię jak długi, bo w powietrzu zagrzmiały trzy wielkie eksplozje od butli gazowych sypiąc mi na głowę kupę iskier i tworząc w powietrzu skołtunioną zawiesinę dymu, popiołu desek i płonącego deszczu, urozmaiconą spazmatycznymi gwizdami latającej, zdeformowanej blachy, która była kiedyś tymi właśnie butlami! Oszołomiony wstałem, a wtedy od strony wsi dobiegł mnie odgłos syren i w dali zamigotały pulsujące światelka. Nadciągała odsiecz. Wtedy właśnie pękło kolejne koło i nagle sam samochód eksplodował głośno odrzucając mnie ponad płotem, gdzieś daleko.

Zakończenie

W szpitalu powiedziano mi, że w ambulansie mającym ciągle o resztkach trawy wzdłuż płotu i na podwórzu. To fakt – tam są miejsca, w których wróg mógł przetrwać, ale nikt mi nie powiedział, czy zgodnie z moją radą istotnie go usunięto. Jeśli nie, to sam to zrobię, kiedy mnie już wypuszczą. „Akcja grasless” była wielka, a jej skutkiem stało się zwycięstwo rodzaju ludzkiego na skalę nie spotykaną od czasów Rewolucji Francuskiej – kolejna, wielka karta w dziejach ludzkości została napisana, kolejny etap dziejów właśnie się zaczął





EWA KORCZYŃSKA

Nad suchym stawem

dedykowany dla Radzyńskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Lokalnych

Nad suchym stawem
w błotnym śnie
płynęły chmury
jak ciemne łabędzie
zatroskane o festiwal
gwiazd

Zawieszone u burty
pragnienia
rozjaśniły senność
jesiennych traw

Śmiałe marzenia
ukołysały wirujące
z wiatrem liście

Jak lotne panny
roztańczone ważki
żegnające spokój
radzyńskich dni



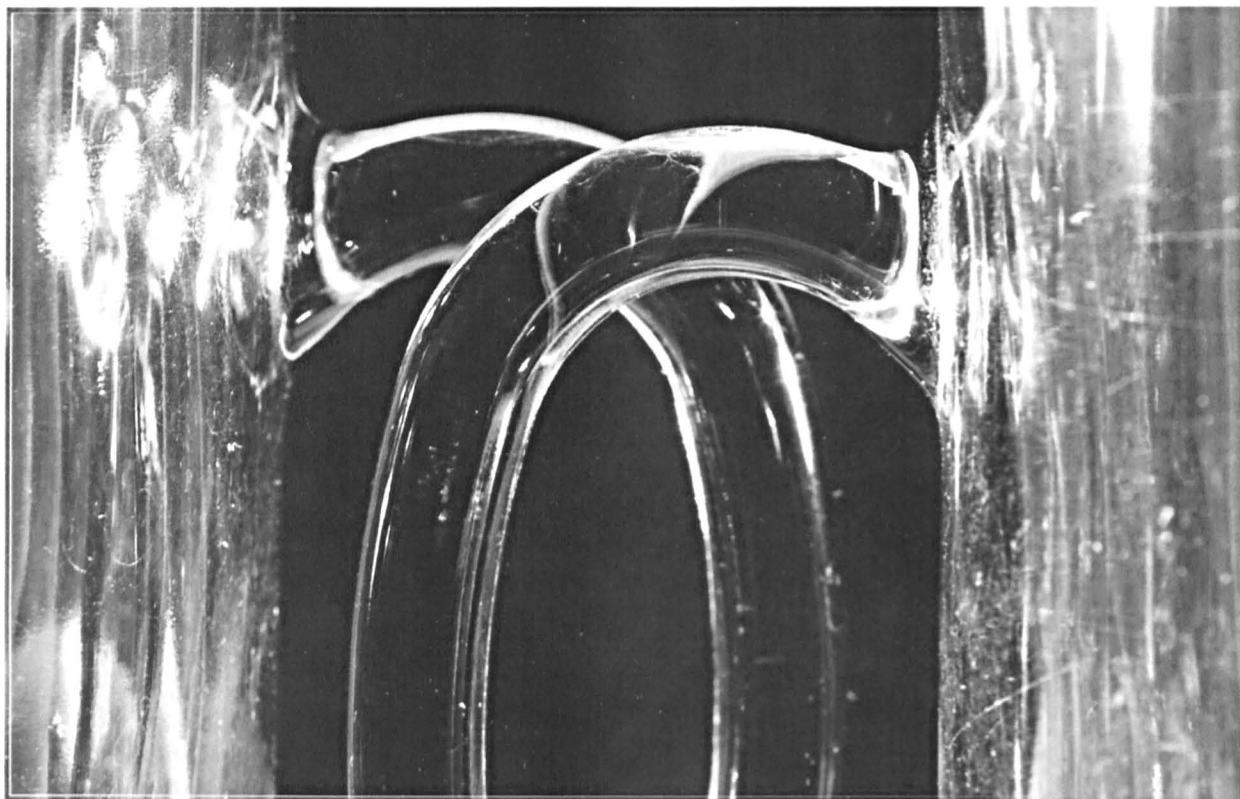
MAURYCY WITKOWIAK

INTIMISSIMI (FRAGMENT)*

Po długich przemyśleniach uznałem, że zaskoczę wszystkich i założę na okazję spotkania u Prince'a granatowy frak. Oczywiście, gdy tylko go przymierzyłem, zdałem sobie sprawę, że czuję się bardziej przebrany niż ubrany, ale wrażenie to rekompensowało moje podobieństwo do Marcela Prousta z portretu Jacqua-Emile Blanche. Zmysły były niezwykle pobudzone. Oto po jakże długim okresie postu miałem spotkać tak wielu przyjaciół oddanych Pięknu i Sztuce... Ponadto, specyfika wieczornic u Prince'a pozwalała mieć mi nadzieję, że spotkania te będą intensywne, a kontakty zażyłe. Spojrzałem w lustro. Istotnie, moja twarz nabrała swoistego, hieratycznego wyrazu, który „przytrafia mi się” zawsze wtedy, gdy dużo piszę. Jest to twarz jakby nieskażona

piętnem świata, ma ona wtedy jakiś inny wymiar, który tak chciałbym opisać, a nie potrafię, zatrzymuję się przed tą bramą, nie umiem, nie jestem w stanie opisać tego wyrazu mojej twarzy i bardzo mnie to boli, artysta nie powinien mieć wyznaczonych granic, a ja się właśnie na nie nadziałem, niczym na drut kolczasty. Włosy, które dawniej mieniły się złotymi nitkami, stały się teraz (zwłaszcza w ciągu ostatniego miesiąca) ciemniejsze, jakby znacząc przejście z czegoś do czegoś, z jednego miasta do drugiego. Jeszcze czas jakiś, a będę mógł nazwać siebie brunetem. Zawsze zazdrościłem brunetom – mieli diaboliczne powodzenie u kobiet.

Wtem wskazówki zegara ułożyły się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Wybiła dziewiąta. Z zegarmistrzowską precyzją



Tomasz Młynarczyk

* Fragment powieści, która ukaże się wkrótce nakładem Konfraterni Kozirynek.

zacząłem przygotowywać się do wyjścia. Na Działową podwiozła mnie taksówka, którą w swej zapobiegliwości wysłał po mnie Prince. Pozostały w nim jeszcze zwyczajne wielkiego świata, do którego kiedyś należał. Przecież kilkanaście lat temu Los Angeles, Waszyngton, Ottawa, Santiago de Chile, Wenecja, Madryt... cały świat był u jego stóp. Jego poemat *Deszcz w odbłaskach purpury* (wśród nas znany jako *Purple rain*) uznano za arcydzieło, za wydarzenie, za zjawisko, które zmieni historię literatury na zawsze. I tak, u samego szczytu sławy Prince uciekł, właśnie tu. Dlaczego? – żebym ja to wiedział! Po jakimś czasie stał się nieco zapomniany. Zupełnie przestał dbać o swoją sławę, która pokryła się patyną tajemniczości. Wołał być wśród nas. Finansować. Rozśmieszać. Przerażać. Inspirować. Rozsiewać wszędzie zapach Djarum, jedynych papierosów, które przypominały mu Malaje i jego ukochane miasto Port Weld, gdzie spędził dzieciństwo.

Spoglądając przez szybę mknącego w dół miasta samochodu czułem się spokojny, wyciszony, niemalże śpiący. Kiedy jednak znalazłem się przed słynną kamienicą z wygrawerowaną na murze mosiężną „szóstką”, ogarnęło mnie lekkie podniecenie, typowe dla człowieka, który ostatnimi czasy robił z siebie odludka.

Dom ten nie wybijał się ponad schludną równość innych, był natomiast niezwykle obszerny, a Prince zajmował w nim całe piętro. W mieszkaniu niżej rezydował malarz – Warda, częsty gość Księcia, o którym jeszcze opowiem, a na górze mieszkała wdowa po znanym architekcie, równie nieistotna dla tej opowieści, co dla jakiegokolwiek innej.

Lekko wbiegłem po schodach, a obcasy moich nowych butów nadawały krokom rytm zdyscyplinowany i żołnierski. Chwyciłem za kołatkę i zastukałem. Jeszcze zza zamkniętych drzwi dobiegł mnie słodki gwar, w którym na chybił trafił próbowałem rozpoznać głosy tak dawno nie widzianych przyjaciół, tych, których już znałem, i tych, których miałem dopiero zobaczyć. Może między nimi znajduje się

Marina?

Nagle drzwi uchyliły się lekko i spojrzały na mnie oczy służącego Prince'a – Rufusa. Ten Malajczyk z krwi i kości znakomicie prezentował się w blasku świateł, które płonęły wokół wydzielając wspaniały zapach (zapewne były to świece perfumowane). Rufus skłonił mi się w pas, jednocześnie wyciągając swoją brązową dłoń po mój bilecik. Wepchnąłem mu go do ręki. Cofnął się, wciąż pochylony, po czym odwrócił się tyłem do mnie, wyprostował i wrzasnął (co było nieco komiczne):

– Przyszedł M! Powitajcie go wspólnie! Rozległy się radosne szmery i piski („Kobiece...” – pomyślałem).

Wtem zza grupki ludzi wyłonił się Prince, ubrany w wiśniową i – jak później zauważyłem – skórzaną marynarkę. Zakreślając łuk zbliżał się w moją stronę, mówiąc tak głośno, aby wszyscy go słyszeli.

– Punkt jedenasta... M do drzwi kołaczę...

Tak otwarte nawiązanie do jednego z moich wierszy było mistrzowskim zabiegiem, który nie tylko wywołał szmer śmiechu, zwłaszcza wśród znających moją poezję, ale także rozładował ciszę i rozluźnił atmosferę (w końcu artystom tak często grozi bufonada...).

Mrużąc oczy, rozejrzałem się po pomieszczeniu. Na ścianach rozwieszone były czerwone kilimy, przepięknie szyte. Wszystko skrywało się w półmroku, a poszczególne przedmioty były wydzierane ciemności jedynie za pomocą światła świec, które zostawiało odbłaski na przełubie czyjejs dłoni, bransoletce, czy twarzy. Pośrodku stał ogromny i szeroki dębowy stół.

Postąpiłem krok naprzód i od razu zobaczyłem Karolinę, która uśmiechnęła się porozumiewawczo i skinęła na mnie dłonią, w sposób, o którym dawno już zapomniałem, a który był jej tylko właściwy. Wziąłem ją za rękę (czy aby odpowiednio mocno?) i odprowadziłem na bok, do okna, po drodze witając się z przyjaciółmi, albo raczej z twarzami, raz po raz wylaniającymi się z ciemności.

- Słyszałam, że... – zaczęła Karolina, ale od razu jej przerwałam.
- O niczym nie słyszałaś, a jeśli słyszałaś, to nie tak naprawdę nie wiesz, rozumiesz?

Karolina, przestraszona moim głosem i wzrokiem, zmieszała się, odgarnęła włosy z czoła i powiedziała:

- Masz do mnie żal? – Tak. Dlaczego unikałaś mnie, kiedy tak bardzo cię potrzebowałam? Zawsze! Dlaczego nie ufasz mi tak, jak kiedyś? Czy nie pamiętasz już, swojego zeszytu z wierszami, który czytałem? Naszych rozmów wiosną, na trawie? Karolina jakby otrząsnęła się z głębokiego snu. Spojrzała na mnie jeszcze raz, tak długo i przeciągle. Wyciągnęła do mnie swoją dłoń, a ja, nie wiedząc co robię, mechanicznie podniosłem ją do ust i ucałowałem.

- Chcę ci powiedzieć tylko jedno, M. Miłość wikła ludzi w niebezpieczne związki, z jednych trudno wyjść cało, z innych trzeba się ratować w ostatniej chwili. Miłość to gra o życie, a jeśli już życia się nie da uratować, to o honor. Ty, z tego co słyszałam, honor swój już straciłeś.

Nie mogłem tego słuchać, coś świdrowało moje zmysły, Karolina była jak mądra, piękna, długonoga i zielonooka wróżka. W tym momencie po raz pierwszy poczułem, że nic łącząca mnie z Velvet pęka, i mało mnie to obchodzi. Że jej trójkątne piersi i ramiona, które doprowadzały mnie do szczytów namiętności, stają się historią wkołysaną już nie w moje zmysły. Czułem to niemal fizycznie. Patrzyłem na to jak wraz z Velvet odchodzą rośliny i symbole, wszystko co się w niej zawierało. Wanilia i złoto, jaśmin i orchidea, skrzydlata figura Anioła Śmierci, zamyślony Pigmalion powoli kroczący po komnacie, wreszcie rajska Ewa.

Karolina zaskakująco szybko odgadła moje myśli. Kocim ruchem schyliła się po karafkę z likierem miodowym, nalała sobie i mi, i sama wtuliła się w moje ramię, podczas gdy ja, przeżywając to nie znane mi dotąd uniesienie, patrzyłem w okno.

- Pamiętasz freski Còrreggia w katedrze w Parmie? – zapytała mnie nagle – Ewa oddaje jabłko Maryi. Rozumiesz? Ewa

oddaje jabłko Maryi...

- Czy to przekreśla jej grzech? – zadałem pytanie czując zapach perfumu Karoliny (chyba Jil Sander), błędząc dłonią w jej miękkich blond włosach i szukając ustami jej ust, połyskujących w ciemności niczym dziki i zakazany owoc.

- Tego nie wiem, ale wiem, że usprawiedliwia ją. Pamiętaj, że Pigmalion rzeźbi, ale... nie może być przy rzeźbie stale. – dodała z uśmiechem – Musi zaufać i sobie i jej. Dać wolność. Musi wierzyć, że zasiał w niej ziarno, które wreszcie wzrośnie i wyda owoce.

- Czytałaś wiersz Velvet?

- Tak! Czy on nie jest jak jabłko, które Ci oddała? Czy ty w ogóle mogłeś dostać coś więcej? Czego chciałeś? Jej ciała, tak dalekiego od dziewiczości? Jej duszy, której nie mogłeś już odróżnić od własnej? – podniosła ton i wyrwała się z mego uścisku – Bądź mężczyzną. Soyez grand! Jesteś silny, silniejszy niż Ci się wydaje – zakończyła odchodząc w kierunku stołu – Porozmawiamy o tym jeszcze.

Krew pulsowała mi w skroniach, pośpiesznie trawilem jeszcze w sobie słowa Karoliny, a kieliszki miodówki roznieciły we mnie ogień.

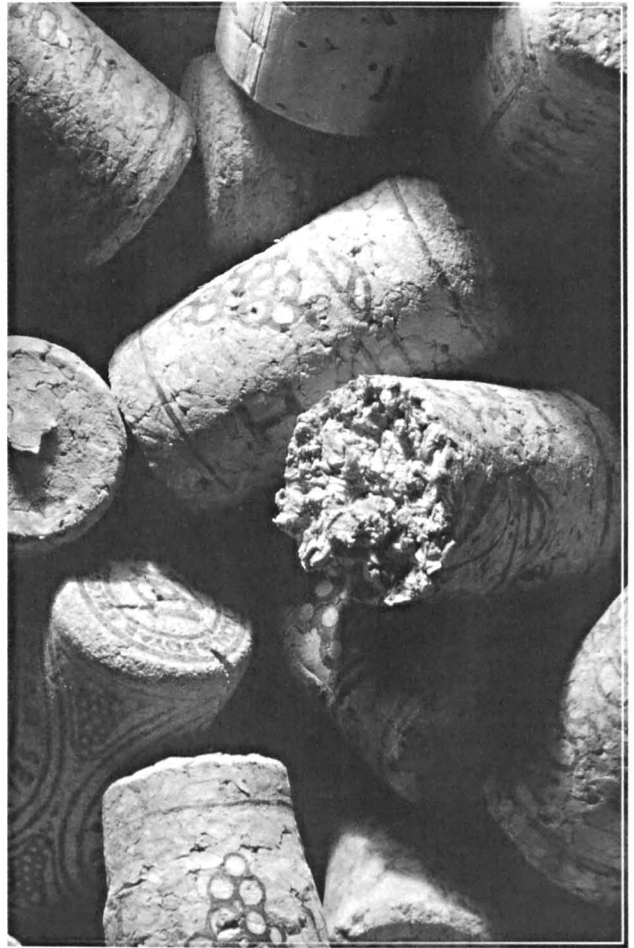
Tanecznym krokiem podbiegł do mnie Prince. Jego twarz lśniła od wypoconego alkoholu. Większość gości paliła papierosy na balkonie. Ksiądz zaprowadził mnie do stołu i z ojcowską troskliwością powiedział:

- M, najedz się. Zobacz i skosztuj. Pity, putpuri, lawasze, paratha, naan – specjały Bliskiego Wschodu (spojrzałem na stół, który pokazywał Prince, i dojrzałem placki, i ciastka o najbardziej dziwacznych kształtach, jakie mogłem sobie wyobrazić). – Tu jest ser, tam owoce i krewetki – opowiadał dalej w pośpiechu nakładając wszystko na mój talerz. Trzęsły mu się ręce – Potem zapraszam na papierosa. Dopilnuj, żeby wszystko zjadł – rzucił w kierunku Karoliny, które usiadła naprzeciw mnie i dłużyła widelcem w jakiejsz salacie.

Rozglądając się po mieszkaniu zauważyłem, że rozrzucone tu i ówdzie snopy światła wywoływały wrażenie większej ilości osób,

pozostawiając odbłaski na skórze czyjeś twarzy, czy ramionach. Odbierało to naszej wieczornicy pozory realności i chyba o to nam chodziło, przecież naszym nieosiągniętym marzeniem było stworzenie życia, którego esencją i treścią byłaby sztuka przemawiająca językiem niecodziennym i egzotycznym. Byłem szczęśliwy i uległy swoistej apatii. Dym unoszący się z poukrywanych po kątach kadzielnic wydzieliał podniecającą woń drzewa kokosowego. Nie zdążyłem się nawet odezwać do Karoliny, której słodka buzia wypchana była sałatką, gdy do stołu przysiadło się kilka osób. Poczułem lekkie ściśnięcie za rękę. Obejrzałem się i poznałem Milenę, która z wyraźnym trudem zajmowała miejsce przy stole. W półmroku wydawała się bardziej blada niż zwykle. „Albo już jest pijana, albo na mocnym rauszu”. – pomyślałem przypominając sobie zamięłowanie Mileny do alkoholu pod wszelką postacią.

- Tymczasem Warda, malarz i sąsiad Princea z mieszkania poniżej, otworzył swoje usta. Wdałem się z nim w rozmowę, a on przysiadł się do mnie wlepiając we mnie swoje rybnie oczy. Światło księżyca tańczyło salsę na jego łysiej głowie.
- M, czy słyszałeś o moim nowym projekcie? – zapytał, a w jego głosie można było poczuć, że jest to pytanie retoryczne, przecież mówił o tym projekcie wszystkim.
 - Krew poety? Ależ słyszałem! Gdzie masz sztalugi z nowymi częściami?
 - Leżą u mnie w piwnicy – odpowiedział Warda. Chciałem na tych płótnach oddać wysiłek poety, który pisze krwią, stąd oczywiście nazwa. Powiedz mi, czy zawsze pisze się krwią?
 - A co myślisz? – odrzekłem z nutką ironii w głosie. Pewnie. Kiedyś spróbowałem napisać o radości, która mnie ogarnęła, zużyłem setki kartek, wypisałem całe pióro i... nic. Ale, kiedy boli, wtedy atrament sam cieknie z przebitego boku poety...
 - A więc poeta jest Mesjaszem...
 - Czasami jakby tak... – odrzekłem znudzony.
 - Ty pozerze... – zaśmiał się Warda błyskając zębami – Ciekaw jestem co na to samo



📷 Tomasz Młynarczyk

pytanie odpowie mi Prince – zakończył zapalając papierosa.

Siedząca niedaleko mnie Milena usnęła przechylając się na krześle niczym wiotkie drzewo dotknięte podmuchem wiatru. Była niezwykle piękna, teraz wreszcie, gdy była pogrążona we śnie, mogłem w spokoju patrzeć na jej cudownie długie rzęsy kryjące za swym delikatnym pierzastym murem diamenty oczu. Karolina odeszła gdzieś, a ja udałem się na balkon zapalić. Wszyscy czekali na Gustawa, naszego pianistę i kompozytora, który lada chwila miał się zjawić i zagrać nam swój nowy utwór na pianinie stojącym niepozornie w kącie salonu... Świece i kadzidółka dogasały z wolna.

Idąc na balkon nachyliłem się nad Mileną i delikatnie ucałowałem jej dłoń, zimną i miękką niczym wełna.



📷 Paweł Żochowski

Gustaw... Był prawdziwą gwiazdą Rodziny, jak sami siebie nazywaliśmy. Rankiem kompozytor, po południu dyrygent, wieczorem – pianista. Wizjoner. Zawsze, kiedy rozmawiałem z nim o jego muzyce, powtarzał mi: „Pamiętaj! Mój czas dopiero nadejdzie.” Mam nadzieję, że świadomość tych słów stanowi dla niego jakieś pocieszenie, ponieważ za życia nie będzie w stanie potwierdzić ich prawdziwości. Odróżniało go od nas to, że był o wiele bardziej ascetyczny i zdeterminowany w tym co robi. Członkowie jego orkiestry, których czasem spotykałem, mówili mi, że Gustaw nigdy nie opuścił próby, nigdy nawet się na nią nie spóźnił. Po prostu stawał za dyrygenckim pulpitem i w tym momencie istniała tylko muzyka. Noce spędzał na komponowaniu, tylko w ostateczności sięgając po ulubione cygara z Tahiti. Żył tym i tylko tym, co robi, bez otoczki, bez mgiełki niezwykłości. Zawsze wydawało mi się, że Gustaw traktuje nas wszystkich z przymrużeniem oka, niezupełnie serio.

Odszedłem w głąb sali, by porozmawiać z Mileną, a może i uciec od natrętnego Wardy. Czułem, że gram, że obiema nogami twardo stoję na tej kiczowatej scenie, tu, na Działowej, u Prince'a. Te ozdobniki, wywoływanie nastroju, te orchidee i metempsychozy, Upaniszady i Djarumy, Szechiny i Hagady, złoto i blichtr. Co jest za tą kurtyną? Grupka

idiotów, popaprańców, proroków, nikomu niepotrzebnych mesjaszy, śmiertelny korowód? Stos gnijących kości? Kim jesteśmy? A powinniśmy być silni... Kilka ulic dalej gromadzą się przecież bagaudzi. Tak, tak, to ci sami, którzy burzyli Rzym, bandy zgłodniałych wieśniaków i zbuntowanych niewolników. Zmienił się tylko ich strój. Teraz noszą dresy, łańcuchy, wmawiają, wrzeszczą mi do ucha „Człowieku, wyluzuj!”, a robią to po to, by zagłuszyć moją czujność. Czyszczą broń. Dzielą się na oddziały. Dobrze, bawmy się wypijmy i zjedzmy jak najwięcej, zanim przyjdą, by poderżnąć nam gardło, spalmy i zażyjemy do oporu, zanim wdepczą nas w podłogę. Ostatecznie, przeżyliśmy już tyle, że chyba tylko to byłoby dla nas czymś nowym...

Pojawił się Gustaw. Bardzo cicho, nawet nie słyszałem dzwonka. Wszedł niepewnym, ale miarowym krokiem, mrużąc oczy. Jego szczupła, opalona i poprzecinana zmarszczkami twarz jaśniała dla mnie w blasku świec niczym ostatnia nadzieja. Wiedziałem, czułem to pod skórą, że to jest prawdziwy artysta. Najprawdziwszy. Jedyny. Gustaw nie szukał rozgłosu. Powitał Prince'a skinieniem głowy, oddał płaszcz służącemu i usiadł przy stole.

- Ależ z niego gbur, nawet się ze mną nie przywitał! – wtrąciła Milena nachylając się nad moim uchem. Ciepło bijące z jej ust przyprawiało mnie o drżenie, ale słowa mnie zdziwiły.
- Przestań – szepnąłem. On po prostu taki jest. Wydaje mi się, że nie ma w tym pozy. – Czy ją wiem... – upierała się Milena popijając drinka
- Naprawdę! Zobacz, ty piszesz swoje kaligramy, ja wiersze i opowiadania, i robimy wszystko, aby się wybić, wypromować, co samo w sobie narzuca nam pozę i przesadną wiarę w to, co robimy. Sami, automatycznie tworzymy coś, co chcielibyśmy nazwać własną legendą. A Gustaw? On wierzy, że wszystko, co chciał powiedzieć światu, jest zawarte tylko w jego muzyce (kątem oka dostrzegłem Wardę rozmawiającego z Prince'em w rogu salonu). Wierzy i – co dziwniejsze – zdaje się być spokojny. Zachowuje przy tym

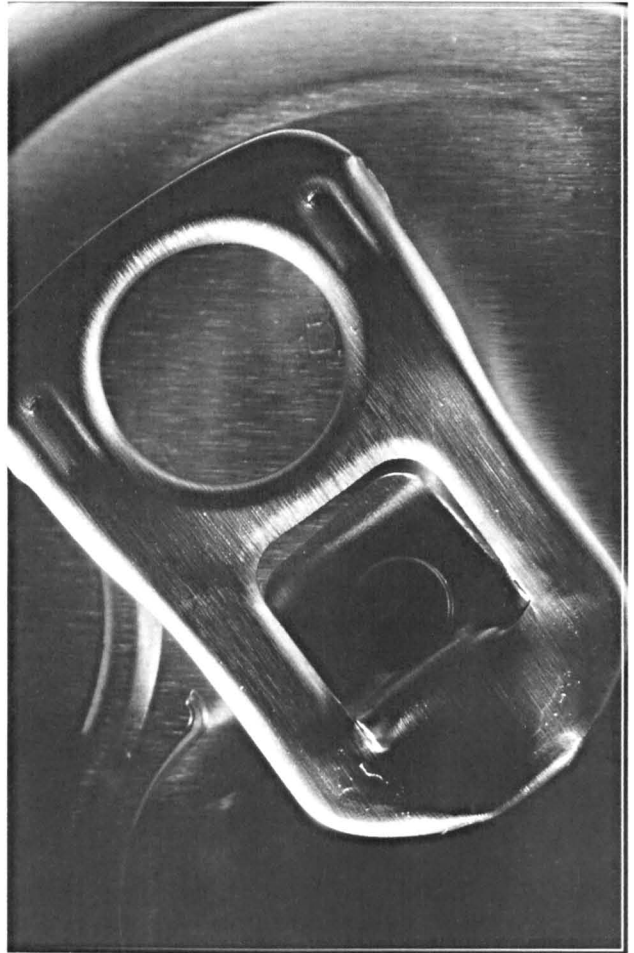
godność, nikogo nie prosząc o nic...
 – ...i chodząc przez to w starym, niemodnym garniturze! – w ciemności zobaczyłem jej połyskujące w uśmiechu białe zęby.
 Odwróciłem się i ujrzałem kolejne światło.
 Azzaro! Blaskiem były jej oczy, ciemne jak krew i błyszczące się jak dojrzałe jeżyny, oczy, które patrzyły na mnie, a nie widziały nic, utkwione w jakimś punkcie, który znajdował się poza zasięgiem poznania. Nucila piosenkę.
 Zatoczyłem łuk, aby dosłyszeć słowa wydobywające się z jej półprzymkniętych ust. Potrąciłem Warde, który nieomal wylał na mnie zawartość swojego kieliszka, i mimo, iż trzymałem się w bezpiecznej odległości od Azzaro, znalazłem się wystarczająco blisko, by słyszeć jej głos. Wyglądała jak małe dziecko bawiące się własnymi rączkami i nóżkami, zupełnie odcięte od zewnętrznego świata. Jej pieśń przypominała gaworzenie. Podsunąłem się bliżej i słyszałem wyraźnie słowa:

*Z zabitych rąk deskami zdań wychodzą sny
 By spojrzeć nań nie trzeba nic lecz
 Z każdych rąk wypada krzyż
 Brzęcząc jak bąk i ciągnąc wzwyż
 Wyżami drzazg by zbawić stertę ludzkich miazg*

*Oto dwie drogi: przestrzeń się rozdziela
 W twoim belkocie coś dostrzec niełatwo
 Któraś prowadzi mnie do Izraela
 Lecz na jej końcu nie zabłyśnie światło
 Z zepsutych ciał plamkami ran wypływa krew*

*Tu mały krok jasności wspak
 Tu mały krok ciemności wbrew
 Słowo na nie słowo na tak
 Może być podły może być wspaniały
 Lecz nade wszystko musi być on mały
 Co będzie dalej jutro to ustalę
 Teraz zaśpiewam: „Male che fa male”²².*

To wszystko brzmiało jak tania rymowanka, ale nie trzeba mi było wiele, aby odkryć w tym głębszy sens, i zrozumieć, że tylko w ten sposób Azzaro mogła dojść do głosu. Tylko tu i z butelką w ręce. Teraz wreszcie mówiła. Teraz była najciemniejsza z nas wszystkich. Azzaro! Siedząc tyłem do



📷 Tomasz Młynarczyk

mnie, który wysłuchałem całej piosenki, Azzaro wzruszyła ramionami. Jej blade dłonie zacisnęły się na oparciu fotela. Siedziała w pozie bardziej męskiej niż ktokolwiek z facetów tutaj obecnych. Jej oczy szukały wyzwania i przepraszały za tę chwilę słabości, lustrując czy przypadkiem nikt jej nie zauważył. Nie bój się Azzaro, to tylko ja. A ostatecznie, co ja mogę. Nawet nie wiesz. Nie znasz mnie.

Tymczasem wszyscy zgromadzili się wokół fortepianu, gdzie stał Gustaw. Usadował przy nim, zupełnie, jak gdyby zabierał się do, bo ja wiem, obierania truskawek. Jego ostre rysy zdawały się być jeszcze bardziej wyraziste. Dłonie nerwowo próbowały dźwięków uderzając w coraz to nowe klawisze, wydobywając tony na przemian niskie i wysokie. Wreszcie zaczął grać. Za moimi plecami cichły ostatnie szmery,

wszyscy zebrali się w koło, zapalono więcej świateł, przysunięto krzesła. Muzyka brzmiała tak świeżo... Bezwiednie zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie wielką rzekę płynącą z ogromną siłą i naważniającą pola pełne czarnej ziemi. Tyle, że ziemi już nie było, lecz tylko czern. W tle majaczył las, który kiedyś już widziałem, wzgórze, do którego tęskniłem, a nie byłem go w stanie zobaczyć na co dzień. Po chwili wydawało mi się, że nie ma już czerni, tylko błękit rzeki, ale z każdym powrotem tematu utworu ona wracała, gęsta jak bita śmietana i łagodna jak atlas. Zalewała mnie. Ale nie była to czern bólu. Nagle zobaczyłem żółć, najbardziej jaskrawą, jaką tylko mogłem sobie wyobrazić, miarowo wyciskaną z pól przez słońce. I oto w mojej wizji pojawiła się Marina, której tak długo szukałem w pamięci. Nie miała twarzy, była tylko melodią. Spójrz na mnie, pomóż mi rękę na czole, o tak. Zimno mi, nie odchodź, nie przestawaj. Być. O, utracone symbole, soczyste owoce, których nie dane mi będzie spożywać! Tyle bzdur, tyle głupot, a przecież tyle piękna i uniesień, które niby rośliny rosną gdzieś głęboko we mnie i nikt nie może ich wyrwać. Czy jestem Prorokiem, i jeśli tak, to gdzie moja Niniwa, w której będę nauczał? Tyle razy już zawracałem do Tarszisz...

Gustaw grał dalej, jakby nie zgadzając się na piękno łamał nuty, zawieszał je w przestrzeni i odwracał. Niedostrzegalna harmonia spływała spod jego świętych palców.

Jak wielką miałem potrzebę wtulić się teraz w ramiona Mileny, ukryć się w nich! Spojrzałem na nią, siedzącą obok Nezy. Jej wzrok uciekł w pozaprzestrzeń, a między oczyma pojawiła się nika zmarszczka. Była zasłuchana w muzykę ni mniej, ni bardziej od innych. Wyobraziłem sobie, jak przytulam ją, szepcę coś do ucha, patrzę jej prosto w oczy. Tak bardzo potrzebuję dotyku. Nie, to się nie stanie. Tylko wtedy, tamtej nocy przed jej bezsensowną ucieczką do Świdnika, teraz już nie. Tamtej nocy była dla mnie Milka, teraz i na zawsze będzie już Mileną. Ręce

Gustawa muskały klawiaturę coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie zakończyły swe panowanie nad umysłami nas wszystkich kończąc sonatę triumfalnym powrotem głównego motywu.

- Zwycięstwo... – wyszeptał Prince, który ni stąd ni zowąd pojawił się przy moim ramieniu.
- Czyje? – zapytałem go nie mogąc oderwać wzroku od postaci Gustawa.
- Wasze – odpowiedział mi Prince zachrypniętym głosem – Cieszcie się nim, bo może się już nie powtórzyć. Zresztą, chyba nie rozumiecie sami. Ty, M, jako jedyny masz szansę, ale ciągle coś cię oddala, ciągle się spóźniasz, jesteś jak lekarz, który pędząc do chorego przez pustynię z ampulką chininy w rękę daje się głupim mirażom zwieść – mówił pośpiesznie, patrząc mi w oczy z żalem – A chory umiera, może nawet już umarł. To dziwne. Ja, Malajczyk, widzę to o wiele wyraźniej od was. Was już nie ma, rozumiesz M? Jeszcze chwila a kościoły własne podpalicie i relikwie swoich świętych psom i bydłom rzucicie na pożarcie. Zresztą, co mnie to obchodzi. Śpiewajcie sobie tysiąc ód do radości, to i tak niczego nie zmieni. Zaprzeczacie samym sobie.
- Prince, dlaczego mówisz „wy” a nie „my”? – próbowałem się bronić. Byłem strasznie zaskoczony, a co najgorsze, wiedziałem, że Prince ma rację.
- Czy ja się rodziłem w Europie? To wasz cholerny kontynent! Mówię tylko o zapachu, którym jesteście zaczadzeni do tego stopnia, że w ogóle go nie czujecie. To zapach śmierci.
- Odszedł, a ja znów uparcie wpatrywałem się w Gustawa, który, podczas gdy ja rozmawiałem z Prince, zagrał jeszcze jeden krótki utwór. Wszyscy byli zbyt poruszeni, żeby nagrodzić go oklaskami. Nie dbał o nie zupełnie. Odszedł od pianina czule gładząc klawisze, bezceremonialnie je zamknął, podszedł do stołu i zaczął nakładać sobie pierożki na talerz, który podał mu Rufus. Teraz istniało dla niego tylko jedzenie.
- Zmęczonym wzrokiem rozejrzałem się po sali i zauważyłem, że Karolina wyładowała na



📷 Paweł Żochowski

kolanach Prince'a, który, ruchliwy jak zwykle, tym razem znajdował się w przeciwnym końcu sali.

– C'est l'artiste de dragonade!¹ – zaśmiała się Rachel.

– Pour faire dragonade ne faut pas etre l'artiste² – odpowiedział jej z ironią.

Nie lubiłem tej dziewczyny zbyt pełnych kształtów i zbyt płaskich dowcipów (choć biust też miała w zasadzie płaski, z racji czego Milena nazywała ją „naleśnikiem”). Zawsze wydawało mi się, że Rachel znalazła się w Rodzinie tylko jako element egzotyki i żywy przykład naszego obłądnego filosemityzmu. Niektórzy mówili o niej, że jest córką jakiegoś chasydzkiego cadyka z okolic Kluczborka, ale mało kto w to wierzył. Swoim zachowaniem nie obrazowała wcale apokaliptycznego żaru, nie poszukiwała prawdy Bożej, tylko kolejnych romansów.

Zegar wybijał późne nocne godziny, my

wszyscy, zebrani u Prince'a pompo- waliśmy w siebie najbardziej wyszukane alkohole, wykorzystywaliśmy tę możliwość, aby wznieść się ponad radość i ponad smutek. Niestety, bezwiednie stanęliśmy twarzą w twarz z naszą własną pozą, naszą własną obłudą i niemocą. Dziewczynom zaczął rozmazywać się makijaż, facetom gnioły się garnitury. Z drugiej strony muzyka Gustawa dała nam nadzieję, a być może pokazała drogę. To od nas zależy, czy okażemy się godni nią pójść.



¹ Bądź wielki! (fr.).

² *Male che fa male* – nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło (wł.).

³ Oto artysta podrywku (fr.).

⁴ Aby dobrze podrywać nie trzeba wcale być artystą (fr.).



DARIUSZ DOROSZ

Pusty portfel

Palące potrzeby pomijam
Płatne przyjemności porzucam
Pacierze proszące pokornie
przemiany pustych perspektyw
pełnych płaskiego pesymizmu
podnoszę poprzez
pełne puchary procentowego płynu
Padając pokłoniony promilom...

MINIATURE





HUBERT CZARNOCKI

PAMIĘTNIK PROFESORA FILIPA DURSZLAKA (FRAGMENTY)

Filip Durszlak, niesprawiedliwie zapomniany chemik-wynalazca, to człowiek, którego prześladowuje pech niemal permanentny. Po tym bowiem, jak ukazały się jego wielojezyczne dzieła zebrane, z których świat zaczął dowiadywać się o jego genialnej teorii alkoholi wtórnie destylowanych, światowe media obiegrała informacja, iż znaleziony na jakimś starym strychu pamiętnik profesora w dziewięćdziesięciu procentach uległ zniszczeniu w pożarze Muzeum Destylacji. Poniżej zamieszczamy ocalałe fragmenty pamiętnika.

W swej krótkiej i pełnej absurdów młodości byłem wszystkim: poganiaczem mulów, koniem, na którym jechał kiedyś Napoleon, ośmiokilogramowym arbuzem, który wyrósł nielegalnie na polu pszenicy w kolchozie „Nadzieża” i nie mogąc wylegitymować się odpowiednim pozwoleniem, został skazany na dziesięć lat gulagu za pasożytnictwo społeczne i szpiegostwo przemysłowe, tatą Kazika, dziadkiem Małysza, lufą czołgu „Rudy 102”...

Gdy osiągnąłem szesnaście wiosen, posłano mnie do technikum kolejarskiego. Przez osiem semestrów uczyłem się na przykład, jak kasować bilety, ale mimo, że byłem pilny, to nauka ta poszła w las. Spotkałem ją kilka lat później, zbierając grzyby w Borach Tucholskich. Błąkała się głodna i wychudzona, mówiła coś o niewdzięczności i wykrzykiwała rewolucyjne hasła z epoki dzieci-kwiatów. Oczywiście kolejarzem nigdy nie zostałem. Już wtedy budziły się we mnie ambicje naukowe. Postanowiłem zdawać na studia chemiczne i w ogóle rozwijać się intelektualnie. W tamtych latach często zdarzało się, że chodziłem po rozum do głowy, lecz przeważnie nie mogłem go tam zastać.

Studia miały mi bardzo pracować. Założyłem trzy kabarety, dwie plantacje pomidorów a

także aż dziewiętnaście razy wyjechałem do Paszk Małych w ramach walki z analfabetyzmem i zabobonem.

Po ukończeniu uniwersytetu przez jakiś czas pozostawałem bez pracy. Wtedy to właśnie wystąpiłem w słynnym westernie erotycznym „Nie wierzę politykom.” Niebawem zagrałem również epizod w reklamie pasty do zębów „Colgate Watergate,” gdzie stworzyłem porywającą reakcję pewnej ekscentrycznej bakterii próchnicy. W międzyczasie wydałem też swą debiutancką książkę „Ładunki jąder atomów „Vin de table”, a rozpraszanie ich cząstek alfa” (roboczy tytuł „Pije Kuba do Jakuba”), która tak intensywnie mieniła się znaczeniami, że ci, którzy ją czytali tracili wzrok.

Zachęcony sukcesem tego dzieła, postanowiłem poświęcić się teoriom w nim wyłożonym. Zgromadziłem wokół siebie podobnych mi



Tomasz Sobieraj

pasjonatów. Współ z nimi założyłem Stowarzyszenie Trzeźwych Inaczej. Stowarzyszenie pręźnie się rozwijało i przyjmowało nowych członków. Ja sam, wraz z najbliższymi współpracownikami, wiele lat poświęciłem na badanie zagadnienia nazwanego przeze mnie teorią alkoholi wtórnie destylowanych. Patent destylowania, jak i jego wzorzec znajdują się obecnie w Sevres pod Paryżem.

Mym najbliższym asystentem, przez wszystkie te lata badań naukowych wspierającym mnie i podtrzymującym na duchu, był Wood Ka, zamerykanizowany Japończyk, prezes pewnego elitarnego klubu jachtowego. W chwilach słabości zwykł on opowiadać dzieje klanu Ka. Twierdził na przykład, że babka jego babki miała mieć romans z samym cesarzem Napoleonem, ale on akurat dostał kataru i w ostatniej chwili się rozmyślił.

Po opracowaniu wspomnianej teorii postanowiłem zająć się jej popularyzacją. Planowałem cykl pokazów, które odbyłyby się na całym świecie. Pokazy te niechybnie przyniosłyby mi wielką sławę, gdyby nie Piotrek Niepij, mój dawny kolega ze szkolnej ławy. Ów lotr, hultaj, mąciwoda i wszetecznik, a na dodatek samozwańczy profesor chemii, na łamach „Młodego Chemika” śmiało zakwestionował rewelacyjną teorię alkoholi wtórnie destylowanych i nazwał ją quasi-naukową. Wyzwany przeze mnie na pojedynek, wymówił się niecierpiącą zwłoki koniecznością posprzątania pokoju i obowiązkiem zabawy w chowanego z kolegami z bloku (podobno wcześniej im obiecał).

Jego heretyckie poglądy odparłem dzielnie w głośnej polemice „O wtórnej wtórności alkoholi alkoholowych, na Piotra Niepija zarzuty odpowiedź”, przedrukowanej później we fragmentach w wielu czasopismach specjalistycznych. Heretyk Niepij odpowiedział grafomańskim i

niekompetentnym, pełnym elementarnych błędów tekstem „Tralalala, co ty powiesz”.

Na skutek szkodliwej i wynikającej ze zwyczajnej zazdrości działalności Niepija, wokół mej osoby powstała zmowa milczenia i niechybnie ominął mnie Nobel. Musiało upłynąć jeszcze wiele lat, zanim poczęto choć trochę doceniać mój ogromny wkład w dorobek myśli ludzkiej. Pewnym tego znakiem była powieść dydaktyczna „Stefan Poprawniak nie przespał okazji II”, która się wówczas ukazała. Bohaterem owego dziełka byłem ja sam, ale przez skromność kazalem zmienić imię i nazwisko.

Obecnie jestem w trakcie pisania utworu zamykającego cykl przygód Poprawniaka noszącego tytuł „Stefan Poprawniak. Ostatnie starcie”. W dziele tym sam w pojedynkę rozprawiam się z inwazją kosmitów na naszą planetę. Walczę dzielnie, przepędzam ich gdzie pieprz rośnie (chyba w Argentynie?), przewracam się ze zmęczenia, a potem żyję długo i szczęśliwie. Oczywiście nie żyję sam, tylko ze słynną fotomodelką Hermenegildą Durnowatą-Potocką oraz ukochanym perskim chomikiem znanym w niektórych kregach jako Billy Wściekła Szczeka.

Poza wydawaniem wiekopomnych powieści, czas zajmują mi nadal bardzo żmudne doświadczenia i publikacje ich efektów wszystko to niewątpliwie zapisze mnie złotymi głoškami na kartach Historii. Nie mogę się już tego doczekać. Słowo przybywaj ! Wczoraj w nocy snił mi się mój pomnik.





EWA KACZMARCZYK

Spacerowaliśmy
wśród łąki i nocy,

Pachniałam Tobą,
A ty mną
miłością i rosą.
Księżyc zanurzył się
we mnie wraz z Tobą,
Gwiazdy spadały
prosto na nasze dłonie.
Wiatr otulił w ciepły płaszcz
Słyszałam oddech Twój
a Ty mój
świerszcze i drzewa.
błyszczące kosmyki włosów i trawy
Spadały co chwilę miękko na ramiona
nasze
Nagle szmer kroków,
ciekawskie spojrzenie,
z góry
Odkryły gwiazdy złote
to nasz spacer

Skrawek nieba

Dostałeś w prezencie
Uniesione dłonie
Wzrok wpatrzony w ciebie
Skrawek nieba
Ja i ty
Dłonie nasze splecione
Rozmowy słyszane
Zabrałeś do siebie
Zatopione w rozlanej wodzie
Morzu marzeń wspomnień
Skrawek nieba
Zatopiony w tobie
Wiatr powiewa we włosy
Ach tak blisko siebie
Otuleni twą obecnością
Wsluchani szept słów
Niesionych z wiatrem



AGNIESZKA PAŁKA

NIESPOSÓB NA WSZYSTKIE BOLĄCZKI

Hmmm... Pewnego dnia obudziłam się i zdało mi się, że jestem tabletką przeciwbólową. Okrągłą pigułką na wszelkie bolączki. No może część. Ale sporą. Nic podobnego!

Tabletka, proszę państwa, wbrew wszelkim pozorom, prostego życia nie ma. Bynajmniej. Strasznie długa i kręta zazwyczaj przed nią droga. I skąd, u licha, ma wiedzieć, co komu dolega?! Bo któż w końcu

bierze tabletkę na ból języka, co by, biedaczynie, nieco życie ułatwić? Jeśli zdarzy się komuś zbyt długo i namiętnie kłapać dziobem, to Nurofen (względnie Apap, Ibuprom, czy inne chemiczne świństwo) jest ostatnią skuteczną rzeczą, jaką takiemu gadatliwemu jegomościowi możemy zaaplikować. No, ale my tu gadu gadu...



Skoro już tabletką w jakiś tam, czy inny sposób zostałam, to pierwszy punkt stanowi wspomniana jama ustna. Cóż może boleć w jamie ustnej? Ząb. Zazwyczaj mądrości. Dentystą nie jestem, nie znam się, więc dajmy spokój. Proponuję wyrwać. Wspomniany język. Może niekoniecznie mielącego nim bez opamiętania. Jednak beznamienne obrazy poprawnej polszczyzny, tudzież obarczone nadmiarem ekspresji wyrazu inwektywy, których przytaczać zgoła nie wypada, stanowią źródło nieprzemogzonego cierpienia dla każdego, względnie normalnego ucha człowieka cywilizowanego. Co poniektórzy woleliby zapewne ogłuchnąć na wieki, niż karmić się podobnymi frazami. No, niestety, pieczątką *nieuleczalne*.

Gdzieś tam po drodze w dół mijam płuca. Oby nie jakiegoś nałogowego palacza tytoniu, obojętne, czy w postaci papierosów, czy fajki (choć fajka ponoć zdrowsza). W każdym razie widok tak czy owak przykry i niemilosierdzie cuchnie. Nie, oczywiście, że nie z płuc. Z otworu gębowego wyżej wspomnianego osobnika. Odnosnie bolączek. Płuca, jak z mojej skromnej wiedzy w tej dziedzinie wynika, służą do oddychania. Dostaje się do nich całe fruwające sobie beztrząsowo w powietrzu paskudztwo. Spaliny (niech sobie ktoś posiedzi przy rurze wydechowej własnego samochodu, proszę bardzo choć nie polecam), dym z naszego własnego (no, nie tylko, rzecz jasna) komina, nawet lakier do włosów żony mężowie z reguły nie używają. Ile tego wszystkiego razem do człowieka nawlatuje, to ludzkie pojęcie przechodzi. *Nieuleczalne*.

Pi razy oko na wysokości płuc ponoć znajduje się serce. U badanego osobnika na szczęście obecność stwierdzono. Stan matrymonialny pacjenta obchodzi mnie w stopniu minimalnym, żeby bezdusznie nie powiedzieć żadnym. Kolor serca nie wpływa zbyt na jego walory. Twardość również. Sercu jednak, jako narządowi szczególnemu (i najczęściej po wątrobie cierpiącemu, z racji przy-

zwyczajów żywieniowych - wątroba!), przypisywana jest ciekawa własność. A mianowicie umiejętność kochania. No i oto otwierają się podwoje kolejnej fali problemów. Ech, jakiś strasznie chorowity ten człowiek. Bo skoro serce umie kochać, to umie też nie kochać. Rzecz zwykła i naturalna. Nieco może zbyt naturalna. Dziwaczni ludzie obdarzeni nadmiarem uczuć. Groteskowi zakochani. Komiczni rodzice pochyleni nad niezdarłym szkrabem. I zazdrośni palanci, którym do szczęścia potrzebny jest jedynie czubek własnego nosa. Ot co! I na tym skrócie myślowym litościwie porzestańmy. Definitywnie *nieuleczalne*.
 Na chwilę przed doszczętnym strawieniem trafiam do wielkiej jamy niedźwiedzia, który zebrał zapasy na jakieś 10 lat snu. A to śpioch, rany boskie! No to co mieliśmy dzisiaj na obiad? Mhm... kartofelki były. I kotlecik, a jakże, dobrze wysmażony. Zastanawiam się tylko, po co ten niedźwiedź ma tyle spać. I właściwie, dlaczego nie hodować tu wilka? Wilki nie zasypiają na zimę, więc nie gromadzą zapasów. Bardzo wiele jam zamieszkują właśnie wilki. Jamy są puste, niemilosierdzie same przez się trawione i zżerane kwasem żołądkowym. Przez wiele dni. Cóż, tabletką to nie naistek. *Nieuleczalne*.
 Protokół: Ludzkie bolączki są nieuleczalne, gdyż: co uleczalne, to nieludzkie, co ludzkie to zakaźne, zaś na jedno i drugie parafarmaceutyki pozostają tylko para. Życzę powodzenia wszystkim współczesnym farmaceutom. Do dzieła!
 Mózg z przypisywanym mu społecznym intelektem został pracowicie pominięty. Jest po prostu nie po drodze.





MAREK BRAND

OGRYZEK Z SĘPIM NOSEM

Wieczorem

Tego wieczora Ogryzek z Sępim Nosem postanowił nie opuszczać domu. – A co ja będę łąził po lesie. Poczytam sobie.

Trzeba przyznać, że kiedy Ogryzek sobie coś ubzdura, to nie ma takiej siły, która odwołaby go od raz postanowionego postanowienia. Włożył okulary i wziął najświeższą prasę. Wymienimy ją dla celów archiwalnych. A więc – instrukcja obsługi kotła gazowego, opis działania spłuczki łazienkowej, stary zeszyt do pierwszej klasy, dzienniczek ucznia niejakiej Oli Kwiatkowskiej, mandat, który opiewał na 20 złotych, a ukarano nim jakiegoś Kapustę. Mandat składał się z trzech kawałków, na których widniało: „Zatrzymanie nogów w butach...”.

– Zatrzymanie nogów w butach, ciekawe – mruknął pod nosem Ogryzek. – Toż to cała akcja musiała być.

Ogryzek rozwinął mandat i przeczytał papier.

– Zatrzymanie nogów w butach na ławce ukarano Jana Kapustę mandatem karnym w wys. 20 zł. Tu podpis: sierżant Kawka, posterunek milicji kolejowej w Grabiku 1983.

– Hm... może to jakiś krewny Wrony. Ogryzek sięgnął po następny periodyk (opakowanie po przerwatywach), kiedy rozległo się nieśmiało pukanie w okienko.

– Kto tam? – spytał Ogryzek (rzecz jasna nieśmiało).

– To ja – odpowiedział mu cichy głosik.

– Aha – pokiwał Ogryzek głową.

– No – potwierdził głosik.

– Dzisiaj nie mam – powiedział Ogryzek.

– No, tak – głosik posmutniał – to może jutro?

– Może.

– To dobranoc – powiedział głosik.

– Dobranoc głosiku.

Ogryzek pokiwał głową. I zgasił lampkę nocną.

– Dobranoc lampko.

– Dobranoc Ogryzku – odpowiedziała lampka.

– Niewątpliwie był to prorok Eliasz – powiedział Reb Apelman, wysłuchawszy opowieści Ogryzka.

– Z takim cichutkim głosikiem? – nie wierzyła Wrona.

– Może był zaziębiony, wiecie... jesień.

– To ja już wiem – To on przyszedł po aspirynę – rzekł Ogryzek

– Można to tak powiedzieć.

Od tego czasu Ogryzek zawsze ma w domu popularne tabletki.

Kamyczek

Tego dnia ogryzek z Sępim Nosem wybrał się w odwiedziny do Rabina Apelmana. Miała to być wizyta kurtuazyjna. A właściwie rewizyta. Ogryzek założył swoją ulubioną czapeczkę w kratkę, zarzucił szalik i ruszył ochoczo na spotkanie z mędrce. Aby sobie skrócić drogę, ruszył na przełaj przez łąkę. Kiedy był w połowie drogi tuż przed rowem melioracyjnym, zauważył Wronę siedzącą na brzegu.

– Co słychać?

– Ach – westchnęła smutno Wrona.

– Takie „Ach” to nic dobrego.

– Właśnie.

– Właśnie co?

– Właśnie przeżywam rozstanie...

– Rozstanie. A z kim?

– Z moim skarbem.

– Wrona zlituj się. Mów.

– Wczoraj znalazłam skarb. Taki śliczny podłużny kamyczek. Całą noc do niego mówiłam, a on słuchał uważnie, kiwał kwarcem. Wyszliśmy dzisiaj na spacer i wiesz, było tak pięknie. Właśnie szliśmy nad rowem, kiedy pokazywałam mu tęczę i on wpadł do wody. A ja taka samotna. Próbowałam go wydziobać ale nie bardzo wiem gdzie.

– Słuchaj Wrona ty tu postój, a ja pobiegnę do Rebeego. On pomoże.

Po kilku minutach Ogryzek zdyszany wrócił.

– No i...

– Rebe powiedział, że u kamyków to normalne. Zawsze na zimę chowają się do wody.

– Już go nie zobaczę?

– Musisz oznaczyć miejsce wpadu. Bo jak

powiedział Rebe: „Kamyki na wiosnę wypływają”.

Zwiastowanie albo zaginiony pług

Pewnego zimowego poranka Ogryzek postanowił odwiedzić Reb Apelmiana. Ubrał się ciepłutko i wyrzął przez okienko. Śnieg padał dużymi płatami. – No tak, to już trzy dni tak pada, pewnie leśne dróżki zostały zasypane – pomyślał. Otworzył drzwi i jego zdumionym oczom pokazał się widok, jakiego nie widział, od czasu kiedy pojawił się w lesie. Droga na całej szerokości była równiutko odsnieżona i posypana piaskiem.

- Cud, najprawdziwszy cud – mówił do siebie Ogryzek – Ciekawe co powie Rebe?
- A co ja mogę powiedzieć. Najpewniej przyjdzie Mesjasz. – To ja zrobię ciasto ze śliwkami – powiedziała Wrona.
- A ja herbatkę. Zawsze dobrze jest wypić coś ciepłego w taki ziąb. – podchwycił Ogryzek.
- Owszem, można by zaprosić Mesjasza na herbatkę i ciasto, gdyby nie to, że jemu się strasznie śpieszy.
- A gdzie on tak gna? – spytała Wrona.

- On wypełnia Boskie posłanie. A teraz musicie iść i przygotować się do Sądu Ostatecznego. A ja będę się modlił za cały las.
- Muszę znaleźć coś eleganckiego w szafie, w końcu nie codziennie idzie się do sądu – powiedziała Wrona i odfrunęła. Ogryzek został sam. W drodze do domu zobaczył śnieżny pług. W szoferce siedział kierowca z długą siwą brodą i studiował mapę. Kiedy zobaczył Ogryzka; powiedział:
- Te mały, którędy do miasta, zdaje się, że zablądziłem. Od trzech godzin jeżdżę w tę i nazad po lesie.
- Do miasta? To będzie tam – pokazał Ogryzek.
- Fajny jesteś. Pogadałbym z tobą dłużej, ale wiesz śpieszę się. Jeszcze mnie ktoś posądzi, że specjalnie nie odsnieżamy. Kiedy pług odjechał, Ogryzek wrócił do Rabina. – Niech się Rebe nie przejmuję, chyba pan Mesjasz zmienił robotę i teraz pracuje w służbach porządkowych.
- Koniec świata – powiedział Rabin.
- Jeszcze nie – zabrzmiał głos z góry – będzie jak wszystko odsnieżymy!





MARCIN DYDYNA

do Ciebie

Agacie

Twój cień odgadnę z zamkniętymi
oczami
obecność rozpoznam w porywach
powietrza
wyczuję smutek oddalony o wieki
a cisza będzie moim drogowskazem

Twój szczęśliwy uśmiech ukryję
głęboko
by go przechować na czarne godziny
kiedy ciemnieje i deszcz stuka w szyby
gdy jeszcze bardziej doskwiera
samotność

wędrowiec

z dwóch ścieżek wybieram tą
która prowadzi do siebie

bagaż ciąży jak wspomnienia
krok wstecz
dwa kroki do przodu
oby tylko
nie zgubić się podczas drogi

anioły

widzę je w otwartych oczach
słowach życzliwych
w chłopcu co ustąpił miejsca
w podmiejskim autobusie

w wierszu
rysunku figurce

nie zamieszkują nieba

wiele aniołów
nie zostało jeszcze przebudzonych
sypiają spokojnie
nieświadome



EWA KRUCHOWSKA

TY-RAN-JA*

Znów jesteś chwilo, w której przestrzeń rozrasta się, a płuca wypełniają zielonym powietrzem. Na skraju upojenia, chwiejnym krokiem, spaceruję pomiędzy jawą a snem zawieszona w pajęczej sieci myśli centymetry nad ziemią. Rzeczywistość rozpięta na sztalugach wyobraźni zaba(r)wia się tęczą domysłów. Ugina się, pod muśnięciem mych palców, czas. Idę wibrującą ziemią dotykając stóp, gubiąc liście spojrzeń, chwytając w dłonie puszystość dźwięków. Bo Ty... Bo Ty jesteś... Bo Ty byłeś...wspomnieniem, pyłkiem w oku, drażnisz moje zmysły...

– tracę ostrość wyrazu –

...po

tykam się o krawędź jednej z
czulszych myśli

i już po chwili

s	ę	strzepując z czoła pył gwiazd, które
	i	słupem soli
p	s	stanęły mi w oczach.
		Z determinacją ścieram z ust
a	ę	wodoodporność uśmiechu.
	z	Wstaję.
d	s	Stoję.
	o	Idę, wbijając się w ziemię stałą
a	n	kroków, stałą spojrzenia przecinając
	d	rzeczywistość, z pasją nacinając
m	o	naskórek świadomości stalowym
	p	ostrzem decybeli...

wprost w obojętność negacji.

Odcinam się.

* Grand Prix I edycji turnieju literackiego Chichot Chimery (2007).

Tak co dnia, cododnia. Metronom skrajności rozpędzonym wahadłem to w jedną to w drugą stronę, wychylając się, rytm rozdzierającym amplitudom myśli w(y)bija.

Z głowy-

-do głowy

Ja, balansując na granicy (o)błądu myślę wciąż kroki, od siebie do siebie - maska-rada się toczy, po(d)-ziemi. Dekoracje

r

o

z

p

a

d

a

j

ą

s

i

ę,



p---ę---k---a (p- - -o- - -d) s- - -z- - -e- - -w- - - (k- - - -a)

r z e c z y w i s t o ś c i

Naprzeciw Ciebie, naprzeciw siebie, sobie i Tobie przeciw – w lustrzanym mynartsul labiryncie eicnyribal iluzji i juzuli, pod powiekami kalejdoskopu przeszłości i przyszłości pękają szkiełka.

świat wiruje szaleńczo, coraz szybciej i szybciej, pod powiekami kalejdoskopu przeszłości i przyszłości pękają szkiełka

NAGLE WSZYSTKO USTAJE

CICHNIE
ZACIEMNIA SIĘ
ŚCIEMNIA SIĘ

CIEMNIEJE

MNIEJE

MNIE MNIE

JE MNIE

AŻ MNIEJ MNIE

M(N)IEJ MNIE

...





ADAM CZAJCZYK

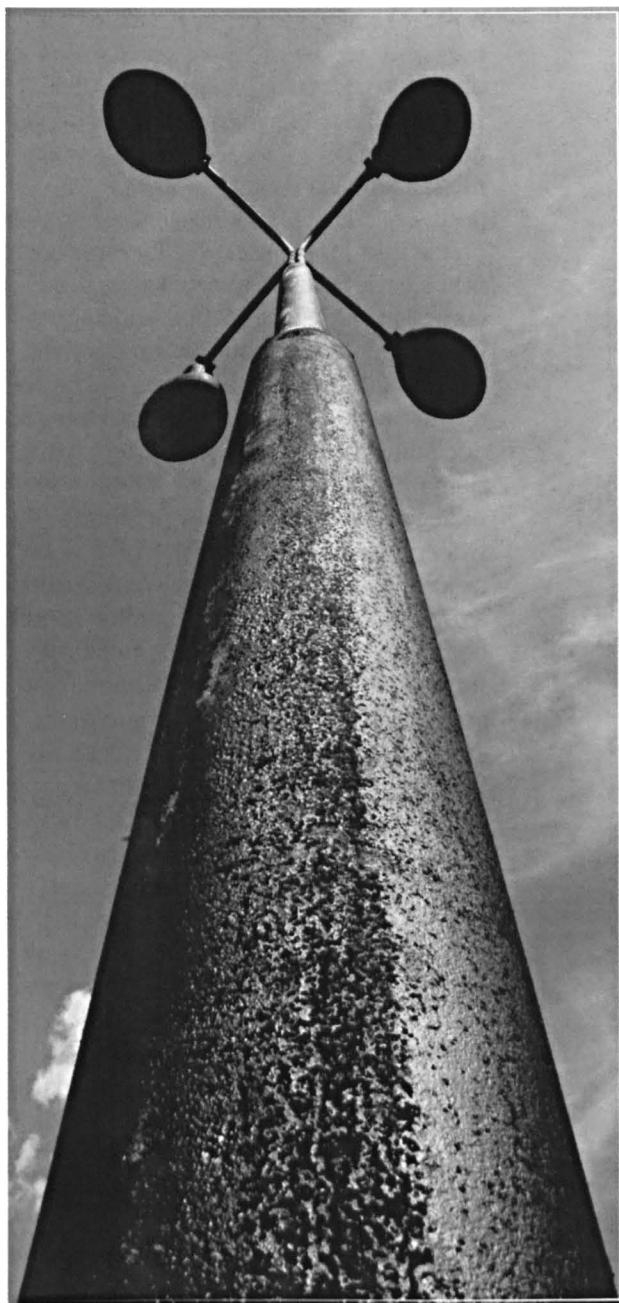
TOROWISKO

Parowe pociągi. Smoczydła na węgiel i wodę.

Na dworcu w Niedrzwicy siedzi się w zgodzie z własnymi myślami. Jest tutaj peron, nasypy pomiędzy torami, drewniane ławeczki, których szczelki, niczym szczelki drabiny marzeń, pną się ku niebu. Od czasu do czasu na stację wtacza się z wolna ten uskrzydłony parowy anioł, za którym jak wąż ciągnie się ogon wagonów. Pucowałowy kilkulatek kurczowo trzyma za rękę dziadka, pilnując, by się nie znaleźć w pobliżu pociągu, nim czarny potwór nie przetoczy się z sykiem i zgrzytem po torze, nim stanie cicho i grzecznie w bezpiecznej odległości. Potem jest jeszcze nagła konieczność, by wyleźć na górny pokład wagonu, skąd w czasie jazdy można z coraz to nową pasją oglądać te dzikie widoki za oknem nieobkosszone pola, liściasty las, gęsty jak broda ojca, i dalej drogę w oddali, skrawek jeziora, wreszcie malutkie domki ogródków działkowych, stalowy most i miasto wielkie i obce, a jednocześnie swoje.

Na dworcu w Niedrzwicy dwóch małych chłopców buduje bunkier z piachu i krzaków. Siedzi się weń za zasłoną liści czyhając na przejeżdżające pociągi. Wtem strumień rozkazów, meldunków, strategii płynie przez rurę komunikacyjną to nowatorski sposób zużycia tubek po toaletowym papierze i już w żółtozielony elektrowóz sypie się grad piaskowych granatów. Chłopcy są sprytni, więc atakują jedynie pociągi pospieszne, które nie zatrzymują się tutaj, a tylko zwalniają na chwilę, jak gdyby bały się wrodzonego braku delikatności. Zimą jest lepiej. Zimą w stalowe olbrzymy lecą śnieżne piguły. Czasami maszynista pogrozi pięścią zza osmalonej szyby, ale nigdy jeszcze nikomu nic się nie stało.

Na dworcu, gdzie nic się nie dzieje, dla czystej rozrywki dziurkuje się czasem zużyte bilety. Taki kartonik z brunatnego papieru ma z jednej strony maszynowy napis. Ciągi błado wybitych zużytyą czcionką liter składają się w opis trasy, cenę i naj-



Joanna Bukowska

ważniejszą część wartość niżki. Tak można wysledzić podróże dziadka, bo chyba tylko on jeden, były kolejarz, kupuje bilety za marne dwadzieścia procent ceny. No więc dziurkuje się te bilety i wkłada w zęby specjalnej szafy. Ta szafa

zawsze kojarzy się z jakąś wspaniałą maszyną szyfrową, szpiegowską, lub Straszny Zzeraczem Biletów.

Kiedy się trochę podrośnie, można przyjechać rowerem. Wtedy Pan Marek wysiadzie z nosatej krowy, zwając się dumnie i niebezzasadnie lokomotywą przetokową, obejrzy uważnie te piękne dwa kółka, zawyrokuje ze znanstwem „rama od jaguara”, i człowiek staje się ważny, ważniejszy od wszystkich kolegów z podwórka. Pan Marek powiedział „jaguar” i teraz nikt już się nie odważy zaprzeczyć, nikt się nie będzie wyśmiewał ze skórzanego wąskiego siodełka, z obciążonego czarną taśmą baranka z nabitymi zamiast gumowych zakończeń gilzami od dubeltówki. A przede wszystkim nareszcie docenią jedyny na świecie system oświetlenia z dwóch lamp, masy kabli i wspaniałego pojemnika na baterie, zbudowanego na bazie żółtego piórnik w kształcie ołówka. Ten system ma mnóstwo zalet, a najważniejsze jest to, że żaden paskudny bączek, zwany czasami dynamem, nie stawia już nigdy oporu przy jeździe pod górkę. Jeździ się z tym systemem przez lato całe, aż wreszcie ojciec, który ma za złe konstruktorowi dziadkowi, że mocowanie zniszczyło lakier, kategorycznie zabroni. A przecież coś znaczy ta odrobinka czerwonej farby wobec najlepszych na świecie świateł... Ale nie ma się nic do gadania.

Po ekspertyzie Pan Marek zaprasza do swojej pracowni - niedużej, pachnącej prądem i spalinami kabiny. Tutaj powoli człowiek staje się znawcą kolejarstwa, a z czasem wręcz maszynistą wyborowym. Po paru dniach wie się już dokładnie do czego służą kolejne zegary, guziki, gdzie gaz i hamulec, aż wreszcie jedzie się aż do Zemborzyc bez żadnej pomocy i podpowiedzi. A nawet wagony się ciągnie ze dwa!

Za dworcem jest rampa towarowa. Tu zwykle stoją rzędy kontenerowców z węglem, a w dni robocze nawet unika się przejeżdżania rowerem, bo ciężarówki wielkie i głośne kurzą i straszą wszystkich chłopaków małych i dużych. Chyba tylko tych największych nie, ale oni i tak się niczego nie boją, z tymi swoimi łapami jak bochny

chleba od łopat, od kos i od bójek, i z tymi nosami jak sliwki węgierki małe chłopaki nie wiedzą od czego... Przy rampie kiedyś lokomotywa wypada z toru. Małe chłopaki stoją i gapią się jak robotnicy w żółtych kombinezonach montują nowe podkłady, skręcają szyny, by wreszcie wprowadzić maszynę znów na trasę. Kierowca jest przeżony. Małe chłopaki pierwszy raz w życiu widzą jak ktoś dorosły się boi.

Do dworca biegnie ulica Kolejowa. Jest na niej most, pod którym płynie Nędznica. W rzece znajduje się różne różności, na przykład szkielet kurczaka, łeb świni, albo kamyczki zielone jak szczęście. Zaraz za mostem rośnie niewielka buda z brudnopomarańczowej dykty. Tu co niedziela przychodzi się z ojcem na piwo. Przeważnie w kuflach jest więcej piany niż piwa, ale to nie przeszkadza tym wszystkim dorosłym, wąsatym facetom, którzy zdają się tutaj stanowić jakąś tajemną wspólnotę, bractwo związane poczuciem mocy i wolności, podczas gdy matki, żony i kochanki zostają w domach pichcąc obiady.

Parę lat później w tej budzie nie ma już piwa, są za to lody. Zawsze na koniec roku uczniowie z czerwonym paskiem na świadectwie dostają całe trzy gałki za darmo! Jeszcze dalej jest młyn, przez lata tak tajemniczy i groźny, jak burza wiosenna i straszny ropuch z *O czym szumią wierzb*y. Gdy jest się nieco większym chłopakiem i burza przestaje przerażać, i młyn. Zwiedza się go dokładnie, goni się mysz, wybiela się siebie całego od stóp do głów mąką. Jedynie ropuch straszy do dziś.

Na dworcu w Niedzwicy nic się nie zmienia przez lata. Tylko chłopaki już nie te same. Rośnie się i dojrzewa. Więcej wyjeżdża niż wraca. Pucółowaty parolatek zaciekawiony goni hamujący pociąg. Ogląda się za zmęczonym dziadkiem, który zostaje w tyle. Ale to nic strasznego, wiadomo przecież, że będzie się w górnej części wagonu, żeby oglądać uciekający krajobraz...





MAŁGORZATA KÓLKIEWICZ

czekam na takie spojrzenie.
na taki uśmiech.
na rękę podaną w ten sposób.
na takie "witaj".
czekam na wodę z cytryną i miodem lipowym.
właśnie taką.
i właśnie taki chleb z solą i masłem.
zwyczajny.
takie pierogi ruskie.
normalne, a jednak niebanalnie smaczne.
na sok malinowy domowej roboty.
z posmakiem ogrodowej antonówki.
czekam na pochwałę.
na upomnienie.
na pocieszenie.
na słowo dobre.
albo nawet bardzo złe.
na cokolwiek.
ale czekać mogę bez końca.
ale nie doczekam się nigdy.
bo nie ma nikogo, kto by tak potrafił.
i nie płaczę dlatego, że jestem zrozpaczona.
tylko przez to, że tak cholernie tęsknię.
powiedz tylko... wiesz o tym?
wiesz, że kocham najmocniej.
i nie tylko oczy chciałabym mieć duże i zaciekawione jak Ty...
i zazdrościć Twojemu Panu, że miał mógł.
że miał okazję cieszyć się obecnością przez 42 lata i 3 miesiące.



KRYSZYNA KARWAT

TRYPTYK Z KOSĄ*

1. Istnieć

Pod kopułą nocy sennie szumi morze, śpi ławica plaży, a gwiazdy jak tańczące płomyki ognia migocą, chwieją się i kołyszą. Zaklęty, zaczarowany krąg...

Chwytam świat w ramiona, porywam w szalony taniec. Wiruję lekko, płynnie, rytmicznie. Muzyka niesie jak na skrzydłach. Owładnięta mocą dźwięków unoszę się ponad taneczny krąg - skocznie, szybko, na zatracenie. Dotykam gwiazd, otulam chłodnym blaskiem księżyca, zataczam krąg po kręgu i spadam na morską falę. Wylaniam się z niej jak Wenus nieśmiertelna. I tańczę, tańczę w objęciu żywiołu.

Toczy się woda, płynie życie...

- Eklezjasto, mówiłeś: „Marność (...)\", a tu pełnia szczęśliwej, roztańczonej godziny.

Wtem wionęło przejmującym chłodem.

Spłoszony sen. Puste objęcia, śmiertelna dłoń, która porywa w galopujący wir. Oko w oko idę teraz w tany ze śmiercią, mocuje się z nią, ale krok w krok pędzi za mną, nieubłagane.

Wzrokiem pełnym życia ciskam gromy.

- Eklezjasto, ratuj!

Z głową uniesioną ku niebiosom dźwigam się.

- Oto jestem! - przenikliwy krzyk niesie się poprzez morską głębinę.

- Istnieję! Przemijam. Pojawiłam się na chwilę i nie oddam jej nawet za cenę raju.

Przejmująca muzyka morza. Dotyk łagodnej fali.

- Istnieję!

2. Bogini

Brzeg morza najeżony dzikimi skałami wylania się powoli z szarego świtu. Jeszcze nocne mgiełki unoszą się nad bezkresem wód, a już z linii dalekiego horyzontu wynurzają się rozstrzelone promienie wschodzącego słońca. Płomień zorzy rośnie, rośnie, okrągłe i rozpala morze

pomarańczowym blaskiem. Potem wody z wolna niebiescieją, rosną pierwsze migocące fale, zaczynają lśnić roztrzepotane skrzydła mew. Dotknięte ciepłem kwiaty lotosu rozchylają wonne płatki i prężą duże, na kształt tarczy - liście.

Stoję na szczycie pierwotnej skały i ogarniam zmysłami boski bezmiar żywiołu. Przymykam oczy, stapiam się z niepojętym ogromem.

Nieoczekiwanie w szumie fal dziwne rytmy.

Wionęło. Rozgorzało... Piasek pod stopami. Spojrzenie chwyta zdumiewające senne zjawisko. Na szkarłacie lotosowego tronu, spowita czystością bieli, w złotym kołpaku na głowie - Bogini o tysiącu rąk! Przez jej twarz przelatuje płomień, martwe oczy pobłyskują jak gwiazdy. Kształtna postać wiję się jak wąż, gnie, przegina.

Modlitewny gest złączonych na piersiach dłoni.

Tuż za Boginią w dziwnej światłości czyjaś twarz. Ciepłe spojrzenie bliskich oczu i uśmiech... Wyrwam się na spotkanie ze szczęściem - daremnie. Bogini bucha żarem płomienistych języków ognia. Przedzieram się przez nie, ale dostępu bronią niezliczone ręce.

- Ja muszę!

- Nie!

Nagły skurcz serca, łomot i mój krzyk.

...Budzę się. Niecierpliwym wzrokiem szukam, szukam.

Jest! Posążek Bogini znowu stoi nieporuszenie

3. Danse macabre

Przeciągły, ostry dźwięk karetki pogotowia dociera do uszu, atakuje mózg. Galopujące serce, ból rozsadzający wnętrze, krzyk zastygły na zbiegających wargach. Myśl z trudem przedziera się, przybiera kształt ni to skargi, ni to refleksji: „To już koniec!” Przez głowę przelatują obrazy - okruchy życia.

* Wyróżnienie w 1 edycji turnieju literackiego Chichot Chimery (2007).

Czyjeś bliskie oczy, zamglony portret
matki, twarze dzieci, jakiś pejzaż nieza-
pomniany i wszystko, czego nie zdążyło
się zrealizować. Więc to już, tak nagle,
niespodziewanie, tak zdradziecko? Żal
utrudnia oddech. Pod zamkniętymi
powiekami ciągle przetaczają się obrazy
życia, od których przyjdzie odwyknąć.

- Panie, nie zabieraj mi blasku słońca, srebra
gwiazd i księżyca, pozwól trwać jeszcze
chwilę w zachwycie nad urodą świata,
niezwykłością człowieka, który istnieje,
żyje po to, by tworzyć, budować, kochać
- Panie, pozwól przemierzyć ciemną dolinę
bezpiecznie, ujrzeć światło...

Dusznno, rwie się oddech. Daremnie próbuję
mocować się ze słabością. Jak w średnio-
wiecznym tańcu śmierci cień z kosą roz-
pościera nade mną skrzydła, zaglądam w
nielitościwe oczy, próbuję wyrwać się ze
śmiertelnych szponów, które porywają do

szalonej galopady. Czy blade jak chusta
oblicze należy do mnie, czy do nie-
odwołalnej zjawy?

- Ratunku! Pomocy! - z trudem wydobyty głos.
Nade mną białe fartuchy. Zapadam się w
dziwny mrok...
- Nagle wyrывa mnie z niego głos pełen
słodczy:
- Za chwilę będzie lżej, ból minie.

Czyjaś dłoń na mojej ręce. Z trudem
rozwieram powieki, chcę zobaczyć. Gdzie
jestem? Czy to twarz matejkowskiego
Anioła grającego na cytrze?...

Młody lekarz - odtąd z przydomkiem „Anioł”.
Istnieje. Żyje...





MARIUSZ KARGUL

GROOM-BROOM,

CZYLI KOŃCA ŚWIATA W KRASNYMSTAWIE PRÓBA PIERWSZA

Gród poddał się w końcu wieczorową porą. Kominy i dachy nasunęły na siebie czapę ze snów i z cichym posapywaniem oddały kontemplacji wydarzeń z dnia minionego i pokonywaniu progów niewiary. Ludziom wydawało się, że układają się teraz do spania, a to przedmioty tak naprawdę wkraczały w kolejny etap zmęczenia materiału. Miotła stróża nocnego Hermana z drżeniem startych brzoźowych witek poczęła tęsknić za porannym uściskiem zgrabiałych dłoni pana, a kapcie babci Rozalii mogły wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem. Tak, miasto definitywnie wkraczało w krainę snu. Nie mogły tego zmienić ani wściekle intensywne reflektory drogich terenowych aut, ani tym bardziej fosforyzujące ekrany aparatów młodocianej populacji użytkowników telefonii komórkowej. Nikt tak do końca też nie zbadał, kiedy najlepiej opada się liściom z drzew – w ciągu dnia, czy nocą? Wypada snuć przypuszczenia, iż chyba jednak nocą, bowiem wtedy łatwiej przychodzi im ogałacać rodzinne konary i pnie z resztek złudzeń. Ludzie wstają rano, pospiesznie zdążają do pracy, do szkoły albo donikąd, i myślą: o gołe drzewo, zima idzie! A tu wcale żadna zima nie idzie,

tylko efekt cieplarniany zamienia wszystko w globalną mikrofalówkę. Jakoś dziwnie tej doby nie mógł usnąć tylko Spirydion Rosenkranz. Nie mógł, bo jego ciało dotknęła, szalejąca w owym czasie po całej okolicy, epidemia dekapitacji. Mieszkanie na Kocie przypominało rzymskie Koloseum z okresu największego prześladowania chrześcijan. Głowa bezradnie spoczywała w rondlu na rosół, nogi przemierzały przedpokój w różnych kierunkach, ręce kartkowały nerwowo kolejne strony świerszczyka, a tułów turlał się po dużym pokoju. Tylko oczy, przyklejone do szyby balkonowej, wypatrywały, jak zwykle o tej porze, światła w jednym z mieszkań sąsiedniego bloku. O tym, co robiły i gdzie się poniewierały genitalia, kroniki milczą. Na ten czas uchyliły się drzwi do mieszkania i dało się słyszeć szyderczy komentarz Dobrogniewy Zdziasłej (życzliwej sąsiadki):

– No tak, u Rosenkranzów znowu bal wszystkich świętych, bo zupa była za słona...

A po chwili warknęła wściekle: – Daimonion! Ty świniu parchata, wracaj szybko do nogi!

To było do jej psa, który znalazł akurat w pawlaczu lewe jądro ciemności sąsiada. Równolegle, na pobliskiej stacji benzynowej, monsieur Gwidon przeczytał następującej treści komunikat: „Kierowco! Zachowaj bezpieczną odległość 5 metrów sześciennych od tankowanego pojazdu”. W tej samej chwili, zarówno on, jak i jego samochód, rozpięchli się w pyłowej chmurze atomów, wypełniając dokładnie żadaną przestrzeń. I wtedy noc, która wcale nie była nocą, tylko dniem z przepaską na oczach, osiadła delikatnym puchem na teleskopie miejscowego astronoma.



Krzyże na wzgórzu

I śpią w tych grobach umęczeni rycerze starej
dobrej Europy. Bóg tylko jeden wie, który z
nich tak naprawdę walczył za kaizera, ce-
sarza, cara. Prawdopodobnie chodziło je-
dnak o to, by móc jak najszybciej zawitać
do domu. W tym celu trzeba było prze-
walić się jak taran po ciałach wrogów
pokonanych. Sęk w tym, że wrogowie też
chcieli zrobić to samo, a wszyscy wrócić
szczęśliwie z tarczami przecież nie mogli!

Po jednej stronie komenda niemiecka, po
drugiej rosyjska, a w środku tygiel naro-
dów, istna militarna wieża Babel. Szra-
pnelom było co prawda obojętne, czy rwa
w kawały ciała nacji germańskiej, słó-
wiańskiej, madziarskiej albo semickiej. Nie
istniała żadna gwarancja na to, że jeśli masz
niemiecką głowę, rosyjską duszę i polskie
serce, to ujdiesz z tej opresji cało. Bagnet
wnikał tak samo ochoczo i z jękiem w wą-

tpia, niezależnie od barwy mundury wła-
ściciela. Tylko to, że czasem „brat przeciw
bratu”, „brat brata” – żelazem czy kulą,
robiło jakąś różnicę w umieraniu. A może i
nie, może tak wydaje się jedynie tym, co
przeżyli. I chociaż zdarzały się po drodze
piękne krainy i urocz krajanki, trzeba było
w końcu kłaść głowę pod skibę. A gdzieś
tam na stole dymiła waza z rosołem, ktoś
miał dopisać jeszcze trzy zdania w nie
wysłanym liście miłosnym, kilku wiaru-
sów czekało z fajką i kuflem w starej
gospodzie, na polach rosło zboże z nasienia
doby pokoju, a bydło nad rzeką piło z
nurtów zmaconych. Na świat zdążyło
przyjść jeszcze trochę dzieci – ostatnie
pokolenie la belle epoque i pierwsze
„czasów pogardy”.

Cześć i chwałę przystoi nam oddać panom
rycerskim!



RYSZARD KORNACKI

Nokaut

Niesiony gwizdem Wydrwigrosza
wpadam w poślizg
przed knajpą
mojej wiernej samotności.
Szkłanka ze szklanką
piją górnolotne toasty
- niespełnione sny.
Trzaskają ostro bicze słów,
które nie mogą
zamienić się
w zwyczajne życzenia.
Także zakąska
zimnych przekleństw
staje ością w gardle.
Teraz można usiąść
w narożniku
sali
i milczeć do rana.
Gong strzela w głowie.

Nocna opowieść

Urwał się film, zawirował świat
i wszystko w życiu się splątało.
Zegar z kukułką zgubił klucz,
do serca, które mnie nie chciało.

Nad domem już wygasły światła
W srebrnej poświacie księżyc stary
czeka jak Cygan zasłuchany
w dźwięk tęsknoty i gitary

Zamilkły słowa w perspektywie dali
szerokich połaci złotej Australii
Pamięć zamiera w kieliszku i winie
także tu w Tulczynie

A tu dopadła cię miłość
Nie ta, która umknęła
Nie ta, która już zgasła
Lecz nowa
ta co z nieba spadła
wiosenna jak gwiazda



BEATA T. MAGIER

Kocham mieć. Piękny, luksusowy dom. Żadnej prowizorki - już moja w tym głowa. Każdy szczegół starannie dopracowany. Wszystko pierwszej jakości. Samochód - oczywiście najnowszy model. Najważniejsze, aby nikt takiego nie miał w okolicy. No, może poseł. Ale jeżeli poseł wybrał taki sam wóz jak ja nie ma się czego wstydzić! Może i ja kiedyś będę posłem? Na razie jestem bossem i kocham to.

*

Nie mogę spać. Jeszcze przed świtem budzi mnie ból żołądka. Od razu w głowie zaczynają krążyć myśli. Pod zamkniętymi powiekami widzę powykrzywiane, zazdrosne twarze. Czasami mam wrażenie, jakby pod moją czaszką krążył rój upartych much, a w żołądku tkwił węzeł. Chcąc nie chcąc, wstaję i zaczynam krążyć po domu. Już nie zasną, a do rozpoczęcia pracy jeszcze parę godzin.

**

Dom to moja duma. Patrę, co by tu jeszcze zmienić. Wiem, że takiej kuchni nie ma nikt w okolicy. Podejrzewam, że trudno by było znaleźć gospodynię, która wiedziałaby, jak obsłużyć wszystkie znajdujące się tu urządzenia. Przyznam się, że sam jeszcze nie wszystko rozszyfrowałem. Dzisiaj mam gości i myślę, że będą mieli co podziwiać, bo wszystko wygląda świetnie. Do jedzenia zamówiłem oczywiście sushi. Jest teraz takie modne...

Goście? Sami ludzie na wyższych stanowiskach. Bo znajomości to ja mam. W najwyższych kręgach. A co? Dawnych kolegów nie zaprosiłem, nie pasują. Zresztą nie mogę patrzeć im w oczy, bo widzę tylko zazdrość. Nawet porozmawiać z nimi się nie da. Bo o czym? Cóż oni wiedzą o życiu? Nie zauważyli, że świat poszedł do przodu, a młodzieńcze ideały to można sobie... między bajki włożyć. Ciasnota ich horyzontów jest porażająca. Na przykład

JESTEM RZECZĄ

ostatnio: zadzwonił jeden i zaproponował wyjazd na koncert. Do Filharmonii. Po co? Ja mam najnowszy sprzęt. A płyty mogę sobie kupić. I to będzie dopiero jakość. Po co gdzieś się wlec samochodem, siadać w niewygodnym krześle? Jeszcze rozumiem, gdyby to było jakieś oficjalne spotkanie z władzami, wypadało się pokazać, ale tak?

Albo wymyślili, że będziemy się spotykać przynajmniej raz w miesiącu, aby porozmawiać o książkach, aktualnych wydarzeniach. Kto w dzisiejszych czasach wymyśliłby coś takiego?! Oczywiście, że tylko ktoś, kto sprzętem najnowszej generacji pochwalić się nie może i najwyraźniej się nudzi. Ja mam wspaniały plazmowy telewizor. I kino domowe! A jak świetnie wygląda w salonie, z kominkiem... Na razie nie oglądam, chyba że przyjdą goście, to niech sobie popatrzą.

Na nic nie mam czasu. Teraz to i tak z górki, bo skończyłem urządzać dom, więc wezmę się


 Joanna Bukowska

za firmę. Wszystkiego muszę dopilnować sam, bo wystarczy odwrócić głowę, aby pracownicy wszystko sknocił. Sam sprawdzam nawet to, czy okna są pozamykane. Potrafią tylko zazdrościć. Patrzą na mnie spod oka i mają jeden cel chcą mnie wygryźć! Nikomu nie ufam! Zdarzyło mi się już kilka razy usłyszeć, jak o mnie mówią. Wściekam się, ale udaję, że nie słyszałem. Mają mnie za imbecyla. Ale im pokażę!

Aha, muszę się upewnić, czy szef przyjedzie na kolację. Może na wszelki wypadek przesłać kwiaty jego żonie? Pewnie pojedziemy z nimi na te wakacje do Bułgarii. Chcą wspominać młode lata. Mus to mus. Może powinienem im zasponsorować ten wyjazd? Pomyślę.

W końcu budzi się Leopold. Przeciąga leniwie ciało, ziewa i już jest gotowy do

spaceru. Macha ogonem. Tak naprawdę tylko jego wierności jestem pewny. Nie zdradzi żadnej tajemnicy i nie wygryzie mnie ze stanowiska. I pasuje do wszystkiego. Teraz wyjdziemy na spacer: pan i jego pies. Prawda, że wyglądamy bardzo elegancko? Sąsiedzi patrzą na nas z podziwem.

Dotykam mebli robionych na zamówienie i gołą stopą staję na dopiero co dostarczonych ze sklepu dywanach. Moje serce wypełnia niepohamowana radość. Stapiam się ze wszystkimi artefaktami mojego domu, stajemy się jednością. Przestaję czuć. Jestem rzeczą.



IGOR SOKOŁOWSKI

Jeszcze śpiewamy, jeszcze tańczymy, jeszcze się całujemy, jeszcze, jeszcze, jeszcze! Aby tylko mocniej, głośniej grało, buch jeb buch, jeszcze coś wlać w siebie, całować kwaśno-gorzkie kieliszki z grymasem, całować się nawzajem z rozanieleniem. Dusi dym, ale serce szybciej bije, chociaż bez sensu, bo kocham ciśnie się na usta, ale nikt nie rozumie co to znaczy, tak jak nikt nie chce zrozumieć tego, bla bla bla, że już nie ma co pić. Każdy bliższy się robi, cmok cmok cmok, lepszym się staję, w tym odurzającym zapachu rozpływają się wady, oraz uprzedzenia. Znikają bariery, bo wszystko się rozmywa, rozmywa, rozmywa coraz bardziej, gubimy ostrość, rozmyło się wszystko i pijemy tą wódkę tak, jakby ó na o zamienić i k skreslić. Dyskusje, poglądy, każdą myśl puszczamy w eter, bla bla bla, a

ona i tak trafia w kosmos, bo każde słowo się mija, mija się z przeznaczeniem i sami siebie słuchamy, przez to już uszy zajęte, przez to innych nie słyszymy. Ale to nie szkodzi, inni też tylko samych siebie słuchają i to tak jakby ogonem się w twarz walić merdając nim, ple ple ple, bo pieprzyimy bez sensu. Zaraz przewrócił się ktoś, bełkocze inny ktoś, ha ha ha, tamten ktoś z innym ktosiem coś, rzyg rzyg rzyg. I kręci się w głowie, i mdli, i bas wbija się do wnętrza, i znowu kręci, i mdli, i dawaj jeszcze głośniej, i póki stoimy to udajemy, że jest ok. I tańczymy, chociaż i mdli, i kręci to jeszcze pocałuj, jeszcze się przytul i wlej, i wlej, i wlej, numa numa jej, jej piękne czarne oczy...



PARTY



JOANNA BUKOWSKA

Nie mówię ci czy w nas wierzę
bo jak to tak ci powiedzieć
tak wiele przeżyliśmy osobno
że aż razem wstyd

jeszcze trumien związanych w kokardę
brakuje do szczęścia nam

i na tym koniec naszych spotkań
znów nie wypileś małej czarnej

Nieprzerwanym głosem
przerywasz mnie w pół zdania
na pół rozrywasz
zniechęcasz do gadania

ty wolisz migdały
i na migi
więc mnie drażnisz
w mig

daję ci ostatnie rozbłyśki
z rozślizgiem wsuwasz się
między skrawki golizny

Oglądasz moją głowę
odciętą przez jedenastolatka
z wybujalymi kośćmi policzkowymi
obracasz nią
jak puszką pandory
i nie wiesz z której strony jest serce
a ja tęsknię
za portkami spranymi przez ojca
za prądem rzeki
który mnie poznał z tobą
i nie wiem
czy to normalne
że jako nastolatka
(ciągle szukam swojej skroni)
nigdy nie pójde do dyskoteki

Kto jest bez winy
niech pierwszy rzuci kamień
ćwierć twarzy fiolet zaleje
później to się już tylko grzecznie powiesze
bo tak wypada
gdy jest nas niewielu
zanim cmentarz
zanim grób
nie zdobiony badyłami mój domek z kart
uginą się pod ciężarem suchego pancerza
który zawsze ograniczał moje fascynacje do
lekkiej atletyki

spadam w dół
odświętnie ubrana

kto scala mi z rąk kubek zimnej wody









POWIEŚĆ





ANDRZEJ WIELECKI

PRZECIWKO WSZYSTKIM (2)

W połowie września Zygmunt August przybył do stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego, Wilna. Chcąc pokazać się większej liczbie swoich poddanych, ogłosił zjazd panów litewskich i z tej racji kazał przygotować wielką ucztę. Rozbudowany ostatnimi laty zamek wileński, ledwie mógł pomieścić przybyłych na ucztę znamienitych gości, którzy tłumnie przybyli na tę uroczystość. Wszyscy czekali już tylko na przybycie następcy tronu, jego jednak wciąż nie było. Dawno już wybiła godzina siódma wieczorem i zgromadzony tłum coraz bardziej się niecierpliwił. – I cóż, panie kanclerzu – odezwał się podskarbi litewski Iwan Hornostaj – co takiego może zatrzymywać naszego młodego kniazia?

- Jego dworzany twierdzą, że udał się na polowanie – odparł stojący obok kanclerz Jan Hlebowicz.
- Chyba na kolaski z nałożnicami – i obaj wybuchnęli śmiechem. Wiadomo im było bowiem, że królowa Bona wysłała kolaski ze swoimi czterema damami dworu, aby umilały czas Augustowi. Zaraz też Hornostaj rozglądając się dodał. – Tej nierządniczy z Italii jeszcze nie widziałem. Jak ona się pojawi to widomy znak, że zaraz obaczymy i kniazia.
- A ja już ją obaczyłem – rzekł zadowolony Hlebowicz. – O tam, przy schodach! – wskazał. Rzeczywiście, Diana di Cordona ubrana w bordową suknię pojawiła się na sali wraz ze swoimi towarzyszkami, dodajmy paniami dworu. – Lata macie już swoje, bo i do siedemdziesięciu wiosen dochodzicie, kanclerzu, a widzę, że dobry macie wzrok, chociaż się tak uskarżacie – zażartował Hornostaj.
- Białogłowy zawsze szybko postrzegałem – odparł z dumą Hlebowicz i pogłaskał się po wąsach.
- A ja widzę też obie Radziwiłłowe dziewczki...
- Wielce mnie zastanawia – wtrącił się Hlebowicz – jakim to cudem królowa

Bona pozostawiła młodszej Radziwiłłównie wszystkie majątności po Gasztołdzie?

- Mości kanclerzu – tu Hornostaj rozejrzał się bacznie wokoło, czy nikt ich nie słyszy i na wszelki wypadek zniżył trochę głos. – To wam rzeknę, że to wszystko cośmy jej pozostawili po Gasztołdzie, lada dzień zabierze młody kniaź. A województwo i tak królowa Bona będzie musiała komuś oddać. A tym sposobem to sobie zjednała Radziwiłłów. – Racja chyba po waszej stronie, panie podskarbi – przyznał Hlebowicz.
- Wielu też przecie chętnych jest, by się żenić z wdową po Gasztołdzie. Wielce ciekaw... – ale już nie skończył, gdyż rozległ się oczekiwany przez wszystkich głośny znak dany przez heroldów, oznajmiający przybycie wielkiego księcia. Zaraz też Hornostaj, który był także marszałkiem nadwornym litewskim, ogłosił.
- Wielki książę litewski i pan ruski, Zygmunt August!

I oczom zebranych ukazał się przyodziany w ciemnoniebieskie szaty na styl włoski, młody i przystojny władca. Zapanowała zupełna cisza, wszyscy uklęli na kolana i pochylali głowy przed swoim panem, który podążał wzdłuż sali między tłumami rozdzielonymi na pół, do przygotowanego dla niego miejsca. Stał teraz za bogato zastawionym stołem, na niewielkim podwyższeniu i rozejrzał się po sali. Miał stąd doskonały widok na rozstawione przy ścianach stoły oraz na kłęczących przy nich gości.

- Dostojni panowie! – rzekł donośnym głosem kniaź – czas rozpoczynać zabawę, która i tak się opóźniła, jako że ważne sprawy nie dały nam na siebie czekać! – A sprawami tymi były igraszki Augusta z Dianą, które zbyt długo się przedłużyły. Teraz wielki kniaź uniósł do góry przepiękny złoty kielich, a marszałek nadworny Hornostaj zaproponował toast.


 Katarzyna Kolasińska

- Vivat wielki książę Zygmunt August! – I wszyscy, jak na zawołanie, zaczęli wznosić toasty na cześć wielkiego księcia. W końcu August skinął ręką i zawołał.
- Poczynajcie tedy! – i z uśmiechem zasiadł za stołem.

Umieszczona po przeciwnej stronie sali kapela grajków od razu zaczęła wygrywać rzewne melodyjki. Do tańca jednak nikt się nie wrywał. Po pierwsze, uczta dopiero się rozpoczęła, a po drugie, pierwszy taniec należał wedle zwyczaju do pana i władcy Litwy. Zaczęło się natomiast wielkie jedzenie i picie, jako że stoły zastawione były bogato, a i apetyt niegorszy. Przy wielkim księciu zasiedli, po jednej stronie stołu dostojnicy litewscy, na czele z kanclerzem litewskim Hlebowiczem oraz podskarbis litewskim Hornostajem. Po drugiej stronie stołu siedział Lasota i kilku innych dworzan Augusta. Diana zaś z trzema dwórkami

mi królowej Bony siedziała przy innym stole, gdyż nie wypadało im oficjalnie przebywać przy świeżo zaślubionym wielkim księciu.

- Cóż nam rzekiecie, panie podskarbi – zaczął August.
- Cóż mogę rzec – odparł Hornostaj. - Chyba jeno tyle, że skarbiec litewski coraz pełniejszy z racji mądrej gospodarności naszej pani, królowej i wielkiej księżnej Bony.
- Zaiste, same dobre nowiny jakieśmy tu przyjechali. Ach Litwa! Tego mi brakowało – rzekł zadowolony i przepił winem.
- Radziśmy usłyszeć, jakże zdrowie naszych panów, a rodziców waszej książęcej mości?
- Włączył się do rozmowy Hlebowicz.
- Dobrze, mości kanclerzu. Zdrowie naszym rodzicielom szczęśliwie służy, jeno, że zaraza wybuchła i koniecznością się stało, aby wyjechać do Niepołomic.
- Oby tylko do nas to nie przyszło –

- przestraszył się kanclerz i szybko się przeżegnał.
- Nie obawiajcie się, gdybym się zaraził, to pierwszy bym zszedł z tego świata – zażartował August.
 - Uchowaj Boże! – zawołali niemal jednocześnie Hornostaj z Hlebowiczem. Ten ostatni zaraz też zwrócił się do kniazia.
 - Chcemy też zapytać panie o zdrowie waszej małżonki Elżbiety, bo to wielce urodziwa pani i wielce nam się upodobała. August popatrzył na niego uważnie i krótko skwitował.
 - Dzięki Bogu, zdrowa.
 - Wolno nam to wiedzieć, czemuż to nasza pani nie przybyła razem z waszą książecą mością? – Jagiellon spojrzał ponuro na Hlebowicza i szybko odparł.
 - Nasza małżonka obawia się, aby jakowyś niedźwiedź jej tu nie napadł. – Siedzący

- przy stole wybuchnęli śmiechem, tylko kanclerz czując się ośmieszonym zachował powagę, August zaś mówił dalej. – Naopowiadano jej jeszcze we Wiedniu, że wieczorem to po Wilnie niedźwiedzie chadzają.
- Panie – zwrócił się do kniazia Lasota i wskazał – krajczy litewski Jan Radziwiłł. – Wtedy ten pokłonił się nisko.
 - Już od przyjazdu dopytuję się o was, bo rad-bym urządzić polowanie jakiego Litwa jeszcze nie widziała. – Jako sobie życzycie, panie. – Radziwiłł jeszcze raz się pokłonił i wskazał na dwóch przybyłych wraz z nim przedstawicieli jego rodu. – Mój brat rodzony Mikołaj Radziwiłł i jeszcze syn hetmana Jerzego, także Mikołaj.
 - Wielce m słyszał, a i pamiętam waszmościów z ostatniego naszego pobytu tu na Litwie. – Chwilę przyglądał się Radziwiłłom, po czym rzekł z uśmiechem. – Jeno zachodzę



- w głowę, jak was odróżniają, skoroście z jednego rodu i wasze imiona takie same?
- Na mnie powiadają Czarny, a jego zwią Rudy. – Wyjaśnił Radziwiłł, na co wielki kniaz roześmiał się w głos, gdyż rzeczywiście jeden miał czarne włosy i brodę, zaś drugi był rudy niczym lis.
- Wybaczcie panowie, ale radbym nieco kości rozruszać – i uśmiechając się dodał. – A i was namawiam.
- Gdy tylko August powstał, kapela zaczęła grać głośniejsz i bardziej skocznie. Majestatycznym krokiem wyszedł na środek sali i zaczął się rozglądać za partnerką do tańca. Tymczasem serca zebranych niewiast zabiły mocniej i każda z nadzieją wpatrywała się w kniazia. Wiele z nich dużo by oddało, aby być tą, z którą władca odtńczy pierwszy taniec. Tylko Diana siedziała spokojna i pewna tego, że ona zacznie tańce z wielkim księciem, ale ku jej zaskoczeniu nie zatrzymał się przy niej, tylko poszedł dalej. Już prawie wyciągnął rękę, aby zaproponować taniec jakiejś pannie, lecz się rozmyślił i posunął jeszcze parę kroków do przodu. Wreszcie dostrzegł jasnowłosą i urodziwą niewiastę, która bardzo mu się spodobała.
- Czy zechcecie nam, pani, służyć? – i wyciągnął do niej swą dłoń.
- Z największą przyjemnością panie – dygnęła i uradowana podała mu małą rączkę. Zaczęli tańczyć, a za przykładem kniazia pozostali panowie zaczęli prosić białogłowy do tańca. Wkrótce zrobiło się tłoczno od tańczących, wszyscy na nich spoglądali i wszyscy chcieli tańczyć jak najbliżej kniazia i jego szczęśliwej wybranki.
- Nie znam was, pani – przemówił August – Z jakiegoż zacnego jesteście rodu?
- Z Radziwiłłów, panie – odpowiedziała mu z dumą i cały czas się ślicznie uśmiechała.
- Rudy, albo li też Czarny to zapewne wasz krewny.
- Rudy jako lis i taki sam sprytny, to mój brat rodzony.
- A nie podobny do was ani trochę. – Rzekł uśmiechając się do niej przekornie.

- Wasza książęca mość przepięknie tańczy – przymilała się Radziwiłłówna.
- A i wy, pani, nie gorzej, tym bardziej, że i uciecha z tak piękną niewiastą tańcować – odwzajemnił jej się August, a Radziwiłłówna aż pokraśniała z radości.
- Wkrótce taniec się skończył i August lekkim ukłonem podziękował jej za taniec. Ona zaś skłoniła przed nim nisko głowę i szybkim krokiem wracała do swoich rówieśniczek, które z niecierpliwością oczekiwały jej powrotu. Radziwiłłówna była teraz dla nich sławniejsza od obu królowych.
- Pięknie, panie, wybraliście – pochwalił Augusta Lasota, gdy ten tylko zasiadł za stołem. Chciał jeszcze coś dodać, ale rozległy się okrzyki na cześć wielkiego księcia, które zainicjował Mikołaj Czarny Radziwiłł. Za nim zaczęli wivatować inni i znów trwało to dłuższą chwilę. W końcu August wznosił swój kielich do góry i skinieniem głowy dziękował im za pamięć. Zaraz potem powstał i krzyknął donośnie.
- Zdrowie waszmościów, przybyłych na nasze powitanie! Vivat! – I teraz zebrani pili za swoją pomyślność.
- Wzniesli wasz toast, panie, bo wywyższyłeś ich ród – rzekł do kniazia Lasota.
- Ja wywyższyłem? – zdziwił się August.
- Wielu by zapłaciło, byłeś, panie, wybrał do tańca niewiastę z ich rodu. Tym bardziej, że ten co wznosił wasz toast, strasznie pragnie wyniesienia swojego rodu.
- To niech zostanie wielkim kniazem – zakpił Jagiellon. – Dobrze to Lasota, że znasz Litwę i tutejszych panów.
- Trochę znam – przyznał zadowolony z pochwały Lasota.
- Ta z którą tańcowałem, to niejaka z Radziwiłłów...
- Tak to Anna, starsza córka kasztelana wileńskiego i hetmana Litwy, Jerzego Radziwiłła. Jak sami panie wiecie, już nie żyje.
- Dostaniesz dukata jak mi cosik więcej o niej opowiesz – zachęcał zaciekawiony kniaz.
- Jeśli chodzi wam, panie, o sprawy nocne, to mówi się o niej, że to wielka rozpustnica.
- Zatem obaczmy czy to prawda – i

- uśmiechnął się znacząco. Wtem spostrzegł przed sobą Dianę. – Wybaczcie mi, panie, ale głowa mi strasznie boleje. Pozwolicie, że udam się na wcześniejszy spoczynek.
- Jeśli taka wasza wola, to nie wzbraniam – rzekł beztrząs August i Diana niedbale pokłoniwszy się odeszła.
 - Zapewne ma wam, panie, za złe, żeście jej nie wybrali do tańca – rzekł Lasota odgadując powód nagłej niedyspozycji Diany.
 - Już mnie zaczyna nudzić, a tu tyle nowych niewiast, że i nowego się chce zasmakować. – I powiódł wzrokiem po sali w poszukiwaniu swojej pierwszej tancerki.
 - No, to co mi jeszczek rzekniesz o tej Annie?
 - Jako już rzekłem, panie, ta Radziwiłłówna, jeśli mnie pamięć nie myli, jest starsza od waszej królewskiej mości...
 - To już dawno jej czas na ożenek. Wszak ja już ukończyłem dwadzieścia trzy roki, a jeśli ona starsza, toć stara panna z niej – wyliczył August.
 - Głośno tu o niej na Litwie. Powiadają, że jej ojciec umarł ze wstydu, bo jej wyswatać nie mógł. Mimo znaczenia i posagu jaki dawał, chętnych nie było.
 - Ciekawe rzeczy prawisz Lasota, wielce ciekawe. Dostaniesz trzy dukaty, jeno gadaj dalej. – I popijając wino z coraz większym zainteresowaniem spoglądał na oddaloną nieco Annę Radziwiłłównę.
 - Jeszcze w dzieciństwie jej ojciec zawarł umowę z kanclerzem Olbrachtem Gasztołdem, że syn jego poślubi Annę, jak tylko ta dorośnie. Aby to zagwarantować wypłacił on ojcu waszej królewskiej mości znaczną sumę, aby był świadkiem umowy. Jeno, że gdy Anna wyrosła, Gasztołdowie, ojciec i syn, wycofali się z obietnicy słysząc o jej lajdackim życiu. Bo w czasie, gdy hetman Radziwiłł wyprawił się na wojnę, ta oddała się jakowemuś dworzanowi, który zostawił ją brzemienną. Dziecko umarło, ale zła sława o Radziwiłłównie pozostała. Wtedy to zmieniono umowę i syn kanclerza Stańisław, zamiast Anny ożenił się z młodszą Barbarą. Ojciec wtedy chciał ją wydać za księcia Ostrońskiego, bo
- i z nim miał ślubną umowę. Sprawa znowu trafiła przed sąd naszego króla Zygmunta, który stanął po stronie księcia Ostrońskiego. Hetman Radziwiłł wtedy rozchorował się ciężko, ale córki nie mógł nikomu wyswatać. Aż biedak na koniec umarł, a córka Anna do dziś jest o wianeczku.
- Aleś mi, Lasota, naopowiadał ciekawości. Rad bym ja tę Radziwiłłównę bliżej poznać.
 - Nie będzie to trudne, bo ona z siostrą i matką mieszka w Gieranojnach, a my się przecie niedługo tam wybieramy.
 - Zatem dobrze – i zadowolony oznajmił. – Idę jeszczek trochę potańcować, bom się strasznie zasiedział. I zaraz potem tańczył z jedną z pań litewskich, którą była Helena Chodkiewiczówna. Jego wybranka była niezwykle poważna i patrzyła na księcia tak, jakby bała się uśmiechnąć.
 - Cóż to, pani, tacy jesteście posępni i nawet się nie uśmiechniecie? – zapytał August, lecz zaraz tego pożałował. Otóż partnerka spełniając jego życzenie uśmiechnęła się szeroko i chociaż była ładna i młoda, to pozostało jej niewiele zębów niczym starej babie. Teraz kniaź zaniemówił i przestał się uśmiechać, a jego tancerka wydała mu się wręcz brzydka.
- ***
- Widzę, panie, że wam się popsuł nastrój – zwrócił się do niego Lasota, gdy August od powrotu do stołu milczał. – Czyżby tancerka rzekła wam coś niemiłego? – dopytywał się ciekawy.
 - To ci jeno rzeknę, że gdybyś miał takie zęby jak ona, to byś u mnie na służbie nie był. – I kniaź aż wzdrygnął się na wspomnienie swej wybranki. Jakiś czas siedział zamyślony, aż w końcu spojrzał na siedzącego blisko Lasotę Wszelakusa i zapytał. – A ty coś taki markotny, towarzystwo ci nie odpowiada?
 - Markotnym jako i wy, panie – odrzekł wymijająco zapytany.
 - Prawieś mi rano jakoweś niestworzone rzeczy, że aż mi się wierzać nie chce.

- Mogę się mylić, panie, to ludzka rzecz – odparł z pokorą.
- Zatem chcesz, bym cię przyjął na służbę?
- Nie straciecie, panie, a zyskacie jeno, bo znam się na wróżbach.
- Chwalisz się jeno – nie dawał mu wiary August. Jednak widząc jak Wszelakus posmutniał dodał. – Zatem jeśli, jako rzekłeś, spotkam niedługo niewiastę, którą mam wielce miłować i przez którą dojdzie w kraju do zamieszania, jakiego nie widziało i o jakim nie słyszano – mówił lekceważąco August – to wtedy przyjmę cię na swój dwór – dokończył obiecująco i zaśmiał się.
- Panie, jeno że na to wszystko potrzeba trochę czasu – rzekł z powagą wróżbita.
- Zatem przebywaj w pobliżu i módl się, aby twoje wróżby się spełniły – i znów się roześmiał. - No, wystarczy tego gadania. Powiedz mi – tu zwrócił się znów do

- Lasoty – kim jest ta niewiasta w czerni, przy końcu tamtego stołu? – Ten od razu zorientował się o kogo chodzi i odparł.
- To jest właśnie, panie, owa Barbara z Radziwiłłów, wdowa po Gasztołdzie, którą mamy lada dzień odwiedzić.
- Zatem czas by ją poznać.
- Panie, jeno że to wdowa w żałobie – upomniał go Lasota.
- Dla mnie wdowa to jak panna na wydaniu – rzekł już nieco podпиты i ruszył od stołu w jej kierunku. Miał tylko nadzieję, że ta niewiasta ma wszystkie zęby lub chociaż prawie wszystkie. Po chwili stał przed Gasztołdową, a oczy wszystkich z ciekawością obserwowały jego poczynania.
- Czy zechcecie nam, pani, służyć? – i teraz z bliska ujrzał jej piękną twarz, kiedy podniosła głowę, aby mu odpowiedzieć.
- Nie wiem, czy mi się godzi panie, bo w żało-



bie jeszcze jestem – rzekła niepewnie. August już chciał odejść, gdy usłyszał głos siedzącego obok niej Mikołaja Czarnego Radziwiłła.

- Żałoba już prawie minęła, a jeden taniec umarłemu nie zawadzi – zażartował na koniec. Na te słowa Barbara powstała i podała dłoń wielkiemu księciu, który poprowadził ją na środek sali. Zaczęli tańczyć. August od razu zauważył jak wdzięcznie porusza się w tańcu jego partnerka, zaczął się też jej uważnie przyglądać. Z przyjemnością stwierdzał w myślach, że ma nienaganną figurę, słiczną twarz z niewielkim arystokratycznym noskiem, no i długie kasztanowe włosy. Była po prostu bardzo ładna. To wszystko sprawiło, że szybko odzyskał trzeźwość i siły do zabawy. Gdy młody Jagiellon lustrował wzrokiem swą partnerkę, ona patrzyła przeważnie wokoło, z rzadka tylko spoglądając na kniazia.
- Nie frasujcie się, pani, tym co ludzie teraz mówią, bo to przecie myśmy was do tańca poprowadzili. – Radziwiłłówna milczała, więc August ciągnął dalej. – Litwa pełna jest dzikiego zwierza, ale i pięknych niewiast, jako wy pani. – Po tych słowach Barbara podniosła wzrok na Augusta i uśmiechem podziękowała mu za komplement.
- Tak wam, pani, o wiele ładniej – i cieszył się, bo na szczęście miała wszystkie ząbki i to bardzo ładne.
- Wielka to dla mnie łaska tańcować z waszą księżecą mością – przemówiła wreszcie.
- Jeszcze większa dla nas tańcować z wami, pani – zapewnił od razu kniaz. Tu taniec dobiegł końca i Barbara pokłoniła się nisko chcąc odejść. Usłyszała jednak głos Augusta.
- Czy zechcecie mi, pani, jeszcze towarzyszyć, bom się wielce roztańcował – rzekł z uśmiechem. A jak pamiętamy, był to w sumie trzeci taniec wielkiego księcia.
- Prawdziwa to łaska dla mnie – odparła kłaniając się lekko i rozpoczęła taniec. Tymczasem otoczenie bardziej lub mniej zgorszone szeptało, że August wybrał sobie

wdówkę, której jeszcze nie wyszła żałoba i tak sobie śmiało z nią poczyną.

Zadowolony był natomiast Lasota, który nalewając wino Wszelakusowi rzekł mu.

- Odkąd jestem na dworze, to nie widziałem naszego Augusta tak zainteresowanym nową niewiastą. – I kiwał głową, spoglądając co raz na bawiącego się wesoło wielkiego księcia.
- Ciekaw jestem, czy to ona będzie ta niewiastą, którą nasz pan poślubi? – zastanawiał się głośno Wszelakus. Lasota popatrzył na niego z politowaniem i odsuwając od niego trunek rzekł.
- Ty już nie pij wina, bo pleciesz głupoty. Jak ci tam, bom zapomniał?
- Wszelakus.
- Wszelakie głupoty opowiadasz. Powiedz no mi, skąd ci się to bierze w głowie? – on jednak nic nie odpowiedział i więcej się już tego wieczora nie odezwał. Niedługo potem powrócił do stołu wielki książę.
- Przyznam ci się Lasota, że wielce to interesująca niewiasta. Szybko załatwimy co potrzeba i jedziemy do Gieranojnów. Napijesz się Lasota? – zaproponował.
- Z wami, panie, zawsze! – odparł mu ochoczo dworzanin.
- No to nalej! – i gdy tamten napełniał pucharki, August spoglądał na siedzącą w głębi sali swoją nową sympatię. – Barbara z Radziwiłłów – rzekł sam do siebie – trzeba ją będzie bliżej poznać. – I zamysłony popijał wino. Uczta dobiegała końca.

cdn.



PREZENTACJE





JACEK MUSIATOWICZ

Sennik podobłoczny

- żonie

Czasem równo oddychasz
Rozkopujesz snu koldrę
A Twe oczy wydają się mądre
Chciałaś wielkiej nadziei
I spokoju w kąpielu
Chciałaś skąpać się tak by zapomnieć

Twe sny przedzierają się
Przez wszystko co zimno zabija
I są jak razowy chleb
Po łacinie są wszystkim co mija

Pianą ciało przykrywasz
Nie wystajesz nad kryształ
Jakbym mógł siebie też bym tam wysłał
Lubię patrzeć jak ścieka
Piana boska jak rzeka
W niej rozbłyśkasz i mienisz się czysta

Jak sny co przedzierają się
Przez noc której w Tobie nie zmieszczą
Opowiedział mi kiedyś sen
Całą prawdę że jesteś że jesteś

Sny dodają odwagi
Jeśli śnią się przepięknie
I wydają na świat serce miękkie
Ty mi dałaś przeźrocza
Serce stanęło w oczach
Byłaś boska dlatego tak tęsknię

Są sny co odzierają mnie
Ze skóry z pamięci i z Ciebie
Tak chciałbym byś była snem
Pogodziłbym się z każdym niebem

Morska latarnia

Michałowi

Jeśli będzie następny mój wiersz
Ile łez synku znów Ci wypłaczę
Ty najlepiej najmłodszej wiesz
Uczysz mnie tego życia inaczej

Tak dziękując za każdy dzień
Który z Tobą przemierzam jak armia
Proszę wyśnij raz w Sobie mnie
Prowadź prosto jak morska latarnia

Jeśli będzie następny mój wiersz
Wszystkie lzy Twoje posklejam w lustro
Będzie biło to serce z trzech serc
W środku Siebie nie zarazisz się pustką

Kiedyś wstał pokochałem Cię wspak
Na rozstajach wyśniłem Cię Bogiem
Jesteś teraz jak jedyny znak
I jedyna od Boga odpowiedź

Martwię się prośbę do nieba bram
List za listem słę w każdą godzinę
By Bóg wiedział że nie jest sam
Jesteś Ty jego małym olbrzymem

Taką prośbę do nieba mam
Tam gdzie płaczą się piekła i raje
Abyś sobie poradził sam
Wszędzie tam gdzie nie ma już bajek

Jeśli będzie następny mój wiersz
Obiecuję że będzie o raju
Tyś jest raj cały wzdłuż i w szerz
Uczysz mnie żyć na nowo w tym kraju

Apokalipsa według mnie

- *Basi, siostrze mojej ukochanej*

Zaprawdę powiadam wam
Są anioły które nie istnieją
A tylko wydaje się że pióra mają
Sklejone woskiem i żadnych szans
Tylko myślą
Nikt nie wie
Że jeszcze Bóg poklejone palce na nich położy
Rozstarzeje się jeszcze bardziej
Pobawi się w alchemika
Zapomni o tych którzy Go miłują
Nad nieskromność ołtarzy ze szczerego złota
Powiadam sobie i wam
Przestańcie paplać ozorami węzowymi
Bo nie języki to a jad wszechmocny
Jednym słowem nie można zabić
Można związać
Upokorzyć
Wystraszyć aż po czubek włosa
Słowo to skarb duszy
Dusza to wszystko co mamy
Bóg dałby nam ją w całości
Tylko widać boi się
I dlatego
Apokalipsa według mnie
Jest teraz
I nikt i nic tego nie zmieni

Po tobie

- *Jackowi Dewódzkiemu*

Na dworcu minus sześć
Bankomat kaszle że nie masz co jeść
Przyjaciół dał wiarę
I usnął za barem wstrętnym wręcz
Przytulam do ławki
Dla dziecka zabawki
Do domu daleko że szlak
I pociąg się spóźnił
Na zegarkach podróży
Nagle wszystkich wskazówek brak

Po koncertach zostało
Znów pieniędzy za mało

Dla gitary co strun zjada sześć
Musisz jednak się szmacić
Grać na dworcu dla braci
Po to tylko by zarobić na chleb
Więc przytulasz do ławki
Te dla dziecka zabawki
I futerał i plecak i pled
Chciało by się uciekać
Pociąg słychać z daleka
Tylko nie ma na bilet pech

Zgrzyt pociągu co minął
Jak full-contact z dziewczyną
Obce miasto wyciąga ramiona
Kumpel leży pod barem
Wstrętnym wręcz okazałe
Jakiś mięśniak ci krzyczy byś skonał
Więc wychodzisz w noc miasta
By do rana dokasłać
By się spotkać z kimś kto ci pomoże
Wierzysz że to się uda
Wrócisz choćby na szczudłach
W końcu zawsze mogło być gorzej

*i tu pojawia się stara Indianka mówiąca po polsku
z dziwnym narzeczem o jeszcze dziwniejszym
brzmieniu słowa, wyciąga lecznicze zioło i
przypomina ci o istnieniu refrenu, tak więc refren:*

Po tobie zostanie tylko
W warkocz skręcona lza
Z wielkiej chmury deszcz
A po nim w oczach mgła
Po tobie już nic nie będzie
Takie jak dawniej wiedz
Zaczynj więc wstawać
Wszystko dodawać
Żyć ponad wszystko co jest

Korytarz (poemat z każdej strony)

*- synowi Michałowi żeby się nie bał
i matce Michała żeby się nie bała*

Gdy w historii ciemnym korytarzu
Staną ludzie dotąd niepotrzebni
Nieświadomi własnego obrazu
Tak naprawdę to wcale nieobecni
Ktoś zapalił im światło u wylotu
Kielich prawdy nową cieczą nappełnił
Więc w szeregach zapanował spokój
Krzyknął ktoś niech się spełni
Żadne słowo jeszcze tu się nie spełniło
I przywykli już do pustych jego znaczeń
Wiedzą dobrze co to niespełniona miłość
I że można że powinno się inaczej
Więc się każdy do podróży przygotował
Zabrał bagaż niespełnionych snów i marzeń
W zakurzony płaszcz kołnierz twarz swą
schował
Napuchniętą od doświadczeń nagłych zdarzeń
Jedno tylko przecież światło jest w tunelu
Wybór jeden więc nie ważne jak daleko
Jeden cel a więc trzeba dopiąć celu
Chociaż trudno maszerować jest kalekom
Aby dojść musimy umieć wiele więcej
I na zawsze pozbyć się głupich nawyków
Tak by światło wpadło tylko w nasze ręce
By na zawsze zrzucić jarzmo niewolników
Nie wystarczy zwrócić głowę do gwiazd
Nie wystarczy trochę przestać się bać
Nie wystarczy z klatki wyrwać się
Mając zawsze pochylony kark
Trzeba jeszcze mocno stanąć na nogach
Trzeba sprawdzić czy nie zgniła podłoga
Trzeba nowe zamki wstawić w drzwiach
By do klatki inny ktoś nie wrzucił nas

A tu codziennie mija mnie korytarz mego
miasta
Kikuty starczych drzew odarte z kory śpią
W tłum wielki wtapiam się w zwierzęcą sierść
obrastam
Na ludzkich twarzach pleśń i rdza wykrusza
się z ich serc
Mam ochotę krzyczeć wstrzymać ten ich
rozkład
Na zropiałą skórę rzucić parę szmat
Piszę więc na murze chore słowo Polska
Patrząc w lustro wiem że jestem taki sam

Obolałe dłonie znów zaciskam w pięści
Czuje własny smród chowam się przed dniem
Przerdzewiała noc pod butami chrzęści
W czerni zatapiam się ona mnie pomieści
Zmieści mnie w tym życiu jak butelka korek
Zmieści jak kobieta dziecko w swoim łonie
Zmieści moich oczu przekrwione planety
Zmieści jak kronika wycinek z gazety
Zmieści mnie jak dziwka w swoim epizodzie
Zmieści moje serce w kieszeni jak złodziej
Zmieści w tym mym życiu bez zbędności
żadnych
Cały mój ten wszechświat myśli
nieporadnych
A tu codziennie mija mnie korytarz mego
miasta
Latarni światło mdli obolałe oczy
I cisza którą noc chce na śmierć do snu
zagłaskać
Pod pociąg pchnie mój cień bym już bez
cienia kroczył
I tak kroczę ciemnym korytarzem
Wśród tysiąca ludzi niepotrzebny
Przywalony ulicy pejzażem
Tak naprawdę wcale nieobecny
Aż do bólu przywalony światłem
Co przecieka siatkówkami mokrych oczu
Jakbym poczuł że sam sobie je ukradłem
Albo jakbym właśnie wtedy miał to poczuć
Tylko płaszcz mój duszą moją wnet się stanie
Gdy ulecą wszystkie myśli me kalekie
Tylko kark mój pochylony pozostanie
Prosząc Boga by pozwolił być człowiekiem
By w korytarz życia światłość wlał prawdziwą
Kielich prawdy zaś nadzieją nam nappełnił
By to życie w naszych sercach się przeżyło
Byśmy byli swemu życiu zawsze wierni

Trzymaj się Boże mój
Trzymaj w okowach swych i stój
Tak nie za bardzo chciej
Bym się zagnieździł w Niej
Jest serdecznością ciał
Cała esencja skał
Kamień nie musi chcieć
Więc jest
Dlatego ufam w nim
Wszystko jest byle czym
Jest NATO własny sąd
Błąd
Teraz też błogosławie
Każde skinienie warg
Które w najlepszej sprawie

Prowadzi przez ten świat
Ale też przeciw jestem
Kiedy ktoś nie ma DNA
I mówi do mnie szeptem
Na której pętli wisieć mam
Miasto anielska dusza
Wyprowadzają psy
Wsze kurwy co nie wzruszą
I ich nie wzruszy nic
Podobno rodzą dzieci
A dzieci są jak ćmy
Nie każde światło świeci
Nie każdy chlast ma szwy
Korytarz jest jak droga
W historii zwartym tle
Ja wiem jak głupio w progach
Od razu zacząć źle
Gdy w historii ciemnym korytarzu
Staną ludzie dotąd niepotrzebni
Nieświadomi własnego obrazu
Tak naprawdę to wcale nieobecni
Jeśli w świecie zaśpiewam kiedyś o nas
Co im powiem oprócz tego że Polacy
Przecież każdą swoją miłość mam w
ramionach
Tak jak Polskę każdą miłość mam na tacy

Pod koniec snu
Zaśniesz na wieki przez ciemność
Nie będziesz czuł
Słowa żadnego na zewnątrz
Pan dał Ci sen
Jedność zaplatał w twe włosy
Noc wciął Ci w dzień
Zabrał Twojej córki warkoczyk
Widziałem Go
Kraków przywitał witrażem
Ty teraz sam
Stoisz przed jego ołtarzem

Oto baranek na jedną zmianę
Twój anioł stróż który zasnął
Całe Twe życie kochane
Ja którym w Tobie dorastał

Pod koniec snu
Nigdy Twój sen się nie skończy
Ufam Ci znów
Kiedyś Twój Bóg nas połączy
Będę wam grał
Piachu z Twych ran wezmę w usta
Będą też tam
Gośka Maciaszczyk i Gustla
Na razie jest
Zimno i wierzyć się nie chce
Taki miał plan
Ten któremu oddałeś serce

Oto baranek oczy zaspane
Anioł na Plantach zabłądził
Całe Twe życie niedoczekane
Bóg który rządził i rządzi

Unikam miasta bo mnie miasto rozsadziło
I zawsze dziwię się że w miastach bywa miłość
Miałem jej sen skoroszyt rozciągniętych darni
Leniwie stałem się bogaczem wirtualnym

Widzę cię jak się ścigaszwą dziewczycą piersią
Zraniona krawędź swych przestrzeni nie
oddaje
Rozumiem przestrzeń która jest Twą świętą
wersją
Rozumiem przestrzeń która jest Twym
sprawozdaniem

Mam tylko siebie więc wiatr chłłoszcze mnie w
strzemiona
Unikam gestów bez podtekstów bez zapalki
Sam nie wiem jak to jest zupełnie w sobie
skonąć
Wliczając Boży trakt gdzieś w imię Bożej łaski

Bliższy mi sen ogarniający wszystko w koło
Lepszy niż ten co się w nas wtarł od wieki
wieków
Eliminując przyozdabiam własne zoo
Etap odwiecznej prawdy to jest dla mnie
szczegół

A tak poważnie to się siłę do galopu
 A tak poważnie zniewieściałą toczę glinę
 Gdy już siwizna to dożyłem do potopu
 Bez własnej Arki muszę słoną przełknąć ślinę

Upadły anioł cicho skrada się w wezglowia
 I jak wygasły słup zostaje by się skurczyć
 Miłość potrzebna jest wszak trzeba jakoś
 skonać
 Lecz co to znaczy kiedy noc to sen jaskółki

Kolęda bez śniegu

To jest kolęda bez śniegu
 Z białej koronki czerpana
 Święta bez bieli i w biegu
 Na zwycieranych kolanach

Bez śnieżnej bieli nam przyszło
 Powitać dziecię na świecie
 Na przekór zwykłemu kołyskom
 Niebo i tak nas przyniecie

A kolęda w te święta
 Dwa tysiące szóstego
 Niby nic nie pamięta
 Czegoś złego dobrego
 Za kolędą się pchali
 Wszyscy którym nie wyszło
 No a ci co kochali
 Dawno już przeszli w przyszłość

To jest kolęda bez śniegu
 Czasem się zdaje że widzisz
 Stojąc po pachy na brzegu
 Nie mogąc przebaczyć chwili

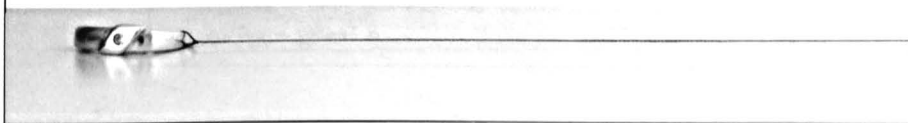
Śnieg nie spadł
 Wiosna i wiatry
 Okna wypadły na rozstaj
 Szklarz wstawił jakoś tak na krzyż
 To jest kolęda wszechpolska

Jacek Musiatowicz (1970) o sobie:

*„byli tacy co nazwali mnie bardem Podlasia
 byli tacy co od czci i wiary jak wilki wyjące
 nocą
 byli też tacy co próbowali odebrać mi żonę
 byli tacy co opluwali każdy mój wizerunek
 obojętnie co i jak bym pisał czy tworzył
 byli też tacy co uważają, że piszę na swój
 własny i jedyny w swoim
 rodzaju
 sposób
 tych szanuję
 jestem trudnym człowiekiem do
 zaakceptowania
 nie lubię tych wypompowanych sąsiadek które co
 niedziela dźwigają
 do kościoła swój grzech
 mam nadzieję, że Bóg wybaczy mi pychę
 w tym kraju pozbawionym jakichkolwiek zasad
 moralnych to wszystko co mam
 oprócz tego jestem ojcem i mężem
 i nie zamierzam tego zmieniać
 ja Jacek Musiatowicz doświadczyłem cudu w
 postaci uśmiechu bubu mojego
 syna
 to jest najważniejsze
 a sztuka
 sztuka jest tam gdzie jest jej miejsce
 nie będę wymieniał swoich osiągnięć
 artystycznych
 prosty powód
 jak w sądzie
 zabrakło by miejsca
 chyba że ktoś wymyśli czcionkę wirtualną
 pozdrawiam redakcję
 Jacek Musiatowicz”*



NIEZLICZONE SĄ OPOWIEŚCI ŚWIATA

[illegible][illegible]

- poli umum : tak berkongresi
- pemerintahan daerah : pddas
- pttm, indodag - poli umum
- sru, dslg, politikus - ktrd
- ngabek.

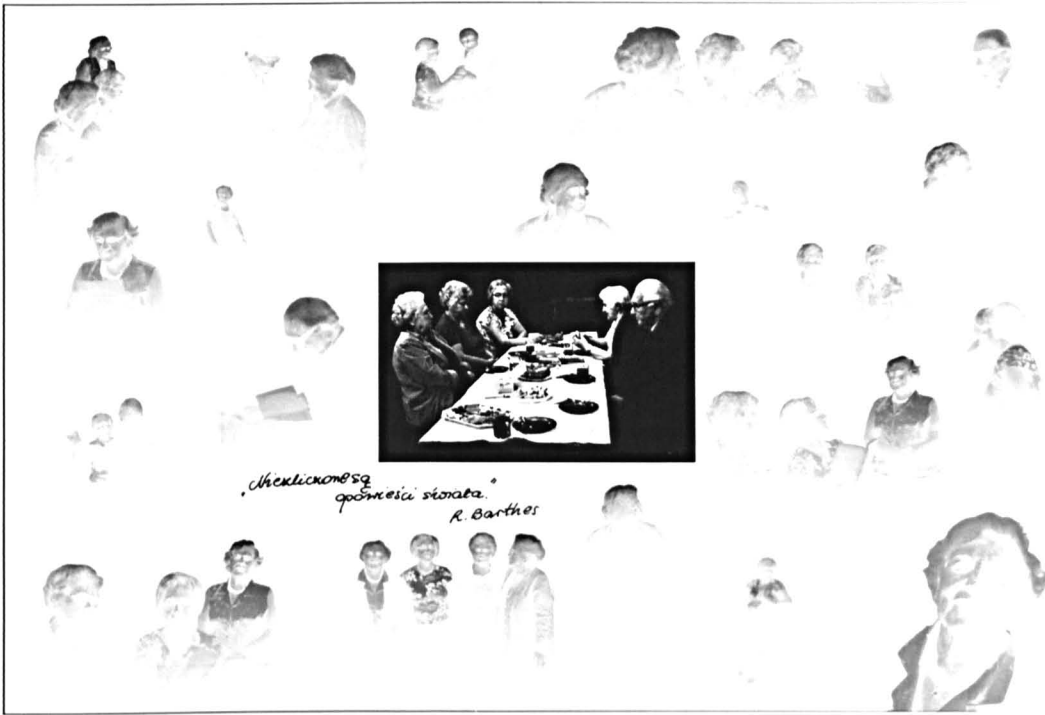
Kiedy stony do nich fotografuje,
 to także fotografy temu gestowi
 kłamić lubią.
 Kłamić niebezpieczniej
 nie możemy.
 E. Piłsudski
 Władimir Iliycz Lenin
 fotografował siebie
 i portretował fotografów
 siebie.



„Podróż to zdanie się ma gwałtowne,
niepodkreślane i ulotne spotkania;
(...) uwagi gwałtownego nieoczekiwane
i drobne wyzłaskania codzienne.
Jest to przemiana pustki.”
A. Robille, Fotografia.
Niedokony dokumentem
a sztywny współczesny



„Nikodem fotografu
kwaśnościsze przekształcam
proszę podwyższenia
mojego nowego miejsca
podróż do własnej tradycji.”
J. T. Harper



„Fotografia nie nadaje się
do ekspozycji.”
Kto ją za to zakwestionować?”

F. Soulanges,
Estetyka fotografii.
Strata i zysk



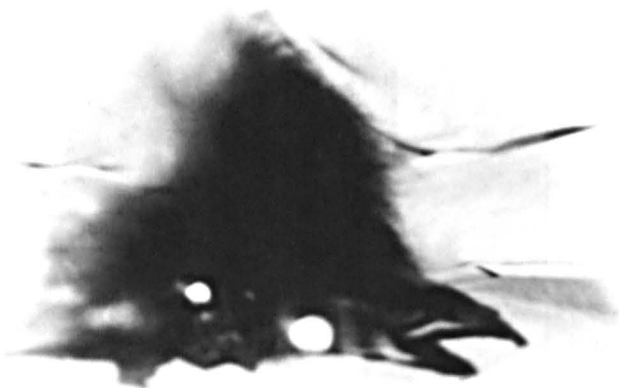
„Ri maktany cyście
Utracił artystę,
Stawiać je ogłusom –
Feta maktany.
Lec nie VETO kiadę
Stabe me organa.”

„Płynął w kielich rosy,
Labał pod miotły
Stanydłoty gronady –
Kadłby maktany.
Lec nie VETO kiadę
Nikt me organa.”

„Od rana do rana
Studował arkana
Pasał maktany stado –
Kadłby maktany.
Lec nie VETO kiadę
Sprząca me organa.”
H. Kozirynich,
Veto organizmu



"Do morza siwna pływaj, mój kochanie,
 Kładź się na ciemność, dotykaj kłopotliwa,
 A gdy przypadkiem małe schwyta macka,
 Chce udułki siebie, skępie się pływaj
 I to ma wykryć miłość ocala!...
 I chwytając przymroz na moment do siebie,
 I samotności, i płodzenia potrzebę...
 A gdy się wyszła, oddaję się fali...
 Do morza pływaj kładź się dalej..."
 H. Głowacki-Korycha, "In excelsis"



"I duszę gotową na kładę
 gmykoni, idę wśród drzewi."
 P. Walęzy,
 Rzeźby
 promieniowa-
 me



Hydrotim artysty: jedyni w przemyśle,
pełniący rolę nie dokumentu
zawieszającego, lecz obiektu
pozi - rękawicy.
X. H. H. H. H. H.
Rok 1912/1913



Proszę zobaczyć, nie widzę
niektóre, to jest w lustrze
niepowinno być m.c.
(słowa niepowinno być m.c.)
drzewo (m.c.) B. H. H.
Rok 1912/1913

Tytuł mojej pierwszej wystawy indywidualnej - "Niezliczone są opowieści świata" - pochodzi z pism Rolanda Barthes' a - nieżyjącego już literaturoznawcy francuskiego, który dużo miejsca poświęcał w swojej twórczości również fotografii. W książce "S/Z" Barthes, opierając się na stworzonej przez siebie koncepcji "ponownego czytania", przeprowadził niezwykle wnikliwą, polegającą na wyjaśnianiu i "ponownym odczytywaniu" właśnie, nowatorską interpretację noweli Balzaka "Sarrasine". Ideę "ponownego czytania" spróbowałam przełożyć - oczywiście, w formie zmodyfikowanej - na moje prace fotograficzne. Każda z tych 13 prac jest opatrzona moim komentarzem, który umieszczony został bezpośrednio na odbitce. Pismo ręczne czyni każdy egzemplarz zdjęcia niepowtarzalnym (choć reprodukowalnym w takiej czy innej formie), a jednocześnie - pozwala przypuszczać, że kolejna reprodukcja może przynieść nowy komentarz, a tym samym - stworzyć zupełnie nową opowieść. W ten sposób - pomimo niewielkiej ilości prac - można mnożyć poziomy interpretacji przedstawionych na wystawie zdjęć. "Ponowne czytanie" pomaga również mi, jako twórcy zdjęć, spojrzeć na nie pod innym kątem: jest jednocześnie gestem "odtworzenia", jak i tworzenia - tekst, który umieszczony zostaje na zdjęciu, może przekazywać obrazowy potwierdzać, może dopowiadać, może wyjaśniać, może mu również zaprzeczać. Jestem wtedy zarówno

czytelnikiem, jak pisarzem. Dodam, że odrębne komentarze nie są mojego autorstwa: są to myśli zaczerpnięte z książek mi bliskich i drogich, tekstów, które w jakiś sposób uderzyły mnie swoją trafnością. Jest to kolejny poziom interpretacji: wkradam się niejako w historię tekstu, który przytaczam, wpisując się w jego opowieść. Łączę więc "moje-nie-moje" (tekst, który odtwarzam i tworzę zarazem mocą swojego wyboru, a także mocą swojego pisma) z drugim "moim-nie-moim" (w końcu, świat na fotografiach nie należy do mnie, choć właśnie gest robienia zdjęcia pozwala mi w jakiś sposób to "nie-moje" ośwoić). Pozwalam również odbiorcom zdjęć na ich własne łączenie poziomów "moje-nie-moje", przecież nie potrzebują moich wyjaśnień, moich interpretacji, moich historii. Wystarczy, że przychodzą i patrzą. Słowo napisane na obrazie, i to pismem odrębnym, każe im zatrzymać się nad każdą z prac dłużej niż nad tradycyjną fotografią. To sprawia, że każdy z oglądających wychodzi z wystawy z 13 nowymi "tekstami-obrazami", z którymi może "robić, co chce": może je równie dobrze zapomnieć, jak zachować, może zrobić pracom zdjęcia, mieć je więc dla siebie, może spisać tylko tekst, którym dana praca jest opatrzona (tak działa się na wernisażu). To jest jak maszyna do tworzenia opowieści. Niezliczonych opowieści świata.



"Ufam, wspomnisz dopiero,
gdy i moje oko,
niezłomne oko kartonowy
dokona."
J. J. Amoli, w: H. J. J. J.
Kłopoty tradycyjnej fotografii
wobec sztuki. Al. improwizacji
do Bergsona.

Izabela Koczkodaj, ur. 1984 r. w Lublinie, konczy polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Fotografuje od 2005 r. Członek RKF "Klatka". Stypendystka Urzędu Marszałkowskiego w Lublinie w dziedzinie fotografii za rok 2007. Nagrody i wyróżnienia: m. in. III miejsce w konkursie "Człowiek i jego sztuka" 2006, wyróżnienie w VIII Oleskim Konkursie Fotograficznym 2006, wyróżnienie w konkursie fotograficznym radia PIN i fotol.pl 2007. Interesuje się związkami literatury i fotografii (cykl felietonów na fotol.pl). Brała udział w kilku wystawach zbiorowych (m. in. "Moja Europa - zapis codzienności" 2007, "Family of Man" 2006, międzynarodowe biennale mail art 2006). W 2007 r. odbyła się jej pierwsza wystawa indywidualna "Niezliczone są opowieści świata".



ADOLF NOWACZYŃSKI

DEKALOG FILISTRA

- I. Nie będziesz miał bogów cudzych przed bogami twojej rodziny, twego środowiska, twojej społeczności, twojej kliki, twego fachu, twojej partii, twego towarzystwa, twojej sfery.
- II. Nie będziesz brał imienia bliźniego twego na weksel twój nie przedstawiając dlań żadnych gwarancji zapłacenia.
- III. Pamiętaj, abyś dzień Święty Świętych, dzień świąt narodowych, lokalnych, dostojnych jubileuszów, wesołych rocznic, smutnych centenii w sposób oficjalnie dekoracyjny czcił.
- IV. Czcij przypadek i pospolitość, rodziców twych i trywialność, egoizm, brutalność i obłudę, rodzeństwo twoje, abyś długo żył i bajecznie ci się powodziło.
- V. Nie zabijaj sztyletem, a wolną konkurencją i lepszym przystosowaniem się do warunków lokalnych.
- VI. Nie cudzołóż, a staraj się mieć własną, pięknie umeblowaną sypialnię i własne łóżko poświęcone cudzym żonom.
- VII. Nie kradnij ostentacyjnie i przypadkowo, a konsekwentnie i bez tragicznej analizy.
- VIII. Nie mów przeciw bliźniemu twemu fałszywego świadectwa, o ile to nie daje zasadniczo i każdorazowo materialnej korzyści lub przynajmniej towarzyskiej sensacji.
- IX. Nie pożądam żony bliźniego twego nadaremno.
- X. Ani wołu, ani osła, ani żadnej tak skromnej rzeczy, które jego są, gdyż w ten sposób narazisz się na absolutną śmieszność.





ODYS KARCZYŃSKI

* * *

Cały wieczór siedział pod stołem
 Wąchał ich uda
 Całował buty
 Wystawiał głowę po ochłap śliny
 z wigilijnym smakiem trawionego
 alkoholu

Wyszedł na śnieg
 Przywitała go mokra
 dziecięca
 bez piersi
 Jak strach na wróble zrobiony ze
 szczurów
 na którym się powiesił
 nie za ręce i nogi
 Za żebra
 rozkosz swojego łona
 by szybciej go zjadły

Wtedy pójdzie z nimi
 obdarty z przyrodzenia
 nieczynny

* * *

Poszli tam gdzie rosły drzewa
 Z wiatrem rozmyli się w powietrzu
 Na szarym niebie został ślad ich ucieczki
 Złośliwy grymas w którym odeszli
 Tam gdzie rosną samotne
 Butelki
 pili z gwinta
 Wtedy zlizął jej wódkę z paznokci
 Przestał żyć
 zostawiając ją przy pniu
 swojego drzewa

Ostatni

Usiadłem na kamieniach
 Zdarłem z nich mech
 Próbowałem się nim udławić
 aż pochyliły się nade mną duchy gwiazd

Teraz są niepotrzebne
 Nie chcą zrozumieć
 że co noc stają się szczurem
 i uciekam z moją hordą

Trzeba zapomnieć o tym co piękne
 by się nie okazało
 że tego nie ma

Usiadłem na kamieniach
 Czekałem na nią

Duchy gwiazd odeszły



NATALIA JULIA NOWAK

POECI I WIERSZOKLECI. KLASYFIKACJA POETÓW

Poeta Wieszcz Narodowy - posiada duże zdolności poetyckie, jest znany w kraju i za granicą. Nikt nie śmie podważyć jego autorytetu nawet jeśli jest to konieczne.

Poeta Wamp Sieciowy - publikuje wiersze pod pseudonimami na blogach lub w wielkich portalach literackich. Nie posiada żadnego talentu, ale krytykuje innych w łajdacki sposób.

Poeta Niedoceniony Norwid - pisze wyśmienite teksty, które z jakichś przyczyn są bojkotowane przez wydawców. Zazwyczaj zyskuje uznanie dopiero po śmierci.

Poeta Desperado - układa przeciętne wiersze i sprawia wrażenie, jakby był gotów oddać własną duszę za sukces wydawniczy. Zazwyczaj publikuje w małych wydawnictwach i czasopismach.

Poeta Szara Eminencja - ma niezbyt duże ambicje, nikt go nie chwali, ale też nie krytykuje. Jego nazwisko jest znane wyłącznie fanom tematu.

Poeta z Bożej Łaski - zaczął publikować, bo kariera aktorska/muzyczna przestała mu wystarczać. Prowadzi drapieżną kampanię reklamową, występuje w telewizji, udziela wywiadów dla kolorowych czasopism.

Poeta Objawienie Fatimskie - zaczął pisać przypadkowo pod wpływem jakichś trudnych przeżyć (np. uzależnienia od narkotyków). Zyskuje rozgłos, bo okazuje się, że jego wiersze mają wartości edukacyjno-terapeutyczne.

Poeta Kopciuszek - posiada ogromne zdolności, ale minimalne ambicje. Zostaje odkryty przez łowców talentów i podniesiony do rangi Wieszca Narodowego.

Poeta od Wielkiego Dzwonu - tworzy wiersze przeciętne lub dobre, publikuje raz na kilka lat. Posiada potworną skłonność do spoczywania na laurach i ukrywania swych dzieł przed szeroką publicznością.

Poeta do Użytku Wewnętrznego - pokazuje swoje wiersze wyłącznie rodzinie i najbliższym przyjaciołom. Generalnie, nie ma ani talentu ani ambicji.

Poeta Skrajny Egoista - jest jedyną osobą, która może podziwiać jego twórczość.

Poeta Szerokie Plecy - debiutuje, ponieważ ma znajomości w środowiskach literackich. Cieszy się krótką sławą, ale zachowuje samozadowolenie aż do śmierci.

Poeta „Zawsze Mam Rację” - jest znanym, cenionym myślicielem, który cieszy się powszechnym szacunkiem. W jego wierszach nie ma nic nadzwyczajnego, ale ludzie czytają je ze względu na mądrość autora.

Poeta Gwiazda Pop - jest bardzo popularny, a jego wiersze posiadają nieodparty urok. Często pojawia się w mediach, ale po kilku/kilkunastu latach zostaje zapomniany.

Poeta Nieruchomość - tworzy słabe teksty, ale tak bardzo zakorzenił się w świadomości społeczeństwa, że żaden mocarz nie potrafi go usunąć.

Poeta Prorok - pisze wiersze futurystyczne, które zawsze się sprawdzają.

Poeta Laborant - tworzy poezję alternatywną, lekceważy powszechnie przyjęte wzorce, nieustannie eksperymentuje (z różnym skutkiem). Zyskuje uznanie wśród schizofreników, homoseksualistów i innych „oryginałów”.

Poeta Guru - wyznacza nowe trendy w sztuce, inspiruje młodszych artystów, kształtuje światopogląd milionów czytelników. Jest podejrzewany o przynależność do masonerii.

Poeta Zakazany - układa paszkwile i satyry polityczne, w wyniku czego grupa trzymająca władzę zakazuje mu publikowania. Drukuje swoje teksty w prasie podziemnej, przewodniczy tajnym organizacjom konspiracyjnym.

Poeta Pupilek Dyktatora - przeciwieństwo Poety Zakazanego

Poeta Nieświadomy - pisze przez sen, pod wpływem hipnozy, upojenia alkoholowego albo odurzenia narkotykami. Oczywiście nie wie, że to robi.

Poeta „Rzucam Słowa Na Wiatr” - prezentuje swoją twórczość jedynie w formie mówionej. Jego słuchacze nie zawsze wiedzą, że mają do czynienia z poezją.

Poeta Raz a Dobrze - w ciągu całego życia publikuje tylko jeden wiersz/tomik, który okazuje się arcydziełem.

Poeta Nawiedzony - pisze wiersze, żeby przekonać czytelników do jakiejś idei. Jego twórczość to wręcz literacka indoktrynacja.

Poeta Kaznodzieja - bardzo podobny do Poety Nawiedzonego. Traktuje poezję jako formę ewangelizacji.

Poeta Monotematyczny - opisuje tylko jedną rzecz.

Poeta Publicystyczny - porusza tematy społeczne, polityczne i ekonomiczne. Kładzie nacisk na treść, a nie formę utworów.

Poeta „Jak Urosnę, To Zostanę Słowackim” - jest jeszcze bardzo młody, ale wykazuje się ogromną bystrością umysłu. Wszyscy mu



📷 Tomasz Sobieraj

wróża, że kiedyś zostanie Wieszczem Narodowym.

Poeta „Podaruj Dzieciom Słońce” - pisze dla najmłodszych.

Poeta Jajcarz - jego jedyną ambicją jest rozbawianie odbiorców. Właściwie nie zależy mu na wielkim rozgłosie.

Poeta Rzemieślnik - nie posiada zbyt wysokich ambicji. Tworzy poezję, żeby zarobić na życie.

Poeta Okazjonalny - układa wiersze na specjalne okazje (np. wesela, pogrzeby), recytuje je w gronie Dostojnych Gości albo drukuje w lokalnych tygodnikach.

Poeta Ostatnia Deska Ratunku - zajął się poezją, bo w innych dziedzinach poniósł porażkę.

Poeta Prozaik - tworzy prozę poetycką, opowiadania liryczne, albo toporne wiersze bezrymowe.

Poeta Upadły Anioł - tworzy tzw. poezję gotycką, która opowiada o jego cierpieniu psychicznym. Nie znosi krytyki, nadużywa słów „mrok”, „noc”, „krew”, „łza”, „dusza”, „anioł”, „czern”, „ból”, „śmierć” i „samotność”.

Poeta Psycholog - wykazuje się dużą wiedzą o ludzkiej psychice, opisuje nasze zachowania i sposób myślenia.

Poeta Relaksacyjny - pisze wiersze mające na celu zrelaksowanie odbiorcy. Jego naiwne utwory mówią o przyrodzie, życzliwości, dzieciństwie, małych miejscowościach itp.

Poeta Heavy Metalowiec - hołduje ostrości, brutalności, niedbałości i ciężkim tematom. Chętnie opisuje makabryczne sceny, tworzy własną, mroczną filozofię.

Poeta Propagandowy - jak sama nazwa wskazuje.

Poeta Subliminalny - stosuje backmasking.

Poeta Bajarz - skłania się w stronę epickich form, takich jak epos, ballada czy poemat. Posiada bujną wyobraźnię i zdolność opowiadania o różnych wydarzeniach.

Poeta Trubadur - pisze teksty piosenek albo rytmiczne, melodyjne wiersze.

Poeta Orędownik Nienawiści - pisze prześmiewcze wiersze mające na celu obrażanie konkretnych osób. Zazwyczaj ma 13 lat i odwiedza blogi typu „Anty Paris Hilton” czy „Precz z Tokio Hotel”.

Poeta Korespondent - jego teksty są odpowiedziami na utwory innych autorów.

Poeta Zboczeniec - pisze gorące erotyki, żeby ostudzić swe nadmierne pożądanie.

Poeta Chory Psychiczenie - opisuje z najdrobniejszymi szczegółami to, co dzieje się w jego głowie. Wiersze, które układa, są potem cytowane w pracach dyplomowych psychiatrów.

Poeta Kontrowersyjny - pisze szczerze i w dobrych intencjach, ale wywołuje gwałtowne spory wśród czytelników.

Poeta Skandalista - umyślnie wzbudza kontrowersje.

Poeta „Chcę Być Tobą” - jest tak zafascynowany jakimś autorem, że próbuje naśladować jego styl. Zazwyczaj wzbudza politowanie publiczności.

Poeta Snob - uważa się za Wieszcza Narodowego, choć jeszcze nic nie osiągnął.

Poeta Próżna Nadzieja - naiwnie wierzy, że osiągnie wielki sukces, ale jego twórczość jest słaba i wzbudza śmiech czytelników.

Poeta Konkursowy - pisze wiersze na konkursy literackie. Rzadko się zdarza, by realizował własne pomysły, albo działał zupełnie niezależnie.

Poeta „Tańczę, Jak Mi Zagrają” - nigdy nie wybiera tematu wierszy, unika prezentowania własnego zdania. Pisze tak, jak inni mu każą.

Poeta z Głową na Karku - jest połączeniem wszystkich wymienionych typów. Główna cecha jego twórczości to zdrowy rozsądek.

Plagiator - to nie poeta.





KRYSZTOF „KARŁO” JISOWSKI

Ulotny czas

Czas tak leci, szybko umyka
jak wiatr między drzewami.
Pozostawia po sobie ślad
lecz rzadko, czasami.

Czasu zatrzymać się nie da,
on musi, musi wymykać się pomiędzy
drzewami, można go na krótko dostrzec
lecz rzadko. Tylko czasami.

Widziano czas już wszędzie,
w górach, w lasach, w kosmicznej
przestrzeni. Wszystko nowych
kształtów
nabiera, wszystko nowe barwy ma.
Tylko czas co hula od wieków między
drzewami
nic się nie zmienia.

M.C.M.N

Kochać, zrozumieć, wybaczyć
... miłość.
Płakać, krzyczeć, rwać włosy
... cierpienie.
Śnić, dumać, być nieobecnym
... marzyć
Bać się, uważać, unikać
... nie zrozumienie.
Miłość, cierpienie, marzenie,
niezrozumienie
... ludzkiej istoty istnienie.

Słowo

Słowa tak gorzkie z twych
ust wypowiedziane robią w moim
sercu głęboką ranę.

Słowa choć ulotne w sercu
pozostają, choć nie dla nich to
miejsce lecz miejsce tam mają.

Nie wypowiadaj słów dla ciebie
nie znanych. Przez znaczenie twych
słów
stracisz bliskich... ukochanych.

Brak

Zamknąłem swą duszę w przestrzeni
jak ptak w nierozdzielnej sieci.
Me serce w otchłań rzucone a sen
głęboki
w nieznane gdzieś leci.

Myśli rozdarte, nie moje, niczyje.
Wszystkiego już mi brakuje choć ciało
nietknięte wciąż żyje.

Pragnę powrotu mej duszy i serca.
Pragnę powrotu moich snów z
nieznanej
podróży by pozostały w jednej całości
po wieki mego istnienia
nieskończoności.



organizator

Świdermajer

www.swidermajer.info

Świdermajer. Portret. WYSTAWA FOTOGRAFII

Toufexis Brzostek Krakowiak Wodiczko
Diehl Tyralski Boguszewski Borychowski

mecenas wystawy



Otwock, Muzeum Ziemi Otwockiej (28.03 - 25.04.2008)
Brzeg, Galeria Sztuki Współczesnej (1-31.05.2008)
Ryglice, Ośrodek Kultury (8-29.06.2008)
Budziska Wielkie, Regionalna Galeria Sztuki "Gacanek" (5.07 - 22.08.2008)
Nowy Dwór Mazowiecki, Nowodworski Ośrodek Kultury (3 - 23.09.2008)
Nowy Dwór Gdański, Żuławski Ośrodek Kultury (3 - 30.10.2008)
Mińsk Mazowiecki, Muzeum Ziemi Mińskiej (9.01-12.02.2009)

patroni medialni

ARCHITEKTURA
magazyn

linia
otwocka

cafébabel.com
MAGAZYN EUROPEJSKI

KOZIRYNEK
KWARTALNIK KULTURALNY



SPOTKANIA
Z ZABYTKAMI

NADESŁANE:

książki

- E. Cichla-Czarniawska, *Moja sowa śnieżna*, Lublin 2006.
- Karol Graczyk, *Oko i oko*, Gorzów Wielkopolski 2007.
- Agnieszka Hałas, *Ostatni z żyjących*, Lublin 2006.
- Ewa Klajman-Gomolińska, *Pędzące noce w wagonach*, Bydgoszcz 2007.
- Ewa Klajman-Gomolińska, *Śługa, niewolnik i błazen*, Bydgoszcz 2006.
- Ewa Klajman-Gomolińska, *W samym miąższu pomarańczy*, Lublin 2007.
- J. R. Krzyżanowski, *Gdybym cię opuścił...*, Lublin 2006.
- Zygmunt Marek Piechocki, *Moje herezje*, Gorzów Wielkopolski 2006.
- Zygmunt Marek Piechocki, *54 wiersze bez cenzusu*, Gorzów Wielkopolski 2006.
- Zygmunt Marek Piechocki, *Sytuacje*, Gorzów Wielkopolski 2007.
- Mirosław Pisarkiewicz, *Chłopiec z ulicy Żydowskiej*, Warszawa 2007.
- Mirosław Pisarkiewicz, *Złodziej tataraku*, Piła 2007.
- *Z wiarą wiar. Rodacy wobec śmierci Jana Pawła II modlitwy, wiersze, diariusze, medytacje*, Instytut Papieża Jana Pawła II, Warszawa 2007.

czasopisma

- „Exit”. Nowa Sztuka w Polsce, nr 4, Warszawa 2007.
- „Nestor”. Czasopismo Artystyczne, nr 1, Krasnystaw 2007.
- „Pegaz Lubuski”, nr 1, 2, 3, 5 i 6, Gorzów Wielkopolski 2007.
- „Poetyckie Łany”, Kwartalnik Kulturalny Grupy Literackiej A4, Rok III, nr 2, Krasnystaw 2007.
- „Portret”. Pismo literacko-kulturalne, nr 2 (24) i 3 (25), Olsztyn 2007.
- „Przegląd Filozoficzno-Literacki”, nr 2 (17) i 3-4 (18), Warszawa 2007.
- „RzeczPospolita Kulturalna”, Miesięcznik literacko-artystyczny, nr 1, Londyn 2008.
- „Secesja”. Pismo o sztuce, kulturze i współczesności, nr 8 i 9, Warszawa 2007.
- „Treuburg Post”, Pismo awangardowe, nr 12, Olecko 2007.

SPRZEDAŻ/PRENUMERATA

Poza punktami sprzedaży KOZIRYNEK można nabyć drogą wysyłkową wpłacając równowartość ceny zamawianego numeru (+ 5 zł za przesyłkę) na konto:

87 1020 3206 0000 8902 0028 3739

Polecamy również prenumeratę kwartalnika. W prenumeracie KOZIRYNEK w stałej cenie 7 zł.

Uprzejmie prosimy o dokładne wypełnianie rubryki „Tytułem”: imię i nazwisko zamawiającego, adres do korespondencji, dane odnośnie zamawianych numerów.

540 LAT




RADZYNIA
PODLASKIEGO



* Cena numeru nawiązuje do roku 869, w którym cesarz bizantyjski Bazyli I Macedończyk otworzył obrady VIII soboru powszechnego: sobór konstantynopoliński IV. Po aferze z quasi-patriarchą Konstantynopola Focjuszem, której efektem było wzajemne obłożenie się klątwami przez patriarchę i papieża Mikołaja I (co poważnie nadszarpięło jedność Kościoła powszechnego), miał on przypieczętować ponowne scementowanie Wschodu i Zachodu. Sukces, którym zakończyły się obrady, był pozorny. Różnice „obu płuc” Kościoła powiększały się. Już wkrótce miało się okazać, że nic nie jest w stanie zapobiec schizmie...